

KONIASZ

TOM I. WILK SAMOTNIK

ŻAMBOCH

MIROSLAV

ŽAMBOCH
MIROSLAV
KONIASZ
TOM I. WILK SAMOTNIK

Koniáš Vlk Samotář

PRZEŁOŻYŁ

Andrzej Kossakowski

fabryka słów

Lublin 2010



Spis rzeczy

[Spis rzeczy 2](#)

graph-definition>

[Prolog 4](#)

graph-definition>

[Senna dziura 8](#)

graph-definition>

[Wielki Wojewoda Varatchi 17](#)

graph-definition>

[Cesarstwo Wewnêtrzne 20](#)

graph-definition>

[Pocz!tek polowania 42](#)

graph-definition>

[Czarodzieje 56](#)

graph-definition>

[Kontrahent 61](#)

graph-definition>

[Ninja, czarodzieje i fanatycy 70](#)

graph-definition>

[Ma³a i wielka tajemnica](#) 77

graph-definition>

[Powrót do cywilizacji](#) 85

graph-definition>

[Poranna wizyta](#) 88

graph-definition>

[Sprzecznoœæ interesów](#) 98

graph-definition>

[Kawa i inne rozkosze](#) 105

graph-definition>

[Gospody i bary](#) 112

graph-definition>

[Zak³adanie side³](#) 122

graph-definition>

[Drapieżcy i zdobycz](#) 127

graph-definition>

[Decyzja Janicka](#) 136

graph-definition>

[Nocna rozmowa](#) 139

graph-definition>

[Ten miecz](#) 146

graph-definition>

[Wspinaczka na piramidę](#) 148

graph-definition>

[Dzień o zapachu krwi](#) 156

graph-definition>

[Szukanie celadów](#) 172

graph-definition>

[Niebezpieczne zabawki](#) 178

graph-definition>

[Gorzki koniec](#) 183

graph-definition>

[Dwa razy do tej samej rzeki](#) 191

graph-definition>

[Plan awaryjny](#) 196

graph-definition>

[Intrygant](#) 200

graph-definition>

[Fa³szywi kupcy](#) 203

graph-definition>

[Zaskakuj¹ce spotkanie](#) 213

graph-definition>

[Krótkie pożegnanie](#) 219

graph-definition>

[Mi³oœnicy ksi¹g](#) 229

graph-definition>

[Ostatnie przygotowania](#) 241

Prolog

Dębowe, okute żelazem drzwi zamknęły się ze skrzypieniem przenikającym do szpiku kości, płomień pochodni wyprostowały się jak na komendę i przestały trzepotać w przeciągu.

– To sprawia okropne wrażenie – zauważył mężczyzna, który do ciemnego wnętrza wszedł jako pierwszy.

Od niewidocznych w ciemności ścian odbiło się echo wzmocnione odgłosem kapiącej wody.

– I diabelnie tu wilgotno, a to nie wyjdzie na dobre moim stawom.

– Więzienie jest własnością Waszej Wysokości – odpowiedział drugi z mężczyzn niemal drwiącym tonem. – Chyba sobie Wasza Wysokość nie życzy, aby więźniowie mieli tu wygody.

– Rad jestem, że mogę zawsze polegać na bystrości waszego umysłu, Ekscelencjo – odrzekł mężczyzna tytułowany Jego Wysokością, nie kryjąc rozbawienia. – A cóż dla swojego cesarza zrobicie teraz?

– Jego Ekscelencja, Rick Varatchi, stryjeczny brat Jego Cesarskiej Wysokości Orlanda Saxmundsena i równocześnie jego prawa ręka, zdjął ze ściany przygasającą pochodnię i machnął nią, aby płomień się rozpałił.

– Oświetlę nam drogę, byśmy nie spadli z tych śliskich, stromych schodów. Może nie powinniśmy Blatvovicovi pozwolić, żeby to swoje przedstawienie urządził właśnie tutaj?

– To wariat – oznajmił cesarz, wzruszając ramionami.

Obaj zaczęli ostrożnie zstępować w dół poprzez osaczającą ich ciemność. Światło pochodni wydobywało tylko niewielki fragment przestrzeni.

Zimna wilgoć, ponure otoczenie i martwota tych podziemi nasilały się z każdym przebytym stopniem.

– Blatvovic, jesteście tu! – zagrział w ciemność drugi człowiek imperium.

Wysoko nad nimi z niewidocznego sklepienia spadło grono ciężkich kropel. Dzban wypełniłyby zaledwie do jednej trzeciej, ale do tego, aby zgasić pochodnię – wystarczyło ich.

Czekali przez chwilę w zupełnych ciemnościach, aż wreszcie kilka metrów pod nimi ktoś odsunął klapę, za którą znajdowała się kupa żarzącego się węgla, i czerwonawy poblask zmieszał się z czernią. Niewyraźnie rozeznawali sylwetkę mężczyzny stojącego nad dogasającym ogniskiem, nad nim wisiał na sznurach człowiek zawinięty w tyle warstw płótna, że przypominał olbrzymi kokon.

– Wiele tu nie widać – mruknął cesarz z niezadowoleniem. – Jeśli przedstawienie okaże się

niewiele warte, rzucimy go katom. Załatwią się z nim szybko.

– Ale wtedy będziecie musieli oddać mi piwnicznego, którego wygraliście ode mnie w karty – Varatchi przypomniał stawkę zakładu. – Ja od początku nie wierzyłem w ani jedno jego słowo.

– Tym gorzej dla Blatvovica, kaci dostaną za zadanie dowieść na jego przykładzie, co naprawdę potrafią.

Mężczyzna w dole podniósł ręce, w jednej trzymał nóż, a w drugiej duży lejek. Oba te przedmioty nawet w słabym świetle błyszcząły srebrzyście. Przez chwilę stał bez ruchu, po czym zaczął się kołysać z boku na bok i wyglądało na to, że śpiewa. Niczego jednak nie słyszeli. Dopiero po chwili zaczęła do nich docierać nieprzyjemnie brzmiąca, stopniowo nasilająca się melodia, kakofonia dysharmonicznych dźwięków, pozbawionych jakiegokolwiek rytmu, jakiegokolwiek prawidłowości.

– Wariat – mruknął znowu cesarz.

Mężczyzna poderwał się nagle, ostrze błysnęło w ciemności, ofiara targnęła się w kokonie, na ułamek sekundy przenikliwą ciszę przerwało śmiertelne bulgotanie, a zaraz po nim dało się słyszeć staccato tryskającej cieczy rozpryskującej się o metal.

– Poderznął mu gardło – oznajmił z niezadowoleniem Varatchi.

Węgielki pobudzone do życia ruchem powietrza rozjarzyły się, obaj szlachetnie urodzeni ujrzeli wyraźnie, jak mężczyzna łapie tryskającą krew do lejka i równocześnie połyka ją łąpczywie.

– Ohydne – oznajmił cesarz z niesmakiem.

Obrzydliwe widowisko trwało kilka długich sekund, może nawet ich dziesiątek, ciemność sprawiała, że jeszcze bardziej się dłużyło, zdawało rozciągać się w czasie, wreszcie rozległ się metaliczny dźwięk odrzuconych na kamienną posadzkę lejka i sztyletu, ludzki upiór odwrócił się bokiem, zakręcił rękami pozornie chaotycznego młyńca i pochylił się, jakby miał zamiar wymiotować.

Jednak zamiast niestrawionej krwi, z jego ust wydobył się blask niebieskiego płomienia, który wgryzł się w kamienną ścianę i rozżarzył ją w mgnieniu oka. Cesarz i jego towarzysz instynktownie uskoczyli przed gorącym aż do najdalszej części półpiętra. Nadprzyrodzone, piekielne zjawisko trwało jeszcze przez kilka uderzeń serca, później, na szczęście dla wszystkich obecnych, ogień w końcu przygasł, mężczyzna upadł, a wrzące pęcherze żaru na kamieniach tworzących fundamenty zamku zaczęły powoli i niechętnie tężeć.

W podziemiach znów było wilgotno i mroczno, ciemność rozpraszała teraz tylko żarząca się jeszcze ściana.

– O mało co nas nie zabił – stwierdził Varatchi, wbijając wzrok w bezwładne ciało. – Z drugiej strony, nie mogę powiedzieć, że spektakl nie robił wrażenia.

– Ale nie stanowił sposobu zawładnięcia mocą – sucho odrzekł cesarz. – Musimy znaleźć inną drogę. Zakład wygrałeś.

Wielki Wojewoda Varatchi nie wyglądał na ucieszonego, raczej na zamyślonego.

– Straż! – zawołał władca.

Ciężkie drzwi piętro wyżej rozwarły się i do gorącej duchoty podziemnego więzienia wpadło czterech zbrojnych.

– O ile żyje – Saxmundsen wskazał na bezwładne ciało – niech go opatrzą i kiedy przyjdzie do siebie, przekażcie go katom. Chcę, żeby wypróbowali na nim jego własne inkwizycyjne metody. Jakiś czas temu mnie nimi zanudzał.

Zbrojni bez wahania ruszyli na dół, naprzeciw żaru. Cesarz nie musiał uzupełniać swojego rozkazu groźbami.

Każdy wiedział, co nastąpi, jeżeli nie będzie spełniony do ostatniego szczegółu.

Varatchi przez chwilę przyglądał się, jak strażnicy błyskawicznie odciągnęli ciało dalej od niebezpiecznego źródła gorąca, a później odwrócił się i ruszył do wyjścia jako pierwszy, co graniczyło z nieuprzejmością.

– Będziemy musieli spróbować czegoś całkiem innego – mruknął bardziej do siebie niż do towarzysza. – Lecz na razie nadal za mało wiemy.

*

Kilkadziesiąt minut po tym, jak tak nieformalnie i niezgodnie z etykietą opuścił swojego stryjecznego brata i Jego Cesarską Wysokość w jednej osobie, władcę życia milionów i większości znanego świata, usiadł na drewnianym krześle w komnatach, które również tutaj, w cesarskim pałacu, zwykł uważać za swoje.

Stary sługa napełnił puchar czerwonym winem i oddalił się bez dalszych poleceń. Wiedział, że jego pan potrzebuje do rozmyślań zupełnej samotności i spokoju.

Na stole z polerowanej kości słoniowej, po jego prawej ręce, leżała wytarta skórzana okładka wypchana poźółkłymi papierami i pergaminami. Rick Varatchi przyciągnął ją i ostrożnie otworzył. Autor zbioru zatytułował go „Księgi najemników”. Zawierał on nazwiska mężczyzn, ich rysopisy, omówienia czynów, których dokonali naprawdę, oraz takich, których – jak wierzone – dokonali prawdopodobnie. Niekiedy trudno było odróżnić, co jest prawdą, a co zmyśleniem lub zamierzonym kłamstwem. Ale i kłamstwo niesło informację, bo zostało stworzone w jakimś celu.

Początkowego właściciela rejestru Varatchi sam kazał przed laty zabić, ale pomimo to musiał

później dokonać sporych wysiłków, aby zbiór osiąść. Od tego czasu sam do niego dodawał dziesiątki nowych stron zapisanych zamaszystym, energicznym pismem. Jak dawniej, tak i dziś największa część „Ksiąg najemników” poświęcona była człowiekowi zwanemu Koniasz.

– To on – powiedział cicho Rick Varatchi i napił się wina, wcale nie zwracając uwagi na jego smak. – Ten, który wie więcej niż ja. Ale to się zmieni.

Senna dziura

Słońce zbliżało się do krawędzi wzgórza i światła w pomieszczeniu szybko ubywało. Samuel Wicker z niesmakiem wyrzął na zewnątrz przez małe okno. Po tych kilku latach wiedział już dokładnie, kiedy słońce zachodzi w danej porze roku. Z jego punktu widzenia dom nie mógł być gorzej usytuowany. W lecie, gdy mógłby pracować do późnego wieczora, budynek tonął w cieniu wzgórza, w zimie było tu po prostu lodowato mimo uszczelnienia okien, drzwi i wszystkiego, co się dało. Wicker zaczynał pomału wierzyć, że w balach znajdują się dziury, którymi zewsząd dmucha na niego zimne powietrze. A latem – oczywiście – uciążliwe gorąco. I chociaż wioszczyzna stanowiła solidną kryjówkę przez całe minione pięć lat, tutejszego klimatu nienawidził. Z biegiem czasu wcale nie robiło się lepiej, nie tylko nie mógł przywyknąć do zmian temperatury, ale wydawały się coraz bardziej uciążliwe.

Z westchnieniem zamknął stary foliał. Dziś już nie miał czasu na studiowanie i była to kolejna sprawa, która go irytowała. Zbyt wiele znajdował powodów, dla których nikomu nie mógł ufać i musiał wszystko robić osobiście. Był w tym względzie naprawdę przewrażliwiony; ciągle wahał się przed podjęciem ostatecznej decyzji. Rzucił jeszcze jedno smutne spojrzenie na księgę. Zupełnym absurdem było mniemanie, jakoby spisano ją na ludzkiej skórze, ale wyglądało na to, że kopiści z pierwszego stulecia po Wielkiej Wojnie wykonali dobrą robotę i czarodziejskim diagramom można było wierzyć. Gdyby tylko wiedział, jak się nimi skutecznie posługiwać. Właśnie takie najprostsze rzeczy najtrudniej było sprawdzić. Dawni czarodzieje nie zapisywali tego w swoich księgach, tak samo jak magowie od spraw finansowych nie wyjaśniają sposobów prawidłowych zachowań i odliczeń. Ale ten stan rzeczy mógł ulec zmianie i zmieni się na pewno, jeśli on, Samuel Wicker, wielki mistrz klanu Rumelkowego, nie popełni błędu i nie zboczy z krętej drogi. Rozmarzył się na moment. Wszystko stałoby się o wiele łatwiejsze, gdyby odkrył „Nucleus”, mityczną księgę w genialny sposób prowadzącą adeptów magii przez niebezpieczny labirynt studiowania mocy. Powiadają, że była napisana jeszcze przed rozpoczęciem Wielkiej Wojny i nawet ci najmniej utalentowani zdołali dzięki niej rozbudzić swoje zdolności i użyć ich w maksymalnym stopniu. Tylko że manuskrypt „Nucleusa” prawdopodobnie nie istniał już od dawna, zaś o tym, który go napisał, krążyły tylko legendy. Ale gdyby go zdobył! Ta perspektywa zawsze wznosiła Wickera na absolutne wyżyny zachwyty, lecz powrót do rzeczywistości był bolesny. Mimo to wystarczyła mu chwila, aby się opanować i skupić na tym, co najważniejsze. Na pertraktacjach z łowcą artefaktów.

Wyszedł z pomieszczenia i korytarzem, rozdzielającym dawniej dom na część zamieszkiwaną przez ludzi i część przeznaczoną dla zwierząt, wy dostał się na zewnątrz. Samuel Wicker nie ścierpiałby w swoim domu jakichś prosiąt i dawno by zastąpił uklepaną glinę drewnianą podłogą lub nawet kamienną posadzką, lecz to mogłoby zwrócić uwagę. Tak więc stale miał poczucie, że żyje w chlewie.

Sługa natychmiast zauważył ruch pana i wynurzył się z kuchni.

Janick, Wicker przywołał jego nazwisko w pamięci. Gorliwy, pełen zapału, jednak o zupełnie minimalnym, ledwie dostrzegalnym poziomie talentu magicznego. Ale tego Wicker nigdy mu nie powiedział.

– Pójdę do sadu. Posprzątaj w pracowni, nie zapomnij o pułapce na myszy i odstaw księgę na miejsce. Gdy przyjdzie cudzoziemiec, wyślij go bez zbędnych ceregieli do mnie, a chwilę później przynieś nam coś do picia.

Janick przytaknął gorliwie, przeszedł przez korytarz i wszedł do pracowni. Dostęp do starodruków mieli tylko najbardziej zasłużeni uczniowie, którzy posiadali niebudzący wątpliwości talent, a porządkowanie foliałów było w pewnym sensie łapówką, dzięki której wielki mistrz nagradzał Janicka – i zyskiwał jego absolutną lojalność.

Wicker stąpał pomału po kamieniach brukowanej ścieżki, aż doszedł do jabłoni. Był to dobry rok, za jabłka można było uzyskać całkiem godziwe pieniądze. Kolejna sprawa, której nienawidził – starać się o fundusze. Było ich wciąż za mało i to ograniczało rozwój całego klanu. I Wickera osobiście. Mimo to sad był jednym z tych miejsc, które zdołał tutaj polubić. Ścisłej rzecz biorąc, jeśli nawet go nie lubił, to mu przynajmniej nie przeszkadzał. Sad ponadto usytuowano tak, że można stąd było zobaczyć już z daleka nadjeżdżającego gościa. Chciał mieć dość czasu, aby mu się dokładnie i bez pośpiechu przyjrzeć. Już samo skontaktowanie się z tym człowiekiem kosztowało sporo pieniędzy, a jego wynagrodzenie z pewnością okaże się znacznie wyższe. Wicker miał świadomość, że na pewno nie zdoła zaoferować tyle co inni. W ostatnich kilku latach zaczął się popyt na artefakty, a przez to także na tych, którzy byli w stanie je zdobyć. Człowiek, którego on – wielki mistrz klanu Rumelkowego – tu wezwał, należał do najlepszych. O ile był to naprawdę ten, który pozyskał skarby ze starej tajnej skrytki historycznego klanu Augupów. Nikt nie miał co do tego całkowitej pewności, bo wszędzie tam, gdzie gra toczyła się o wielkie pieniądze i groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, prawdziwe i ścisłe informacje były cenniejsze niż woda na Pustyni Gutawskiej.

Wicker usiadł na drewnianej ławce pod jednym z najwyższych drzew, które już prawie nie rodziło owoców. Tu, o ile pogoda sprzyjała, z innymi członkami rady rozważał ważne problemy. W tym konkretnym przypadku, od którego tak wiele zależało, wolał pertraktować sam. Słuchał bzyczenia pszczoł i co chwila spoglądał na ścieżkę. Co to za jeden, ten mężczyzna? Jaki się okaże? Wiedział, że jest sprytny i doświadczony, i że bardzo często udaje mu się w ramach zamówienia pozyskać więcej dóbr, niż zamawiający spodziewał się otrzymać. Potem oczywiście trzeba mu dobrze zapłacić. Wicker wykorzystał swoją wiedzę i ludziom szukającym łowcy artefaktów przekazał instrukcje, aby od razu dali najemnikowi do zrozumienia, że możliwości finansowe zleceniodawcy są ograniczone, ale równocześnie podkreślali, że dysponuje on dobrymi informacjami, jak się do pożądanego towaru dostać... i potencjalnie uzyskać więcej. Ciężko było godzić się z tak skromnymi środkami, jakie miał do dyspozycji przez kilka ostatnich lat. Smutno pokiwał głową nad położeniem, w jakim się znalazł – on, jeden z najlepszych, jeśli w ogóle nie najlepszy, wielki mistrz jedyne w istocie czarodziejskiego klanu na terenie imperium.

Naraz zauważył, że główną ulicą wioski jedzie mężczyzna na koniu. „Wlecze się” byłoby lepszym określeniem. Jak się tam, do cholery, dostał? Gdyby nadjechał drogą, mistrz zauważyłby go o wiele wcześniej. Dlaczego, u diabła, gość po niej nie jechał? Wicker nie lubił, gdy sprawy nie przebiegały zgodnie z planem. Równocześnie jednak poczuł w duchu zadowolenie z wydania innych rozporządzeń. Chociaż kasę klanu kosztowało to kilka dziesiątek złotych, teraz nie żałował. W jednym z domów już od dwóch dni stacjonował inny cudzoziemiec. Najął go Majal, zastępca Wickera. Najemnik okazał się niezgrabnym, prymitywnym typem poskładanym z samych wielkich i

ciężkich kości obleczonych mięśniami, chłopem z krzaczastymi brwiami i oczami skrytymi pod wielkim wałem czoła. Wydawał się czarodziejowi pół-zwierzęciem, tworem stojącym o wiele niżej w rozwoju niż on sam. Ale dzięki temu był idealnym narzędziem. W przypadku gdyby wystąpiły problemy z łowcą artefaktów, miał go zabić. Ostrożność posiadała oczywiście także ujemne strony: prymityw już dwa dni na koszt klanu pochłaniał niesłychane ilości jadła i pierwszorzędnego cydru.

Cudzoziemiec pojawił się już u podnóża pagórka, między pierwszymi drzewami owocowymi. Konia zostawił w wiosce, kroczył teraz długimi, pozornie leniwymi krokami, ale mimo to zbliżał się zaskakująco szybko. Był wysoki i szczupły, długie, zauważalnie już posiwiiałe włosy miał ściągnięte z tyłu głowy. Twarz – Wicker prawie nie zdołał stłumić niesmaku – była jak zły sen estety.

I w początkowym, nieuszkodzonym stanie wydawałaby się zbyt pociągła i szczupła, teraz w dodatku szpeciły ją liczne blizny, nos wyglądał jak coś, co zostało do tego oblicza dodane znacznie później, a ponieważ Stwórcy oryginalne rysy wyraźnie się nie spodobały starał się je później polepszyć kilkakrotnym przetrącaniem. Oczy okolone były wianuszkami drobnych blizn, spowodowanych dawno już zapomnianymi pojedynkami na pięści, stara szrama przedłużała lewy kącik ust ku dołowi i cudzoziemiec wyglądał tak, jakby cały czas wykrzywiał twarz.

Jednak ze zniszczonym obliczem mocno kontrastowała sprężystość jego ruchów i widoczna pewność siebie. Wicker skupił się i próbował wejrzeć w głąb umysłu nieznanego, choćby go tylko musnąć. Wielokrotnie w swoim życiu zdołał odczytać myśli innego człowieka, chociaż ze starych zapisków wiedział, że obrona przeciw penetracji telepatycznej jest stosunkowo łatwa. Teraz wystarczyłoby się dowiedzieć, jak ten człowiek postrzega otaczający go świat i samego siebie. Może z powodu spokoju panującego w sadzie i zieleni otaczających go drzew, udało się prawie natychmiast. Pewność siebie cudzoziemca nie była udawana, stanowiła jego nieodrodną część, tak samo jak straszna twarz. Najbardziej zaskoczyło wielkiego mistrza wrażenie zdziwienia i radości wypełniających nieznanego. Coś podobnego kilkakrotnie znalazł w umysłach dzieci, ale u tego mężczyzny gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką było to doprawdy zaskakujące. Jego fascynacja światem była równocześnie podobna i odmienna niż u dzieci: wypełniona doświadczeniem, ale równocześnie nim uszlachetniona. Wicker szybko się wycofał z umysłu najemnika. Musiał się skoncentrować na sprawach praktycznych, a nie na jakiejś wątpliwej analizie psychologicznej. Jak gość jest uzbrojony, na przykład? Dzięki temu mógł stwierdzić, czy to ten właściwy człowiek. Dostrzegął miecz pod rozchylającym się płaszczem, w uprząży na piersi cały rząd noży służących do rzucania; poza tym mniejszy miecz, noszony w ukryciu na prawym boku, który równie dobrze mógł się okazać wielkim nożem lub sztyletem – tutaj Wicker nie miał pewności. Ostatni nóż dał się zauważyć w pochwie wszytej w cholewę lewego buta. Łowca artefaktów był, jak widać, dobrze uzbrojony, sądząc z tego, jak wyglądał i jak zaawansowanego wieku doczekał w swej branży, umiał się tymi morderczymi narzędziami posługiwać.

Wicker nie wstał, tylko wbił wzrok w nadchodzącego. Wiele razy zdołał tym sposobem zdenerwować, rozkojarzyć, pozbawić kogoś pewności siebie. Teraz jednak podobnego efektu nie mógł oczekiwać. Cudzoziemiec w ogóle nie zauważył jego wytrenowanego, hipnotyzującego spojrzenia, skinął głową na powitanie, rozejrzał się po gałęziach drzewa, pod którym się znajdowali, i urwał sobie jabłko. Był wysoki, a przy tym miał jeszcze dodatkowo bardzo długie ręce. Jabłko, które sobie wybrał, rosło na pozór poza zasięgiem jakiegokolwiek człowieka i należało do tych

czerwieńszych. Wgryzł się w nie ze smakiem i usiadł na ławce.

Do leniwych odgłosów przedwieczoru dołączyło głośnie chrupanie soczystych kęsów, gdy jadł z przyjemnością, bez pośpiechu.

Wicker uświadomił sobie, że to jego ogarnęło zdenerwowanie. Niedobrze. Znajdował się na swoim terenie, wystarczyło zawołać, żeby wszyscy się tu zbiegli. Tylko co by to pomogło?

– Nazywam się Samuel Wicker, przypuszczam, że przybył pan tutaj po rozmowie z jednym z moich współpracowników – zaczął rozmowę, równocześnie dostrzegając na ścieżce Janicka niosącego kosz z wiktuałami. Jedzenie i napitek przydadzą się do zamaskowania jego nieoczekiwanej niepewności.

– Koniasz – przedstawił się łowca artefaktów imieniem, które z pewnością nie było prawdziwe, ale pod którym najczęściej występował. – Podobno jest pan zainteresowany przeniknięciem do bazy Maaterenditu?

Przeszedł od razu do rzeczy, a Wicker o mało się nie rozkaszał.

Skąd, u diabła, pozyskał tak dokładne informacje? Niczego takiego swoim informatorom nie mówił.

– Skąd pan to wie? – zapytał ze skrywaną nerwowością.

Ten człowiek był jeszcze bardziej niebezpieczny, niż się wydawał. Mistrz zwrócił uwagę na jego oczy, które były zupełnie inne niż u chłopiska najętego przez Majala.

– Z tej garści informacji, których wasi ludzie byli skłonni mi udzielić, wynikało, że chodzi o miejsce położone gdzieś niedaleko stąd.

– Niedaleko? – nie wytrzymał wielki mistrz.

– Powiedzmy, w odległości kilkuset kilometrów, to znaczy niedaleko – Koniasz wyłożył swój pogląd w tej kwestii. – Co więcej, zakładam, że to będzie gdzieś blisko dawnego centrum cesarstwa. Te tereny w okresie, o którym mówimy, należały do strefy wpływów Maaterenditu. Inna baza tu nie istniała.

– Nie rozmawiamy o bazie – poprawił go Wicker i zaraz zamilkł, bo przybliżył się do nich Janick.

Podczas gdy sługa serwował poczęstunek, gospodarz inaczej spojrzał na Koniasza. Gość był naprawdę dobrze poinformowany. To się rozumiało samo przez się, bo jeśli udało mu się zdobyć zawartość pieczołowicie chronionej tajnej skrytki klanu Augupów, to musiał być dobrze poinformowany. Inaczej by nie przeżył.

– Istotnie, ma pan rację – zgodził się szczupły mężczyzna, podczas gdy Janick stawiał przed nim dzban z cydremi dwie szklanki. – Wszystkie bazy zostały zniszczone przez hiperмага Tekuarda.

Wojny i następującego po niej stulecia plądrowania mogły uniknąć tylko drugorzędne centra, magazyny, tajne schowki i gospodarstwa pojedynczych klanów. Ale i tam można niejedno znaleźć. Ze względu jednak na to, że zadał pan sobie mnóstwo trudu, aby mnie odnaleźć, przypuszczam, że nie chodzi o jakąś posiadłość ziemską, która kiedyś należała do Maaterenditu i zostało tam kilka zajmujących rzeczy, ale o coś więcej.

– Rzeczywiście znalazł pan tajną skrytkę Augupów? – Wicker zmienił temat i popatrzył na gałąź tuż za Koniaszem, aby móc się maksymalnie skoncentrować na intonacji głosu, a równocześnie kątem oka obserwować mimikę gościa i w ten sposób wzmocnić szósty zmysł, pozwalający mu odgadnąć, kiedy ktoś kłamie, a kiedy mówi prawdę.

– Tak, znalazłem, dostałem się do środka, a później wydostałem na zewnątrz – odrzekł Koniasz.

Mówił prawdę, tego Wicker był pewny. Co więcej, przypomniał sobie, że dawno temu, jeszcze przed tym, jak osiedlili się w tej zagubionej, brudnej i smrodliwej wioszczynie, słyszał już imię Koniasz. Nie mógł tylko sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

– A nie ma pan jeszcze jakichś przedmiotów na sprzedaż? – zapytał z ledwie tłumionym pożądaniem, nie oczekując, że odpowiedź będzie pozytywna.

Dobrze znał opowiadane szeptem historie na temat wydarzeń następujących po udanym opróżnieniu tajnej skrytki. Zainteresowani artefaktami zlatywali się jak sępy. Ścierwo było wprawdzie tłustsze, niż oczekiwano, ale to przywabiło tylko następne hieny, a dziś nie było już wśród żywych zbyt wielu ludzi, którzy całą akcję zapoczątkowali.

– Niestety, nic ciekawego. Tylko książkę kucharską.

– Chętnie bym się jej przyjrzał – oznajmił Wicker.

– Nie widzę przeszkód, mam ją w sakwie przy siodle. – Czarodziej otrzymał nieoczekiwanie przychylną odpowiedź. – To do jakiego konkretnie obiektu chciałby pan przeniknąć? – Koniasz powrócił do głównego celu swej wizyty.

– Według znanych mi dokumentów nie da się tego jednoznacznie wskazać, niektóre informacje są sprzeczne. Niestety, nie będzie to na pewno zbrojownia ani zwyczajne gospodarstwo klanowe ze zwykle spotykanym schowkiem dla wtajemniczonych. Przypuszczam, że możemy mówić o tajnej bazie awaryjnej na wypadek klęski, gdzie po zniszczeniu bazy zasadniczej mogli zgromadzić się wojownicy klanu i przygotowywać się do przeciwuderzenia.

Koniasz z uznaniem pokiwał głową.

– Tam chyba można by było odkryć dużo interesujących rzeczy – skonstatował i napełnił obie czary cydrem.

Potem spojrzął na swego gospodarza pytająco, a przy tym jakby znacząco. Gdy Wicker uprzejmie podniósł kielich do ust jako pierwszy, uświadomił sobie, że powierzchnia płynu sięga brzegu naczynia i trzeba się skoncentrować na tym, żeby nie rozlać, lecz mimo to nie udało mu się

tego uniknąć. Jego gość, siedzący za stołem naprzeciw niego, nie miał z tym problemu, nie uronił ani kropli.

*

Wioska, chociaż na pierwszy rzut oka malownicza i położona w ładnej okolicy, wydawała mi się jak ze złego snu. Ludzie snuli się po polach, jakby rywalizowali ze sobą, kto najwolniej wykona swoją pracę, i nikt z nich nie przypuszczał, że istnieją takie słowa jak żniwa, zima czy głód. Połowa domostw sprawiała wrażenie zaniedbanych, bardziej ruder niż rzeczywistych budowli, jej mieszkańcy należeli do najbrudniejszych i najuboższych stworzeń, jakie w ostatnich latach spotkałem. Prawie jakby nie byli normalni – półidioci, mający problem z pojmowaniem otaczającego ich świata. Tak się czasem działo w małych, odizolowanych osadach, gdzie ludzie od wielu pokoleń krzyżowali się między sobą. Lub tam, gdzie cierpieli na niedobór jodu. Tu jednak u nikogo nie widziałem powiększonego wola, a do najbliższej wioski było stąd półtora dnia drogi. Może w przeszłości dotknęła ich jakaś epidemia, która zrobiła z mieszkańców półkaleki. Na szczęście zostało tu kilku ludzi, którzy wyglądali stosunkowo normalnie i organizowali życie pozostałym.

Okolica była jednak piękna. Urodzajna kraina, gdzie dzikie lasy mieszały się ze starymi, od pokoleń zaniedbanymi sadami, zaś dolinkami między niewysokimi wzgórkami spływały bogate w wodę rzeczki pełne ryb. Urodziwa ziemia, do której pomału wracała dzika przyroda, ale nadal dał się zauważyć wpływ pracy rolników z czasów, gdy żyło tu więcej ludzi.

W trakcie rozmowy z Wickerem nie omawialiśmy wszystkich szczegółów, postanowiliśmy kontynuować rano. Starzec wiedział oczywiście o wiele więcej, niż zdradził. Nie byłem tym zaskoczony i miałem nadzieję, że w czasie mojego pobytu dowiem się więcej. Bywa tak, że długo dochodzę do tego, kim zleceniodawca jest naprawdę, czasem poświęcam temu więcej czasu i wysiłków niż samemu zamówieniu. Janick zaprowadził mnie do drewnianego pomieszczenia, wymagającego sporego remontu, a już na pewno wymiany uszczelnień między belami drewna, z których zbudowano ściany. Obiecał, że za chwilę przyniesie mi kolację i coś do picia. Aby mnie zniechęcić do wieczornych przechadzek, starał się postraszyć bajeczką o wściekłych psach biegających nocą w pobliżu. Widać było, że sam nie wierzy w swoją opowieść, ale jako lojalny sługa musi powiedzieć dokładnie to, co nakazał mu pan. Otworzyłem okna i drzwi, aby wywiać z pokoju odór stęchlizny i na chwilę usadowiłem się na ławie.

Dlaczego Wicker wybrał właśnie to miejsce na spotkanie? Stronił od ludzi, a ze względu na swój wiek i formę fizyczną podróżowanie sprawiało mu chyba trudność. Musiał mieszkać gdzieś w okolicy albo po prostu tutaj. Przed czym się ukrywał? Przed Konwentem ścigającym za używanie magii, mającym prawo własności do magicznych artefaktów? Raczej nie, moc tej inkwizycyjnej organizacji słabła z każdym rokiem, może nawet miesiącem. Kim był, że interesował się magią? Sądząc z tego, jak mnie wypytywał i co wyjawiał, wynikało, że wie więcej niż przeciętni zleceniodawcy. Zwykle byli to zamożni arystokraci, którzy szukali bądź to jakiejś zabawki, bądź też częściej broni dającej im przewagę w przypadku konfliktu z rywalami. A prócz tego oczywiście cesarz, którego zainteresowanie magią było globalne i zmotywowane spojrzeniem w daleką

przyszłość.

Zaskrzybiało za progiem, ktoś wszedł. Nie wstałem, ze swego miejsca miałem dobry widok na korytarz. Pojawił się Janick. W odróżnieniu od innych mieszkańców, wydawał mi się niezwykle młody oraz co więcej – jak by to rzec – ambitny i ciekawy.

– Niosę jadło i napitek – oznajmił nerwowo, zwracając przy tym wzrok ku książce leżącej na stole. Była to książka kucharska, o której wspomniałem jego szefowi.

– Postaw na stole – poleciłem.

Gdy wykładał wiktuały z koszyka, dostrzegłem, że stara się przeczytać tytuł książki. Stanowiło to trudne zadanie, bo tekst leżał do góry nogami z jego punktu widzenia, a w dodatku został napisany w języku starosaxpoliskim. Niewielu ludzi znało dziś ten język.

– „Przezorna dieta” – przesyłabizował na głos. – Co to znaczy? – zwrócił się do mnie.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Sens niektórych słów z czasem zatarł się lub w ogóle zmienił. Co więcej, każdy czarodziejski klan używał własnego slangu, który jest trudny do zrozumienia.

W rzeczywistości przestudiowałem już książkę i z grubsza pojmowałem, o co jej autorowi lub autorom szło. Była o wiele użyteczniejsza, niż obiecywał tytuł.

– Jeśli cię to interesuje, możesz ją sobie wypożyczyć do rana. Ale potem będzie mi potrzebna, być może sprzedam ją twemu szefowi – powiedziałem, chociaż powątpiewałem w to.

Mimo że zdecydowałem się zaoferować tutaj swe usługi i nie wzbudzać żadnych podejrzeń, choćby wynagrodzenie okazało się marne, miałem dziwną pewność, że Wicker lub ci, których reprezentuje, zostaną z pustymi kieszeniami i niczym więcej.

– O! Dziękuję. Bardzo – zająknął się w pół słowa. – Wielki mistrz wspominał o tym, że ma zamiar negocjować w sprawie zakupu jakiegoś cennego starodruku.

Uświadomił sobie, że się wygadał, i szybko się zmył. Czyli Wicker uważał się za wielkiego mistrza, to ciekawe. Wyślizgnąłem się z legowiska i jak najciszej się dało, podkradłem do okna.

W koszu Janicka jeszcze sporo zostało, a ja chciałem dowiedzieć się, gdzie zanieśie resztę. Szedł po jedynej istniejącej ulicy, prowadzącej poza wioskę. Z tego kierunku nadjechałbym do osiedla, gdybym się celowo nie rozejrzał i nie objechał go okolicznymi pastwiskami. Nie przypuszczałem, że chłopak roznosi jedzenie wieśniakom. Tam najwidoczniej przebywał inny gość klanu. Uważałem, że to gość klanu, co wynikało z faktu, że Wicker był wielkim mistrzem, który ukrywał się wraz ze swymi ludźmi w miejscu nienarażonym na jakiś napad, ale równocześnie niezbyt oddalonym od centrum państwa. Zrozumiałem, kto jest zainteresowany moimi usługami – klan Rumelkowy. To oznaczało, że z całą pewnością stanę na drodze cesarskim śledczym i armii, a także tajnym agentom Varatchiego. Opłacało się?

Na zewnątrz nie działało się już nic ciekawego. Janicka straciłem z oczu. Pomieszczenie, w którym mnie zakwaterowano, miało trzy okna, najmniejsze w ścianie przeciwnej niż ulica. Po krótkim mocowaniu się z zasuwkami i zawilgłymi okiennicami udało mi się je otworzyć, wygramolić się na zewnątrz i znaleźć obok kupy drewna narąbanych na zimę. Wybierając drogę między drzewami, kępami gęstych zarośli i zaniedbanymi przybudówkami gospodarczymi, mogłem w gęstniejącym mroku posuwać się szybko i niepostrzeżenie. Janicka ujrzałem w chwili, gdy wychodził z małego domku stojącego nieco dalej od wszystkich innych. Machał pustym koszykiem, pod pachą ścisnął pożyczoną książkę. Spieszył się i nie patrzył ani w lewo, ani w prawo. Postąłem jeszcze chwilę w ukryciu, w cieniu dwóch rozłożystych śliw, ale ściemniło się zupełnie, a w domu, który obserwowałem, nie dostrzegłem światła. Kolejnego prócz mnie gościa klanu Rumelkowego już dziś nie mogłem wypatrzeć.

Wróciłem, wyniosłem siennik do ogródka, położyłem na nim koc i pościeliłem sobie pod gołym niebem. Nie chciałem spać tam, gdzie spodziewali się mnie zastać. Ot, zwykła ostrożność. Przez chwilę rozważałem, czy mogę sobie pozwolić na zjedzenie przyniesionej mi kolacji i wypicie dołączonej do niej butelki. Ponieważ jutro rano mieliśmy pertraktować, a Janick nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, którą flaszkę i który kawałek owiniętego w płótno mięsa podawał mi z koszyka, uznałem, że jednak mogę.

Wielki Wojewoda Varatchi

Wina, herbaty, kawy czy wody, Ekscelencjo? – zaoferował Hani Ferusi.

Rick Varatchi popatrzył na swego gospodarza. Przez te dwa lata, kiedy się nie widzieli, Ferusi postarzał się i przytył. Nadal chodził ostrzyżony na jeża, ale włosy, jakie mu jeszcze pozostały, miały kolor wystygłego popiołu, spiczastą niegdyś brodę obramowywał rosnący podbródek, luźna bluza przepasana jedwabną szarfą nie zdołała zakryć rosnącego brzucha.

– Wino, jeśli macie jakieś dobre – wybrał Varatchi.

– Myślę, że będzie pan zadowolony – uśmiechnął się Ferusi.

Śmiały mu się nie tylko usta, ale i oczy, i w tej chwili był uosobieniem wszelkiego dobra, jakie tylko może się w ludziach skrywać.

Varatchi był niegdyś świadkiem, jak Ferusi z takim właśnie przyjacielskim uśmiechem jednym ruchem zabił dwóch ludzi, z którymi akurat rozmawiał. Poderżnął im gardła jak kurczakom.

– Lubię dobre jedzenie i jeszcze lepsze trunki, myślę, że widać to po mnie – mówił Ferusi, przebierając w kryształowych karafkach i glinianych, zapieczętowanych dzbankach, stojących na barowym stoliku na kółkach po lewej ręce.

Już w chwili gdy Varatchi przybył, gospodarz czekał na niego i wszystko było przygotowane na jego wizytę. Straże go nie zatrzymywały, a specjalnie przysłany przewodnik zaprowadził tu najkrótszą drogą.

Ferusi może postarzał się i przytył, ale ludzi miał zorganizowanych więcej niż dobrze. W dodatku wcale nie starał się skrywać swoich słabostek, a to był kolejny plus.

Varatchi, rozparty wygodnie w fotelu, przyglądał się, jak przywódca klanu ninja Godetu otwiera gliniany dzban, nalewa z niego do dwóch kielichów, stawia je na tacce i podaje mu oba do wyboru.

Później Ferusi wziął ten, który został, powąchał trunek i bez zwłoki napił się pierwszy. Potem zamknął oczy, przez chwilę pozostał z nosem ukrytym w czaszy i bez pośpiechu pociągnął długi, smakowity łyk. Swoich wrażeń nie skomentował, usiadł w drugim fotelu.

Varatchi napił się dopiero teraz. Nic po sobie nie pokazał, ale w duchu nie obronił się przed zaskoczeniem. To wino było jak aksamit; aksamit, który zostaje na języku, po czym zmienia się w jedwab, a w końcu we wspomnienie ostatniego, ciepłego dnia babiego lata.

– Jak to się stało, że pańscy ludzie tak bez niczego wpuścili mnie do zamku, nie żądając pozwolenia od zwierzchności? – Varatchi spytał o pierwszą rzecz, jaka go zdziwiła.

– Znają pańską twarz. Wszyscy. Nasz klan przecież panu służy – odpowiedział zwięźle Ferusi.

Cesarski kuzyn przytaknął. Odpowiedź go zadowoliła.

Ferusi znów się napił i niespiesznie smakował wino. Nie pochodziło z żadnej ze znanych winnic, było to jego prywatne odkrycie i sam się tej jakości trochę przysłużył – zarządził, aby winiarz dostawał najlepsze beczki i najczystsza siarkę do konserwacji.

– Co mogę dla pana zrobić, Wasza Ekscelencjo? Przypuszczam, że nie przedsięwziął pan podróży samotnie i w nocy tak sobie, po nic – Ferusi przeszedł do ważniejszych spraw.

Taki wstęp do rozmowy nie był dziełem przypadku, lecz został zaplanowany. Przywódca klanu chciał, aby drugi z najmocniejszych ludzi w cesarstwie uświadomił sobie, że jego podwładny, Ferusi, miałby sporo do stracenia, o ile Varatchi nie byłby z usług klanu zadowolony. Obaj trwali jakiś czas w milczeniu, obaj zdawali sobie sprawę, że ten drugi wie, o co chodzi.

W końcu Varatchi sięgnął pod płaszcz i położył na stole plik papierów.

– Chodzi mi o człowieka występującego pod nazwiskiem Koniasz. Wszystko, co o nim wiem, jest w tych papierach – powiedział wyjaśniająco.

– A co trzeba zrobić? – zapytał Ferusi, nawet nie przysuwając pliku do siebie. – Dowiedzieć się o nim więcej? Odszukać, pojmać, przesłuchać? Wziąć w niewolę i odstawić do pana?

– Zabić – odpowiedział szorstko Varatchi.

Starzejący się ninja, przywódca klanu, przytaknął.

– W tej chwili wiem zbyt mało, żeby stawiać właściwe pytania. Pozwoli pan odwiedzić się później?

Varatchi tylko kiwnął głową.

Ferusi pomyślał przez chwilę. W ciągu rocznej służby nauczył się dobrze rozumieć sposób myślenia swego pracodawcy i pana. Członkowie klanu Godetu przez kilka minionych lat byli w niełasce, jako że nie spełnili oczekiwań. Inny klan, Haeren, na odwrót, cieszył się przychylnością Varatchiego. Czas, gdy spływała ona na Ferusiego, skończył się w momencie, gdy naprawdę dojrzał. Oczywiście nie w sensie fizycznym, lecz psychicznym. Zrozumiał podstawowe zasady postępowania możliwych tego świata i stwierdził, że musi się nimi kierować, o ile chce wywalczyć swoje miejsce na ziemi.

Dziś podziwiał politykę Varatchiego i sam, w zakresie możliwości klanu, naśladował ją, aby młodszych członków utrzymywać w należytej gotowości bojowej i wykorzystywać aż do granic możliwości.

Czuł się z siebie zadowolony. Dzieło dwóch minionych lat, kiedy to jego ludzie odnieśli wiele małych i wielkich sukcesów, zostało docenione, karta się odwróciła.

– Czy Haeren już nad tym może pracował? – Ferusi zapytał wprost o konkurencyjny klan

zatrudniani przez jego gościa.

Varatchi tylko przytaknął. Kręcił kielichem i cieszył się bukietem wina.

– Jeśli pracowali nad nim i nie dali rady, to znaczy, że ten człowiek jest wyjątkowo dobry – zaczął wolno Ferusi. – Nie lekceważę możliwości klanu Haeren, jestem od tego jak najdalszy. Jednak o ile ma się nam poszczęścić, to oni nie mogą rzucać kłód pod nogi. To by Koniaszowi – zaakcentował jego nazwisko – bardzo pomogło.

– Nie będą – odparł Varatchi i napił się. – Zwróciłem na to wyraźną uwagę. Ponadto wszystkich nas czeka – w przyszłości zbyt dużo pracy i nie będzie czasu na gierki.

Ferusi zrozumiał, co ta na pozór niewinna uwaga oznaczała. Nadchodził czas wielkich zmian. Wskazał na kamienny dzban, a jego pan kiwnął głową. Dolał jemu i sobie.

– A śledzi go jeszcze ktoś? – zadał następne pytanie.

– Druga szklanica smakuje jeszcze lepiej niż pierwsza, można powiedzieć – Varatchi pozwolił sobie pochwalić wino. – Cesarz też chce tego człowieka, szukają go agenci tajnych służb. No i oczywiście zaraz po nim idzie Konwent, też zabijający tych, którzy kiedyś wystrychnęli go na dudka.

– A ten człowiek nadal żyje – powiedział zamyślony Ferusi.

– Tymczasem – uzupełnił Varatchi. – Dałem panu użyteczne informacje. A oprócz tego jesteście najlepsi. Czy może nie?

– Oczywiście, Wasza Ekscelencjo. – Ferusi podniósł kielich w toaście.

Varatchi obserwował, jak przywódca ninja niemal ceremonialnie napił się wina. Nie zdołał odgadnąć, czy to gest ironiczny, czy poważny, lub też widowisko odgrywane przed jednoosobową publicznością. Pogodził się już jednak z tym, że najsprawniejsi pracownicy są najbardziej skomplikowanymi osobowościami. Niekiedy także najniebezpieczniejszymi. Ale właśnie na tym polegały jego umiejętności. Wykorzystać ich do ostatka, pozwolić im się osłabić i poranić, a w stosownym momencie zniszczyć bez litości.

– Dopóki nie jest pan zbyt zmęczony, Wasza Ekscelencjo, proszę zwrócić uwagę na jeszcze jeden problem – Ferusi powrócił do spraw praktycznych.

Cesarstwo Wewnętrzne

Dokumenty – zażądał żołnierz stojący przy barierze.

Uświadomiłem sobie, że wkraczam na teren Cesarstwa Wewnętrznego, na obszar, jaki tworzą posiadłości Saxmundsena i Varatchiego.

Obaj szlachetni panowie, tak jak ich przodkowie, rządzą tymi ziemiami już w czasach, gdy cesarstwo było zaledwie snem zrodzonym w umysłach ludzi żądnych zaszczytów.

Sięgnąłem pod płaszcz i chwilę grzebałem w wewnętrznej kieszeni bluzy. Żołnierz, dziesiętnik, sądząc po dwóch szarych paskach naszytych na kabacie o prostym kroju, obserwował mnie ze znudzeniem. Jego towarzysze nie mieli dystynkcji i byli ubrani tak samo. Proste uniformy, właściwe dla strażników raczej niż żołnierzy. Cesarstwo jak widać rosło w siłę, jeśli w uniformy ubierano nawet najzwyczajniejsze strażę. Podałem dziesiętnikowi dokumenty. Pracowałem dla barona Schwina, listy uwierzytelniające i rekomendacje przedstawiały mnie dość nieprecyzyjnie, jako przybysza udającego się po zakupy. Odpowiadała mi taka funkcja, toteż papiery wystawiłem sobie sam.

– Co kupujesz? – zapytał gefreiter.

Jego koledzy rozłożyli się leniwie u dymiącego ogniska, pod prymitywnym daszkiem ze związanych ze sobą gałęzi dwóch rosnących obok siebie świerków. Popatrzyłem na żołnierza, ciekaw, czy pyta poważnie. Miałem rekomendacje od arystokraty, mój wygląd i strój stawiały mnie wysoko ponad nim, a on stwarzał niepotrzebne problemy, chociaż nie miał ku temu najmniejszego powodu. Szkoda, że musiałem zostawić konia w tej sennej dziurze, Czervence. Naciągnął ścięgno i potrzebował odpoczynku. Wierzchowiec zapewniłby mi jeszcze większą przewagę nad zwykłym wojakiem.

– Nic ci do tego – odpowiedziałem sucho.

Będą kłopoty, co do tego miałem pewność. Albo gorliwiec, albo dureń, możliwe, że jedno i drugie. Nie można było się do mnie przyczepić, nie miałem żadnych towarów, nie potrzebowałem uiszczać opłat.

Odstąpił krok i położył rękę na głowicy miecza, choć sądząc po rękojeści, był to raczej pałasz z jednostronnym ostrzem. Takie zabawki były mniej wymagające przy wyrobieniu i wykończeniu niż szable czy miecze, w większości przypadków były kiepsko wyważone, a przede wszystkim bardzo tanie. Chociaż raz spotkałem wyjątek potwierdzający regułę. I o mało co, a byłbym zapłacił za to rozciętym brzuchem.

– Jestem cesarskim żołnierzem i strzegę granicy państwa! Żaden przybłęda nie będzie mi mówić, co mam robić! – wykrzyknął.

Jego towarzysze, widząc, co się dzieje, pomału i niechętnie wstawali, jeden oparł się na pice

stojącej przy pniu drzewa, drugi wysunął się nieco do przodu.

– Pracuję dla barona Schwina, dokumenty masz w ręku – starałem się mówić pojednawczym tonem. – Nie chcę żadnych problemów.

– Zaraz zobaczysz, co to znaczy mieć problemy – dziesiętnik chwycił wiatr w żagle.

Popełniłem błąd, powinienem był nadać się, wdeptać go w ziemię, wtedy natychmiast byłby spokój.

– Patriku, znasz go? Byłeś przecież u Schwina, pochodzisz stamtąd.

Głupiec, głupiec, głupiec. Opłacało się to? Z pozornym zainteresowaniem popatrzyłem na zagadniętego. Dwadzieścia jeden lat, na pewno nie więcej, zaokrąglona broda, przedwcześnie przerzedzone włosy. Wyglądał na kogoś, któremu nawet prosta służba strażnicza zdaje się ciężką pracą.

– Odeszli my, jakem był jeszcze mały – zamruczał. – To dziesiątek lat.

– Niestety, nie pamiętam cię – powiedziałem z udawanym żalem.

– Ten chłop łże i ma fałszywe papiery! – wybuchnął dziesiętnik.

Trzasnąłem go. Był to zwyczajny policzek, ale trafił znakomicie, żołdak zatoczył się i upadł w piach drogi.

– Jeszcze raz mi powiesz, że łżę, a stłukę cię jak psa – warknąłem z wściekłością.

Była to ostatnia szansa na wyjście z zajścia bez wielkich problemów.

Patrik się skulił, widocznie uznał to za właściwą odpowiedź. Natomiast jego przełożonego mój cios rozpałił do białości.

– Na co czekacie?! Napadł na mnie, aresztujcie go! – Zerwał się na nogi i wyciągnął broń.

Był to w istocie tylko pałasz.

Pika zwróciła się w moją stronę. Zamiast spróbować walnąć mnie nasadą, żołnierz aż groteskowo pomału obracał nieporęczną broń. Krok, zbliżenie, z wewnętrznej strony uderzyłem kostką w jego łydkę, zakleszczyłem mu prawą rękę pod pachą i pchnąłem przed siebie prosto na jego komendanta. Krzyk, rozwścieczony dziesiętnik nie zdążył wstrzymać broni i brzydko ciął pikiniera w bok. Gnał już na mnie Patrik. Pałasz, który musiał mieć położony gdzieś w zasięgu ręki, trzymał wysoko uniesiony. Mój miecz syknął, ostrze zatrzymało go w ruchu, a pierś przekreśliła paskudna, krwawa krecha ciągnąca się od boku do ramienia. Dopiero to ochłodziło dziesiętnika. Wybałuszonymi oczami patrzył, jak jego kolega pada na ziemię i umiera między świerkowymi szyszkami.

– Ja... nie zabijaj mnie – zabełkotał.

– Jesteś rzeczywiście sprytny i spostrzegawczy. – Odwróciłem się do niego. – Naprawdę nie jestem tu po zakupy dla lorda Schwina. Jak się na tym poznałeś?

Drugi żołnierz wstał tymczasem i odszedł chwiejnym krokiem, spodnie miał zalane krwią i zostawiał za sobą ciemne plamy. Musiał mieć przeciętą jakąś dużą żyłę.

– Nie poznałem się, naprawdę! – zaklinał się dziesiętnik. – Nikomu o tym nie powiem! Proszę, nie zabijaj mnie.

Byłem wściekły, z trudnością panowałem nad sobą.

– Wierzę, że nikomu nie powiesz – przytaknąłem i odwróciłem się, aby odejść.

Pikinier padł na ziemię, sine usta, twarz biała jak śnieg, krew rozlewała się po igliwiu na wszystkie strony.

– Ach – westchnął dziesiętnik z ulgą.

W tym momencie odwróciłem się na szpicu buta i na pięcie i ciałem, patrząc w jego odprężoną, spokojną twarz. Wyraz ulgi pozostał na niej, nawet gdy głowa spadła na drogę i potoczyła się na bok w trawę.

Głupiec, głupiec, głupiec. Czułem pulsowanie żył w skroniach i gotującą się wściekłość. Właśnie przez nią zabiłem trzech ludzi. Głupiec. Stłumiłem chęć kopnięcia trupa i zamiast tego zabrałem się za uprzątnięcie zwłok z drogi.

Tego dnia nie dotarłem już nigdzie dalej, bo miałem mnóstwo pracy ze starannym zakopaniem ciała. Zatarłem też ślady ich obozowiska, dokładnie oczyściłem miecz, sprawdziłem odzienie i dopiero potem urządziłem sobie biwak w lesie, z dala od drogi.

To nie była dobra noc. Leżałem pod drzewem na suchym, rudawym igliwiu, oglądałem gwiazdy i nie mogłem usnąć. Takie niepotrzebne śmierci. Byli to młodzi, niedoświadczeni tępacy, którzy niewiele przeżyli i niewiele się nauczyli. Szczęśliwym trafem dostali się do wygodnej i bezpiecznej służby. Kim ja jestem, skąd idę i dokąd? Po co? Czy nie byłoby lepiej, gdyby mnie wcale nie było? Nie przypominałem sobie, kiedy przedtem odczuwałem żal, że kogoś zabiłem. Może śmierci koło mnie zrobiło się trochę za dużo? Zasnąłem dopiero późno w nocy i przesładowały mnie wspomnienia o sprawach, o których, jak sądziłem, dawno już zapomniałem.

Obudziłem się wcześniej i natychmiast ruszyłem w dalszą drogę. Prawie cały dzień zabrała mi trudna przeprawa przez las, którą musiałem odbyć, aby tym razem wkroczyć do Cesarstwa Wewnętrznego od innej strony niż ta, po której wkrótce zaczną się poszukiwania zaginionej straży. Dopiero pod wieczór dotarłem do wsi.

O ile się zorientowałem, należała do cesarza. Nikt mnie nie zatrzymywał, bez przeszkód doszedłem aż do gospody. Starczył rzut oka i wiedziałem, że wszyscy obecni wewnątrz to miejscowi

i nikt obcy się tu nie włóczy. To mi odpowiadało.

Usiadłem, zamówiłem jedzenie. Zwrócili na mnie uwagę, ale zostawiali w spokoju. Może nie podobał im się mój wygląd, może byli uprzejmi, a może cudzoziemcy nie stanowili tu żadnej specjalnej atrakcji.

– Przyszedłeś z daleka? – Niewysoki mężczyzna z okrągłym brzuchem podszedł do mojego stołu, kiedy gospodarz odniósł pustą miskę i przyniósł dzban z miejscowym winem.

Do tej pory grał w karty z trzema innymi chłopami. Przyglądał mi się z namysłem i czekał.

– Z daleka – zgodziłem się.

Wino okazało się trochę za cierpkie, zbyt suto przyprawione kolendrą, ale po całodziennym marszu dobrze mi służyło.

– A masz na zapłacenie podatku?

Zrozumiałem, że nie zaczął tej rozmowy dla własnej przyjemności, lecz jest to jakiś miejscowy urzędnik. Albo stara się wyciągnąć ode mnie trochę złota do własnej kieszeni.

– Mam. Od czego ten podatek, ile wynosi i komu mam go zapłacić? – zapytałem zwięźle.

– To podatek od wstępu. Płaci się staroście, a starostą jestem właśnie ja – oznajmił bez śladu dumy. – A za to dostaniesz pieczęć do dokumentu. Masz przecież jakieś dokumenty, rekomendację, list do cechu albo... – zawahał się – albo coś podobnego.

– Mam – potwierdziłem. – A ile?

– Pięć miedziaków, bo nie wiesziesz towaru.

Bez dalszych pytań położyłem na stole srebrnika i pokazałem mu papiery. Wspomnianą pieczęć nosił na szyi pod kaftanem, w kieszeni zaś kasetkę z gąbką namoczoną w atramencie.

– Mam to zawsze przy sobie – wyjaśnił, zaglądając do dokumentów i wybierając miejsce na pieczęć. – Jeśli cudzoziemca nie przejmę ja, to zrobią tak w następnej wsi. A to by była szkoda.

Na koniec wybrał wreszcie i z namaszczeniem, prawie dostojnie, spełnił swój obowiązek. Inni obserwowali go podczas tych czynności.

– Każdy pieniądz przydaje się we wsi.

Wysłuchałem wtedy długiej listy opłat podatkowych, jakie czekały na przybyśza do Cesarstwa Wewnętrznego. Właściwie nie był to zły pomysł, żeby ludziom żyjącym blisko granicy zostawić trochę dodatkowych drobnych. Byli z tego powodu czujni i oczywiście zwracali uwagę na nieznanomych gości.

Napiłem się znowu, gorzkawy napitek wzmógł zmęczenie, pomału ogarniające całe ciało. Czemu nie? Dziś czekało na mnie wygodne łóżko

– A jak będzie z tymi pięcioma miedziakami, które dałem naddatku? – zapytałem, widząc, że starosta schował srebrnik do kieszeni.

– Chcesz, żeby ci oddać drobne? – zapytał zachmurzony.

Jego twarz przypominała jabłko przepołowione płytką fałdą i nie wyglądała wcale groźniej niż przed chwilą.

– Nie, raczej jeszcze dwa dzbanki tego oto wina – powiedziałem. – Jeden dla ciebie i jeden dla mnie.

Przy cenie dwóch miedziaków za dzbanek, wciąż mu jeden zostawał, a ponadto mógł się za darmo napić.

Chwilę trwało, zanim sam to sobie obliczył, po czym radośnie przytaknął.

– Nie będę cię odrywał od obowiązków, z pewnością musisz mnóstwo spraw omówić ze swymi ludźmi – wskazałem stół, przy którym poprzednio siedział.

Przyjął to prawie z entuzjazmem, perspektywa dalszego przebywania w moim towarzystwie bardzo mu nie odpowiadała.

– Masz miecz. Chyba ci go dał twój pan i pewnie masz prawo go nosić, ale... – zawahał się, jakby nie był pewny, czy może mi doradzać – ale w mieście nie lubią, gdy zwykły człowiek chodzi uzbrojony. Mogą ci przysporzyć sporo kłopotów. Nie wyglądasz na kogoś, kto ich szuka – powiedział, zanim odszedł do swojego stołu.

Co do tego jak wyglądam, to był dość zaskakujący osąd.

– To dokładnie ja. Nie szukam żadnych kłopotów – zgodziłem się.

Przez chwilę rozmyślałem nad jego słowami. Już od dawna cesarz i Varatchi starali się uspokoić szlachtę niezadowoloną z rosnącego bogactwa mieszczan i kupców w ten sposób, że na przedsiębiorców wywodzących się z plebsu nakładali najróżniejsze uciążliwe i niewygodne ustawy. Tu mieliśmy do czynienia z jedną z tych mniej istotnych szykan, jednak podczas mojego poprzedniego pobytu żaden przepis dotyczący zakazu chodzenia z bronią nie obowiązywał. Teraz sytuacja wyraźnie się zmieniła. Mogłem sam sobie wystawić inny dokument, który by mnie upoważniał do załatwiania interesów mego barona z mieczem w ręce, ale chciałem uniknąć wszelkiego zainteresowania moją osobą. Obchodzić się bez miecza? To nie stanowiło problemu. Wróciłem myślami do zadania, które mi zlecił klan Rumelkowy: przeniknąć do zapomnianej twierdzy, tajnego składu i rezerwowej bazy Maaterenditu i wynieść z niej wszystko, co będzie możliwe. A to znaczyło, że sami nie mają pojęcia, co tam mogą znaleźć. Zgodnie z tym, co mi wielki mistrz niechętnie wyjawiał, baza znajdowała się niedaleko granicy Cesarstwa Wewnętrznego, w mieście Krachtiburg, które już od początków dynastii Saxmundsenów było w dużej mierze suwerenne.

– Hej, siedzisz przy moim stole! – wytrąciło mnie z zamyślenia nieprzyjemnie wyglądające chłopisko, koleś prawie tak wysoki jak ja, ale o trzydzieści, czterdzieści kilo cięższy. I o piętnaście lat młodszy.

Łopатовate ręce uzupełniał zwalisty korpus, sklepią klatka piersiowa tylko trochę ustępowała jeszcze mocniej sklepią brzuchowi.

Zły człowiek tej wioski, domyśliłem się. W tak małej wioszczynie na pewno wystarczająco dobry lub zły, zależało od punktu widzenia.

Obecni w gospodzie umilkli i czekali, co będzie dalej.

Zabijaka trochę stracił na pewności siebie, widocznie zaskoczyło go moje milczenie.

– Hej, siedzisz przy moim stole! – powtórzył.

Według wszelkich oznak nie pożałował już sobie w zaciszu domowym kilku łyków palinki i zatęsknił do towarzystwa – lub tylko do rozwalania stołów.

– Proszę o wybaczenie, panie – odparłem i wstałem. – Nie chcę żadnych kłopotów.

Starosta po moich słowach wyraźnie odetchnął.

Z dzbanem w ręce ruszyłem na piętro, uważając, żeby nie mógł mnie niespodziewanie dosięgnąć. Zanim się zorientował, stałem na pierwszym stopniu, zanim zrozumiał, że się tchórzliwie wycofałem i powinien dać mi nauczkę, zniknąłem mu z pola widzenia.

Pokój nie był ani lepszy, ani gorszy niż setki tych, w których mieszkałem przedtem. Otworzyłem okno i wyjrzałem na zewnątrz. Kawałek za kurnikami i szopami z drewnem rozciągało się pole, za nim las. Przydatna droga ewakuacyjna w razie potrzeby. Jako drugą rzecz zauważyłem studnię – a to oznaczało komfortową możliwość umycia się. Torbę zostawiłem w pokoju i zszedłem na dół, gdzie w kuchni dostałem kawałek mydła.

Wróciłem myślami do swojego zadania. Wicker oczywiście nie wyjawiał mi dotąd, gdzie się znajduje twierdza Maaterenditu, tego nie zrobiłby zleceniodawca nawet o wiele mniej przebiegły niż on. Przedstawił mi tylko dwóch ludzi, którzy mieli się ze mną skontaktować w Krachtiburgu. Pierwszym był przysadzisty, czarnowłosy typ w moim wieku ze szczęką uformowaną chyba na kształt stołka, tak kwadratowa mi się wydawała. Drugim – inteligentny trzydziestolatek z oczami pełnymi ciekawości.

Czy któryś z nich mógł być prawdziwym czarodziejem? W swoich podróżach spotkałem się z wieloma ludźmi, którzy twierdzili, że potrafią manipulować mocą. Nie wierzyłem im, a oni w większości żadnym czynem mnie z tego przeświadczenia nie wyprowadzili. Ćwierćwiecze wybijania i prześladowania czarodziejów poskutkowało zupełnym zmieceniem z powierzchni ziemi ludzi zdolnych do panowania nad mocą, obdarzonych umiejętnościami czynienia czarów. Z czasów, gdy żyli potężni czarodzieje, którzy praktycznie rządili światem, zostały tylko przypowieści, księgi mało

przez kogo rozumiane i kilka mniej lub bardziej niebezpiecznych artefaktów. Kilka do niedawna, dopóki szlachetni panowie nie zaczęli się nimi znów interesować. A powstanie popytu zawsze wywołuje podaż.

Umyłem się, wyprałem jedną z dwóch swoich koszul, w pokoju nałożyłem tę drugą i z przyjemnością położyłem się na łóżku. Planowałem, że wstanę bardzo wcześnie i odejdę, zanim obudzą się pierwsi ludzie. Nie potrzebowałem żadnych pytań.

*

Ferusi chyba po raz dziesiąty odsunął plik, który mu przed tygodniem zostawił Rick Varatchi. Splótł palce w geście skupienia i głęboko westchnął. Nie lekcewał swego zwierzchnika w najmniejszym stopniu. Raczej podziwiał go w sposób, w jaki mężczyzna świadomy swoich kwalifikacji może podziwiać innego. Nie ulegało wątpliwości, że plik dotyczący człowieka o nazwisku Koniasz został opracowany kosztem ogromu pracy, a informacje w nim zawarte musiało gromadzić bardzo wielu ludzi. Mimo to obraz, jaki sobie wytworzył na podstawie faktów, nie podobał mu się. Spojrzał przez okno, słońce zniknęło już prawie za horyzontem, czas, który miał do dyspozycji na przestudiowanie danych o przeciwniku, skończył się. Rick Varatchi przywiązywał wielką wagę do zadania, które zlecił klanowi Godetu, i osobiście chciał wiedzieć, komu Ferusi je powierzy.

Stary ninja uśmiechnął się. Przyszedł czas pokazać panu ich życia, że się jego zaufanie szanuje i ceni. A także czas zdecydować, który z młodych wojowników będzie zdolny stawić czoła tajemniczemu widmu ukrywającemu się pod nazwiskiem Koniasz.

Opuścił swoją ulubioną komnatę z widokiem równocześnie na zachód i na wschód, aby idąc na pamięć ciemnym korytarzem, dotrzeć do sali audiencyjnej. Wielki Wojewoda Varatchi już tam czekał, właściwie zasiadał w najokazalszym fotelu, namiastce tronu. Mimo że to nie był jego zamek, on był tu prawomocnym władcą.

Pochodnie jednocześnie pogasły, kiedy ludzie odpowiedzialni za oświetlenie nasadzili na nie mokre, wełniane worki.

– Jeśli chce pan widzieć, co się dzieje, proszę użyć tego. – Varatchi poczuł, jak Ferusi włożył mu coś w dłoń.

– To miała być próba melodramatu? Nie mógł pan dać mi tego wcześniej? – zamruczał niemilo.

– Ten kamień musi być przez cały dzień ukryty w mroku, inaczej nie działa. To jeden z artefaktów, które mam z pańskiego skarbcza – odpowiedział uprzejmie stary ninja.

Sam postąpił według własnej rady i przyłożył szlifowany diament do lewego oka. Noc zbladła, naraz dokładnie rozeznawał mężczyzn na dole. Jedni stali, nasłuchując, drudzy ostrożnie przesuwali się na zewnątrz, inni postawili na szybkość i odrobinę szaleństwa.

– Co to znaczy do pierwszej krwi?

– Ten, który jako pierwszy otrzyma choćby najmniejsze zranienie, przegrywa i natychmiast o tym zawiadamia. Jeśli ktoś zostaje trafiony dwukrotnie, przegrywa jego przeciwnik.

– Interesujące – powiedział Varatchi i na chwilę skupił się na wydarzeniach. – Ale tak ustanowione prawidła można naruszyć – zaznaczył po chwili.

– Tak. Jeśli w pojedynku ucierpią obaj przeciwnicy, przypłacają to gardłem – lekkim tonem Ferusi wyjaśnił dalsze zasady.

– Ciekawe, jak podczas treningu eliminować straty? – zainteresował się Varatchi. – Gdybym w ten sposób szkolił armię, zostałoby mi pięciu ludzi?

– Tak – potwierdził Ferusi. – Ale to nie są żołnierze, każdy z nich wart jest dwadzieścia razy tyle, co zwykły piechur.

– I tak przecież kilku ludzi może zginąć – powiedział Varatchi. – Ktoś tam używa pętli duszącej – dodał z rozbawieniem.

Obaj mężczyźni w wieży zapomnieli o partii szachów, którą rozgrywali między sobą, i skupili się na toczącej się niżej walce.

– Tak jak powiedziałem, do pierwszej krwi. A co się tyczy śmierci – bez jej obecności żadne wyćwiczenie nie może być doskonałe. Koniaszowi będzie w stanie sprostać tylko doskonały wojownik.

– Możliwe. Lub też dziesięciu niewiele gorszych od niego.

Ferusi zacisnął usta, ale nie protestował.

– On go puścił! – rzekł zdziwiony Varatchi.

Rzeczywiście, mężczyzna, który miał już przeciwnika dosłownie na kolanach, nagle go puścił i zamienił z nim kilka słów.

– To jest Bamegi, jeden z najlepszych, widocznie chce skompletować swoją drużynę. Prawdopodobnie zaoferował pokonanemu ugodę i coś mu za to obiecał.

– Coś takiego należało do reguł treningu?

– Nie, ale nie było też wykluczone. Samodzielne myślenie jest ważne.

– Tak, jednak niekiedy jest przeszkodą.

Ci, którzy zaraz po przemówieniu Ferusiego zdołali wydostać się z chaosu panującego na dziedzińcu, wracali teraz z bronią w rękę. Sytuacja na mrocznym polu bitwy zaczęła się szybko

zmieniać.

Krwawo, podstępnie i bezwzględnie toczone pojedynki tworzyły widowisko, które przykuło całą uwagę Varatchiego.

– Tamten dostał trzech prawie naraz. A jednego naprawdę brzydsko poszkodował. Gołymi rękami przeciw nożom. Teraz jest już uzbrojony. A jego przeciwnik źle na tym wyszedł – objawiał swoje zaangażowanie Varatchi.

Mimo maksymalnego zainteresowania w jego głosie nie było słycać prymitywnej emocji, tylko skoncentrowane zainteresowanie.

– Karet, najniebezpieczniejszy z nas wszystkich w posługiwaniu się ostrzem – oznajmił Ferusi.

– Ze wszystkich?

– Tak, jest lepszy niż ja. Lepszy, niż kiedyś byłem.

Sytuacja zmieniała się szybko i coraz więcej wojowników leżało na ziemi wyłączonych z walki. Zwycięzał teraz Bamegi.

W końcu, czy to zrządzeniem losu, czy w wyniku działania szóstego zmysłu właściwego najlepszym, stanęli przeciw sobie dwaj najdzielniejsi.

– Karet przeciw Bamegiemu – stwierdził Ferusi.

Rick Varatchi po raz pierwszy dał wyraz emocjom.

– Są naprawdę dobrzy, piekielnie dobrzy.

Ferusi też doszedł do stanu, w którym przestał kalkulować i tylko śledził starcie dwóch najlepszych wojowników klanu.

– Dostał go, Karet zwyciężył!

– Tak – stwierdził stary ninja, bo i on dostrzegł błyskawiczny wypad prawej ręki, w której w ostatnim momencie zagadkowym sposobem pojawił się nóż.

Niewyraźna postać, którą Ferusi wskazał jako Bamegiego, odskoczyła z krótkim okrzykiem i dała znak, że przegrała.

Karet podniósł ręce w geście triumfu i wydał głośny okrzyk radości, w tej samej chwili przyskoczył do niego jeden z wojowników wyczekujących dotąd w pewnym oddaleniu i zranił go nożem w ramię.

Odgłosy triumfu przerwała nagła cisza. Karet odwrócił się natychmiast, ale napastnik, w zgodzie z zasadami, nie zamierzał kontynuować walki i niezwłocznie się wycofał. Zwyciężony

podstępem ninja po chwili wahania przyznał się do porażki.

– Zwycięzcą jest Bamegi – stwierdził Varatchi. – Minimalizował straty w ludziach i poświęcił swoją szansę, żeby wygrał jeden z tych, któremu obiecał poparcie. Doskonała ocena sytuacji i psychologicznych cech uczestników. Doskonała kalkulacja.

Głos arystokraty brzmiał tak samo chłodno jak na początku całego widowiska.

– Zgadzam się. Bamegi jest właściwym człowiekiem do tego zadania. Czy może Wasza Ekscelencja ma inne zdanie? – zwrócił się Ferusi do pracodawcy i nalał w porcelanowe pucharki kolejną porcję gorzkawego wina.

– Nie.

*

Nie spieszyłem się, podążałem pomału wygodną drogą. Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać, zresztą jak zwykle, jeśli rozmowa nie dotyczyła jakiejś interesującej kobiety, dlatego też odrzuciłem kilka propozycji podwiezienia na przejeżdżających wozach z towarami i dalej podróżowałem pieszo. Z czarodziejem miałem się spotkać w Krachtiburgu, co było dla mnie korzystne. Wprawdzie Krachtiburg nie był tak okazałym miastem jak cesarskie Saxpolis, ale miał więcej mieszkańców i leżał na uczęszczanym skrzyżowaniu szlaków handlowych. Ponieważ znajdował się na terytorium Cesarstwa Wewnętrznego utworzonego z posiadłości Varatchiego i Saxmundsena, miał status wolnego miasta i ludzie stanu nieszlacheckiego cieszyli się w nim wieloma przywilejami, a ich pozycja była pewniejsza. To oczywiście sprzyjało handlowi w stopniu większym niż gdziekolwiek indziej, chociaż złośliwe języki mawiały, że w Krachtiburgu, w odróżnieniu od reszty świata, pieniądze zarabia się dwa razy szybciej, traci trzy razy szybciej, ale za to starzeje się cztery razy szybciej. Coś z prawdy w tym było i pewnie dlatego wybrali sobie go na siedzibę Ketu Brahm i Avari Schantil. Obaj utrzymywali się z handlu i, choć każdy w innym stopniu, tworzyli węzłowe punkty moich sieci informacyjnych, które sam niejako mimochodem wytworzyłem w ciągu minionych lat. Avari Schantil trudnił się legalnie hurtem. Skazą na jego wizerunku uczciwego handlowca mogła być jedynie wcześniejsza działalność, w którą go w pewnym stopniu sam wciągnąłem – za pośrednictwem swoich kontaktów handlowych wyszukiwał dla mnie i kupował stare księgi, a czasem i artefakty. Brahm natomiast był asem szarej, a raczej czarnej strefy gospodarczej.

Chociaż słońce starało się jak mogło, powietrze było coraz chłodniejsze, blednąca zieleń i pierwsze żółknące liście świadczyły o tym, że babie lato dobiega końca. Czemu nie, przyjdzie jesień, zima – z nią martwota w przyrodzie i nowe jej odrodzenie na wiosnę. Odwieczny cykl życiowy.

Przez ostatnie kilka kilometrów trzymałem się kupieckiej karawany. Wieźli sól i przyprawy. Sądząc po tym, jak nerwowo się naradzali, mieli tych przypraw więcej, niż zamierzali zgłosić celnikom. Gdy miasto ukazało się już ich oczom, zatrzymali się, a ochrona, sześciu nieprzyjemnie wyglądających chłopów na schwał w brązowych płaszczach z wywatowanymi ramionami, odpięła

miecze i schowała je do wozów. Ja miałem swój już dawno ukryty w zrolowanym kocu. Usiadłem na starym pniaku, kawałek od drogi, i czekałem. Jeden z kupców, według mnie szef karawany, pokazywał na coś, co miał pod płaszczem najlepiej uzbrojony ochroniarz, gniewnie do niego przemawiając. Mężczyzna wyciągnął krótki miecz i przez chwilę dyskutował z szefem, ale bezskutecznie. W końcu ze złością odłożył tę drugą broń i niezadowolony poszedł na czoło karawany. Dopiero potem wszyscy ruszyli w dalszą drogę. Wyglądało na to, że nie ma reguły określającej podział na długą i krótką broń, zależy to tylko od widzimisię tego, kto interpretuje prawo. U mnie na widoku był tylko nóż. Wprawdzie duży i ciężki, nadal jednak tylko zwyczajny nóż. Rewizja osobista wykryłaby jednak kilka innych noży, jednoznacznego przeznaczenia, mogących wywołać dociekliwe pytania i niepożądaną uwagę, ale wierzyłem, że do tego nie dojdzie. Zobaczyliby także laskę. Ani długą, ani krótką. Człowiekowi w moim wieku laska jest potrzebna w podróży.

Krachtiburg był już od dawna widoczny, a ja nadal nie mogłem dostrzec wałów. Dopiero koło pierwszych, rozrzuconych między polami domostw, które nie były majątkami ziemskimi, lecz zamieszkiwali je ludzie zatrudnieni w mieście, zobaczyłem wały pomiędzy nową, gęstą zabudową. Od czasu mojej ostatniej tu bytności miasto znów się rozrosło, obwałowany teren już mu nie wystarczał i jak żywy organizm, dla którego własny naskórek staje się zbyt ciasny, rozpełzło się po okolicy. Drogi dojazdowe wijące się między polami i sadami tworzyły tętnice i żyły doprowadzające pokarm, którego potrzebowało do dalszej egzystencji i rozwoju.

Powoli zbliżaliśmy się do bariery. Z jednej strony stała prosta budka dla żołnierzy, z drugiej o klasę okazalsza budowla z zamykanymi oknami, przeznaczona dla poborców podatkowych.

Obejrzałem się i daleko za sobą zobaczyłem zbliżający się wóz. Karawana zatrzymała się, pomału podchodziłem do niej i do posterunku strażniczego doszedłem w chwili, gdy przywódca kupców zaczął swoją batalię z poborcą. Stojący na straży żołnierz przyglądał się temu znudzony, wyraźnie nie był zainteresowany wynikiem pertraktacji.

Skinąłem mu na powitanie i nic nie mówiąc, podałem dokumenty.

– Piechotę? – zapytał.

– Koń się zadrasnął i wdała się ropa. Zostawiłem go w najemnej stajni. Nie mogę pozwolić sobie na ryzyko, że coś mu się stanie – odpowiedziałem.

Kiwnął głową ze zrozumieniem i przez chwilę przyglądał się pieczęci, którą dostałem od starosty.

– Jakies towary do oclenia? – zapytał raczej z obowiązku.

Na własnym grzbiecie człowiek wielu cennych rzeczy nie uniesie.

– Nie – odparłem.

– No to nie musisz czekać na tamtych – wskazał na urzędnika.

Kupiec i celnik mieli zadowolone miny, wnioskowałem z tego, że doszło do uprzejmej oferty,

która została równie uprzejmie przyjęta.

– Dziękuję – powiedziałem i pewnym krokiem, właściwym dla powolnego wprowadzenia, ale regularnego przemierzania kilometrów, poszedłem do miasta.

Od czasu gdy byłem tu ostatni raz, miasto nie tylko rozrosło się, ale i zmieniło na lepsze. Domom przybyły piętra, niektóre z tych wystawniejszych zmieniły się w pałace, zwykłe przybrały kształt wytwornych willi. Krachtiburg wyraźnie prosperował. Zastanowiłem się, czy to znaczy, że prosperuje także całe imperium. Prawdopodobnie tak.

Zatrzymałem się w dwóch gospodach, w każdej zapłaciłem zadatek na tydzień i udałem się do śródmieścia, gdzie mieszkali najbogatsi. Po drodze skorzystałem z łaźni, kazałem sobie wyczyścić ubranie, kupiłem nową koszulę i bieliznę. Zakupy wykorzystałem jako okazję do odwiedzenia trzech tajnych skrytek rozmieszczonych w mieście. Już wcześniej wysłałem wiadomość, że przybywam, i przypuszczałem, że będą na mnie czekać jakieś wskazówki.

Wieczorem, już nie tak zaniedbany jak w południe, przechodziłem ulicą przed rezydencją Avari Schantila. Nie kierowałem się ku głównemu wejściu, nie chciałem, aby nasze spotkanie bardziej rzucało się w oczy, niż było to konieczne. Zastukałem do drzwi dla służby, podałem hasło, które otwierało wstęp licznym agentom handlowym. Nie znałem najnowszego, ale i to, które podałem, wystarczyło.

Starzec w zbyt dużych butach zaprowadził mnie do skromnie urządzonego pomieszczenia.

– Niech pan tu poczeka, aż przyjdzie pan Ramput – przykazał mi.

Nie wiedziałem, kto to jest pan Ramput, i nie miałem zamiaru na niego czekać.

– Niech pan pójdzie po prostu do pana Schantila i powie mu, że przyszedł czas na kolejną płatność.

– Płatność? – Zdawało mi się, że nie pojmuję, co przez to rozumiem.

– Niech mu pan to powie – zachęciłem go jeszcze raz. – Jestem głodny i spragniony, nie będę długo czekać, a Schantil nie stroni od przyjemności cielesnych.

Moje drugie stwierdzenie przekonało go, że naprawdę dobrze znam jego pracodawcę, albo go wystraszyło. Odwrócił się i pobiegł po schodach na górę. Słyszałem oddalające się kroki, odgłos otwieranych drzwi, potem nieco cichsze tupnięcia, a w końcu niezrozumiałą, stłumioną przez odległość rozmowę. Jej następstwem były przybliżające się kroki dwóch ludzi. Tym razem nie brzmiały szurająco, ale energicznie. Zostałem na miejscu, tylko odwróciłem się, aby mieć na oku oba wejścia do pomieszczenia.

Weszło dwóch barczystych rębajłów z krótkimi mieczami u boku. Pierwszy garbił się, idąc, jedno ramię trzymał niżej. Miał za sobą zapaśniczą przeszłość, to było widoczne. Starzec mi nie uwierzył, a może się mnie bał.

– Czy już przekazaliście panu Schantilowi, z czym przychodzę? – zapytałem jak ktoś miłujący pokój.

– Znaczy co? – zapytał zapaśnik Personel Schantila zaczynał mnie nużyć. Dlaczego każdy człowiek, który wydzwignie się w górę, prędzej czy później otoczy się gromadą tępaków?

– Po prostu, teraz szybko podrepczecie z powrotem i powiecie mu, że przyszło wysokie chłopisko, które powiada, że nastał czas spłacania długów. Z tym właśnie przyszedłem. – Z trudem hamowałem wściekłość. – I zalecam mu, aby nie zaniedbał zabrać ze sobą przyzwoitego jedzenia i wina, bo zaczynam być naprawdę głodny.

– Nikt na nas nie będzie rozwierać gęby – nastroszył się zapaśnik, lecz jego towarzysz położył mu rękę na ramieniu.

– Popilnuj go, wygonić go możemy zawsze. Pójdę na górę.

Spróbować mogli zawsze, to się zgadza. Po dziesięciu minutach pojawił się w końcu Schantil. Sam, bez asysty.

– Jesteś wolny – oznajmił swemu ochroniarzowi i przesunął się, aby go przepuścić.

– Nie widziałem cię przez całe lata – powiedział, gdy zostaliśmy sami.

Nie usiłował udawać radości. Byliśmy partnerami handlowymi i wiedzieliśmy o sobie tyle, żebyśmy obaj musieli dotrzymać obietnic, gdybyśmy niefortunnie pozwolili się złapać.

– Twój ostatni list czytałem zaledwie przed miesiącem – powiedziałem. – Ceny rosną, wygląda na to, że dosłownie każdego dnia.

– Chodźmy do mnie – odparł zamiast odpowiedzi.

Poszedłem za nim. Od czasu naszego poprzedniego spotkania Schantil się zestarzał. Nie byłby to wielki problem, ale równocześnie polubił wygody. Przytył, grube, mięsiste uda nawet w luźnych spodniach ocierały się o siebie, wygodne ubranie domowe obciskało jego solidny zadek, gdy pochylony włąził po schodach.

Z drugiej strony, jego umiejętności handlowe, zdolność błyskawicznej orientacji i nos do interesów nic nie straciły na swej wartości. A i te strome schody pokonywał nad podziw sprawnie.

– Pracownię mam na najwyższym piętrze. Przychodzę rano, a wychodzę dopiero wieczorem – wyjaśnił mi przez ramię.

Schody wiły się wzdłuż ścian wewnętrznych, światło wpadało przez duże okna witrażowe umieszczone między piętrami.

Na górze rozsiadłem się w fotelu, jak na mój gust aż nazbyt miękkim.

– Lubię mieć dobry widok – oznajmił, nalewając mi wina z karafki. – Może jest już skwaśniałe, stoi tu dość długo, ja wiele nie piję. Za chwilę służba przyniesie nową butelkę.

Paznokcie miał wypielęgnowane, na palcach pierścienie, o ile zdołałem spostrzec, nietuzinkowe wyroby artystyczne. Wziąłem kielich, wstałem i podszedłem do okna. Latarnicy zapalali właśnie pierwsze lampy, to naprawdę nie był byle jaki widok.

Napiłem się i postanowiłem zaczekać na służącego. Schantil tymczasem położył na stole plik papierów.

– Twój kapitał rośnie bardziej niż zadowalająco – zaczął. – Inwestowałem go w ryzykowne przedsięwzięcia handlowe, zgodnie z twoimi zaleceniami, i większość z nich powiodła się znakomicie. Właściwie prawie wszystkie, poza jednym wyjątkiem.

Tego wątku nie podjąłem.

– Ile wynosi przyrost kapitału – przerwałem – w stosunku do twojego poprzedniego sprawozdania?

– Sześćdziesiąt procent – odpowiedział z niezadowoleniem.

Nie mógł się pochwalić swoim talentem handlowym, co sprawiało mu przykrość. Jego błąd, powinien mieć lepsze wino.

– To naprawdę przyzwoicie – przyznałem. – A co z drugim obszarem moich zainteresowań?

Niechętnie odwrócił wzrok od dokumentów. Zanim zdążył coś powiedzieć, wszedł służący z tacą, na której przyniósł wino dla mnie, karafkę wody, przekąski, talerz zimnego mięsa i bochenek świeżo upieczonego chleba.

Gestem dałem znak Schantilowi, aby nie wstawał, i obsłużyłem się sam.

– Też wina? – zapytałem.

– Tylko wody i kromkę chleba poproszę.

Jaki jest sens być jednym z kilkudziesięciu najbogatszych ludzi, geniuszem w kwestii pomnażania pieniędzy, a przy tym jeść chleb i pić zwykłą wodę? Świat pełen jest zagadek, ale to był jego wybór.

Spełniłem jego prośbę.

– Lista przedmiotów, które dla ciebie pozyskałem, jest zaszyfrowana. Nie pamiętam jej i chwilę potrwa, zanim ją odczytam.

Schantil był ostrożny. Musiał być, o ile chciał nadal działać w tej branży i nie dać się złapać. Najchętniej zakończyłby ten niebezpieczny interes, który z jego obecnego punktu widzenia nie

przynosił żadnych dużych pieniędzy, ale dawno temu z moją pomocą wzbogacił się właśnie dzięki artefaktom. To należało do naszego układu.

– Ile tego masz? W przybliżeniu – zapytałem, przygotowując sobie kanapkę.

– Udało mi się zgromadzić mnóstwo rzeczy, ale przysyłasz dalsze zamówienia szybciej, niż zdążam załatwić poprzednie – rzekł z lekkim wyrzutem – W porządku, jasne, że nie możesz mieć wszystkiego.

– A kosztować cię to będzie olbrzymie sumy! O tyle więcej mógłbyś inwestować w handel.

Teraz jego rozgoryczenie było już wyraźnie widoczne.

– A książki? Czy jest między nimi coś od Maatena?

– Nie wiem, wcale tych rzeczy nie czytam, a tytułów nie pamiętam. Ale do wieczora mogę ci przedstawić listę.

– To wystarczy – zgodziłem się.

Maatenowie byli w jakiś sposób zamieszani w początek Wielkiej Wojny. Jak, tego nie wiedziałem, bo źródła historyczne przeczyły sobie nawzajem. Pewne było tylko to, że zaliczali się do wyjątkowo poważanych czarodziejów, a najlepsi z nich byli czasem nazywani hiperczarodziejami. Czegokolwiek, co wyszło spod ich pióra, poszukiwałem od momentu, gdy pozyskałem kilka fragmentów tekstu napisanego prawdopodobnie przez Tekuarda Maatena. Dzięki nim zacząłem przynajmniej z grubsza pojmować zasady, na których opierała się manipulacja mocą. Fascynowało mnie to także z czysto teoretycznego punktu widzenia. Skłonność do czarowania tkwiła we mnie tak samo jak skłonność do łamania serc bogatym paniom i damom.

– Będziesz tę listę studiował tutaj?

– Nie – odpowiedziałem z pełnymi ustami, a w jego oczach pojawiła się ulga.

Mięso było wyśmienite, kucharka doprawiła je czymś delikatnie pikantnym, ze świeżym chlebem smakowało wspaniale.

– Przyślę gońca lub odbiorę listę sam – dodałem, gdy już zjadłem. – Czy możesz mi dać jak najlepszą mapę miasta i okolicy? – zapytałem.

Kiwnął tylko głową.

Napiłem się wina, a on wody. Ja byłem z trunku zadowolony, jak smakowała woda, nie mogłem odgadnąć, ponieważ Schantil miał zamyśloną i nieobecna minę.

– Powinniśmy z tym skończyć – rzekł po chwili milczenia.

– Z czym?

– Ze starymi przedmiotami, z artefaktami. Zaczyna się pogoń za nimi. Ukryć się przed Konwentem nadal jest łatwo, ale nie popaść w konflikt z najemnymi łowcami – artefaktów w praktyce okazuje się niemożliwe. Konkurencja rośnie, kilku ludzi, których cenilem, umarło. Zostali zabici.

– Ludzie umierają – przytaknąłem. – Prędzej czy później każdy umrze.

Popatrzył na mnie, jakbym powiedział coś niewłaściwego.

– Jest wyznaczona nagroda za ciebie – wyjął mi.

– Za kogo konkretnie?

– Za człowieka, który złupił tajną skrytkę klanu Augupów i nie oddał znalezionych przedmiotów cesarzowi.

– Skąd wiesz, że to dotyczy mnie?

– Kazałeś mi ukryć pewne rzeczy, z istniejących danych wiem, że należą właśnie do Augupów – odrzekł cicho.

– Prawidłowa dedukcja – zgodziłem się.

Ta nowina oznaczała, że mój były zleceniodawca wyraźnie zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że nie jest zadowolony z roboty, za którą mi zapłacił. Dlaczego, było dla mnie zagadką. Umowę wypełniłem co do joty.

– Wiesz coś więcej? Ile za mnie oferują?

Pokręcił głową.

– To nie jest nagroda ogłoszona publicznie, zawiadomili tylko najlepszych łowców nagród.

– Dziękuję za wiadomości – powiedziałem. – Pójdę, mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

– Na pewno – przytaknął. – Lepiej będzie, jeśli dostarczę ci tę listę na zwykłe miejsce.

– A jak tam u ciebie? Jakaś żona, dzieci? – zapytałem, już stojąc.

– Nie ma na to czasu, dużo pracy.

Zbyt zajęty zarabianiem pieniędzy, żeby założyć rodzinę.

W milczeniu odprowadził mnie aż do drzwi, którymi wszedłem do jego pałacu. Nie przestawałem rozmyślać nad tym, co Schantil właściwie ma z takiego życia. Czemu tak uporczywie handluje? Czemu tak zapobiegliwie gromadzi i pomnaża majątek? Niektórych zagadek człowiek

łatwo nie rozgryzie.

*

Na ulicy ruszyłem szybko, minąłem dwuosobowy patrol, na skrzyżowaniu skręciłem w prawo, wcisnąłem się w wąską, boczną uliczkę i tam zatrzymałem. Lekko podpity, porządnie ubrany mężczyzna w ogóle mnie nie zauważył, przecisnął się obok i zataczając, poszedł dalej, spiesząc się do Bóg wie czego. Może przynaglała go perspektywa kolejnej szklanki gdzieś w dobrej gospodzie? Do ulicznej latarni oświetlającej skrzyżowanie dotarł w tym samym momencie co patrol. Obaj strażnicy rzucili mu pobieżne spojrzenia i zostawili w spokoju. Tu, w jednej z najlepszych dzielnic miasta, nie było widocznie niczym wyjątkowym spotkać bogatego pijaka. Jeszcze chwilę czekałem, ale wyglądało na to, że nikt mnie nie śledzi. Nie przypuszczałem, żeby ktoś chciał, ale ze względu na to, do jakiej roboty się przygotowywałem i kto był moim zleceniodawcą, nie chciałem zaniedbać żadnego drobiazgu.

Poszedłem dalej krzywą, ciasną uliczką. Nawet gdy było jasno, z wąskiej wstążki nieba pomiędzy kamiennymi fasadami przenikała zaledwie odrobina światła, teraz musiałem polegać bardziej na dotyku niż na wzroku. Jak ten pijany chłop w ogóle tędy przeszedł? Szczęściem, długo to nie trwało i wyszedłem z powrotem na normalną ulicę. Orientowałem się z grubsza, gdzie się znajduję, a na następnej przecznicy zyskałem całkowitą pewność. Z Brahmem, drugim swym handlowym partnerem, chciałem się spotkać jak najwcześniej, aby w dość nieprawdopodobnym przypadku, gdyby Brahm z Schantilem utrzymywali kontakty handlowe, nie zdążyli ustalić wspólnego postępowania.

Brahm był właścicielem kilku restauracji, gospód, spelunek i szynków, uszeregowanych zstępująco według drabinki warstw społecznych, tworzących ich klientelę. Zawsze twierdził, że najwięcej zyskuje, jeśli unika swoich najbardziej luksusowych lokali, a w tych najgorszych – gości. Mawiał też, że jego żołądek nie toleruje już zaplutyh spelunek. Może właśnie dlatego psuł reputację konkurentom przez to, że wydawał u nich pieniądze jako klient. Czasem ich luksusowe lokale wybierał na kwatery główną i tam wzywał swoich podejrzanych partnerów handlowych i załatwiał interesy. Nie wiedziałem, czy traktuje swoje maksymy poważnie, czy lubi zmieniać środowisko. Odwiedziłem dwie gospody, aż w końcu, po ostrożnym dopytywaniu się, skierowano mnie do „Miękkiego Kaktusa”. Dziwna nazwa, Brahm miał do takich słabość.

Zamiast szyldu na łańcuchu wisiał ogromny, uschnięty kaktus, z którym współgrały nędzne, po stokroć naprawiane drzwi. Widocznie przez te drzwi goście tak często wylatywali, że nie opłacało się ich porządnie naprawiać. Gdy wszedłem, zdziwiło mnie, jak małe było wnętrze. Później zauważyłem, że mała jest tylko centralna część z czterema stolikami, po bokach znajdowały się głębokie łoże, odgródzone wysokimi, drewnianymi ściankami. Przed jedną z nich stał wynędzniały z wyglądu chłopina, z rękami zanurzonymi w głębokich kieszeniach nieforemnego kabata. Żeby się nie nudził, towarzyszył mu ważący z półtora kwintala mastodont mojego wzrostu. Włosy miał zaczesane do tyłu i przylegające do czaszki tak, że błyszczały jak hełm. W pogotowiu po jego prawej ręce leżała drewniana pałka. Wyglądało na to, że jeśli szukałem kłopotów, przyszedłem we właściwe

miejsce. Wyglądało też na to, że to jest właściwa łóża.

Jedna z dalej położonych kabin była pusta. Usiadłem w niej i czekałem, aż obsługa mnie zauważy. Sąsiadów nie słyszałem w ogóle, nawet gdybym się starał. Czasem stuknięcie pucharu o stół.

– Pan sobie życzy? – Kelner miał zamiast głowy kulę bilardową, nawet nos wyglądał na wbity do wewnątrz, żeby nie wystawał.

Obsługa na poziomie, ale ja przynajmniej nie odbiegałem od miejscowej normy.

– Wino. To najgorsze, jakie macie. I zaniesiecie je tu obok, mówiąc: „Takiego sikacza lepiej byś nie sprzedawał, bo ci pewnego razu jakiś niezadowolony klient poderżnie gardło”.

Kelner przez chwilę patrzył na mnie z powątpiewaniem. Położyłem przed sobą na stole złotą monetę i to go przekonało.

– To wasza rzecz, panie, zwrócę uwagę, od kogo to polecenie wyszło. – Wykrzywił się i zgarnął monetę.

Brahm zjawił się wkrótce i w chwili, gdy mnie spostrzegł, przez jego pomarszczoną twarz przemknął uśmiech.

– Już myślałem, że przez wszystkie te lata handluję z duchem – rzekł zamiast powitania.

– Tobie za to powodzi się dobrze – stwierdziłem.

– Taa. – Wsunął się za stół. – Nieźle popijam, jem, od kobiet nie stronię, interesy pomalutką przekazuję młodszym...

Znów ten sam uśmiech, który nadał przynajmniej pozór człowieczeństwa jego twarzy, pobrużdżonej wiekiem i niełatwymi przeżyciami.

Usiadł, barman przyniósł jeszcze jeden puchar, zakurzoną butelkę z korkiem zalany woskiem i kufel piwa.

– Opłaca się dobrze usposobić partnera handlowego – objaśnił Brahm.

Stary gangster osobiście zabił mnóstwo ludzi, jeszcze więcej kazał zgładzić, ale równocześnie był użyteczny i dobrze się z nim rozmawiało o interesach.

– Masz problemy – zaczął, jak tylko się napiliśmy.

Uniosłem tylko brwi.

– Ktoś za ciebie wyznaczył nagrodę.

– Na którą moją tożsamość?

Machnął ręką.

– Już nie pamiętam. Rysopis był kiepski i niedokładny, ale czytając to, co tam było napisane, nie miałem wątpliwości, że chodzi o ciebie. Nagroda jest wielka.

– Ile?

– Dwadzieścia pięć tysięcy w złocie lub szmaragdach, podobno według życzenia.

To robiło wrażenie. W końcu zaczynałem być sławny.

– Kiedyś bym własną matkę zarznął za ułamek tej forsy – zamruczał.

Nie była to groźba, ale mimo wszystko pomyślałem o tym, gdzie mam poszczególne noże, ilu ludzi jest na sali, którzy z nich to siepacze Brahma i jak mogą być uzbrojeni.

– A dziś? – zapytałem.

Szczelina bladych ust znów się rozwarła. Brahm się na stare lata jakoś często śmiał.

– Dziś jestem już stary, bogaty i nie potrzebuję każdego złociszka, którego mógłbym zarobić. Dwadzieścia pięć tysiączków nie znaczy dla mnie znowu tak wiele, poczekam, aż tę nagrodę jeszcze podwyższą. Ta wiadomość ma już ładne parę miesięcy – powiedział rozbawiony.

Przerobił mnie, musiałem mieć się na baczności. Może ta gra była trochę niebezpieczna, ale widocznie go bawiła.

Nie wiedziałem, czy mówi prawdę, czy kłamie, lecz dziś z jego strony nie groziło mi niebezpieczeństwo. A biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął od wyznaczenia premii za moją głowę, i niedostatek informacji, jakimi dysponowali łowcy nagród, nie obawiałem się, że ktoś inny jest na moim tropie.

– Masz coś dla mnie? – zapytałem.

– Interesy z tobą to sama radość – rzekł i napił się. – Całe lata zapewniasz mi dobry towar, żadasz tylko niskiego profitu i teraz się pytasz, czy mam coś dla ciebie. – Wykrzywił twarz. – Książki, mnóstwo książek, z których nic nie rozumiem, ale w tytułach mają wyrazy z twojego wykazu.

– To dobrze. W składnicy?

– Taa, powiem ci gdzie i zapewnię ci miejsce, w którym będziesz mógł w nich pogrzebać. Albo odniesiesz je, dokąd chcesz – dodał, widząc moje wahanie.

Pojawił się kelner z korkociągiem, położył go po prostu na stole i oddalił się. Obsługa nie za dobra, ale za to dyskretna. Otworzyłem butelkę, nalałem na trzy palce do fajansowych pucharów i

upiłem łyk.

– Ehm. – Mało brakowało, a wytrzeszczyłbym oczy. – Skąd je wzięłeś?

Brahm roześmiał się na całe gardło, aż mu łyzy stanęły w oczach.

– Wiedziałem, że się zdziwisz. Z cesarskich piwnic. Prosto z cesarskich piwnic, chłopcze. Dziś to jest już dwa do zera dla mnie!

Za tę butelkę darowałem mu wszystkie poprzednie gadki. Wiedziałem, że będę się bez pośpiechu delektował smakiem jej zawartości. Jakiś czas siedzieliśmy, milcząc. Poza artefaktami i towarami, które mu od czasu do czasu dostarczałem jako pośrednik, nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Albo raczej nie chcieliśmy wypytywać się nawzajem o to, co robimy, aby nie okazać nieuprzejmości. Towarzyski protokół przestępczy może być tak samo skomplikowany jak szlachecki.

– Taa... – Strzelił palcami. – Mam nową ofertę kupna trzech książek, myślę, że są podobne do tych, których najbardziej chcesz. Coś jak „Zasady magii” albo „Manipulacje podstawowe”, nie pamiętam dokładnie.

Brahm, tak samo jak Schantil, wyszukiwał dla mnie wszelkie słowo pisane, z którego można było pojąć podstawowe zasady i procedury konieczne do manipulowania mocą, dojść do zrozumienia praw istotnych dla tworzenia czarów, zaklęć, dla ich osadzania w realnym świecie. Po prostu ludowe przepisy na czarowanie. Większość z tego, co pozostało po trzech wiekach, jakie upłynęły od epoki magów, były to artefakty wygasłe lub uszkodzone, a więc nieaktywne. Jeśli od czasu do czasu udało się znaleźć artefakt kryjący w sobie jakąś moc, nie wiedziano, jak z nim postępować, do sukcesu dochodzono tylko przypadkiem, często za cenę utraty życia. Przeszłością zajmowałem się praktycznie przez całe życie, a zacząłem długo przed tym, zanim uciekłem z pałacu ojca. Od studiowania starych tomów w bibliotekach przechodziłem stopniowo do zbierania strzępków wiedzy, których szukałem w starych podziemiach, katakumbach, kryptach i wszędzie tam, gdzie można było znaleźć pozostałości dawnych epok. Dzięki temu wytypowałem kilka tomów, które mogły wypełnić główne luki w mojej wiedzy o magii i panowaniu nad nią.

– Masz ofertę? – powtórzyłem. – To znaczy, że żądana cena była tak wysoka, że nie mogłeś jej zapłacić?

Brahm w moim imieniu operował takimi sumami, które wykraczały poza wyobrażenia większości ludzi, a za jego starania płaciłem mu głównie informacjami i organizowaniem kontaktów. Chciał uzyskać więcej? Zdziwiłoby mnie to, uważałem go za człowieka, który dobrze wie, że maksymalny zysk na krótką metę nie zawsze jest dobrym rozwiązaniem.

– Nie – pokręcił głową. – Problem polega na tym, że sprzedający żąda za księgi nie pieniędzy, ale miecza.

– Miecz ścinający wszystkim głowy? – rzuciłem i napiłem się.

Cesarz miał wyśmienicie zaopatrzone piwnice, a to wino, jego bogaty, pełny smak czułem na

podniebieniu dłużej, niż uważałem za możliwe, a gdy w końcu zanikł, myślałem o kolejnym łyku, aby dalej delektować się smakiem, który się w napitku skrywa.

Stary sybaryta Saxmundsen zaspokajał swoje zachcianki na najwyższym poziomie.

– Nie sędzę, żeby wierzył w bajki – odpowiedział po dłuższej przerwie Brahm. – Wypowiedział się bardzo dokładnie. Oznajmił, że chce broni z tej samej epoki co jego księgi, opisał wygląd zdobienia i powiedział jeszcze, że ten właściwy miecz pozna, gdy go będzie trzymał w ręce. Nic więcej na ten temat nie powiem, bo nie zajmowałem się nim dalej. Opis miecza dam ci później.

– Może wie więcej, niż okazuje – pomyślałem głośno.

– Albo jest wariatem – zasugerował Brahm i odstawił kufel. – Masz coś takiego?

– Chyba tak. Widziałem kilka sztuk broni pochodzących z pierwszych dziesięcioleci po Wielkiej Wojnie. Magii jeszcze używano, ale ludzie stopniowo przestawali ją rozumieć. Niektóre z tych broni są szczególne. Gdy bierzesz je w ręce, towarzyszy temu jakieś nieprzyjemne odczucie. Załatw mi z nim spotkanie.

– Gdzie cię znajdę?

– Jutro albo pojutrze pojawię się tu, zostaw mi wiadomość.

Przytaknął.

– Muszę iść, obowiązki wzywają. – Wstał.

– A ładny ten twój obowiązek? – zapytałem.

– Zależy od gustu. Jest młoda i niezezsuta, a to wystarczy.

– Nie sędzę, żeby się z tobą zadawała jakakolwiek niezezsuta kobieta – oznajmiłem z poważną miną.

Brahm się zakłopotał.

– Masz rację. A może ona nie jest tak młoda, jak stara się wyglądać, ale to i tak jest wielka rozrywka.

Wzniosłem strzemiennego i zostałem sam z butelką. Nie było to złe towarzystwo, naprawdę nie, ale cieszyłbym się nim o wiele bardziej, gdybym nie musiał radzić sobie z całą nawałą myśli. Praca dla Wickera stwarzała możliwość zyskania czegoś, za czym szperałem od lat. Nie mogłem popełnić błędu, w mieście nie było można zniknąć z oczu tak łatwo, jak gdzieś na pustkowiach z dala od Cesarstwa Wewnętrznego.

Początek polowania

Jego Ekscelencja, Wielki Wojewoda Varatchi, siedział w swoim ulubionym fotelu w gabinecie, w kominku płonął ogień, pomieszczenie rozświetlały i czyniły przytulnym lampy olejowe, z których każda stanowiła dzieło sztuki. Zawieszane były na stylizowanych gałązkach oliwnych z wypolerowanego brązu. Półki z książkami sięgały aż do sufitu, ruchome schodki dla czytelnika stały przed działem poświęconym pracom historycznym i politycznym. Ich marmurowe stopnie błyszcząły w świetle na różowo. Varatchi nie lubił, gdy mu przeszkadzano podczas pracy, i nawet z najwyższych półek sam wyciągał książki. Mimo przekroczonej sześćdziesiątki nie miał problemu z zawrotami głowy na wysokości. Czas obchodził się z nim łaskawie, podobnie jak z jego przodkami, i niektórzy z jego otoczenia twierdzili, że lata postarzają go tylko o dwie trzecie każdego roku, inni znów, że zna on tajemnicę osiągnięcia jeśli nie wiecznego, to przynajmniej stuletniego życia. Nic z tego nie było prawdą: był tylko typowym przedstawicielem swojego rodu. Wysoki, szczupły, gotowy do działania i długowieczny.

Oderwał wzrok od tekstu, który właśnie studiował, i odsunął książkę dalej od siebie, w stronę okładek z czarnej skóry. Foliał napisany był językiem martwym już od dawna, Varatchi właśnie się go uczył i czytanie go nużyło. Co więcej, przeszkadzali mu dwaj strażnicy przy drzwiach, jego osobista ochrona. Ich obecność zmuszała go do stałego trzymania się na baczności. Miał się na baczności w pobliżu jakichkolwiek ludzi, co kilka razy ocaliło mu życie, z drugiej jednak strony było to czasem męczące i niewygodne. Ci dwaj pracowali u niego już pięć lat, a przez ten czas musieli interweniować tylko dwa razy. Pomimo to nie wiedział, jak się nazywają, uważał, że to zbyteczne. Do wyższego mówił Sal, do niższego, barczystego, Del, tak jak do swoich poprzednich strażników. Dla identyfikacji to wystarczało.

Po chwili mężczyźni spostrzegli, że pracodawca ich obserwuje. Przyglądał im się w zamyśleniu.

– Za chwilę przyjdą tu dwaj mężczyźni. Starszy i młodszy. Tego młodszego od razu zabijcie. Czy to jasne? – powiedział, widząc, że poświęcają mu całą uwagę.

Żaden z nich nie wyglądał na zdziwionego.

– Tak, panie – odpowiedzieli jednocześnie.

– Czy będzie uzbrojony? – zapytał Sal po chwili.

– Nie wie, że kazałem go zabić. To powinno wam wystarczyć. Czy może nie?

– Oczywiście, to wystarczy, panie.

Varatchi rozciągnął wąskie usta w namiastce uśmiechu. Zza drzwi dobiegły niespiesznie zbliżające się kroki. Wygodniej rozsiadł się w fotelu i czekał na przedstawienie. Jego rozkaz zmienił atmosferę w gabinecie, zapanowała w nim obietnica śmierci.

Kroki się zatrzymały, służący najpierw cicho, potem głośniejsze, a w końcu donośnie zastukał i po krótkiej przerwie otworzył drzwi.

– Panowie Ferusi i Bamegi – ogłosił trochę niepewnie. – Bez podania, skąd przybywają i powodu wizyty.

Varatchi tylko kiwnął głową. Nie przemawiał, gdy nie było to niezbędne, a stały personel pałacu doskonale rozumiał jego gesty.

Pierwszy wszedł Ferusi w szarych, prosto skrojonych spodniach i luźnej bluzie o podobnym wyglądzie. Prostota kroju myliła, ubranie uszyte było z najdelikatniejszego jedwabiu. Za nim szedł Bamegi w nieco zużytych skórzanych spodniach, koszuli ze zwyczajnego płótna i nieco lepiej wyglądającej kamizelce. Varatchi spotkał się z nim twarzą w twarz po raz pierwszy. Był zaskakująco młody, choć właściwie wszystkich mężczyzn przed czterdziestką postrzegał jako młodych, poprawił swoją ocenę. Dwadzieścia pięć, nie więcej, w jego wyglądzie nie było nic szczególnego, po prostu tuzinkowy młody człowiek, jakich w każdym porcie, na każdym targowisku można spotkać mnóstwo. Idąc, trochę się garbił, przed tygodniem ogolił sobie głowę i teraz ciemne włosy pokrywały ją cienką warstewką. Varatchi czuł napięcie oczekiwania, przenikające aż do końców palców. Nie był to strach, nawet w najmniejszym stopniu. Wrażenie nasilało się, on jednak był gotowy opanować je, o ile chciałoby się wymykać spod kontroli.

Bamegi przekroczył próg, żaden ze strażników na niego nie spojrzał. Jednak, mimo że pozornie ani drgnęli, nie stali już tak rozluźnieni jak przedtem.

Bamegi zrobił kolejny krok, Sal wyciągnął nóż. Nosił go po lewej stronie opaski, rękojeścią do dołu. W rękach Dela pojawiła się garota.

Sal bezszelestnie postąpił naprzód, chciał całą rzecz zakończyć jednym pchnięciem w nerkę, jego partner ochraniał go, na wypadek gdyby coś źle poszło.

Szybkość, z jaką zadał pchnięcie, spowodowała, że materiał rękawa zaszeleścił. Bamegi momentalnie zareagował. Zrobił wykrok, przekręcając się prawie o sto osiemdziesiąt stopni, szybkim uderzeniem grzbietem ręki odtrącił atakujące ramię i zadał trzy błyskawiczne ciosy krawędzią dłoni i pięścią w łokieć, w dolne żebra i w szyję. Żadne z uderzeń nie było bardzo silne, ale razem zadane spowodowały, że Sal upuścił nóż i zwalił się na ziemię. Del był już za Bamegim i przekładał mu strunę przez głowę. Ten jednak, jakby jakimś cudem wiedział o jego obecności za plecami, znów się obrócił, przyklękając równocześnie na kolano, przetoczył się w bok i zanim jego przeciwnik zdążył zareagować, kopnął go w krocze. Del stęknął i zaczął osuwać się na ziemię. Zanim jeszcze jej dotknął, Bamegi już trzymał w dłoniach jego głowę i targnął nią z lewej strony na prawą, skręcając mu kark.

– Brawo – ocenił sucho Varatchi.

Bamegi wyprostował się, nie patrzył na trupa, sprawdził tylko, czy drugi strażnik nadal jest niezdolny do walki.

– To był test? – zapytał spokojnie.

– Był na to przygotowany? Odgadliście, że mógłbym spróbować czegoś w tym rodzaju? – Varatchi zignorował pytanie, zwracając się do przywódcy klanu ninja.

– Dopuszczałem taką ewentualność, ale nie ostrzegłem go. Człowiek, którego chcemy zabić, jest nieprzeciętnie dobry. Przeciw niemu musi stanąć najlepszy z nas.

Sal usiłował wstać, lecz nie dawał rady, nadal wstrząśnięty z trudem łapał oddech.

– Zabijcie go – rozkazał Varatchi i spojrzał na Ferusiego.

Ten pochylił się nad stękającym mężczyzną i niemal po ojcowsku uniósł mu głowę. Wyglądało to, jakby tylko dotknął jego skroni, strażnik jednak nagle zwiotczał, martwy.

– Bardzo skuteczna technika.

W głosie Varatchiego zabrzmiało uznanie.

– Z wyglądu może tak, ale trening jest uciążliwy, a w walce taki sposób zabijania bywa niezbyt wygodny. To raczej czysta technika asasynów – stwierdził stary ninja. – Nie chciałem zakrwawić posadzki, jeśli Bamegi przedtem tego nie zrobił.

Ferusi ostrożnie położył bezwładne ciało na podłodze i wyprostował się.

– Ten test kosztował życie dwóch ludzi. Każdy inny uważałby go za marnotrawstwo, ale nie sądzę, aby tak było w przypadku Waszej Ekscelencji.

Varatchi pozwolił sobie na uśmiech. Ferusi swoją uwagę utwierdził go w przekonaniu, że jego rezerwy ludzkie nic na tym nie straciły.

– Zrobili się zbyt wygodni, Salowi zaczął nawet rosnać brzuch. Niewielka cena za podwyższenie morale i zmobilizowanie ludzi.

– Tak, o broń trzeba pieczołowicie dbać, inaczej zardzewieje – zgodził się stary ninja.

– Przejdźmy do właściwego celu waszej wizyty – zmienił temat Varatchi. – Usiądźcie. – Wskazał dwa krzesła, a sam został w fotelu. – Zaznajomiliście się już z informacjami o Koniaszu i chciałbym usłyszeć wasze zdanie. Obydwóch.

Bamegi poczekał, aż Ferusi wybierze sobie krzesło, i usiadł dopiero po nim. Ręce położył na udach, spojrzał na swego szefa i otrzymał niewypowiedziany rozkaz, żeby rozpocząć analizę sytuacji.

– Materiał był zbierany przez szereg lat, a z niektórych informacji wynika, że zaczął go gromadzić człowiek, który później Koniasza wynajął – zaczął.

Varatchi nie uważał za potrzebne tego komentować.

– Ten Koniasz to bardzo niebezpieczny człowiek, indywidualność, znakomity szermierz, wyjątkowo biegły w posługiwaniu się nożem i walce wręcz, ale również ktoś charakteryzujący się świetnymi umiejętnościami organizacyjnymi. Postępuje tak, żeby uniknąć zbędnego ryzyka, równocześnie jednak jest w stanie je podjąć, gdy nie ma innej możliwości. Kocha życie, ale nie boi się śmierci.

– To jest najniebezpieczniejsza kombinacja, jaka istnieje – napomknął Ferusi. – Tacy ludzie dają początek legendzie.

Spojrzał na Varatchiego w poszukiwaniu oznak sprzeciwu, ale Wielki Wojewoda bardziej przypominał posąg niż żywego człowieka.

– Z czego konkretnie wywnioskował pan, że kocha życie? – zapytał po chwili namysłu.

– Jako przymusowo wcielony rekrut uczestniczył pod dowództwem generała de Glowa w nieudanej inwazji przez FewGhakę. Zadałem sobie trud odnalezienia kilku weteranów, którzy przeżyli. Zbiegiem okoliczności dwaj z nich mieszkają w Fenidongu.

– Ach, ta godna politowania sprawa z hrabią. – Varatchi przypomniał sobie natychmiast aferę, która o mało nie zagroziła stabilizacji cesarstwa.

– Wszyscy, którzy przeżyli, zawdzięczają życie właśnie Koniaszowi. Pomógł im wydostać się z dżungli, lecz sam został z oszalałym de Glowem. A kilka lat później jego staraniem wyszło książkowe wydanie zapisków doktora Gausta, który tam zaginął – kontynuował Bamegi. – Tak myśli i działa człowiek, który życie i śmierć traktuje na równi.

– Każdy jest śmiertelny – rzucił sucho Varatchi.

Bamegi zamilkł, jakby nie zgadzał się z tym stwierdzeniem, zamiast niego przemówił Ferusi.

– Niewątpliwie, panie. Tylko niektórych trudniej jest zabić niż innych. Już skończyłeś? – zapytał młodego ninja.

Ten pokręcił głową.

– Nie. Domyślam się, że do rejestru zostały celowo dodane informacje, które mają nas zwieść z tropu.

To Varatchiego zainteresowało.

– Sądzi pan, że agenci mnie oszukiwali? Współpracowali z tym całym Koniaszem?

– Nie, rzekłbym raczej, że on sam snuje wokół siebie pajęczynę dezinformacji utrudniającą identyfikację. Na przykład jego wygląd. Zbiór zawiera kilka zupełnie odmiennych rysopisów: od mężczyzny atletycznej budowy, średniego wzrostu aż po wysokiego na metr pięćdziesiąt, ważącego sto dwadzieścia kilogramów zapaśnika. A niektóre z tych rysopisów są stosunkowo dokładne, pochodzą od ludzi spostrzegawczych. Trzeba też wziąć pod uwagę, że Koniasz musi być

bardzo bogaty ze względu na to, w czym maczał palce. A złoto jest bardzo pomocne, gdy trzeba rozpuszczać fałszywe wiadomości.

– Tak jest w istocie – zgodził się Varatchi. – Co z weteranami, których pan znalazł?

– To było dawno, ci ludzie byli wtedy chorzy, wyczerpani. Wiele z tego nie pamiętają.

Rozmowa urwała się, trzech mężczyźni siedzieli wśród ksiąg, żaden się nie poruszył, żaden nie czuł potrzeby przerywać bez powodu nagłej ciszy. Grube mury pałacu nie przepuszczały dźwięków z zewnątrz, płomienie paliły się zupełnie spokojnie, jak zastygłe.

– Jedna rzecz nie jest dla mnie jasna, panie – rzekł w końcu Bamegi i spojrzał Varatchiemu w oczy. – Jak go znajdziemy? Umiem tropić ludzi, jestem w tym najlepszy, ale ten człowiek jest jak duch, a świat jest ogromny. Bez dalszych informacji nie znajdę go, nawet jeśli będę się o to starał przez całe życie.

Varatchi popatrzył na Bamegiego z zainteresowaniem. Mało który z jego ludzi potrafił powiedzieć mu wprost, że plan ma lukę.

– Ferusi? – zagadnął pytająco przywódcę klanu.

– Ma rację, Ekscelencjo.

– Wiem – zgodził się Varatchi. – Co jest namiętnością tego człowieka? Co go przyciąga? – zadał pytanie.

– Mężczyzna ma zazwyczaj dużo namiętności – odpowiedział ostrożnie Bamegi.

– Lubi wino i jest bardzo, bardzo ciekawy – odpowiedział tym razem Ferusi. – Ciekawość ciągnie go jak magnes żelazo. Wielokrotnie ryzykował życiem, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Tak, właśnie – przytaknął Varatchi, a w jego głosie pierwszy raz dał się słyszeć cień emocji. – Jest ciekawy, studiuje historię epoki czarodziejów, interesuje się magicznymi artefaktami, Wielką Wojną i wszystkim, co jest z nią i z magią związane.

– Jednak nawet to nam nie pomoże. Starych, zapomnianych archiwów może poszukiwać zarówno tutaj, jak i na zachodnim pograniczu albo na Pustyni Gutowskiej. Przed Wielką Wojną żyło na świecie pięciokrotnie więcej ludzi niż dziś, a magia była wszędzie – odpowiedział Bamegi.

Miał większy zasób informacji niż większość doradców cesarza, musiał przyznać Varatchi. A tego dokładnie potrzebował, najlepiej wykwalifikowanych narzędzi do osiągnięcia swoich celów.

– Popatrzcie panowie na to. – Pochylił się i przesunął okładki z czarnej skóry między Ferusiego a jego ucznia.

Stary ninja otworzył je ostrożnie i pochylił się, aby zapewnić sobie najlepszą odległość do czytania.

– Chodzi o wykaz przedmiotów, które miały być dostarczone do Demosu – rezerwowego składu klanu Maaterenditu do rąk mistrza K. Chauta – przeczytał ostrożnie – a także o wykaz rzeczy, które ówczesny dowódca miał dostarczyć do głównej cytadeli klanu. Tylko że ta lista nigdy nie dotarła do prawidłowego adresata, jako że kurier został pojmany przez oddział Arghotu. Ale mogę się mylić. W języku starosaxpoliskim nie jestem zbyt biegły.

– Dokładnie tak jest – potwierdził Varatchi.

– Z całego dokumentu wynika, że chodziło o rezerwową bazę wojskową i skład zamaskowany jako zwyczajna osada.

– Przynęta – odgadnął Bamegi.

– Tak. Na podstawie wykazu można mniemać, że mistrz Chaut miał pod swoją opieką sporo ekstremalnie cennych przedmiotów, interesujących dla każdego łowcy artefaktów. Innymi słowy, ta lista opisuje prawdziwy skarb, do którego zagarnięcia będzie dążyć każdy, kto się o nim dowie.

– Ten Koniasz jest, powiedziałbym, bardzo dobrze poinformowany – rzekł zamyślony Ferusi. – Jeśli ktoś jest zdolny odsłonić to, co zakryte, to właśnie on.

Varatchi przytaknął.

– Całą akcję przygotowuję już od dwóch lat. Za punkt wyjścia przyjąłem dokumenty znalezione w cesarskich archiwach. Demos istniał naprawdę, znajdował się gdzieś wśród Wzgórz Randskich. Te informacje postanowiłem tylko UŚCIŚLIĆ I UPORZĄDKOWAĆ, żeby stały się interesujące dla łowców artefaktów. Potem znów wróciłem do archiwów i innych miejsc, co do których miałem przecucie, że prędzej czy później zostaną spenetrowane przez poszukiwaczy. A niedawno pułapka zadziałała. Właśnie się dowiedziałem, że znalazł się poważny klient na niektóre rzeczy, jakie według tego wykazu – wskazał na okładki – nadal czekają w zapomnianym składzie Maaterenditu na nowego właściciela.

– A my uważamy, że do tego przedsięwzięcia zaangażowany zostanie Koniasz – dokończył Bamegi.

– Jest najlepszy. Dalsze teksty, o ile są wiarygodne, zawierają wzmianki o systemach zabezpieczających przed niepożądanymi ciekawskimi.

– Zrobiono to całe stulecia temu – przypomniał Bamegi.

– Czarodzieje planowali na całe pokolenia naprzód – zareagował Varatchi.

– Rozumiem – skłonił się w krzesło Ferusi. – Ale ja żadnych Wzgórz Randskich nie znam, tylko Randskie Moczary. Niekiedy tak określano północno-zachodnie krańce Brunatnych Bagien.

– O to właśnie chodzi. Klimat zmienił się od czasu Wielkiej Wojny i wzgórze zamieniły się w bagna – zgodził się Varatchi. – Tuż obok nich biegnie kupiecka ścieżka. Nie jest zbyt uczęszczana, bo wielkie karawany unikają mokradeł i obchodzą je. Nie będzie dla was problemem odnaleźć kogoś,

kto się będzie zbytnio interesował Brunatnymi Bagnami.

– Nie będzie – zgodził się Bamegi.

Varatchi nic już więcej nie powiedział i obaj ninja zrozumieli, że spotkanie dobiegło końca. Jednocześnie wstali i skierowali się ku drzwiom.

– Powiedzcie odźwiernemu, żeby przysłał tu kogoś po te trupy – na odchodnym dostali jeszcze rozkaz.

Na korytarzu natknęli się na spieszącego gdzieś mężczyznę w liberii obszywanej złotem.

– Niosę zażalenie na sir Lakela Lumbiego. Rozpatrzone i zatwierdzone zgodnie z procedurą przez Saxpoliski Sąd Rodu Varatchi – usłyszeli, jak oznajmia u drzwi.

– Ja bym się na arystokratę o tak długim rodowodzie raczej nie skarżył. Na ogół się to nie opłaca – powiedział zwięźle Bamegi, nie zwalniając kroku.

Rozdział pomiędzy szlachetnie urodzonymi a ludźmi niższego pochodzenia utrzymywał się w Cesarstwie Wewnętrznym mocniej niż gdzie indziej.

– Lakel Lumbi to wariat. Zabija dla przyjemności, a ma już na koncie pięciu ludzi – objaśnił Ferusi.

Znał politykę, zakulisowe intrygi i zależności między czynami a wynikłą z nich pomyślnością rodów.

– To nie tak znowu dużo – oznajmił Bamegi, gdy przechodzili obok odźwiernego do przeznaczonej dla służby części pałacu, a później wychodzili bramą dla wozów zaopatrzeniowych na zewnątrz. Varatchi nie nakazał im zachowywać incognito, ale nie chcieli bez potrzeby zwracać na siebie uwagi.

– Pięciu ludzi z jego własnego kręgu towarzyskiego – uściślił stary ninja. – Wszyscy w pojedynkach. Ciekaw jestem, czy ktoś go zdoła zabić.

– Czemu jeszcze tego nie zrobili?

– Ze względu na równowagę. Lakel Lumbi jest wariatem, ale jego krewni już nie. Włada znacznym majątkiem, choć się o niego nie troszczy. Gdy umrze, koniecznym będzie ten majątek podzielić, a to naruszy szlacheckie, mocarstwowe status quo. Nikt zatem do tego nie tęskni.

*

Dwa dni zajęło mi odwiedzenie wszystkich ludzi, z którymi utrzymywałem stosunki handlowe,

sprawdzenie, co nowego i jakie przesyłki nadeszły. W niektórych dużych miastach cesarstwa i niektórych mniejszych, tam, gdzie prowadzili swą działalność kupcy, pracowali dla mnie ludzie skupujący wszystko, co wydawało się interesujące. Inni później organizowali transport do przygotowanych składów. Koniecznie należało zapewnić tym działaniom maksimum bezpieczeństwa, żeby zatrzeć ślady przed Konwentem i nie być niepotrzebnie okradanym przez innych, przypadkowych nabywców. W każdym takim punkcie mogły mnie czekać niespodzianki. W większości przypadków chodziło o tandetę, zbędne rzeczy, które wyglądały osobliwie, falsyfikaty, czasem jednak w sieci wpadał naprawdę interesujący artefakt.

Wszystkie te poszukiwania kosztowały mnóstwo pieniędzy i wiedziałem, że pośrednicy zdzierają ze mnie dziesiątą skórę, ale nie musiałem oszczędzać. Czasem odsprzedawałem niektóre rzeczy i odzyskiwałem nieco pieniędzy, czasem zamieniałem. Zyskiwałem wtedy kilka mniej lub bardziej zniszczonych archiwaliów, z których najlepiej zachowane były zapisy o funkcjonowaniu gospodarki czarodziejskiego klanu. Na pozór nieciekawe informacje, ale tylko na pierwszy rzut oka. Właśnie ich analiza pozwalała zorientować się, choćby częściowo, jak świat przed Wielką Wojną naprawdę funkcjonował. Do terminu spotkania z ludźmi klanu Rumelkowego zostawało mi jeszcze trzy dni. Do tego czasu nie miałem nic do roboty, dlatego też mogłem sobie pozwolić na komfort niezakłóconego studiowania starych zapisów. Do tego jednak potrzebowałem spokoju, a pokoje, które wynajmowałem w gospodach, okazywały się przy dłuższym zamieszkiwaniu dosyć głośnie i stanowiły głównie zasłonę dymną na wypadek, gdyby ktoś zaczął mnie szukać. Przed przystąpieniem do roboty na rzecz czarodziejów chciałem wypocząć, porządnie napelnić mój przepaścisty brzuch, szukałem więc spokojnego prywatnego pensjonatu z dobrą kuchnią, nastawionego na długotrwały pobyt gościa. Naprawdę cieszyłem się na myśl o trzech nadchodzących dniach.

Zatrzymałem się na targu, kupiłem gorący pieróg nadziany mięsem i przyglądałem się rwetesowi, jaki mnie otaczał. Między przekupniami a klientami krążyli żołnierze pilnujący porządku lub choćby udający, że to robią. Sprzedawcy wybiegali z swych stoisk i starali się przywabić potencjalnych nabywców, ci natomiast przechodzili od jednego kramu do drugiego. Niektórzy z koszykami, zaś ci, którzy kupowali na potrzeby wielkich, bogatych domostw, z wózekkami. W pozornym zamieszaniu panował porządek obrazujący zmienne prawidła życiowe: chaos rywalizujący z ładem, życie kipiące pod szarym niebem.

W moim kierunku zmierzało dwóch żołnierzy, przesunąłem się trochę w bok między kramy handlarzy mięsem. Chociaż było stosunkowo chłodno, na wołównie i wieprzowinie pomimo wysiłków sprzedawców ucztowały w najlepsze muchy, jednak nikomu to zbytnio nie przeszkadzało. W kojcu z wikliny tłoczyły się kury, w innym małe prosiaczki, a kawałek dalej pluskały w kadzi żywe ryby. Sądząc z ich brzuchatych kształtów, nie były to ryby rzeczne, lecz pochodzące z wód stojących, stawu czy jeziora. Przypuszczałem, że połów pochodzi z Jeziora Matskiego, co znaczyło, że sprzedawca musiał wyjeżdżać bardzo wcześnie, żeby być na targu o tej godzinie. Przypomniałem sobie miejscową geografję. Jezioro leżało jakieś piętnaście do dwudziestu kilometrów od miasta w kierunku południowo-wschodnim i gdy nastał wilgotny rok, Brunatne Bagna sięgały aż do jego północno-zachodnich krańców.

– Mogę służyć prosiątkiem, pani? – oferował jeden ze sprzedawców. – Na miejscu go zabiję i wypatroszę – kusił klientkę. – Proszę popatrzeć, jakie ładne, wykarmione na kukurydzy – zachęcał

przechodzącą kobietę.

Była starsza, ubrana w szeroką pofałdowaną suknię i wdzianko, które z przodu wyhaftowane było tak, żeby przypominało gorset. Ale tylko przypominało. Czasy, gdy mogła prezentować ściśniętą talię osy i piersi przepelniające głęboki dekolt, minęły kilkadziesiąt lat temu. Oferta ją zainteresowała.

– Ile za niego chcecie? – zapytała.

Głos miała głęboki i lekko zachrypnięty. Rzeźnikowi zabłyśły oczy. Teraz oboje czekała zabawa, dogadać się co do ceny zadowolającej jedno i drugie. Zjadłem resztę pieroga i przeszedłem kawałek dalej. Takie przedstawienia nigdy nie wydawały mi się nudne, właśnie odwrotnie, im jestem starszy, tym bardziej je lubię. Ale starałem się o mieszkanie, a prosiaki, owce i inny inwentarz żywy nie mógł być chowany w mieście, co znaczyło, że znalazłem się w niewłaściwym miejscu. Między sprzedawcami materiałów, kilimów i drewnianych naczyń miałem większe szanse, że się czegoś dopytam.

– Jałmużnę, dajcie mi choć drobnika, proszę! – zastąpił mi drogę żebrak.

Kuśtykał o kuli, nie miał jednej nogi i gdzieś w ciągu lat postradał wzrok.

Sięgnąłem do kieszeni, namacałem kilka srebrników i nasypałem mu w dłoń.

– Używaj ich na zdrowie i nie dziękuj. Obszedłem go i oddaliłem się, nim zdążył cokolwiek powiedzieć. Nie lubię podziękowań.

Przy dalszym kramie zagadnąłem mężczyznę oferującego naczynia drewniane.

– Poszukuję mieszkania. Skromne, wygodne, z wyżywieniem.

Obejrzał mnie od stóp do głów, pokręcił głową i zignorował. Był w tym tak przekonywający, że musiałem się upewnić, czy nadal egzystuję. Jako aktor na pewno więcej by zyskał niż jako sprzedawca. Jego odmowie się nie dziwiłem, nie wyglądał na typa, którego by sobie człowiek rozumny dobrowolnie wziął do domu i jeszcze nakarmił, nawet gdybym proponował większą zapłatę niż zwyczajowa. Ale kto niczego nie próbuje, ten nic nie uzyska, więc podpytywałem dalej. Po jedenastej nieudanej próbie przestało mnie to bawić. Wyglądało na to, że będę musiał zadowolić się pensjonatem ogłaszającym swoje istnienie wywieszonym szyldem, co oznaczało, że mogę zostać wyśledzony łatwiej, niżbym sobie życzył.

Rozejrzałem się, żeby znaleźć najwygodniejszą drogę wyjścia z przepelnionego targu. Poranny chłód zastąpiło ciepło pory południowej, plac roił się od ludzi, dźwięk dzwonek, pokrzykiwania, hałas grzechotek zwracających uwagę razem z zapachami, a często smrodem, składały się w jeden koktajl, który może wytworzyć tylko wielka ilość ludzi stłoczonych na ograniczonej przestrzeni. Słońce miało nadal dość siły, żeby w ciągu dnia ogrzać ziemię. Za parę tygodni stanie się inaczej, ale targowisko będzie zawsze przepelnione, chociaż obecni na nim ludzie będą bardziej przemarznięci niż teraz.

Miałem nadzieję, że w tym czasie znajdę się już całkiem gdzie indziej, nie lubię długo zostawać w jednym miejscu. Miasto jest kotłem, w którym warzą się ludzkie losy, i chętnie zamienię je na samotność zadrzewionych zboczy i szczytów górskich lub spokojną pustkę monottonnych, suchych stepów.

– Szuka pan mieszkania?

Jestem wysoki, a ona stała tak blisko, że musiałem schylić głowę, żeby móc zobaczyć jej twarz. Włosy czarne jak pióra gawrona, wyraziste wargi i czarne, czujne oczy. Miała na sobie proste ubranie odkrywające ramiona. W lewej ręce trzymała koszyk z zakupami, jego ciężar uwydatniał kształt ramienia i zarys obojczyka.

– Dobrze pani słyszała – potwierdziłem.

Nie uśmiechnęła się, tylko na moment silniej zwarła wargi, co uwidoczniło sieć drobnych zmarszczek w kącikach ust.

– Kwateruję tylko tych gości, którzy zamierzają zostać na dłużej. Minimalnie – chciała powiedzieć tydzień, ale połknęła to słowo – czternaście dni. Oferuję spokój, prywatność i dobre jedzenie.

W koszyku miała kilka ryb, zauważyłem, że nie tych z kadzi, ale przywiezionych na targ już śniętych. Były tańsze. Miała też jakąś zieleninę.

– Sporo tego pochłaniam. Więcej, niż na to wyglądam.

– Za piętnaście srebrników będzie pan miał tyle jedzenia, ile da radę w siebie wepchnąć. Śniadanie i kolację – uściśliła.

– To mnie zadowala – zgodziłem się.

Była na targu sama, a nie bała się mnie, w odróżnieniu od wielu innych. Nie byłem pewny, czy dobrze zrozumiała znaczenie słów „sporo tego pochłaniam”, więc dla pewności kupiłem porządny kawał wołowiny, polec słoniny i trzy butelki wina. W miastach niedobrze jest pić zwykłą wodę, szkodzi na żołądek. Oczywiście można ją przegotować, ale człowiek wygląda wtedy na wariata. Piwo to co innego! Tu i ówdzie warzą dobre piwo, ale ja po prostu nie muszę pić piwa. Wino można pić tak, jak to czynię, już zagotowane, a jeśli nie ma wyboru, to pomieszane z wodą, mniejsza jej ilość mniej szkodzi.

W końcu wydostaliśmy się z tłumu zapełniającego plac i przylegające do niego ulice i poszliśmy wzdłuż rzędu wystawnych rezydencji do najstarszej części miasta, znajdującej się na jego północno-wschodnich obrzeżach. O godzinę marszu dalej była najbliższa odnoga Jeziora Brunatnego, którą przeprawiano towary do Malanska i dalej na wschód. Pierwsi przybysze nie mogli osiedlić się wprost przy brzegu, bo ziemia w pobliżu jeziora bywała okresowo zalewana. Tak więc w miarę zbliżania się do najstarszej części miasta, spotykało się domy coraz bardziej przypominające małe twierdze, zdolne odeprzeć ataki mniejszych grup najeźdźców. Wszystkie były dwu- lub trzypiętrowe,

na parterze bez okien, tylko nad drzwiami widniały wąskie strzelnice dla powitania nieproszonych gości. Stanęliśmy przed budowlą powstałą w wyniku złączenia czterech budynków ustawionych w czworobok. Domy nie stykały się ze sobą, łączył je wysoki na cztery metry mur, który praktycznie można było uznać za obwarowanie. Zdziwiła mnie doskonała praca budowniczych. Ustawili duże kamienne bloki z taką precyzją, że niepotrzebna była zaprawa murarska ani żadna masa wypełniająca.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała.

Sprawiła teraz wrażenie mniej pewnej siebie niż na początku.

– Tu mieszkamy.

Dom-twierdza sprawiał wprawdzie wrażenie surowości, ale do ubóstwa było mu daleko i nie wydawało mi się, żeby ktoś, kto w nim mieszka, potrzebował piętnastu srebrników aż tak bardzo, żeby przyjąć lokatora takiego jak ja.

Podeszła do masywnych, dębowych drzwi osadzonych w gładkiej ścianie i zastukała szeroką mosiężną kołatką. Przez dłuższy czas nic się nie działo. Stałem obok i rozglądałem się. Znajdowaliśmy się na samym skraju miasta, ulica kończyła się widokiem na częściowo rozebrany stary mur i rozciągający się za nim obszar poprzecinany wieloma kanałami i jeziorzami zalanyymi brązową wodą.

– Dziś drzwi otwiera Rosemary. Słyszy dobrze, ale kiepsko chodzi – wyjaśniła, ukrywając zdenerwowanie.

– Całkiem, jakbyśmy wchodzili do twierdzy – napomknąłem.

– Stary nawyk. Mieszkamy na skraju miasta, czasem kręcą się tu różni ludzie.

W końcu zagrzechotał zamek i moja przyszła gospodyni wyraźnie odetchnęła z ulgą. Gdy z jej twarzy zniknęło napięcie, drobne zmarszczki wygładziły się, wyglądała młodziej i nie tak surowo jak na początku.

Drzwi otwierały się powoli, jakby ktoś z drugiej strony zadawał sobie z tym sporo trudu. Nie zdziwiło mnie to. Nie były sporządzone z grubych dębowych desek, jak przypuszczałem wcześniej, ale z belek wzmocnionych dodatkowo żelaznymi prętami. Jeszcze pewniejszym wzmocnieniem okazały się dwa rygle, a ponadto pionowy drąg wchodzący w otwór w podłodze.

Za drzwiami, w ciemnym korytarzu, do którego światło wpadało tylko przez otwory w suficie, oczekiwała nas zasuszone staruszka.

– Każewicz będzie chciał wiedzieć, kogo przyprowadziłaś, Liam – zaburczała. Na mnie nie zwróciła uwagi i zaczęła kuśtykać po schodach na górę.

– Lokatora – odszczeknęła moja przewodniczka. – Jak Każewicz zacznie płacić za jedzenie, które zjada, nie będę potrzebowała tylu pieniędzy.

Na to już staruszka nie zareagowała.

Liana zamknęła drzwi, zasunęła oba rygle i ruszyła po schodach na górę. Jeśli już ktoś przedostałby się przez te drzwi, kilku odważnych obrońców zdołałoby bardzo mu utrudnić dalsze posuwanie się naprzód. Otwory znajdujące się w suficie mogły służyć jako strzelnice, domyślałem się, że jakieś inne mogą być w ścianach. Z drugiej strony dostarczanie zaopatrzenia tym przejściem nie było chyba wygodne. Może jednak istniała z innej strony tego domu-twierdzy jakaś większa brama.

Wyszliśmy na dach, właściwie rozległy taras, z którego wyrastała kolejna nadbudówka. Z tego, co zauważyłem, wynikało, że główna przestrzeń mieszkalna znajdowała się na piętrze, na dole były raczej magazyny, pracownie i inne pomieszczenia niezbędne dla funkcjonowania większego gospodarstwa. Prawidłowo odgadłem, że domy ustawione w obronny czworobok mają wspólny dziedziniec wewnętrzny, na którym stała studnia. Z góry widać było, że powierzchnia wody jest blisko powierzchni dziedzińca. Domy nie mogły mieć piwnic, poziom wód gruntowych musiał tu być wysoki, uświadomiłem sobie.

– Proszę za mną, mój dom to ten na prawo. – Pokazała mi chodnik okalający cały kompleks wzdłuż pięter mieszkalnych.

W otwartych drzwiach drewni bawiło się troje dzieci. Gdy mnie spostrzegły, zagapiły się z otwartymi buziami, jedynie starszy chłopak rąbiący drewno udawał, że mnie nie widzi. Nikogo z dorosłych nie zauważyłem, tylko w otwartym oknie domu naprzeciwko spostrzegłem jakiś ruch.

Liana zaprowadziła mnie do przestronnej kuchni, przeznaczonej dla dużej rodziny, i zaczęła wykladać zakupy na stół. Dodałem do tego swoje wiktuały, butelki postawiłem obok nich.

– Nazywam się Koniasz – przedstawiłem się.

– Po co pan mi to mówi? – spytała nieprzyjaźnie.

– Bo znam pani nazwisko – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Zrobiła zakłopotaną minę.

– Pan wybaczy, przepraszam. Każewicz był kiedyś naszym starostą, dawno temu. Dlatego wciąż wtyka nos w nie swoje sprawy. Napije się pan kawy? Ja się napiję. Jestem na nogach już od świtu i muszę chwilę odpocząć.

– Chętnie.

Usiadłem na krześle i obserwowałem, jak krząta się koło pieca kuchennego. Udało się jej jakimś cudem rozdmuchać na pozór wygasły ogień, który już po chwili trząsał wesoło. Gdy się pochylała podczas wykonywania czynności domowych, dostrzegłem jej kostki i dolną część łydek. Chodziła z bosymi nogami wsuniętymi w drewniaki na niskim obcasie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy i pozostała część jej nóg, ściślej mówiąc ta ich przeważająca część, której nie było widać, jest tak samo godna uwagi jak to, co mogłem dostrzec i ocenić.

W kuchni zapachniało kawą.

Sądząc po tym, jak się poruszała, jak chodziła, założyłbym się, że tak.

– Czemu się pan uśmiecha? – zapytała, stawiając przede mną obtłuczony wprawdzie, ale porcelanowy kubek gorącej kawy.

– Do niektórych rzeczy warto się uśmiechać – oznajmiłem i upiłem łyk.

Przez chwilę przyglądała mi się podejrzliwie, potrząsając głową, w końcu sama się uśmiechnęła. To był ładny uśmiech. Cała przy tym rozkwitła, jakby spadła z niej cała góra skrywanych trosk.

– No tak, to prawda.

Napiłem się kawy, parząc się przy tym w język. Mocna, aromatyczna, palona ani za mocno, ani za mało, po prostu akurat tak jak trzeba.

– Znakomita – oceniłem.

– Już ostatek. – Wzruszyła ramionami jakby z żalem i chmara trosk powróciła.

Położyłem na stole złotą monetę i pięć srebrnych. Spojrzała na pieniądze obojętnie i zostawiła je na miejscu.

– To niezwykle, że kobieta taka jak pani zaoferowała mieszkanie mężczyźnie takiemu jak ja – poruszyłem temat, nad którym łamałem sobie głowę.

Ciekaw byłem, jak na tę uwagę zareaguje.

– Wcale nie. Jest pan mężczyzną, który tuła się z jednego końca świata na drugi, to jest jasne na pierwszy rzut oka. Unika pan niepotrzebnych problemów i choć nie wygląda pan na takiego, to zszedł pan z drogi żołnierzom.

– Mogę być poszukiwanym przestępcą, przypuśćmy, że mnie ścigają – dalej wystawiałem ją na próbę.

– Pewnie, ale większość przestępców nie daje biedakom szczodrej jałmużny.

– Większość nie – przyznałem i znów upiłem łyk czarnego, pobudzającego napoju. – Pani mnie po prostu już przedtem oceniła.

– Tak – przyznała. – Kobieta musi tak czynić, gdy chce przeżyć w tym świecie. A przecież ma pan w tej torbie – wskazała na nią – jakąś książkę. – Potrząsnęła głową jakby ze zdziwieniem. – A to jest również pewna rekomendacja.

Uniosłem kubek w toaście.

– Brak mi słów.

Czarodzieje

Samuel Wicker siedział wygodnie w swym wielkim, rzeźbionym fotelu za dużym, prostym stołem i nie spuszczał oczu z Majala, zajmującego krzesło naprzeciwko. Pozostali dwaj członkowie rady siedzieli po bokach.

Trzech mistrzów mogło swego wielkiego mistrza przegłosować tylko w przypadku, gdy byli jednomyślni. Dzięki jego przezornej polityce nigdy dotąd do tego nie doszło.

Wicker zdawał sobie sprawę, że ich zamierzenie wiele zmieni. Od czasu gdy z lęku przed cesarzem i Konwentem, zwalczającymi czarodziejstwo pod wszystkimi postaciami, musieli przejść do działań nielegalnych, porozumiewali się jedynie poprzez pośredników. Teraz po raz pierwszy zasiedli osobiście do narady. Jeśli misja Majala powiedzie się, jego zdanie zyska na ważności, to było jasne. Wicker trwał w milczeniu i rozważał. Zostanie nadal wielkim mistrzem, obroni swoją pozycję?

Drzwi skrzypnęły, do pomieszczenia wszedł Janick z tacą, na której stały cztery kielichy cydru i talerzyk z cukierkami. Wicker skrzywił się w duchu. Była to bardzo prosta kolacja. Przed laty, jeszcze w cesarskim pałacu, doskonałe i wykwintne wyżywienie należało do jego przywilejów. Tutaj nie, z roku na rok tracił na wadze. A kiedyś był taki gruby.

Janick bez słów postawił poczęstunek na stole, obrzucił obecnych ciekawym spojrzeniem i wyszedł.

Prosty zamek trzasnął aż trzy razy.

– Wszystko gotowe. Możemy wiele zyskać albo stracić – powiedział Wicker, podniósł puchar i przyglądał mu się uważnie, jakby mógł w nim znaleźć odpowiedź na wszystkie swoje wątpliwości.

W zestawie przedmiotów znajdujących się w awaryjnym składzie Maaterenditu powinni znaleźć bliżej nieokreśloną ilość kryształów siarczanu miedzi, inaczej koperwasu. Do czego mogły służyć, Wicker dowiedział się przypadkiem już dawno z uwagi zamieszczonej w przypisach. Historyk z następnej epoki wyjaśniał w niej, że były one w okresie rozkwitu stosowane do treningu żaków i nowicjuszy, którzy z ich użyciem uczyli się układać energię magiczną. Po upadku kryształy te były używane jako źródło mocy dla tych, którzy umieli nią manipulować, ale nie potrafili jej gromadzić. Wicker również wypróbował tę technikę czarowania i dzięki temu udał mu się czar, który stał się podstawą jego reputacji i pozycji. Jednak gdy później, już bez pomocy kryształu, pokusił się o prostszy i łatwiejszy czar, o mało nie przypłacił tego życiem, skutkiem szoku i zupełnego wyczerpania swego potencjału magicznego. Spory zapas kryształów postawiłby go w zupełnie innej sytuacji.

– Przemysleliśmy wszystko wielokroć, w nasze plany w kalkulowanych jest kilka zabezpieczeń. Przypadkowe niepowodzenie nie zagrozi klanowi. A ja sam jestem skłonny zaryzykować – rzekł cicho Majal.

Wicker znów pomyślał o tym, jak wielką mocą dysponuje jego gwałtowny i prymitywny w sumie zastępca. Pewne uzdolnienia jednak miał, musiał to przyznać każdy, kto widział klanowy rytuał przyjęcia. Ale jak wielkie? Tej tajemnicy pilnie strzegli jeden przed drugim. Wicker domyślał się, że nikt z nich nie jest wyraźnie lepszy od niego samego. Przewagę dawała mu wiedza gromadzona przez długie lata.

– Tak, niepowodzenie nie zagrozi klanowi. Co najwyżej zmarnujemy zgromadzone mozolnie środki. – Popatrzył na innych. – Ale tylko tak możemy osiągnąć należną nam pozycję – zakończył dobitnie i gestem ręki zachęcił pozostałych do wyrażenia swej opinii.

Wszyscy tylko przytaknęli. Z jednej strony zdawali sobie sprawę, ile Majal może zyskać w przypadku sukcesu, z drugiej zaś dobrze znali ryzyko całego zamierzenia.

– Życzymy ci powodzenia – oznajmił Wicker i wypił puchar do dna.

Majal poszedł w jego ślady, pozostałym członkom rady rzucił krótkie spojrzenie, w którym można było dopatrzeć się cienia pogardy.

– Wyruszymy jutro rano. Przypuszczam, że magazyn klanu będzie dla mnie otwarty. – Spojrzał na wielkiego mistrza.

Ten tylko kiwnął głową. Skromny zapas artefaktów i ksiąg był Majalowi do tej akcji konieczny. Pozostawało pytanie, czy znajdzie w nim coś użytecznego. Oczywiście nie licząc „Nudrogu”, gwarantował jedno z naprawdę dobrych zabezpieczeń.

– Szkoda, że nie mamy jakiejś naprawdę skutecznej broni – powiedział Majal posepnie.

Jest jak żołnierz, jak tępą żołdak. Z jakimi ludźmi muszę pracować? – pomyślał Wicker prawie z rozpaczą.

– Czas ucieka, a tegoroczny plon nie jest jeszcze zebrany. Tej jesieni musimy zgromadzić najwięcej pieniędzy jak tylko można – przypomniał swym podwładnym.

Gestem ręki zamknął posiedzenie.

*

Janickowi już dawno przeszedł entuzjazm i przeświadczenie, że z czasem stanie się czynnym czarodziejem. Posiadał jakieś ukryte skłonności do manipulowania mocą, inaczej nie przeszedłby testu, któremu go Wicker poddał przed laty. Była to jedyna rzecz dotycząca magii, która mu się powiodła. Od tej pory nie wykazał żadnego talentu ani wrażliwości, zaś nikt z pozostałych członków klanu nie starał się go kształcić. Janick umył ostatni kielich, rozejrzał się i nalał do niego trochę cydru z gąsiora. To był ten najlepszy i Wickerowi nie podobałoby się, że sługa podpija z jego osobistych zapasów.

Janick oparł się plecami o ścianę, obserwował mozaikę światła i cieni, jaką tworzyły promienie słoneczne przenikające do izby przez małe okna z krzywymi szybami, i popijał z zadowoleniem. Nie miał też złudzeń co do uzdolnień innych członków klanu. Czarodzieje z zamiłowaniem debatowali o magii, o artefaktach, wymyślali najróżniejsze hipotezy, jak czary właściwie funkcjonują i czego to można z użyciem mocy dokazać. Tylko że to były jedynie puste teorie, a jeśli udało im się dokonać czegoś w praktyce, to pieczołowicie strzegli sukcesu. Wicker niegdyś spojrzeniem podpalił człowieka. Janick tego wprawdzie nie widział, ale fakt ten potwierdzali, acz niechętnie oponenti wielkiego mistrza i dlatego w to wierzył. Koniec końców nie jest tu tak źle, osądził między dwoma łykami. Wystarczało spełnić kilka dość prostych poleceń, a potem mógł grzebać w starych księgach. Miał do nich łatwy dostęp, bo pozostali wiedzieli o jego braku zdolności magicznych. Może dlatego też stary Wicker ufał mu coraz bardziej.

Dopił trunek, przepłukał kielich w kubie i wyniósł naczynie z brudną wodą na zewnątrz.

*

Janick wiedział z doświadczenia, że po męczącej naradzie Wicker będzie rozmyślał i zostawi go w spokoju. To oznaczało, że miał przed sobą wolne popołudnie i wieczór. Po schodach stromych prawie jak drabina wspiał się na strych. Z biegiem czasu udało mu się przemienić niegościnne wnętrze w wygodne schronienie. W zeszłym roku obił belki deszczułkami, a wszystkie szpary obetkał sianem. Ocieplenie działało tak dobrze, że dzięki niemu mógł tu przebywać nawet w zimie. Karkołomna droga na górę gwarantowała, że nikt nie będzie mu się naprzykrzał, a on mógł kartkować książki, do których dostęp nie był dozwolony. Nie służyło mu to do niczego konkretnego, książki traktowały o mocy i manipulowaniu nią, czyli umiejętności, której nie posiadał. Emocjonował się jednak świadomością, że dotyka prastarych sekretów dawnych magów. Czasem znajdował przyjemność w studiowaniu specyficznych terminologii używanych przez poszczególne klany czarodziejów. W niektórych przypadkach różniły się między sobą prawie jak odmienne języki. Bywało to znacznie trudniejsze, bo w tekstach, które rozumiał tylko częściowo, zdarzało mu się mieszać znaczenie jakichś słów. Usiadł na pryczy i otworzył „Przezorną dietę”, książkę, którą mu niespodziewanie zostawił tajemniczy, uzbrojony po zęby cudzoziemiec. Wyświechtany tom był całkowicie odmiennym od jakiegokolwiek archiwaliu, z którym się dotąd zetknął. Zawierał przepisy – osobliwe przepisy, a czasem opisy nonsensownych z pozoru ćwiczeń, o których przydatności nie miał pojęcia. Receptury liczące kilka stuleci, z czasów gdy światem władali magowie. Postanowił spróbować ugotować według nich jedzenie dla siebie. Czuł nienormalną rozkosz, gdy z magazynu wynosił w tajemnicy po odrobinie najróżniejszych cennych przypraw, aby je potem zużyć i zjeść. Czasami zaś odwrotnie, czuł się jak prowincjonalny głupek, gdy gotował zupę na wodzie zaczerpniętej podczas pełni księżyca. Kontynuował próby ściśle według receptur z książki i doszedł właśnie do potrawy o poetyckiej nazwie „Ogniste Przejrzenie”, czy może „Przewidywanie”, bo nie był pewny przekładu. Według pierwszej pobieżnej lektury chodziło o zwyczajną kaszę. Potem stwierdził, że nie tak znowu zwyczajną, między dodatkami bowiem znalazła się jego własna krew i grzybki zwane wratniczki, o których wiedział, że ich używanie nie jest zbyt bezpieczne. Miały własności narkotyczne i klanowy toksykolog wytwarzał z nich swoje osobliwe substancje. Zabrał się do studiowania przepisu, zmagając się z nieznanymi określeniami, terminami i ich powiązaniem,

żeby niczego nie przegapić. Czytając dokładnie, znalazł warunek, że grzybki muszą być świeże. Trochę mu ulżyło, że tego niebezpiecznie wyglądającego przepisu nie będzie mógł na sobie wypróbować. Grzybki były rzadkością, w dodatku pora roku, w której się pojawiały, już minęła. Dziś rano jednak zbiegiem okoliczności odkrył na skraju jabłoniowego sadu całą ich kolonię. W chwili gdy je zauważył w trawie, uświadomił sobie ze strachem, że nie ustąpi. Że to dziwne jadlo ugotuje i popróbuje go.

Jeszcze raz przeczytał przepis. Stale wahał się co do znaczenia dwóch terminów, ponieważ były niejednoznaczne nawet według słowników żmudnie opracowanych przez mistrzów klanu. Dwa pojęcia przy podwójnych, różniących się objaśnieniach dawały cztery odrębne przepisy. Będzie miał w takim razie kolacje czterech rodzajów. Dlaczego nie? Zadowolony z prostego sposobu rozwiązania problemu, zlął ze swego azylu na dół i bez jakichkolwiek środków ostrożności zabrał się za gotowanie. Pracy w kuchni było zawsze dość, a człowiekiem stojącym na najniższym stopniu drabinki znaczenia w klanie nikt się nie interesował.

Przygotowanie potrawy zajęło mu więcej czasu, niż przypuszczał, a potem szybko zrobił kolację dla Wicker. Skończył późnym wieczorem przy świetle lampy olejnej i jednej świecy. Musiał oszczędzać, wszyscy musieli oszczędzać, jako że źródła utrzymania klanu były ograniczone. Dlatego też Wicker miał na punkcie gospodarności prawdziwą obsesję.

Janick odsunął z płyty garnki, usiadł i przez chwilę zmęczony patrzył na żarzące się w palenisku węgielki. Jedną z ostatnich wskazówek przepisu zapamiętał dobrze: „Przed konsumpcją rozluźnić się maksymalnie”. To śmieszne. Czuł się śmiertelnie znużony i bynajmniej nie rozluźniony. Niestety, nie miał sługi, który by mu jedzenie przygotował. Pokroić grzyby tak, żeby żaden kawałek nie był większy niż obcięty paznokieć małego palca! Choć ten warunek wydawał się niedorzeczny, spełnił go dokładnie. W końcu już wydawało mu się, że przepis podporządkowany jest głównie temu, aby człowiek, który według niego przygotowuje jadlo, skończył robotę zupełnie wyczerpany. Nabrał na łyżkę i spróbował pierwszy kęs. Gdyby to było zwykłe jedzenie, natychmiast by je wypluł, tak obrzydliwie smakowało. Wysilek przygotowania magicznej strawy podjął jednak z powodów poznawczych, dlatego żuł z determinacją, pogodzony z tym, że próbujący nie może oczekiwać Bóg wie czego. Druga i obie następne, kosztowane kolejno potrawy smakowały jeszcze gorzej. Po cholere poświęcali tyle trudu, żeby zapisać receptury na coś zupełnie niejadalnego? A w ogóle, dlaczego potężni czarodzieje jadalni takie paskudztwo? Ale widać jadalni, inaczej by ta książka nie powstała...

Bezmyślnie i mechanicznie ładował w siebie jedną łyżkę niesmacznej kaszy za drugą. Została ostatnia porcja, przed której zjedzeniem jednak się zawahał. Zapomniał postępować zgodnie z końcową wskazówką: „Jedzcie od pięciu do sześciu kęsów, stosownie do tego, ile wazycie, potem obserwujcie pozostałą na talerzu porcję”. Co za głupota. Węgielki w palenisku rozgorzały, jakby je rozdmuchał wiatr, podłogę przekreśliła pofalowana, srebrzysta linia, przypominająca potok błyszczący w świetle księżyca. To te grzybki. Spojrzał na łyżkę. Jej zawartość świeciła na pomarańczowo. Natychmiast poczuł mdłości. Zwymiotować, to jest właśnie to, czego potrzebuje, zamiast jeść dalej, pomyślał zgodnie z żądaniem swego żołądka. Ale, o ile się da, lepiej wszystko zwrócić na dworze, nie tutaj, inaczej musiałby potem sprzątać. Utrzymał dziwaczne jadlo w brzuchu aż do progu, o który się potknął, a potem wyrzucił z siebie wszystko na wydeptany chodnik. Nie muszę sprzątać, wystarczy, jak się umyję, pomyślał, zanim zasnął lub zemdłał.

Kontrahent

Mój pokój był wygodny, kolacja więcej niż obfita. Liama nie mówiła wiele, a mnie milczenie nie przeszkadzało. Później, wieczorem, stwierdziłem, że najbardziej zadziwiającą rzeczą w tym domu-twierdzy jest łazienka. Tu budowniczowie wykazali największą zręczność w swym rzemiośle i stworzyli coś, czego oczekiwałbym raczej w cesarskim pałacu. Ściany z kamienia ciosanego i płyty podłogowe osadzone zostały z taką precyzją, że ich styki były widoczne tylko z niewielkiej odległości, wannę wykonano z granitowego bloku, który ktoś niezwykłym nakładem pracy wydrążył tak, że ścianki miały nie więcej niż dziesięć, piętnaście centymetrów grubości. Wody nie trzeba było do niej nosić wiadrem, płynęła z metalowych rurek. Możliwe, że oprócz cesarza podobne łazienki miało kilku arystokratów, lecz trochę w to wątpiłem. Było przecież pod ręką dosyć służących, którzy mogli donieść wodę w dowolnej ilości. Takich możliwości nie miał dawny budowniczy tego domu i urządził to inaczej. Dawno już nie patrzyłem na dzieło rozumu ludzkiego z takim podziwem. Przekręciłem lewy kran i do wanny pociekła woda. Ciepła, a właściwie gorąca. Stylizowany emblemat przedstawiający trójlistek, utworzony z kamiennych kryształów, pokrył się gorącą parą. Ciepły szlafrok i kilka dużych lnianych ręczników na wieszaku z lakierowanego orzecha świadczyły o tym, że łazienka była często używana przez mieszkańców.

Na drugi dzień wczesnym rankiem zrobiłem krótki obchód wynajętych w gospodach kwater, odebrałem wiadomości i dostarczone materiały, z tajnej skrytki wyjąłem paczkę od Schantila i wróciłem do aktualnego miejsca zamieszkania.

Dzięki uprzejmości moich dwóch partnerów handlowych, której sobie obaj z pewnością nie ośmiąkną wycenić, miałem do dyspozycji sporą ilość danych dotyczących historii Krachtiburga, handlu i miejscowych szlaków handlowych. Problem polegał na tym, że solidne zapisy nie sięgały w przeszłość dalej niż na sto lat. O czasach jeszcze dawniejszych krążyły tylko opowieści i legendy, co zresztą nie mogło dziwić. Najstarszy wiarygodny zapis został sporządzony przed stu czterdziestu trzema laty i mówił o tym, że nałożono podatek na wszystkich mieszkańców miasta bez różnicy, również na pierwszych osadników, którzy – jak wynikało z kilku skopiowanych notatek – domagali się ulgi ze względu na to, że ich przodkowie wybudowali przeważającą część obwarowań, a oni sami nadal je utrzymywali. Do stu czterdziestu trzech lat wystarczyło dodać jedynie dwie generacje i wpadało się w okres ciemnoty, izolacji miast, bezładu i wściekłego, niczym niekontrolowanego polowania na czarodziejów, którzy przeżyli poprzednie szaleństwo i pokłosie Wielkiej Wojny.

Z dzbankiem dobrej kawy, mnóstwem interesującego materiału do studiowania, w zaciszu wygodnego pokoju dzień minął nie wiadomo kiedy. Czytałem u otwartego okna i zażywałem jakże rzadkich chwil spokoju. Wraz z wydłużaniem się wieczornych cieni, świat ochładzał się i stopniowo ustawało drżenie ogrzanego przez kamienne tarasy powietrza. Kolejne spotkanie handlowe miałem zaplanowane dopiero na późny wieczór. Niektórym transakcjom światło dzienne po prostu nie służy. Rozpakowałem pakunek od Schantila i spośród warstw surowego płótna oraz irchy wydobyłem miecz. Klinga długa na metr dziesięć, jelec szeroki na dwie moje dłonie. Nie po raz pierwszy trzymałem to ostrze w ręku i właśnie dlatego ująłem je z pewną ostrożnością. Broń wyglądała na doskonałą. Świetnie wyważona, klinga wąska jak w najlepszych chaabskich mieczach, asymetryczny czubek, przesunięty do jednej linii z ostrzem. Trzymając go, cały czas miałem niezwykle, acz

nieprzyjemne wrażenie, takie samo jak wtedy, gdy go kupowałem, może jeszcze silniejsze. Włoski na potylicy zjeżyły się i na moment owładnęło mną uczucie chłodu. Może dlatego, że dobrze zdawałem sobie sprawę, iż to stworzone do zabijania narzędzie pochodzi sprzed ponad trzystu lat i zostało wykonane przez ludzi, którzy o pewnych rzeczach wiedzieli więcej od nas. Na gardzie, poprzecznicy wzmocnionej wygiętym „S”, pozbawionej jakichkolwiek ozdób, znajdował się zwięzły napis w specyficznym języku czarodziejów, swaglish: „Na pewno równie dobry jak ten, który go trzyma”.

Słowa „dobry” nie byłem w tym przypadku całkiem pewny. W stosunku do broni można by to przełożyć raczej jako „straszliwy” lub „nieubłagany”. Ostrożnie odłożyłem miecz, zawinałem go tylko w skórę i okręciłem sznurkiem na całej długości. Miałem nadzieję, że kontrahent, o którym mówił Brahm, rzeczywiście stawi się na umówione spotkanie. Nie przystałem do końca na jego ofertę, miał do oferowanych ksiąg dodać jeszcze kronikę Krachtiburga i okolic, ewentualnie inną faktograficzną pozycję o historii miasta. Brahm w swojej krótkiej wiadomości nie wspominał, jak gość zareagował na podwyższenie ceny, określił tylko czas i miejsce spotkania.

Wyszedłem ze swojego pokoju, minąłem dwa kolejne, puste. Już się co nieco orientowałem w układzie budynku. Jedno z pomieszczeń było kiedyś urządzone jako pokój dziecinny, ale dużo rzeczy z niego wyniesiono i dość długo nie porządkowano. Drugie początkowo służyło jako sypialnia. Poczesne miejsce zajmowało w nim duże łóżko małżeńskie. Ten pokój też sprawiał wrażenie od dawna nieużywanego. Liama zajmowała drugą część domu rozdzielonego korytarzem. Była w niej wielka wygodna kuchnia i mały pokój, w którym sypiała. Z kuchni wiodły jeszcze jedne drzwi, prawdopodobnie do komory na wiktuały i inne rzeczy potrzebne w gospodarstwie domowym. Nie miałem jeszcze okazji rozejrzeć się tam niepostrzeżenie, przypuszczałem, że można tamtędy zejść na dół, na parter pełniący rolę piwnicy.

Zajrzałem do kuchni. Liama obierała zieleninę i coś sobie przy tym cicho podśpiewywała. W wielkim, masywnym piecu palił się ogień. Promieniujące z niego ciepło przeganiało chłód zbliżającej się nocy. Kiedy się trafi okazja, porządnie to wszystko zbadam, postanowiłem już kolejny raz. Interesował mnie system rozprowadzenia wody, kryjący się gdzieś wewnątrz murów. Ogrzewał wodę doprowadzaną do łazienki z niezwykłą sprawnością i bardzo szybko.

– Wrócę późno, nie trzeba czekać na mnie z kolacją – oznajmiłem Liamie.

Spojrzała na mnie, przez chwilę wyglądała na wystraszoną, ale zaraz znów przybrała zwykłą, obojętną minę.

– Oczywiście, dziękuję, że pan o tym wspomniał.

Bała się mnie? Dalej nie było to dla mnie jasne, chociaż zaoferowała mi mieszkanie. Nie była chyba bogata, jednak biedy w samej rzeczy nie cierpiała, a ze względu na wygodę, jakie dom zapewniał, mogła zażądać o wiele wyższej sumy.

– Czy dom należy do pani? – zapytałem głównie po to, żebym mógł jeszcze przez chwilę na nią patrzeć.

– Tak, ściślej ta część czworoboku – przytaknęła. – Czworobok to stara nazwa czterech domów

połączonych w jedną obronną całość – wyjaśniła, widząc mój pytający wzrok. – Pierwsi osadnicy tak je dawno temu wybudowali. W mieście znajdzie pan ich jeszcze kilka.

– Dorastała pani tu? – spróbowałem jeszcze jednego pytania.

– Nie – pokręciła głową, a wspomnienia spowodowały, że straciła część czujnego napięcia. – Kilka ulic stąd, w innym czworoboku.

– No to nie jest pani trudno dzielić się z innymi ludźmi podwórkiem i resztą zabudowy.

– I przestrzegać niepisanych reguł – zgodziła się. – Wysłałam za mąż, a mąż przedwcześnie zginął. Płynął przez jezioro, gdy nagle zerwała się burza i utonął. Razem z naszym synem.

Powiedziała to spokojnie, lecz nawet biorąc pod uwagę, że wydarzyło się to dawno temu, wiedziałem, że czas, który leczy rany, ma przed sobą jeszcze dużo pracy i nie wiadomo, czy w ogóle da radę. Pogodzenie się z losem i zapomnienie nie każdemu jest dane.

– Przykro mi – powiedziałem cicho.

Kiwnęła głową zamiast odpowiedzi.

– Dziś wieczorem służbę przy drzwiach ma stary Dekil. Zwrócę mu uwagę, że wróci pan późno.

– Może nawet nie trzeba. – Zamyśliłem się. – Dotrę tu raczej dopiero rano, a przypuszczam, że wasi stróże wstają wcześniej, jak większość starych ludzi.

– Oczywiście – zgodziła się i mało brakowało, żeby się zachmurzyła. – Chciałam dziś przyrządzić rybę. Tanio kupiłam jesiotra. A do tego dostałam bardzo dobre białe wino, może pan spróbuje? – zaproponowała.

Brzmiało to bardziej niż zachęcająco.

– Nic z tego raczej nie będzie. – Wzruszyłem ramionami. – Przykro mi.

Odwróciłem się i z zawiniętym mieczem pod pachą zszedłem po schodach na dół. Dopiero gdy z traskiem zaryglowały się za mną główne drzwi, uświadomiłem sobie, że starała się zatrzymać mnie w domu. Dlaczego?

Na spotkanie z Brahmem nie poszedłem prosto, ale zwykłą trasą przez kilka gospód i szynków, gdzie zjadłem coś niecoś i wypilem. Żując łykowatą wołowinę, którą popijałem kwaśnawym winem rozrzedzonym wodą w stosunku jeden do jednego, z pewnym żalem wspominałem propozycję Liamy. I rozmyślałem o tym, co też się za nią kryło.

Stary gangster czekał na mnie na zewnątrz, przed firmą, którą przed paroma miesiącami obrał sobie na kwaterę główną.

– Od jednego chłopiny, który jest wobec mnie zobowiązany, wypożyczyłem na dziś jego sklepik

– powiedział zamiast powitania. – Tam możemy towar obejrzeć bez świadków i bez pośpiechu.

Wskazał mi kierunek, w którym mieliśmy iść, i ruszył. Obaj rozglądaliśmy się uważnie wokoło, nic jednak niezwykłego nie spostrzegłem, a i on wyglądał na zadowolonego.

Kierowaliśmy się na południowy skraj miasta, gdzie z obwałowań pozostały tylko resztki.

– To nie jest zbyt okazały kram. Porządny handlowiec nie byłby mi nic winien – powiedział z uśmiechem po kilku minutach marszu.

Kłamał, jego kontakty sięgały o wiele wyżej niż tylko ubogich kupczyków. Prawie każdy ma jakieś nienaturalne zachcianki i pragnienia, lecz tylko najpotężniejsi znajdują środki, aby je zaspokoić.

– Jesteś zdenerwowany – stwierdziłem, gdy po raz trzeci upewnił się, że w opasce pod kabatem ma swój długi nóż.

– Taa – potwierdził. – Ten chłop jest dziwny. Tak dziwny, że aż mnie strach bierze.

Siła Brahma tkwiła w tym, że znał granice swej działalności, nigdy mi jednak o tym nie mówił. Szliśmy szybko i w milczeniu, sądząc po tym, jakie uliczki wybierał, wyraźnie nie najkrótszą drogą. Nie chciał, żeby nas ktoś śledził. Na skraju miasta nie było żadnych lamp ulicznych, słabe światło przenikało na zewnątrz tylko sporadycznie, poprzez zamknięte okiennice domów. Ciemność zgęstniała i musieliśmy zwolnić, żeby nie potknąć się o kupy odpadków albo nie połamać nóg w głębokich rynsztokach. Porządnej kanalizacji nie przypominały ani trochę, ale lepsze były niż nic.

– Jak nas znajdzie? – zapytałem, gdy zatrzymaliśmy się przed na wpół zburzonym domem. Albo na wpół zbudowanym, po ciemku nie można było poznać. Nie sądziłem, żeby Brahm był tak nieostrożny i wyjawiał zainteresowanemu miejsce spotkania z góry. To mogłoby ułatwić zastawienie pułapki.

– Przeprowadzi go mój człowiek.

Przez chwilę grzebał kluczem w zamku.

– Tak to jest, jak się człowiek stara działać w uczciwy sposób – narzekał. – Włamanie byłoby łatwiejsze. I cichsze.

W końcu zawiasy zaskrzypiały, drzwi się otworzyły i nastąpiła cisza. Wyjąłem nóż, postępując za Brahmem. Instynktownie zamknąłem oczy, aby w ciemności wyostrzyć pozostałe zmysły. Ktoś tu niedawno palił tytoń, ale ta woń była tylko dodatkiem, bo dominował aromat ziół. Rozpoznawałem też zapach kilku gatunków bardziej egzotycznych roślin o działaniu odurzającym. Nikt tu na nas nie czekał, jeśli nie był specjalistą od wyczekiwania w małych, zamkniętych przestrzeniach. A tacy też istnieli.

– Zamknij, nie trzeba budzić całej okolicy – mruknął Brahm.

Mogła to być zasadzka i zdołałem sobie wyobrazić, że wołał, abym się na chwilę oddalił.

Wycofałem się do drzwi i zamknąłem je. Sięgnąłem do kieszeni po krzesiwo i po chwili zajaśniał płomień lampy olejnej. Brahm wyciągnął z kieszeni pięć łojowych świec i położył je na stole.

– Myślę, że będziesz chciał zajrzeć do tych książek – rzekł.

Rozglądałem się, trzymając nóż blisko ciała, a mój cień wtórował mi niczym wierny strażnik. Handelek odbywał się w maleńkim pomieszczeniu pozbawionym tylnego wyjścia. Biorąc pod uwagę rozmiary domu, oznaczało to, że takich minisklepek jest tu więcej. Przez chwilę czułem się jak królik w norze, ale potem spostrzegłem klapę w niskim suficie.

– Fred ma tę małą komórkę i cały strych. Suszy tam zioła – wyjaśnił Brahm, usiadł na jedynym krześle i pogрузzył się w obojętnym wyczekiwaniu.

Oparłem się o ścianę, odwróciłem głowę od lampy, aby mnie nie oślepiła i żeby została mi choć częściowo umiejętność widzenia w ciemności. Ściana była tylko z grubsza, nieporządnie otynkowana. Nisko nad podłogą, podczas przeciągania czegoś ciężkiego, obdarto ją aż do samego muru. Drewniana posadzka od czasu do czasu sama z siebie skrzypiała, oprócz tego panowała cisza. Miałem niemal wrażenie, że słyszę syczenie palącego się knota lampy. Nie było sensu wypytywać, kiedy kontrahent przyjdzie. Brahm pewnie sam tego dokładnie nie wiedział, ale na pewno nie chciał spędzić całej nocy w ciasnym pomieszczeniu, zwłaszcza że miał dużo ciekawych obowiązków, o czym sam mi niedawno opowiadał.

Wcześniej, niż ozwał się odgłos kroków, wyczułem, że ktoś się zbliża. Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Wolno, szybko, szybko, wolno. Spojrzałem na Brahma.

Nie poruszył się, tylko kiwnął głową.

– Mój człowiek, wszystko w porządku – powiedział, sięgnął za siebie i naciągnął kaptur na głowę.

Nigdy przedtem nie widziałem u niego takiego ubrania, musiał je sobie sprawić specjalnie na tę okazję.

– Nie chcę, żeby mnie później poznał. To arystokrata, tak jak ty.

Miałem nadzieję, że nic nie pokazałem po sobie. Skąd Brahm się dowiedział? I ile, cholera, wiedział?

– Rozumiem – powiedziałem tylko.

Podszedł do drzwi, ostrożnie je otworzył. Słabe światło świecy zmieniło go w widmo z ponadstuletniego drzeworytu, na którym podobnie odziani ludzie przemierzali ziemię spustoszone przez epidemię i grzebali jej ofiary, żeby osłabić zarazę.

– Wszystko przygotowane zgodnie z umową – mruknął z pochyloną głową i odstąpił na bok.

Dostrzegłem wysokiego człowieka z bladą twarzą, wylaniającego się z ciemności. Rozejrzał się czujnie i dopiero potem dał wolną drogę mojemu klientowi. Mężczyzna ten był szczupły, choć nie wychudzony, miał pociągłą twarz z oczami tak głęboko osadzonymi, że w kiepskim oświetleniu wydawało się, że ich w ogóle nie ma i ogląda świat tylko przez puste oczodoły. Był trochę niższy ode mnie, ale niewiele. Nie, był nieco wyższy niż ja, poprawiłem swój osąd, gdy zauważyłem, że jest mocno zgarbiony.

Obrzucił pomieszczenie jednym tylko spojrzeniem i bez dalszej zwłoki wszedł do środka. Odział się na czarno, wszystkie części jego ubrania były matowe. Nawet jelec miecza był matowy, bez śladów używania. Zastanowiłem się, jak może wyglądać klinga, ale pomyślałem, że nie muszę przecież widzieć i wiedzieć wszystkiego.

Tak jak magnes przyciąga żelazo, tak zawinięty w skórę miecz leżący na ladzie przykuł jego wzrok. Odwrócił się, przewodnik bez rozkazu podał mu ciężki pakunek. Położył go obok broni i spojrzał na mnie. Miał dziwną, jakby martwą twarz. Nie potrzebował objaśnień, aby pojąć, kto jest jego partnerem handlowym, a kto pośrednikiem. Światło odbiło się w jego oczach i tylko dzięki wieloletniemu doświadczeniu nie drgnąłem. To nie były ludzkie oczy. Dopiero po paru sekundach zrozumiałem, że wrażenie absolutnej obcości spowodowane jest brakiem źrenic i tęczówek. W rzeczywistości były na miejscu, ale tak jasne, że zlewały się z białkami.

Drzwi skrzypnęły, chłodny powiew ustał, Brahm i jego człowiek wyszli.

– Popatrzmy, co tu mamy, do czego nasze serce tęskni – powiedziałem cicho i sięgnąłem po pakunek.

Sądząc po kształcie i wadze, rzeczywiście zawierał księgi opakowane w surowe płótno i przewiązane sznurem. Powoli, żeby nie zaniepokoić gościa, sięgnąłem po nóż i zacząłem dobierać się do zawartości paczki. To samo tamten robił z moim pakunkiem, lecz w jaki sposób w jego ręce pojawił się sztylet, nie zauważyłem. Gdy skończyłem, zostawiłem nóż na ladzie o parę centymetrów od prawej ręki. On był zajęty mieczem, potrzebowałem jednak takiego zabezpieczenia na wypadek, gdyby coś źle poszło.

Zapaliłem świeczki przyniesione przez Brahma i spojrzawszy na grzbiet pierwszej księgi, wstrzymałem oddech. Tytuł brzmiał „Podstawy mocy”. Litery były w twardych jak drewno skórzanych płytach okładki wyryte bądź wygniecione. Zorientowałem się od razu, że to nie jest oryginał, lecz kopia, bo na okładce nie widniało nazwisko autora. To znajdę dopiero wewnątrz. Z drugiej strony, już dawniej stwierdziłem, że ten rodzaj kopiowania starych ksiąg opierał się na użyciu magii. W praktyce oznaczało to, że kopia była co do jednej linijki, co do jednego szczegółu zgodna z oryginałem. Miałem przed sobą artefakt pochodzący z czasów, gdy ludzie władali jeszcze magią w najbardziej autentycznym sensie.

Uświadomiłem sobie, że na chwilę zapomniałem o bożym świecie i pogrążyłem się całkowicie w podziwianiu starej księgi. Mogłem być już martwy, gdyby nie to, że mój towarzysz był bez reszty pochłonięty badaniem miecza.

Trzymał go w prawej ręce, ostrzem do dołu. Rękaw płaszcza podciągnął się nieco, odkrywając dużą, owłosioną rękę z nadgarstkiem poznaczonym ciemnoniebieskimi żyłami i mocno zaznaczonymi ścięgnami. Obejrzał klingę w świetle świec, pogładził stal opuszkami palców. Jego niezwykle oczy przybrały czerwony odcień. Było to złudzenie, musiało nim być, ale mimo to człowieka zabobonnego mogło nieźle przestraszyć. Mnie tylko trochę zaniepokoiło. No, może więcej niż trochę.

Wyczuł skierowaną na niego uwagę i popatrzył na mnie, w jego oczach nadal było coś niezrozumiałego. Sięgnąłem po nóż, jakbym go chciał umieścić z powrotem w pochwie.

– Czy jest pan zadowolony? – zapytałem z palcami na rękojeści.

– Ja tak. A pan?

Gdybym odrzekł, że nie, zaatakowałby, szósty zmysł podpowiedział mi to z zupełną pewnością. Przed paru laty może bym umyślnie zaprzeczył, ale dziś czułem się już zbyt stary na podobne gierki. A przede wszystkim skłamałbym. Nawet ta pierwsza księga kosztowała tyle ile moja prastara broń.

Powtórnie wyciągnął sztylet z pochwy, przyłożył go do miecza i przez chwilę przyglądał się obu broniom. Wystarczyło mi krótkie spojrzenie i zrozumiałem, że wykonał je ten sam mistrz i tworzą całość. Jeśli kolekcjonował starą broń i udało mu się skompletować z mieczem broń służącą do władania lewą ręką, to spełniło się jego życzenie.

– Tak. Co do mnie interes jest zakończony.

Po tych słowach przestałem dla niego istnieć. W dwóch długich krokach znalazł się przy drzwiach, otworzył je i wyszedł.

Poszedłem za nim aż do chwili, gdy usłyszałem słabnące skrzywienie żwiru pod jego butami.

– Brahm? – szepnąłem. – Jesteś sam?

– Taa, jego tragarz już poszedł. – Ketu Brahm wyłonił się z cienia domku stojącego obok.

– Weź te księgi, później je zabiorę. Chcę wiedzieć, co to za jeden.

Poszedłem za nim w ciemności i starałem się nie stracić go z oczu. No i nie wpaść na niego, chociaż maszerował szybko ze swoją nową zabawką w ręce. Wyglądał na takiego, który umie się z nią obchodzić.

Przez kilkaset metrów zadanie było proste, na tle łuny stojącej nad centrum miasta widziałem jego sylwetkę. Szedł pochylony do przodu, widoczna w jego postaci pewność świadczyła o tym, że jest przyzwyczajony do poruszania się w ciemności. Nie mogłem zapominać o jego oczach, możliwe, że w nocy widział lepiej niż normalny człowiek.

W miarę jak zbliżaliśmy się do bogatszych dzielnic miasta, zachowywałem coraz większy dystans, światła bowiem przybywało. Jeśli nawet wiedział, że ktoś za nim idzie, nie przeszkadzało mu to. Na skrzyżowaniu, które zwało się „Końskie”, bo w szerszej ulicy mieścił się handel końmi,

skręcił w lewo. Trzyosobowy patrol wojskowy dostrzegł wcześniej niż ja, lecz mimo to nie zwolnił kroku i szybko się do niego przybliżał. Był arystokratą, mogłem to poznać po jego aroganckim, pewnym siebie zachowaniu. Mimo to, chodząc nocą z obnażonym mieczem, wprost napraszał się o kłopoty.

– Panie? Co tu robicie? – rzekł żołnierz nadchodzący z prawej strony.

Nie widziałem dokładnie, ale prawdopodobnie stał najbardziej wysunięty naprzód.

Mężczyzna nie odpowiedział, może tylko nieznacznie zmienił pozycję. Czy to wariat? Chce się porwać na trzyosobowy patrol? Żołnierze byli doświadczeni i bez wahania w jednej chwili sięgnęli po broń. On przeszedł z marszu do błyskawicznego wypadu, i to bez żadnej finty, która mogłaby zmylić przeciwników. Jego atak był jednak tak piorunujący i niespodziewany, że dosięgnął celu. Gdy żołnierz padał na ziemię, napastnik odskoczył w lewo, tak aby mieć przed sobą tylko jednego przeciwnika, prawie niezauważalną zastawą odbił na bok grożący mu miecz i znalazł się na wprost niechronionego boku wroga. Nie kłuł ani nie siekł, ujął miecz oburącz, postąpił do przodu i na pozór lekko pociągnął ostrzem. Jedną ręką prowadził broń, a drugą, wykorzystując długość rękojeści, dodawał siły błyskawicznemu cięciu. Żołnierz padł na ziemię z rozciętą piersią. Trzeci cofał się, trzymając wysoko oręż. Krótki, chrapliwy śmiech. Szczupły wzniosł miecz pionowo w górę i dwukrokiem tak szybkim, że zdał się jednym ruchem, dopadł ostatniej ofiary sparaliżowanej strachem. Krótki świst, miecz uderzył prosto w nastawioną w ostatniej chwili zastawę. Stał zadzwierczała. Żołnierz upuścił ułomek broni, która już go nie ochroniła, i zwałił się na ziemię. Zabójca spojrział w nocne niebo i roześmiał się nieprzyjemnym, nienaturalnym śmiechem. Nagle umilkł, jakby zapomniał, co go rozweseliło, rozejrzał się, jakby nie rozumiejąc, skąd się tu wziął, i natychmiast ruszył naprzód.

Podążałem za nim, po dokonanej przez niego masakrze tym bardziej chciałem się dowiedzieć, z kim mam do czynienia. Przez dwie godziny snułem się ulicami jego śladem. Nie wyglądało na to, że wie o mojej obecności, ale zachowywał się tak, jakby chciał mnie zgubić. Chodził tam i z powrotem jak ktoś, kto potrzebuje pozbyć się nadmiaru energii lub nie wie, co począć dalej, ale ma przymus robienia czegoś za wszelką cenę. Na koniec skierował się do ogrodu jednej z większych willi na wschodnim skraju miasta. Brama, co dziwne, nie była zamknięta. Zanim się zdecydowałem, czy wejść tam za nim, bo w ciemnym, uprzednio niezbadanym ogrodzie mógł łatwo zastawić na mnie pułapkę, za bramę wyskoczył jeździec na koniu i zniknął w mroku. Usłyszałem, jak ktoś, szurając nogami, zbliża się do bramy, zamyka ją i z wysiłkiem zasuwa rygle. Nieznajomy zniknął, ale miałem nadzieję, że później, wiedząc już, kto jest właścicielem willi i kto w niej mieszka, dowiem się o nim więcej.

Zauważyłem, że pomału zbliża się świt, noc minęła nie wiadomo kiedy. Jeśli nie będę się zbyt spieszył i w drodze powrotnej obejrzę sobie te trzy trupy, jeśli ich przy odrobinie szczęścia nikt jeszcze nie znalazł, to zjawię się u Liamy akurat na czas wczesnego śniadania.

Ninja, czarodzieje i fanatycy

Słońce jeszcze nie wzeszło, ale do momentu jego ukazania się nad horyzontem brakowało już bardzo niewiele. Bamegi miał uczucie, że z nastaniem dnia temperatura z każdą minutą spada. Oddech zamieniał się w gęsty obłok pary, trawa rosnąca na skraju ulicy, niezdeptana przez przechodniów, pyszniła się srebrnym nalotem szronu. Był bardzo zadowolony, że mógł się rano wyspać. Z całego życia pamiętał tylko cztery dni, kiedy miał możliwość zostać pod ciepłą kołdrą, jak długo chciał. W tym dwa razy wtedy, gdy był ranny. Siedział teraz w kucki nad trupem i posępnie przyglądał się ranie na piersi. Wokół gromadzili się ciekawscy, ale żołnierze trzymali ich w należytych oddaleniach. To była jedna z zalet wynikających z faktu, że Varatchi zapewnił im współpracę rady miejskiej.

– Co pan widzi?

Nieco otyły młodzian z masywnym karkiem i cofniętą brodą, która już teraz skrywała się w rosnących fałdach tłuszczu, był przykładem tego, że każdy plus ma także minusy. Nazywał się Faynisch, miał doskonałą pamięć wizualną i słuchową i głosił sam o sobie, że jest oczami i uszami Jego Ekscelencji. Bamegi uważał, że jest on równocześnie ością w gardle, ale tego mu nie wyjawiał. Jeszcze nie przyszedł na to właściwy czas.

– Tego chłopca ktoś ciął w pierś. Wprost przez serce – odpowiedział szorstko Bamegi.

Z Varatchim łatwiej by szło, gdyż był sprytny i doświadczony, nie potrzebował wyjaśnień w każdej oczywistej drobnostce.

– To wszystko, co zdołał pan wyczytać z rany? – zapytał podejrzliwie Faynisch.

Gaspru, badający właśnie trupa numer dwa, zauważył zniesmaczony wzrok swego przełożonego i uniósł w górę lewą brew.

Bamegiego bawiło to, że życie Faynischka wisiało na włosku, a pewny siebie młodzik nie miał o tym pojęcia.

Gaspru był samotnikiem, niewiele mówił i oprócz pracy miał tylko dwa rodzaje zainteresowań. Raz na miesiąc, o ile nie był na długoterminowej akcji, upijał się do nieprzytomności, a poza tym każdą wolną chwilę poświęcał na trening walki wręcz. Nie po to, żeby rzeczywiście walczyć. Był zbyt doświadczony i świadomy, że nie jest to skuteczny sposób radzenia sobie z uzbrojonymi przeciwnikami. Chciał raczej przekonać się, co można gołą pięścią, ręką, palcami, krawędzią dłoni, a nawet czołem wybić, przebić, zdruzgotać. Prawą dłoń, używaną najczęściej, miał po latach ćwiczenia najróżniejszych technik trzykrotnie silniejszą niż normalny człowiek, a jej skóra przypominała wypolerowane drewno.

Później przez przypadek stwierdził, że jego hobby ma również praktyczne zastosowanie. Potrafił zabijać gołymi rękami tak, że nawet lekarz nie był w stanie określić rzeczywistej przyczyny zgonu.

Umiął zniszczyć serce bez uszkodzenia piersi, umiał też zgruchotać pierś tak, że biegły sądowy stwierdzał atak rozjuszzonego bawołu.

Bamegi pokręcił tylko głową. Varatchi był w końcu ich przełożonym i nie mogli tylko dla osobistej wygody zabijać mu ludzi. Może później, kiedy Faynisch stanie się nieznośny i okaże się to naprawdę konieczne.

– Cięcie nie było zbyt płytkie ani za głębokie, dokładnie takie, jakiego potrzeba, żeby osiągnąć serca. Zadane zostało smukłym ostrzem z wyraźnie zaznaczonym sztychem. Dlatego napastnik nie bał się, że może się złamać.

– Dlaczego miałoby się złamać? – nie pojmował Faynisch.

– Wąskie, długie klingi, jakich używa się w pałacu do pojedynków, często się łamią. Wystarczy zawadzić o zebro. W pojedynku toczonym według prawideł, jeden na jednego, to oczywiście nie szkodzi. Ten człowiek zabił jednak tą samą bronią jeszcze dwóch innych ludzi – wyjaśnił spokojnie Bamegi i przeszedł do trupa numer trzy. Tego jeszcze nie obejrzał. Varnet podał mu ułomek miecza, Darnet, jego bliźniak, trzymał odłamaną klingę i przyglądał się jej z niedowierzaniem. Bracia bliźniacy tworzyli doskonały zespół i opłacało się pozwalać im pracować wspólnie. Byli w stanie robić takie rzeczy, których pracujący pojedynczo człowiek lub dwóch, trzech innych nigdy by nie wykonali.

Bamegi znów ukucnął i zanim skupił się na szczegółach, starał się wyrobić sobie ogólny pogląd na to, w jaki właściwie sposób żołnierz został zabity. Cięcie szło z góry na dół, rozcięło czaszkę od ciemienia do kręgów szyjnych, potem skręcało w lewo, wzdłuż kręgosłupa, aż do krocza. Bamegi patrzył na śmierdzące wnętrze, pokrywane brukiem na podobieństwo osobliwych polipów, ale jakby ich nie dostrzegał. Kto mógł tego dokonać? I czym? Uświadomił sobie, że trzyma w ręce broń zabitego. Spojrzał na mocną klingę, szeroką na cztery centymetry. Ofiara zastawiała się więc prawidłowo, tylko stal nie wytrzymała. Miejsce złamania, jeśli był to w ogóle przełom, było zdumiewająco gładkie, prawie jak lustro.

– Co to oznacza? – chciał wiedzieć Faynisch.

– Nie wiem – odpowiedział Bamegi i wcisnął mu do ręki zniszczoną broń. – Popatrz pan sam.

Wstał i w zamyśleniu przypatrywał się bladym ceniom stojących wokół ludzi. Nie chciał zdawać się wyłącznie na podstęp Varatchiego, w którym przynętą miał się okazać fałszywy skład należący jakoby do pradawnych czarodziejów. Sam przecież uczył swych podopiecznych, że pasywne podejście do rzeczywistości jest największym błędem, jakiego mogą się dopuścić. Uważał, że Koniasz, o ile rzeczywiście jest w Krachtiburgu, może wpaść w tarapaty, zadarłszy z jakąś inną grupą poszukiwaczy zainteresowanych magicznymi artefaktami, ewentualnie z wojskiem, strażą miejską czy kimś podobnym. Dlatego uważnie śledził wszystkie miejskie burdy, scysje i inne odchylenia od zwykłego porządku. Śmierć jednego gościa podczas bijatyki w gospodzie na peryferiach miasta nie była niczym nadzwyczajnym. Trzech to już co innego. Nie wydawało mu się jednak prawdopodobne, żeby Koniasz rzeczywiście maczał palce w czymś takim. Książeczki żołdu zabitych żołnierzy przeczytał tyle razy, że znał je na pamięć, zaś o samym Koniaszu długo rozmyślał.

Pomału zaczynał go poznawać, a nawet rozumieć. Koniasz był pragmatykiem i nigdy nie zabijał bez powodu. Czasem potrafił nawet nadłożyć dziesięć kilometrów, żeby nikogo nie zabić. Nie robił sobie jednak złudzeń. Ten człowiek był doskonałym zabójcą i mógł bez miłosierdzia zlikwidować cały patrol, jeśli zdecydował, że to najlepsze wyjście.

*

Samuel Wicker stał pochylony w uniżonym ukłonie już od kilku minut i coraz bardziej bolały go plecy. Starosta zapadłej wioszczyny powinien się przecież garbić ze strachu przed śledczym Konwentu, więc nie pozostawało nic innego, tylko tak właśnie się zachowywać.

– Czasem przejdą tędy jacyś ludzie, to tak. Ale rzadko kiedy ktoś się zatrzyma na posiłek. Podobno nasza gospoda nie jest dla nich dość dobra, nie zarabiamy na nich – powiedział z wyraźnym żalem.

To nie była odpowiedź, jaką wicehrabia Karlonis chciał usłyszeć. Siedział na drewnianym tronie zdobionym rzeźbami i malowidłami. Przywiózł mebel ze sobą, rozłożony na części. Jego ludzie przez trzy godziny składali go i kompletowali. Wagę urzędu podkreślało jeszcze dwóch ogromnych mężczyzn w ciężkich zbrojach, z przerażającymi przyłbicami przypominającymi smocze pyski. Każda musiała ważyć co najmniej pięć kilogramów. Ręce trzymali swobodnie oparte na rękojeściach mieczy wbitych w ziemię, a z ich postawy można się było domyślić, że ciężar wyposażenia jest niemały.

Wicker pomyślał, że rytualny ubiór osobistych strażników śledczego Konwentu, którego powinnością było niszczenie magii i czarodziejów na całym świecie, niezależnie od tego, kto na danym terytorium rządził, stał się po upływie stuleci poniekąd niepraktyczny. Czy ci dwaj byli w ogóle zdolni do walki, jeśli większość sił i wytrzymałości marnowali na to, żeby wytrzymać w tych potwornych zbrojach?

– Ten chłop to zwyczajny kretyn! – wykrzyknął wicehrabia niemal z rozpaczą.

– Tak samo jak wszyscy pozostali w wiosce. To cała osada kretynów – potwierdził gorliwie pisarz.

– Panie? – Niski mężczyzna z wąską twarzą, skrywający się do tej pory za tronem, podszedł do Karlonisa i szepnął mu coś do ucha.

Ubrany był w szarą, niewymyślną odzież i bardzo przypominał mysz. Wicker był już wprawdzie stary, ale słuch miał lepszy niż wielu młodzików i wymianę zdań usłyszał.

– Sir, za pozwoleniem, zadamy temu głupkowi pytania w taki sposób, żeby zdołał je zrozumieć. Sądzę, że człowiek o pańskich kwalifikacjach wręcz nie potrafi zniżyć się do poziomu takich debilnych nicponi.

– Dobrze. Weź się pan się za to, Afronzi. – Wicehrabia życzliwie machnął ręką.

Wicker skupił się. Karlonis był zwyczajnie niekompetentnym bufonem, zaś cesarz nadał mu tytuł głównie po to, żeby później wpływowa Saxmundsenowa klika mogła go przepchnąć na stanowisko głównego śledczego Konwentu i tym sposobem jeszcze bardziej osłabić wpływy całej inkwizycyjnej organizacji. Jednak Karlonis utrzymywał się na stanowisku zaskakująco długo bez dalszego poparcia cesarza, a czasem odnosił nawet sukcesy. Może krył się za nimi ten szary mysz podszeptawczy? Wielki mistrz nie miał zamiaru go lekceważyć.

Afronzi wychynął spoza tronu i stanął z boku Wickera.

– Pomaganie czarodziejom jest zbrodnią karaną na gardle – zaczął spokojnie. – Rozumiesz? Jeśli nie rozumiesz, powiedz to.

– Ale ja żadnych czarodziejów nie znam – wielki mistrz nadal grał swoją rolę.

– Tę sprawę osądzi obecny tu Jego Ekscelencja, główny śledczy sir Karlonis. – Afronzi uklonił się chlebodawcy. – Wiesz więc, jaka jest kara za pomaganie czarodziejom? – wrócił do poprzedniego pytania.

– Tak, panie – przytaknął Wicker.

– Czy w wiosce pojawiają się często obcy ludzie?

– A obcy ludzie to czarodzieje? – odpowiedział Wicker pytaniem. – Nie wiedziałem, panie.

Karlonis właśnie wysuszył dzban cydru i zaraz jeden z wieśniaków z głupim uśmiechem podał jego słudze następny.

Krzyż bolał Wickera nieznośnie, czuł, że chwieje się z wyczerpania, na czole perlił mu się pot. Przez chwilę myślał, że to ze strachu, ale odrzucił tę możliwość. Nie, to dlatego, że jest już stary i zmęczony.

– No, odpowiadaj – ponaglił go Afronzi.

– Rozumie się, jaśnie wielmożny panie – zająknął się Wicker. – Tylko nie wiem, co znaczy często. Tu i tam jacyś przyjadą, to co?

Afronzi westchnął głęboko i zadał następne pytanie. Był opanowany, to mu Wicker musiał przyznać.

Wielki mistrz, mimo niewygodnej pozycji, trzymał się uparcie swojej roli i pozwalał Afronziemu przebijać się z trudem przez maskę jego udawanej głupoty.

Dobrze wiedział, że długotrwały handel artefaktami jest ryzykowny i Konwent może trafić na jego ślad. Teraz przyszedł czas na zastosowanie pieczołowicie stworzonej ochrony, mającej zapewnić klanowi bezpieczeństwo.

Trwało to jeszcze nieznośnie długo, ale w końcu zadowolony Afronzi mógł swemu lekko podpitemu, kiwającemu się na tronie panu przedstawić zwięzłe streszczenie z przesłuchania.

– To jasne, panie. Ta pełna idiotów wioska leży wprost na szlaku, którym przemywane są do Cesarstwa Wewnętrznego przedmioty magiczne. Oni jednak nie mają o tym pojęcia. Są na to za głupi. Są też bardzo biedni. Gdyby czerpali zyski z nielegalnego procederu, miewaliby się lepiej. Nawet miejscowy starosta jest biedakiem.

– Ale cydr robią niezły – śmiał się zadowolony Karlonis.

Afronzi kiwnął tylko głową i mówił dalej.

– Przypuszczam, że kurierzy po prostu tędy przechodzą, lub też osada może służyć jako bezpieczne miejsce dla tajnych skrytek. Działa to na zasadzie prostej wymiany. Pieniądze w zamian za towar. Dostawca nie zna odbiorcy, klasyczny scenariusz. Może lepiej byłoby wziąć kilku ludzi na męki? Zapewne coś by sobie przypomnieli.

Wicker zdrętwiał. Rdzenni obywatele nie wiedzieli nic, a nawet gdyby coś zauważyli, wątpił, żeby biorąc pod uwagę ich zidiocenie, rozumieli, z czym mają do czynienia. Ale gdyby w łapy Konwentu wpadł ktoś z klanu...

– Ależ nie, rzekłem, że już nie chcę. – Karlonis opędzał się od wieśniaka, który bez wezwania postawił przed nim nowy dzban. – Chociaż właściwie dlaczego nie, skoro to jest takie dobre – zmienił zdanie.

Afronzi stał w pełnej poszanowania postawie i czekał, jak pan odniesie się do jego projektu.

– Pokażcie mu jakieś obrazki i zobaczymy, co dalej. – Wicehrabia powrócił do napitku, zadowolony, że trunek znów się pojawił.

Afronzi szybkim ruchem wyciągnął spod szarego habitu obrazek, po którym najwięcej sobie obiecywał. Narysował go mały chłopiec, który w innych okolicznościach mógł zostać znanym artystą, ale tylko pomagał swojej starszej siostrze, rysując jej klientów. Tych, którzy go zainteresowali.

Samuel Wicker popatrzył na dokładnie sporządzoną podobiznę i w ostatniej chwili, zanim na jego twarzy pojawił się lęk pomieszany ze zdumieniem, zastąpił go wyrazem radosnego zaskoczenia. Podczas sekundę trwających błyskawicznych kalkulacji uświadomił sobie, że nie może kłamać, bo chociaż z człowiekiem z obrazka porozumiewał się jedynie przez pośrednika, byłoby niebezpiecznie zaprzeczać temu, że w ogóle mieszkał w wiosce. Nie spodziewał się, że zwykły zabójca, którego portret właśnie oglądał, mógł wplątać się w coś, co interesowało Konwent.

– Widziałem go, był u nas przed tygodniem! Popatrzył na Afronziego jak ktoś, kto cieszy się, że w końcu może czymś usłużyć. Był zadowolony, że ta próba nadeszła dopiero teraz. Dziesięć lat temu pewnie by jej nie podołał i straciłby wszystko. Głowę i dzieło całego życia.

Na obrazku rozpoznał człowieka, któremu zaoferował znaczną sumę, żeby w stosownym czasie zabił łowcę artefaktów wynajętego do złupienia tajnego składu Maaterenditu. Klan byłby znów

doskonale ukryty i nikt nie dałby rady go wysledzić.

– Co to był za jeden, skąd szedł i dokąd? – Afronzi rzucił trzy pytania naraz.

Karlonisa już to nie zajmowało. Wszelkie zainteresowanie śledztwem utonęło z kretesem w kolejnej porcji cydru. Popijał go ze smakiem i rozglądał się po pozornie idyllicznej okolicy. Wyglądał na człowieka, który ma już wszystko, o czym marzył.

– Stamtąd przyszedł, a poszedł tam – pokazał Wicker zgodnie z prawdą. – Nie wyglądał na handlarza. Baliśmy się, że nie zapłaci za nocleg, ale w końcu okazał się człowiekiem uczciwym – paplał gorliwie.

Nie omieszkał w tym czasie dokładnie obejrzeć portretu narysowanego gruboziarnistym pastelem na kiepskim papierze. Rysownik doskonale oddał cechy, które Wicker zauważył u najętego zabójcy tylko dzięki swemu talentowi: zwierzęcą zmysłowość i okrucieństwo.

– Mogę pokazać izbę, w której mieszkał, panie! – zaoferował Afronziemu z przesadnym entuzjazmem.

Ten tylko odmownie machnął ręką. Dopiero przed paru miesiącami wydzwignął się na obecne stanowisko, radcy pana wicehrabiego, więc jeszcze niedawno musiał osobiście wykonywać podobne zadania i teraz stronił od nich, jak mógł, niekiedy ze szkodą dla prowadzonego postępowania, jako że na ocenie swoich głupich podwładnych nie mógł polegać tak pewnie, jak na swojej własnej.

– Jaśnie wielmożny panie, władco świata – zwrócił się Wicker do podpitego Karlonisa.

Oddalił niebezpieczną sytuację i teraz chciał z niej coś niecoś uzyskać.

Malowniczy tytuł, jakim został obdarzony, tak rozbawił wicehrabiego, że aż się roześmiał.

– Czego sobie życzysz, wytwórco znakomitego jabłecznika? – zapytał wprawiony w dobry humor śledczy.

– Czy moglibyśmy posłać nasze towary do miasta wraz z waszym orszakiem, panie? Oczywiście radzi się za taką łaskawość odwdzięczymy.

– Ty durniu! – zareagował na zuchwalstwo Afronzi i wymierzył Wickerowi policzek.

Brak należytego respektu dla statusu swego pana uważał za poniżenie własnej osoby.

– Zostaw go. Myślę, że podróż z kilkoma beczkami tego bardzo zdrowego napoju będzie łatwiejsza do zniesienia – powstrzymał go Karlonis, nadal chichocząc.

Wickar pogratulował sobie w duchu. Właśnie uzyskał najlepszą przykrywkę dla zamaskowania podróży swoich ludzi aż do Krachtiburga.

Również w duchu rozważał, w jaki sposób Afronzi zapłaci za ten policzek. Wicker był może

całkiem marnym czarodziejem, ale wybitnym toksykologiem, specjalistą od trucizn i innych niebezpiecznych substancji. Nie, zabić go nie zamierzał. To mogłoby wzbudzić podejrzenia. Istniało jednak mnóstwo innych sposobów, żeby nieźle uprzykrzyć komuś życie.

Mała i wielka tajemnica

Liama kiepsko się czuła, jak zawsze po źle przespanej nocy. Najpierw przestraszyły ją hałasy uliczne, potem w środku nocy zbudziły koszmary z przeszłości. Co ciekawe, wcale się nie bała tego, co zamierzała zrobić.

Wyślizgnęła się z łóżka, otworzyła drzwi i zawahała się przez chwilę, zanim weszła do kuchni w samej tylko lekkiej nocnej koszuli. Dzień jeszcze nie nastał, a jej lokator długo wczoraj czytał. Jeszcze po północy, gdy szła do ubikacji, żeby przemyć chłodną wodą twarz zroszoną potem od nocnych mar, widziała światło w szparze pod drzwiami jego pokoju. Ponadto wczoraj wrócił ze swojej podejrzaney wyprawy dopiero na śniadanie. Teraz prawdopodobnie twardo spał. Mimo to powinnam się ubrać, pomyślała. Nie miała zamiaru niepotrzebnie prowokować żadnego mężczyzny.

Dom był cichy, nawet ptaki nie zaczęły jeszcze śpiewać. Czterema szybkimi, prawie tanecznymi krokami podeszła do pieca. Mimo że wczoraj wieczorem zamiotła podłogę, czuła pod bosymi stopami drobne ziarenka piasku. Z kosza wyciągnęła po omacku kilka drobno nałupanych trzasek i włożyła je do paleniska. Położyła na nich gałązki i przymknęła drzwiczki. Nalała wody do fajansowej miski, obmyła twarz, ramiona, brzuch i podbrzusze. Zamyślona przeciągnęła dłonią po brzuchu. Chociaż już raz rodziła, był płaski i twardy. Rodziła i przyniosło jej to tylko boleść. Skarciła się w duchu. Przyniosło jej to również dużo szczęśliwych chwil, których raczej w ogóle nie wspominała. Szybko wytarła się ręcznikiem z grubo tkanego płótna. Natrysk byłby o wiele lepszy, ale dziś nie miała czasu, a ponadto nie chciała wzbudzić zainteresowania swego lokatora, śpiącego po drugiej stronie korytarza za dwojgiem drzwi. Nałożyła swoje ulubione ubranie, na tak wczesną porę zbyt cienkie, ale nie pomyślała o tym wczoraj. Woda w garnku już się zagotowała.

Wsunęła stopy w drewniaki i wrzuciła do wody dwie garście kawy. Policzyła do dziesięciu, zręcznie odsunęła garnek na bok i aż do pełna dołała do kawy mleka z porcelanowego dzbanka z pokrywką. Spróbowała ostrożnie i uśmiechnęła się sama do siebie. Rzadko udawało się jej tak dokładnie dobrać ilość wody, kawy i mleka, żeby kawa była mocna, uzupełniona mlekiem, gorąca, ale równocześnie gotowa do wypicia. Dziś tak, udało się i zdecydowała, że będzie to dobry znak.

Przez taras przeszła szybko i pewnie, jakby nie miała żadnych wątpliwości. To nie była prawda, bo wybór nie należał do niej. Chciała tylko pomóc, to wszystko. Na pamięć zbiegła po schodach na pograżone w ciemności podwórze, minęła studnię i przeszła do położonego naprzeciwko warsztatu ciesielskiego. Mapuszi już tam na nią czekała.

– Bałam się, że nie przyjdiesz – szepnęła młoda kobieta.

Liama nie widziała jej w ciemności i tylko słuchem mogła określić, gdzie Mapuszi się znajduje.

– Bez obaw, obiecałam ci to – odpowiedziała też szeptem i ostrożnie pomacała jej wypukły brzuch. – Bardziej się bałam, że twój czas już na ciebie przyjdzie, czekaliśmy bardzo długo...

– Tylko kopie, leniuch jeden. – Kobieta zaśmiała się.

Liana, nic nie mówiąc, podeszła do ściany warsztatu jeszcze ciemniejszej niż niebo nad nią i po krótkim obmacywaniu znalazła drzwi. Otwarte, sama się o to postarała.

– W środku sobie poświecimy – mruknęła, chcąc uspokoić raczej siebie niż towarzyszkę. Poruszanie się po ciemku po niezbyt znanym pomieszczeniu nie należało do przyjemności.

Zamknęły za sobą drzwi i zapaliły świeczkę. Między stanowiskiem stolarskim a stołem wypełnionym naciętymi deskami stała kołyska. Liana stłumiła bolesne westchnienie. Była taka sama jak jej, a właściwie Piotrusia. Mocna, poczerniała przez lata kolebka służąca całym pokoleniom. Ciemne ze starości drewno ostro kontrastowało z pachnącymi, jasnymi deskami i deszczułkami wszędzie wokoło.

– Coś nie w porządku? – szepnęła Mapuszi, widząc boleśnie ściągniętą twarz Liany.

– Nie, wszystko w porządku, ale przyszły moje złe dni i nie czuję się najlepiej – skłamała. – To jak postanowiłaś?

– A co ty myślisz? – Ciężarna popatrzyła na nią i nerwowym ruchem objęła brzuch.

– To jest tylko twoja decyzja – odpowiedziała z umyślnie nieporuszoną twarzą, nadal przyglądając się kołysce. – Nie będzie mi przeszkadzało, jeśli powiesz, że nie chcesz. Odprowadzę cię po schodach na górę i o tym poranku zapomnimy.

Młoda kobieta zacisnęła usta, miękki wyraz jej twarzy, podkreślony jeszcze ciążą, ustąpił miejsca twardemu postanowieniu.

– Chcę, żeby dziecko było takie, jakie powinno być – powiedziała w końcu.

Liana przytaknęła i poczuła ulgę. Bała się, że przyjaciółka zadecyduje inaczej, ale nie chciała naciskać.

– No to bierzmy się do dzieła – oznajmiła tylko, wybrała płaskie dłuto i zręcznie zaczęła rozbierać kołyskę. Spojenia nie były lepione, pasowały do siebie dokładnie, a w kilku ważnych miejscach wzmacniały je drewniane kołki, dające się z pewnymi oporami wycisnąć. Wkrótce kołyska została rozłożona na części.

– Teraz mi pomóż, musimy wyciągnąć ze środka płyty, ale w żadnym razie nie możemy ich połamać.

Teraz szło im gorzej, ale w końcu wysunęły z boków kołyski osiem cienkich płyt z łupanego kamienia. Ich szarą powierzchnię pokrywały skomplikowane diagramy, które na pierwszy rzut oka przypominały bardzo złożoną i oryginalną mozaikę artystyczną. Dokładniejsze oględziny powodowały jednak mróz na karku.

– Ale teraz kołyska będzie dużo lżejsza – zaniepokoiła się Mapuszi.

– Nie będzie – uśmiechnęła się Liana, podeszła do narożnika warsztatu i podniosła dwie deski

podłogowe, pod którymi znajdowała się skrytka.

Łzy cisnęły jej się do oczu. Gdy wtedy otwierała skrytkę, pomagał jej Piotr, a ich syn był tylko obietnicą w łonie.

– Wymienimy je – powiedziała bardziej szorstko, niż zamierzała i pokazała na rząd przygotowanych kamiennych płyt bez rysunków. Miały te same wymiary jak te wyjęte z kolebki.

Wszystko to trwało dłużej, niż oczekiwały, skończyły krótko przed wschodem słońca. Wracając do domu Liamę widzieli najwcześniej wstający mieszkańcy czworoboku. Ale ona niosła już wiadro z wodą i radośnie pozdrawiała wszystkich dookoła. Czuła się zmęczona o wiele bardziej, niż powinna, biorąc pod uwagę wysiłek włożony w całe przedsięwzięcie. To przez kolebkę i stare wspomnienia, pomyślała. Marzyła o chwili spokoju w kuchni i resztkę zimnej już, niestety, kawy, która tam na nią czekała.

Człowiek przeważnie nie dostaje tego, o czym marzy, stwierdziła gorzko, gdy dotarła do domu. Jej gość, zbyt wysoki mężczyzna z rozbitą twarzą i oczami, których nie mogła przeniknąć, stał przy piecu, na głębokiej patelni smażył słoninę, tuzin skorupek na stole świadczył, co przygotowywał.

– Wstała pani wcześniej – oznajmił, nie odwracając się.

– Tak, czasem źle śpię – odpowiedziała obojętnie, ale czekała z napięciem, co z tego wyniknie.

– Przyrządziłem świeżą kawę, a śniadanie będzie za chwilę – ciągnął dalej, wlewając na patelnię rozmieszane jajka. – Takiej dobrej, jak ta, którą mnie pani ugościła zaraz pierwszego dnia, pewnie nie zrobiłem, ale wypić ją można. Słodzi pani? – zapytał.

Pokręciła głową, ale uświadomiła sobie, że mężczyzna stoi do niej tyłem.

– Nie – powiedziała głośno.

Zamiast odpowiedzi odwrócił się i do dwóch kubków nalał po szczodrej porcji czarnej, wonnej cieczy.

– Im jestem starszy, tym bardziej ją lubię. – Wyszczrzył się do niej i dalej zajmował się przyrządzaniem śniadania.

To był uśmiech, zrozumiała z opóźnieniem. Blizny utrudniały zrozumienie mimiki jego pobrużdżonej szramami twarzy. Ze zdziwieniem stwierdziła, że miał prawie szelmowski, rozbawiony wygląd. Wiedziała też, że w jego oczach skrywało się tego znacznie więcej. Na pewno tak, inaczej nie ciągałby z sobą nieustannie tylu noży.

– Niech się pani nie obawia – dodał, nakładając na dwa talerze porcje jak dla czterech wygłodniałych mężczyzn. – Nie będę żądał zniżki. Przyjęła mnie pani na mieszkanie z powodu pieniędzy, czyż nie?

– Taa, piętnaście srebrnych to piętnaście srebrnych – powiedziała obojętnie.

Jedli śniadanie w milczeniu. Jemu to widocznie nie przeszkadzało i oprócz kilku taksujących spojrzeń, które by ją w innych okolicznościach ucieszyły, zajmował się własnymi myślami. Te zaś szybko wygoniły cały humor z jego twarzy. Zaczął wyglądać na kogoś, kto ma na głowie mnóstwo spraw. I to spraw, które zupełnie mu się nie podobały. Jej też nie wadziło milczenie, rankiem nigdy wiele nie rozmawiała. Nawet z Piotrem.

*

Wkrótce po śniadaniu zacząłem działać. Kolejno zjawiłem się w pensjonatach, w których opłaciłem fałszywe zakwaterowanie, i nagadałem właścicielowi i służbie, że jedzenie jest zimne, a piwo cienkie. Sprawdziłem, czy ktoś o mnie nie pytał, a jeśli tak, to jak wyglądał. W zajezdzie „Pod Kapustą”, który ochrzciłem tym mianem ze względu na charakterystyczny zapach wydobywający się z kuchni, miałem podczas swojej nieobecności nieoczekiwaną wizytę. Wszystko wskazywało na to, że był to zwyczajny złodziejaszek. Nie zwrócił uwagi na przynęty, które zostawiłem dla niepożądanых ciekawskich. Zginęło tylko pięć srebrników, pozornie dobrze schowanych w ukrytej kieszeni jednej torby, i niedawno kupiona koszula. Przygotowałem nowe przynęty, które powinny poinformować mnie o następnych nieproszonych gościach, trochę pobrudziłem pościel na łóżku, włożyłem do torby dwa srebrniki i zszedłem na dół, gdzie zamówiłem piwo i chwilę pokręciłem się przy szynkwasiu, żeby obsługa mnie zapamiętała. Wysłuchałem lamentu nad tym, jak podrożała przeprawa przez jezioro, ktoś żalił się, że zaginął człowiek winny mu pieniądze. W urzędzie jego powiadomienie o zniknięciu dłużnika zwyczajnie wysmiano. Chyba chłopca to naprawdę trapiło, bo swemu kompanowi opowiedział wszystko trzykrotnie, i to głośno. To wyczerpało moją cierpliwość i skróciło wydatnie czas, jaki poświęciłem na stworzenie wrażenia, że naprawdę tu mieszkam. Zostawiłem prawie nietknięte piwo na stole i ruszyłem dalej.

Stwarzanie fałszywych śladów to ciężka praca. Tuż przed południem ruch na ulicach wzrastał, omijałem wielu przechodniów, oglądałem się do tyłu i starałem się uniknąć patroli.

W restauracji, nie tak dobrej, abym zwracał na siebie uwagę, i nie tak kiepskiej, żeby zwracał uwagę Schantil, spotkaliśmy się na obiedzie. Od śniadania minęło już sporo czasu i żołądek, który szybko dostosował się do miejskiego zwyczaju regularnego jedzenia, odzywał się głośno. W lokalach, w których dawniej bywałem, nie przywiązywałem większej wagi do jedzenia. Ale czas, kiedy zadowalałem się byle jakim obiadem, miałem już za sobą. Takie upodobanie przychodzi wraz z wiekiem i doświadczeniem, a również z dostatecznym zapasem gotówki w kieszeni.

Schantil przyszedł później niż ja. Wysysałem już czerwony, błyszczący szpik z kości i popijałem zimną wodą. Mój partner handlowy najbardziej przypominał obciążoną skórą kukłę, której jedyną przyjemnością życiową było wypełnić się tłuszczem i czekać na stopniowy rozkład.

Zamówiłem rzeczne małże, do tego kawior i biały chleb. Dla dobrego trawienia. Potem jako danie główne średnio wysmażony befsztyk, a na samym końcu placek z gorącym dżemem malinowym. Schantil tymczasem uważnie studiował menu, prawie tak nabożnie jak księgę rachunkową. Kelner czekał. Bez specjalnego uszanowania, ale bez oznak zniecierpliwienia. Po prostu w tym lokalu

podobne zachowanie było widać praktykowane.

– Kaszę. Pszeniczną. A do picia wodę – wybrał.

– Ja płacę – zwróciłem mu uwagę, ubawiony.

– Kaszę i wodę – powtórzył.

– Dobre jedzenie jest przyjemnością, której szkoda sobie odmawiać – nadmieniłem niezobowiązująco i dolałem sobie wina z karafki.

Kilka lat leżakowania w beczce pozbawiło je naturalnej cierpkości, lekko przydymiony smak znakomicie pasował do mięsa. Do małży już nie, ale nie można przecież mieć wszystkiego.

– Tu masz te mapy. Najdokładniejsze, jakie są. Wydostałem je z cesarskiego archiwum – powiedział i podał mi zwój pergaminów.

Ucieszyłem się, że nie zostały wykonane na papierze. Papier wytrzymuje znacznie krócej.

– Z powodzeniem mógł ci je przynieść któryś z moich ludzi – dodał z pewnym niezadowoleniem.

– Zaprosiłem cię na obiad – przypomniałem mu. Biorąc pod uwagę to, co sobie wybrał, nie dziwiło mnie jego niezadowolenie. Ale może bolał go żołądek? Zanim przyniesiono nam jedzenie, pobiegnie przejrzałem mapy. Kartograf wykonał je niedawno, dokładnie według ostatnich zaleceń i mody obowiązującej wśród cesarskich naukowców. Najbardziej interesowały mnie Brunatne Bagna. Mapy oddawały je ze zdumiewającą dokładnością, jakby rysownik je starannie obejrzał. Ale może czerpał wiedzę o nich tylko ze starych źródeł.

Jedliśmy w milczeniu, musiałem się hamować, żeby nie napychać się wszystkim bez ładu i składu. Przez ostatnie dwa tygodnie nie dojadalem, a trzy dni wyśmienitej kuchni Liamy wyraźnie nie wystarczyły do odzyskania pierwotnej wagi.

– Skąd wieją wiatry w handlu? – zapytałem, gdy odniesiono talerze.

Schantil westchnął, jakby zamierzał protestować przeciw temu niestosownemu między ludźmi interesu pytaniu, ale wprędce uświadomił sobie, że jedna z rzeczy, za które mu płacę, oraz powód, dla którego powierzam mu swoje pieniądze, to fakt, że jest również moim konsultantem. Właśnie ze zmian w tendencjach handlowych człowiek taki jak ja dowie się najwięcej o globalnym kierunku cesarskiej polityki.

– Umiarkowanie rosną ceny zboża, bo cesarz skupuje go teraz sporo. I buduje kolejne spichlerze – Schantil zaczął relacjonować i już od pierwszych zdań przestał sprawiać wrażenie nudziarza. – Budowa spichlerzy powoduje, że rosną ceny drewna, prac kamieniarskich i podobnych. Najęcie wykwalifikowanych murarzy zaczyna się robić problemem – przeszedł do dalszych zagadnień.

Podczas jego wykładu rozmyślałem, czy z tych wiadomości wynika coś, co może mnie dotyczyć.

Przed czterema, pięcioma laty miałem udział w przedsiębiorstwie, którego działalność spowodowała, że cesarz stracił monopol na magazynowanie zboża. Grupa znaczących handlowców sfinansowała ekspedycję, która założyła kolonię na urodzajnej ziemi niczyjej, i dzięki ich poparciu kolonia zaczęła prosperować. Cesarz kupował od niej nadwyżki, jakby mu nie wystarczała własna produkcja.

– A żelazo? Jak wygląda sprawa z żelazem? – wtrąciłem w krótkiej przerwie.

Schantil zamrugnął, próbując szybko przestawić tok myśli. Był dumny ze swej wiedzy, a przede mną mógł się nią swobodnie chwalić, bo mu za to płaciłem. Chciał mi ją przekazać w najpełniejszy sposób.

– Nie występuje żaden wyraźny trend. Przykładowo, ruda z Ktelinu podróżowała, a ktoś skupuje nawet zlecenia na dalsze dostawy. Ale gotowe, wytopione żelazo utrzymuje swą cenę, nawet nieco taniej – powiedział z zadumą.

Przeszedł potem do handlu towarami luksusowymi, korzeniami, jedwabiem, cennymi gatunkami twardego drewna. To mnie już zbytnio nie zajmowało, choć na tych asortymentach można było zarobić najwięcej, i to w krótkim czasie.

Schantil potwierdził to, czego sam się domyślałem. A raczej zmienił moje podświadome domysły. Zrozumiałem to podczas jego uwag o handlu żelazem. Żelazo wytapiane na wschodzie, bez względu na umiejętności hutników i kowali, było zbyt kruche na to, żeby wyrabiać z niego broń. Twarde, ale kruche. Tylko ruda z Ktelinu przedstawiała znakomity materiał do wyrobu kling, grotów strzał i innych wspaniałych przedmiotów do zabijania. Moźni zaczęli szykować się do wojny. Krwawej wojny na całym kontynencie, wszystkich przeciw wszystkim, z ustawicznie zmieniającymi się sojusznikami. Cesarz i jego wierny krewniak Varatchi nie mieli oczywiście zamiaru jej wszczynać. Trzymali władzę w rękach już od dziesiątków lat. Reszta ostrzyła jednak zęby na zagarnięcie tronu ozdobionego najcenniejszymi szmaragdami.

Schantil jeszcze długo rozprawiał, a ja, słuchając go, przemyślałem, co zrobić ze swoimi pieniędzmi. Nie dlatego, żeby mi na nich aż tak bardzo zależało, ale wojna odwróci drabinkę wartości do góry nogami. Jeżeli nie chciałem zamienić ich na złoto i gdzieś ukryć, pozostawało mi tylko przetransferować je gdzieś indziej, do floty handlowej lub innego przedsiębiorstwa w państwach skupionych w Lidze Handlowej na wybrzeżu zachodnim, ewentualnie na północy za Pustynią Gutawską. Nie podobał mi się taki pomysł. Imperium stanowiło centrum świata, przynajmniej w tej chwili. Inne ziemie w większości wydawały się strasznie prymitywne lub były tylko małymi wysepkami cywilizacji i kultury. Oprócz wybrzeża zachodniego, ma się rozumieć. Miałem sporo czasu na decyzję, musiałem ją dokładnie przemyśleć. Zawsze mogłem posłać Schantilowi polecenia przez kuriera, działało to bez zarzutu już od lat.

W końcu dopiłem wino i herbatę podawaną w ciekawie wyglądającym kubku z dwoma uszami. Może i była w znakomitym gatunku, ale na herbacie wcale się nie znałem. Pragnienie jednak gasiła, to musiałem przyznać. Prawie tak dobrze jak czysta woda źródłana kilkaset metrów od szczytu góry. Sięgnąłem do kieszeni po pieniądze i zeszytniałem. W prostej skórzanej sakiewce uszytej tak, żeby monety tkwiły w niej płasko, miałem trzy dziesięciozłotówki, trzy pojedyncze złote i kilka srebrnych.

Może tych ostatnich było więcej, nie pamiętałem, tylko że tego nie mogłem już sprawdzić, bo sakiewka jakimś zagadkowym sposobem zniknęła z mojej kieszeni. Z drugiej kieszeni kurtki wyjąłem zapasowego złotego i położyłem go na stole. Schantil zrozumiał to prawidłowo, jako koniec naszego spotkania, wstał, pożegnał się lekkim ukłonem i wyszedł. To mi się w nim podobało chyba najbardziej. Nigdy nie mówił za wiele.

Kiwnąłem na kelnera, żeby mi przyniósł jeszcze szklaneczkę wina i trochę rozżłoszczony rozmyślałem, jak ktoś zdołał mnie okraść. Musiał się do mnie zbliżyć na odległość umożliwiającą kontakt. Zamiast sięgać do mojej kieszeni mógł mnie spokojnie dziabnąć sztyletem w plecy. Przez lata spędzone na szlaku wytworzyłem sobie niezawodny zmysł do wykrywania niebezpieczeństw. Machinalnie taksowałem ludzi wokół siebie, ich potencjał bojowy, ich kondycję fizyczną, po prostu wszystko to, co mogło mi pomóc przeżyć. Jak dotąd, pomagało. Powoli przypominałem sobie przebieg dzisiejszego przedpołudnia. Wszystkiego oczywiście nie mogłem odtworzyć w pamięci, tylko te wydarzenia, które w jakiejś niewielkiej mierze różniły się od normalnych. I przypominałem sobie takie wydarzenie. Okradła mnie mała, chuda, okropnie niedożywiona dziewczynka. Trzyznaście lub czternaście lat, nie więcej, z płaską klatką piersiową i grzywką wyciętą w ząbki. Przypominałem sobie, że nie sądziłem wtedy, że mnie zaczepi, jednak spostrzegłem, że uważnie mnie obserwuje. Ubrana była w spraną kapotę ze zbyt krótkimi rękawami, wokół szyi miała owiniętą tak znoszoną chustkę, że większość ludzi uważałaby ją za kawałek szmaty. Po tym jak mnie obejrzała, postarała się otrzeć o mnie, przechodząc obok. Właściwie wpadła na mnie, aż chustka zsunęła jej się w dół. Złapała ją, zanim dotknęła ziemi, i z przeproszającym, wystraszonego spojrzeniem usunęła się z drogi. Pomyślałem, że to oczywiste, bo ludzie pewnie często ją biją, a ona niczego innego nie oczekuje. Świetna aktorka, potrzebowała już tylko oddalić się z moimi pieniędzmi. Upiłem łyk i odstawiłem szklankę. Zostałem wprawdzie okradziony, a to nastroju człowiekowi nie polepsza, ale przynajmniej wiedziałem przez kogo. Chyba trochę mi to pomogło.

Czas sjeisty minął. Wstałem i ruszyłem stawić czoła dalszej części pracowitego dziś dnia. Brahm umówił mnie na spotkanie z człowiekiem, który miał dokładne plany rezydencji barona Sortona. Sorton był szlachcicem uważanym za dziwaka, który zarządzanie swymi dobrami powierzył młodszemu bratu, sam zaś poświęcił się studiowaniu historii. Pozyskał do swej biblioteki szereg zajmujących tomów, które chętnie bym przejrzał. Baron był kolekcjonerem entuzjastą i odrzucał wszystkie oferty składane przez moich pośredników. Skoro nie przyjdzie wóz do kozy, koza musi się pofatygować do wozu, jak mówi stare porzekadło. A ja naprawdę chciałem zobaczyć te księgi. Jeśli wszystko załatwię bez specjalnej straty czasu i wrócę do czworoboku wcześniej niż większość jego mieszkańców, to mógłbym przyjrzeć się kamiennym płytom, które Liama z przyszłą matką wymieniały w kołysce. Przychodziło mi na myśl mnóstwo powodów, dla których to zrobiły, ale powątpiewałem, czy któryś z nich okaże się prawdziwy.

Powrót do cywilizacji

Janick usiadł na chwilę i oparł się plecami o pień drzewa. Po trzech dniach podróży był u kresu sił psychicznych i fizycznych. W odróżnieniu od reszty ani chwili nie jechał na wozie, prawie całą drogę szedł piechotą. Co więcej, rano musiał wstawać pierwszy, aby przyrządzić śniadanie, wieczorem kładł się ostatni, po wygaszeniu ogniska i umyciu naczyń. Sto, tysiąc, dziesięć tysięcy razy przeklął starego Wickerę za to, że wysłał go w niebezpieczną podróż wraz z Majalem i dwoma innymi klanowymi czarodziejami: Mayersem i Fedorem. Nie pojmował, o co wielkiemu mistrzowi chodziło. Jego słabość wzmogła się jeszcze po zjedzeniu trującej potrawy, którą sobie przyrządził. Miał nawracające halucynacje, w których widział rzeczy nieistniejące lub odwrotnie, coś, na co powinien zwracać uwagę. Przez pierwsze dwa dni coraz to musiał biegać w krzaki, gdzie na przemian to wymiotował, to skręcał się w bolesnych skurczach. Najgorzej było, gdy oba ataki napadały go równocześnie. Wszyscy patrzyli na niego jak na idiotę, który tylko wstrzymuje marsz. Nie martwił się tym, zbyt źle się czuł.

Dzień dzisiejszy miał, w porównaniu z poprzednimi, jeden plus. Do wicehrabiego Karlonisa przybył około południa goniec, który przyniósł wiadomość, że główny śledczy Konwentu jest pilnie oczekiwany w Malansku. Arystokrata już odjechał ze swoją świtą. Majal stwierdził, że w beczce cydru, którą Wicker wydzielił dla uprzyjemnienia wicehrabiemu podróży, jeszcze trochę zostało i teraz wraz ze swoimi towarzyszami zajmował się ratowaniem tej pozostałości przed skwaśnieniem.

Janick wstał, wzdychając, i sprawdził, czy konie pociągowe nie są zbyt ciasno spętane, a potem zostawił je w spokoju na pastwisku. Nanosił drewna na ognisko i w końcu, zmęczony, położył się na trawie. Zdawał sobie sprawę, że powinien przynieść koc, bo za chwilę zacznie mu być zimno, ale na razie tylko tak leżał. Aż do zmroku, gdy inni będą mieli już nieźle w czubie, istnieje szansa, że nic od niego nie zechcą. Głowa mu pękała, z ogniska, przy którym siedzieli jego towarzysze, strzelały wysoko iskry. Usiłował nie zwracać na nie uwagi, bo to nie były normalne iskry, tylko dziwnie ukształtowane plamki światła, widoczne jedynie dla niego. Tylko o zmroku i wtedy gdy odpoczywał. Halucynacje wciąż go nie opuszczały. Trójka przy beczce zaczęła się o coś głośno spierać. Starał się podsłuchać. Przypuszczał, że Wicker do niebezpiecznego zadania wydelegował najlepszych ludzi, o największych zdolnościach magicznych. Jednak członkowie klanu ukrywali swe uzdolnienia przed innymi albo wcale ich nie mieli. To drugie wydało się Janickowi bardziej prawdopodobne. Tylko Majal teraz, pod nieobecność wicehrabiego i jego orszaku, ostentacyjnie zapalał fajkę bez użycia krzesiwa czy innego źródła ognia, samym tylko wzrokiem. Któryś dołożył do ogniska, rozpałiło się porządnie, światła przybyło. Janick sięgnął do torby i wyjął z niej książkę z przepisami, pieczołowicie owiniętą w płat skóry. Był wprawdzie zmęczony, ale ciekawość zwyciężyła, a czytanie mogło odwrócić uwagę od świetlistych plam latających mu przed oczami. Bóg wie co na siebie sprowadził, racząc się tym dziwnym jadem. Nie winił za to księgi, tylko swój nieudolny przekład.

Znów zagłębił się w na wpół zrozumiałym języku i starał się wydobyć ukryty sens z pozornie niespójnych wyrażen. Tymczasem wieczór ustąpił miejsca nocy, a pijacy dawno się uciszeli. Janick zdecydował się schować książkę. Zrobił to niechętnie, lecz oczy go piekły, a w poblasku dogasającego ogniska pismo i świetliste plamy zlewały się w jedną gmatwaninę. Starannie owinał

księgę i dopiero potem włożył ją do plecaka. Wyprostował się i przeciągnął, po długotrwałym siedzeniu w zgarbionej pozycji bolały go plecy.

Może w beczce coś jeszcze zostało, pomyślał.

Ogień już ledwie się żarzył, dając bardzo mało światła. Z kubkiem w ręce ruszył przez mrok tam, gdzie jaśniała wstęga drogi i stał wóz. Szedł ostrożnie, żeby się nie przewrócić o kamień czy gałąź, żeby nikogo nie obudzić. Od wozu dzieliły go ostatnie dwa kroki, gdy na kupie bagażów zajaśniało w ciemności światło, ciemnoczerwone, przechodzące szybko w oranż. Janick zastygł w bezruchu. Co to, cholera, jest? Wszystkie pogrzebane gdzieś głęboko strachy dzieciństwa wróciły, jakby znów miał sześć lat. Diabli nadali to tłuczenie się po dzikich dziedzinach, starał się zwalczyć uczucie grozy. Fajka, zrozumiał z ulgą. Ruszył dalej, mając nadzieję, że Majal nie zauważył jego przestרחu. Prawie oczekiwał, że klanowy mistrz zagadnie go lub zabroni nalać sobie porcję trunku. W beczce zostały jeszcze dobre dwa, trzy dzbanki cydru. Majal jednak milczał, a o tym, że czuwa, świadczył tylko rozszarżający się i znów przygasający ogieniek w fajce.

Janick wrócił na swoje miejsce, po drodze przystanął i wziął koc. Pomału wypił do dna kubek cydru i ułożył się do snu. Koc szybko go ogrzał, bo siedząc przedtem na gołej ziemi, nieprzyjemnie przemarzł. Już zamknął oczy i powoli zapadał w sen, gdy nagle wszystkie niezrozumiałe słowa, ich wzajemne połączenia i całe zdania, nad którymi tyle prześlęczał, złożyły się same w sensownie brzmiącą całość. Działo się to tak, jak z czystą, spokojną wodą, która długo nie zamarza nawet podczas ostrej zimy, a później wystarczy jeden przypadkowy impuls i jej powierzchnia zamienia się w gładką lodową tafłę.

Tak przyrządzone kasza ma oprócz swego pożądanego skutku ujemny wpływ na system nerwowy. Idzie tu o lekkie, długo nieustępujące zatrucie, które może być dla niektórych ludzi śmiertelne. W chwili gdy szkolony przejdzie do fazy drugiej, trzeba niezwłocznie kontynuować z użyciem wywaru Basby'ego.

Raz po raz przepowiadał sobie tekst w duchu, zdawało mu się, że bez błędów. Wszystko pasowało do siebie, wyglądało na to, że dotarł do rzeczywistego znaczenia. Niepokojącego, musiał przyznać. Najchętniej wyciągnąłby książkę jeszcze raz i zabrał się do czytania, to mogło jednak zwrócić uwagę jego towarzyszy. Co najmniej Majala, a tego przecież nie chciał. Nie mógł zasnąć, myśli kłębiły mu się w głowie wraz z domysłami. Nie wiedział, co znaczy faza druga ani wywar Basby'ego, a ponadto czuł się zbyt słaby, żeby wypróbować na sobie pozostałą część liczącej setki lat recepty mogącej mu pomóc. Musiał czekać na lepszą okazję. Następny nocleg zaplanowali w wiosce, gdzie mieli się spotkać z innymi najętymi przez Wickera ludźmi. Miał nadzieję, że dzięki temu zyska trochę wolnego czasu. O ile nadal będzie jeszcze żywy: Trucizna dla niektórych ludzi jest śmiertelna.

Poranna wizyta

Siedziałem we wnące drzwi do czworoboku Liamy, okryty płaszczem, pod zadkiem miałem matę, którą ukradłem kilka domów dalej, wypoczywałem i mrugałem w ciemności. Wróciłem wcześniej, niż planowałem. Noc już miała się ku końcowi, gwiazdy na wschodzie utraciły swą brylantową jaskrawość i pomału bladły, ptakom zostawało niewiele czasu do rozpoczęcia codziennego koncertu. Mogłem stukać do drzwi i spróbować kogoś obudzić, ale postanowiłem nie rzucać się w oczy. Na przełazenie przez mur było już za późno. Nad ranem ludzie nie śpią zbyt mocno i mógłbym zwrócić czyjąś uwagę. Planowane spotkania przeciągnęły się do późna i nawet myślałem, że może przenocuję w jednym ze swych wynajętych pokoi, ale w końcu zwyciężyła chęć na dobrą kawę, którą mogłem dostać w czworoboku, a w najgorszym przypadku sam sobie przygotować, i możliwość zamienienia kilku słów z Liamą. Nigdy nie szukałem towarzystwa, ostatnie kilka lat jeszcze pogłębiło moją samotność, ale Liamą... Właściwie bardziej mi zależało na tej krótkiej porannej rozmowie niż na kawie. To była interesująca kobieta.

Zawiał wiatr, taki słaby, zmęczony wiaterek, który też najchętniej by się zdrzemnął. Najzimniej będzie tuż po świtaniu, miałem jednak nadzieję, że wtedy znajdę się już w środku. Dzień pracy zaczynał się tu wcześnie. Zabrałem się do serii specjalnych izometrycznych ćwiczeń, podczas których człowiek się nie rusza, tylko napina i rozluźnia mięśnie, żeby nie zdrętwieć i żeby przy nagłym ruchu nie trzeszczały mu stawy. Dawniej wystarczyło, że przeciągnąłem się raz na całą noc, teraz musiałem robić to częściej. Rozmyślałem o planach rezydencji barona Sortona. Były zdumiewająco dokładne, aż z początku nie chciałem im wierzyć. Nie wydawało mi się, żeby baron posiadał ot tak, dla kaprysu, coś, co kosztowało tyle pieczołowitej pracy. Sprzedawcę, który mi je dostarczył, typa zbyt bojaźliwego lub zbyt sprytnego na to, żeby sam kradł, skłoniłem do wyznania, że jeszcze przed paru laty rezydencja była własnością bogatego handlowca. To wyjaśniało, czemu trzeba włożyć tyle pracy w zorganizowanie kradzieży. Szybko zaznaczyłem, że plany zestarzały się, i z tego powodu uzyskałem znaczącą obniżkę ceny. Sprzedawca nie wiedział, że interesuje mnie tylko biblioteka. Znajdowała się w starej wieży, z jej wyglądu wynikało, że nie była przebudowywana od wieków. Dla kogoś, kto nie boi się odrobiny wspinaczki i upadku ze znacznej wysokości, nie było wielkim problemem dostać się na górę. Gdy już miałem plany w kieszeni, musiałem okiełznać chęć spenetrowania ksiąg barona jeszcze tej nocy. W końcu odłożyłem to na potem. Nigdy nie zaszkodzi poświęcić trochę czasu na obserwacje. Poza wszystkim, czułem się nieco zmęczony.

Z rozmyślań wytrącił mnie jakiś dźwięk. Szelest odzieży? Może. Nieostrożny krok w butach na grubej podeszwie z wołowej skóry? Może. Ciemność była jeszcze zbyt gęsta, żebym mógł widzieć zakamarki ulicy i nisze drzwiowe, ale gładkie ściany i otwarta przestrzeń zdążyły już poszarzeć. Patrzyłem wszędzie, a równocześnie nigdzie i nasłuchiwałem. Było ich trzech... Nie, było ich pięciu. Zbliżali się. Nie powiedział mi tego żaden konkretny zmysł, ale wszystkie razem, z wydatnym udziałem podświadomości. Kilkakrotnie pomyliłem się w przeszłości, jednak więcej razy instynkt wojownika ocalił mi życie.

Dwóch stanęło przy murze, zamieniając się w nieforemne, mroczne cienie. Któryś coś szepnął, ale niestety tak cicho, że nie dosłyszałem co. Dwaj inni stanęli po przeciwnej stronie ulicy, po obu stronach domu. Mieli za zadanie ubezpieczenie terenu. Źle, że nieznajomi wzięli mnie w kleszcze,

otoczyli z lewej i prawej. Czy na pewno nieznanomi? Ostatni z nich przyszedł nieco później, jakby sprawdzał dalszą okolicę.

Kolejne szept, głośniejsze, bardziej zdecydowane niż poprzedni, szelest odzieży, odgłos czegoś prześlizgującego się po kamieniu i stłumione metalowe zgrzytnięcie. Zrozumiałem, co robili. Przerzucili przez mur drabinkę sznurową i szykowali się, aby wejść do wnętrza czworoboku. Wstałem pomału i ostrożnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi nagłym ruchem, i cicho zszedłem po schodkach na dół, opuszczając wnękę. Moja ostrożność zdała się na nic, ktoś mnie wyszedził i nasłwał zabójców. Kto i dlaczego, będę się dowiadywał później. Z pochew pod ramionami wyciągnąłem krzyżowym ruchem dwa noże, te cięższe, przeznaczone do rzutów na dalsze odległości. Niewyraźna sylwetka zaczęła wdrapywać się do góry po niewidocznych szczeblach. Kąt był niewłaściwy, miałem go za bardzo z boku. Krok lewą nogą, obrót tułowia, rzut. Włożyłem weń całą siłę, zduszony krzyk ozwał się prawie w tym samym momencie, w którym stał opuściła moją dłoń. Mężczyzna spadł, piasek zaskrzypiał, gdy najbliższy z trójki szykującej się przeleźć przez mur odwrócił się w moją stronę. Kątem oka musiał zauważyć ruch. Nie zwolniłem tempa, krok prawą nogą, drugi rzut. Przez długie lata spędzone na szlaku nauczyłem się używać lewej ręki tak samo dobrze jak prawej. Stał zazgrzytała po stali. Odbił nóż w locie. Nie, to kolczuga, zorientowałem się.

Wykonał charakterystyczny ruch, wyciągał broń. Raczej nóż niż miecz. Teraz dzieliły nas tylko dwa kroki. Opuścił prawe ramię, podniosłem lewy dolny róg płaszcza, a on na ułamek sekundy zwolnił swój ruch. Zaatakował nisko, pchnięciem na wprost w luźną połę. Targnąłem nią w górę, prostując ramię. Teraz znalazłem się tuż przed nim. Wsadziłem mu dwa błyskawiczne ciosy w dolne żebra i w pierś pod kość ramieniową, przesunąłem prawą rękę pod jego łokciem i założyłem dźwignię. Odskoczył do tyłu, ale spóźnił się. Staw łokciowy złamał się z trzaskiem. Zdążyłem nadepnąć mu na gardło i kontynuując ruch, znalazłem się naprzeciw trzeciego nocnego łowcy. Jego twarz była białą plamą w ciemności.

– Co tam się, do cholery, dzieje? – jeden z ubezpieczających domagał się wyjaśnień.

Człowiek znajdujący się za mną ruszył biegiem. Nie widziałem go, ale słyszałem. Tuż przede mną błysnęło ostrze miecza. Raczej krótkiego, dającego się ukryć pod płaszczem. Zabójca złożył się do cięcia z góry, lecz nie docenił mojej szybkości i nie zmienił sposobu ataku. Odwróciłem się bokiem, naciskiem na wierzch jego ręki zbiłem broń ku ziemi i lewą ręką założyłem mu dźwignię na nadgarstek. Ból spowodował, że puścił broń, przechwyciłem ją i z jedną ręką na rękojeści, a drugą na klindze pchnąłem go w brzuch. Czwarty już zachodził mnie od tyłu. Przekroczyłem przez umierającego, ale poślizgnąłem się. Nie broniąc się przed upadkiem, przewróciłem się na plecy, ciemna sylwetka z bronią w dłoni była tuż obok. Przetoczenie się, sztych miecza musnął mój bok, ale już złapałem go za nogę i powaliłem kopniakiem w krocze. Nie starałem się wstać, trzymałem jego nogę i nagłym skrętem wywichniąłem mu kolano. Zaryczał, ale niczego już nie mógł zrobić, a ja, nadal leżąc, rozprułem mu podbrzusze. Ostatni z piątki napastników uciekał w stronę małych, ciemnych uliczek. Przetoczyłem się na bok, w dłoń wślizgnął mi się kolejny nóż, bez namysłu cisnąłem nim za uciekającym. Nie był to dobry rzut, ale dosięgnął go w udo. Zamiast, utykając, uciekać dalej, zatrzymał się, najwidoczniej oszołomiony nagłym bólem. Bardziej przy pomocy rąk niż nóg oderwałem się od ziemi i zanim w ogóle zdążył mnie zauważyć, wyrwałem z pochwy jego własną broń i padając, rozciąłem mu brzuch. Świadkowie nie byli mi potrzebni.

Leżałem we krwi, śliskich wnętrznościach i ekskrementach i głęboko oddychałem. Ten przedostatni chybił o włos. O mało co mnie nie dostał. Ale tak już jest, żaden wojownik nie może przewidzieć wszystkiego. Moje postrzeganie świata z wolna wracało do normalności. To, co się mogło stać, było w tej chwili już nieistotne. Ważne, co się rzeczywiście wydarzyło. Przeżyłem, jak zawsze. Nedorzecznosc tej myśli ubawiła mnie, a równocześnie usłyszałem stłumiony odgłos kopyt i nieregularne poskrzypywanie kół. Niezwykle ciche. Ktoś nadjeżdżał i robił to bardzo ostrożnie. To nie mógł być przypadek.

Musiałem się za wszelką cenę dowiedzieć, co to za jedni. Mogłem zapytać tego ze złamaną ręką, zanim i jego zabiję. Ale nie jęczał, co znaczyło, że nawet w pośpiechu zmiażdżyłem mu krtań dostatecznie dokładnie.

Stłumione klapanie kopyt zbliżało się. Zanim zdążyłem wybrać sobie kryjówkę, rozległ się odgłos odsuwanych zasuw. Drzwi do czworoboku otworzyły się i w szarość odchodzącej nocy wdarło się światło lampy. Spostrzegłem twarz Liamy, pokrytą tańczącymi cieniami.

– Co tu się stało? – zapytała stłumionym szeptem.

Miała lekki sen, to pewne. Serce biło mi nadal, jakbym ukończył wyścig, podniecenie walką i niebezpieczeństwem jeszcze nie minęło.

– Próbowali mnie zabić. Pani nic nie wie. Teraz proszę zamknąć drzwi, ktoś jedzie! – syknąłem i machnąłem do niej ręką. – Szybko! – popędziłem ją, gdy głośno oddychając, wpatrywała się w ciała rozrzucone wokół wejścia do jej domu.

Na szczęście posłuchała mnie.

Przebiegłem przez ulicę i schowałem się w zaułku, wóz już się zbliżał. Jechał wolno, nie był oświetlony. Przejeżdżając koło mnie, zwolnił, a parę metrów dalej stanął. Na co czekał? Na znak? Przyjechał odwieźć ludzi wyznaczonych do śmiertelnego ataku? Dziwne, pieszo uciekliby szybciej. Przyjechał po mnie, chcieli mnie dostać żywego, domyśliłem się. To było jedyne możliwe wyjaśnienie.

Splamiony śmiercią poranek śmierdzał krwią i kałem. Wydawało się niemożliwe, żeby woźnica tego nie poczuł. Albo był do podobnych sytuacji przyzwyczajony, albo zawodziły mnie rozbudzone zmysły. Mężczyzna na koźle targnął po chwili lejcami i wóz ruszył. Światła tymczasem przybyło i zdołałem rozpoznać więcej szczegółów. Na pozór był to zwyczajny dwuosiowy wóz używany do przewozu towarów między wioskami, ale to wrażenie było mylące. Gdy znalazł się blisko, mogłem stwierdzić, jak cicho się porusza. Osie musiały być doskonale nasmarowane, zaś podkowy koniom owinięto szmatami. Oddalał się już ode mnie, Latający Holender szarego świtu.

Ruszyłem za nim, był moją jedyną szansą.

Posuwałem się o trzydzieści kroków z tyłu. Nie musiałem się kryć, plandeka zasłaniała woźnicy widok. Przy pierwszej okazji skręcił w prawo, potem znowu, jechał teraz w kierunku przeciwnym do tego, z którego się pojawił. Potem już nie kluczył i najkrótszą drogą kierował się ku południowym

krańcom miasta. Stał na granicy obszaru miejskiego, gdzie zabudowa była rzadka i pojawiły się pierwsze domy z obszernymi ogrodami. To było dla mnie korzystne, dalej leżały już tylko podmiejskie posiadłości otoczone polami. Na otwartym terenie ryzyko, że mnie dostrzeże, było znacznie większe.

Przycisnąłem się ciasno do pnia i obserwowałem woźnicę, jak zeskakuje i sam otwiera sobie bramę w kamiennym, niezbyt dobrze utrzymanym murze. Nad nim wznosiły się ku jaśniejącemu niebu korony drzew. Szarość zmieniła się już w mdłe światło i świat zaczynał stroić się w kolory. Przez chwilę rozmyślałem, czy od razu zajrzeć za mur, ale przypuszczałem, że jeśli w domu ktoś się ukrywa, to będzie zaniepokojony tym, że jego grupa uderzeniowa nie wróciła. Co więcej, światła przybywało z każdą minutą. Później wystarczyło rozpytać się w okolicy.

Wóz przejechał, mężczyzna ponownie zszedł z kozła, bramę starannie zamknął i nastał spokój. Bez dalszej zwłoki ruszyłem w drogę powrotną. Szedłem wolno, ogarnęło mnie zmęczenie po długiej nocy i myślałem o zapachu kawy i ciepłe grzejącego dłoń kubka. Kawałek chleba, słonina lub dobry pasztet też by nie zaszkodziły. Jakiś czas jednak zajmie mi dotarcie do miejsca, gdzie będę się mógł tym delektować. Koło czworoboku będzie się teraz kręcić straż miejska i śledczy, a ja muszę się przed nimi ukrywać.

Miasto ożyło zupełnie nagle, jakby w jednej chwili. Ulice zapełnili przechodnie, wózki i powozy, wszyscy dokądś spieszyli. Nikt zbyt dużo nie mówił, nie było potrzeby. Teraz wszystkim zależało na pośpiechu: dostarczyć towary na targ wcześniej niż inni lub akurat na czas, żeby były przygotowane dla pierwszych kupujących, jacy się pojawią, zanim słońce zamieni się w oślepiającą kulę ognia. Nigdy nie znajdowałem się między tyloma ludźmi o tak wczesnej porze. Na przekór moim życzeniom, napotykałem ich całe mnóstwo, ale nie przyglądałem się nikomu. Poranek różni się od wieczora tak jak dzień od nocy albo woda od ognia.

Nie wiedziałem, co Liama powie o mnie śledczym, miałem jednak nadzieję, że znajdę okazję, żeby ją o to zapytać. Chciałem też wiedzieć, kto i jak poprowadzi śledztwo. W wysmarowanym świeżą krwią ubraniu wydawałbym się podejrzany nawet zwykłemu idiotcie. Zatrzymałem się w szynku czynnym całą dobę, gdzie na glinianej podłodze pod obłupanymi stołami kilku pijaków odsypiało kaca. Kupiłem sobie dzbanek piwa i podwójną wódkę. Trochę się napiłem jednego i drugiego, resztki wylałem na siebie i opuściłem szynk. W najbliższej uliczce wytarzałem się w piachu i kurzu, a potem starannie otrzepałem. Rezultat podnosił na duchu, wyglądałem jak włóczęga wracający z długiej pijatyki. Jednak zanim się porządnie nie umyję i nie zmienię ubrania, będę musiał unikać stróżów porządku. Teraz chciałem przyłączyć się do tłumu gapiów i zobaczyć, jak przedstawia się sytuacja.

Przy czworoboku Liama czekało mnie zaskoczenie. Ulica była pusta, tylko kilku ludzi spieszyło do swoich obowiązków. Żadnych gapiów, żadnych śledczych, żadnych trupów. Drzwi otworzyły się, zanim zdążyłem zapukać.

– Niech pan wejdzie. Nie trzeba, żeby ktoś pana widział – zaprosiła mnie do środka.

Wyglądała na zmartwioną, ale nie panikowała. Tylko zmarszczki koło oczu i ruchy szybsze niż zwykle zdradzały jej zdenerwowanie.

– Gdzie są zwłoki? – zapytałem, ledwie zamknęła za mną drzwi.

Zaprowadziła mnie wprost na podwórze, wskazała komórkę na opał.

– Czemu pani to zrobiła? – Nie rozumiałem. – To ściągnie na panią podejrzenia, będą panią uważać za współwinną.

Popatrzyła na mnie i źrenice rozszerzyły się jej, jakby dopiero teraz poczuła strach.

– Ja... ja wpadłam w panikę. Bałam się, że pana zamkną i stracą.

Wzdłuż ściany, po wąskim chodniku wyłożonym kamieniami, kuśtykał o kuli stary mężczyzna. Stary, ale świadomy swojej powagi i ważności. Włosy miał tak siwe, że aż białe, twarz z wystającą brodą i niewielkim nosem sprawiała wrażenie, że ktoś mu ją kiedyś ukształtował wałkiem do ciasta.

– Noże, gdzie są moje noże? – skupiłem się na najważniejszej w tej chwili sprawie.

Starcowi o kuli mogłem stawić czoła później. Czuję się tak kiepsko, że może by ze mną wygrał.

Podszedł do nas i rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

– Tutaj – odpowiedział w sposób zaskakująco naturalny i podał mi plecioną torbę.

Zważyłem ją w ręce. Były tam wszystkie trzy. Te większe, długie na dwadzieścia centymetrów, z jednego kawałka stali, z rękojeścią oplecioną skórzonym paskiem. Ktoś już je wyczyścił, ostrze jednego było bez skazy, można było się nim golić, drugi nóż uszkodził się przy zderzeniu z kolczugą i miał rysę. Ale niedużą, łatwo będzie ją ściągnąć na osełce.

– Teraz już chyba za późno, żeby wyrzucić zwłoki z powrotem? – zapytała bezradnie Liama.

– Pan jest Każewicz – przypomniałem sobie nazwisko starosty, o którym już mi wspomniano.

Przytaknął.

– Chyba powinienem panu powiedzieć... – zaczął z wahaniem, widać było, że się w mojej obecności nie czuł zbyt dobrze.

Nie chciałem przysparzać tym ludziom kłopotów.

– Zdaję sobie sprawę, że macie ze mną problemy – przerwałem mu.

Każdy człowiek zajmujący się uczciwą pracą byłby w mojej obecności zdenerwowany, zwłaszcza po tym, jak przed jego progiem zabiłem pięciu ludzi. W żadnym przypadku nie chciałem starca przerazić.

– Starosta Każewicz był łaskawy i obiecał mi, że dopóki nie będzie musiał, nie zwoła zebrania

mieszkańców czworoboku, żeby osądzić mój błąd – powiedziała Liama, spuszczać oczy.

Przeze mnie naraziła na niebezpieczeństwo mieszkańców domu, w którym mieszkała od lat. Mogła stracić bardzo wiele, swoje miejsce w życiu.

– Znajdziemy sposób, jak się tych ciał po cichu pozbyć, a ja się później przeprowadzę gdzie indziej – obiecałem im. – Nie rozumiem, jak mnie tu odkryli. – Pokręciłem głową.

Każewicz patrzył teraz na Liamę bardziej z zaskoczeniem niż z wyrzutem czy złością.

Nie chciałem, żeby się tu zaczęły kłótnie i wyrzuty.

– Kawalek za miastem zaczynają się bagna, możemy ich tam pogrzebać – wróciłem do naszego problemu.

Każewicz pokręcił głową.

– Nawet jeśli się panu uda zawieźć tam ciała tak, żeby nikt tego nie zobaczył, to rozkładające się zwłoki przyciągają wielkie kraby. Żyją w bagnach i żywią się wszystkim, co możliwe, padliną też. Biedacy łowią je i zjadają. Żadne zwłoki nie ujdą więc uwagi. Za ich wskazanie dostaje się drobną premię.

Nigdy przedtem nie słyszałem o krabach bagiennych. Pięciu ludzi nie da się zbyt łatwo pozbyć. Zwłaszcza w dużym mieście.

– Trzymacie świnię? – przypomniała mi się pewna nieprzyjemna rzecz.

– Tutaj nie, ale kilka hodujemy poza miastem. Sprzedajemy je na targu i mamy z tego pieniądze – odpowiedział Każewicz.

Mało kto zdaje sobie sprawę, że świnia zeżre dosłownie wszystko.

– Znakomicie – oznajmiłem.

Liama popatrzyła na mnie zdziwiona, w jej oczach pojawiło się zrozumienie, a zaraz potem zgroza i sprzeciw.

Gdy tylko otrząsnęła się z szoku spowodowanego gwałtowną śmiercią napastników, znów była sobą, spostrzegawcza i gotowa do działania.

– Wkrótce wasze świnki będą miały co jeść – mówiłem dalej, umyślnie obojętnym tonem. – Potrzebna mi będzie siekiera. Ciężka i z długim styliskiem. I jakieś naczynia, do których włożymy żarcie. Najlepsze będą drewniane beczki z zamknięciem.

Nie powiedziałem „ciała lub ich kawałki”, tylko „żarcie”, konieczne było, żeby współpracowali ze mną i nie wpadali w panikę.

– Wszystko trzeba zrobić jak najprędzej. Nie mogą zacząć śmierdzieć bardziej niż teraz.

Liana odetchnęła głęboko, Każewicz wahał się wyraźnie.

– Zaraz panu wszystko dostarczę. – Wróciła do rzeczywistości szybciej niż on.

Po długiej nocy czekał mnie jeszcze długi dzień.

Wyobrazenie o rzeźniczej robocie, z jaką będę musiał się uporać, spowodowało, że głód mi przeszedł. Napilem się tylko wody i zabrałem do pracy. Wszystko, co było mi potrzebne, dostałem bez czekania.

Najgorszy był początek. Zanim nos otępiał i przestał reagować na smród, a ciała straciły swój ludzki wygląd. Skończyłem dopiero po południu. Najwięcej mitręgi kosztowało pocięcie kręgosłupów i kości udowych na kawałki, z którymi świnie mogły sobie poradzić. No i sprawienie, żeby nie było od razu widać, co też właśnie żrą. Żebra były łatwiejsze, ale rozbijanie czaszek też nie okazało się drobnostką. Reszta była rutyną...

Gdy już skończyłem, spocony, brudny i wymazany wszystkim, co się w ciałach znajdowało, weszła Liana, taszcząc worek ziarna.

Ujrawszy efekty mojej pracy, przełknęła tylko głośno ślinę.

– Rozsypię to tutaj, a później zamiotę. Wsiąknie w nie, hm, krew – nazwała rzecz po imieniu – i też je wywieziemy z miasta.

– Dobry pomysł – zgodziłem się. – Będzie tu o wiele czyściej, piasku nasypimy na samym końcu.

*

Czułem się źle, brudny jak nigdy w życiu, zniesmaczony tym, co było jeszcze do zrobienia. Nie chciałem jednak polegać na nikim innym i zdecydowałem się sam zawieźć wóz z potwornym ładunkiem na miejsce przeznaczenia. Drogę miał mi wskazać młody człowiek, który oznajmił, że nazywa się Kletwa i jest wnukiem Każewicza. Nie pytał, co właściwie wieźliśmy, dostał rozkaz od dziadka i wypełniał go.

Najgorsze było ładowanie wozu. Czworobok nie miał bramy wjazdowej, tylko dwa proste wielokrążki na wysięgnikach, służące do przenoszenia większych przedmiotów do wnętrza domostwa będącego małą twierdzą. Dziwiło mnie, że jego mieszkańcy od tylu pokoleń byli wierni tradycji przodków i nadal skłonni znosić niewygodę życia w twierdzy. Gdy zaczęliśmy opuszczać na podstawiony wóz przewiązane pętlami, zamknięte beczki, wydawało mi się, że znajdujemy się w centrum uwagi wszystkich obecnych w okolicy i że wszyscy czują woń mięsa, które pomału zaczynało gnić. Oczywiście nie była to prawda, to ja śmierdziałem, beczki osobiście szczelnie

zamknąłem. W końcu wyjechaliśmy. Czworobok stał na samym skraju miasta, toteż z ulicy wyjechaliśmy prawie natychmiast. Polna droga wijąca się między mokradłami ku północy była pusta. Cel naszej podróży, mały chlewik, znajdował się w odległości trzech kilometrów, na niewielkiej wyniosłości terenu, otoczonej zalewanym co roku obszarem bagien. Po drodze dowiedziałem się od swego towarzysza, że raz na dziesięć lat woda tak się podnosi, że większość świń ginie. Mimo to chów się opłacał.

Po przeszło godzinie ostrożnego kolebania się po drodze, zatrzymaliśmy się przy drewnianej zagrodzie, w której kręciły się ze dwa tuziny dużych świń i kilkadziesiąt prosiaków, a w oddzielnym wybiegu znajdowały się cztery zdumiewająco okazałe samce, które po naszym przyjeździe zaczęły wściekle chrząkać i próbowały rozbić ogrodzenie, aby dostać się do mnie.

– Są dzikie. Rasowe maciory i te dzikusy mają najlepsze prosięta – mruknął do mnie Kletwa konspiracyjnie.

Nie podzielałem jego entuzjazmu.

Do zagrody przylegały duże zadaszzone chlewy i koryto, kawałek dalej stał skromny drewniany domek. Była to właściwie komórka z oknami, które można było zamknąć okiennicami w razie niepogody. Drzwi zastępowała zawieszona dera, a komin dziura w dachu. Mieszkanie więcej niż skromne. Kletwa zszedł z wozu i ruszył naprzeciw mężczyźnie, który wyszedł na zewnątrz przywitać niezapowiedzianych gości. Chlewmistrz miał niskie czoło, małpnie ręce i garb. Inteligentny adonis zapewne nie wybrałby takiej pracy.

Wielka maciora przycisnęła się do ogrodzenia i głośnym kwiczeniem starała się zwrócić na siebie uwagę. Garbus zbliżył się do niej i podczas gdy Kletwa mówił coś do niego, drapał ją po różowym, zadziwiająco czystym ryju. Odniosłem wrażenie, że oboje, człowiek i zwierzę, uśmiechają się do siebie w tej chwili. Porównywanie ludzi do świń często krzywdzi te zwierzęta, o czym sam kilkakrotnie się przekonałem. Za chwilę koło mężczyzny tłoczyła się większość jego podopiecznych. Przestał słuchać coraz głośniejszych i coraz bardziej zniesmaczonych wyjaśnień młodzika, całkowicie poświęcił się pieszczeniu swoich wychowanków. Jego naznaczona tępotą twarz straciła chmurny wyraz i wyglądał na szczęśliwego.

W końcu cierpliwość Kletwy wyczerpała się i pogardliwie oddalił się od garbusa. Bez pośpiechu podszedłem do zagrody i przyłączyłem się do drapania świń.

– One to lubią – oznajmił chlewmistrz.

– Taa... i wyglądają na zadowolone – odpowiedziałem. Dumnie skinął głową i wyprostował się.

– Podobno przywieźliście żarcie – streścił rozmowę z Kletwą.

– Tak, mięso. Mięsa jest mało i ludzie nie lubią, gdy się nim karmi świnie. Nie byłoby wskazane, żeby ktoś widział, jak dobrze im się wiedzie u ciebie.

– Mają się świetnie – odpowiedział z naciskiem, jakbym miał zamiar oponować.

– Jestem tego pewny.

– A to żarcie to zdrowe? – zapytał z niedowierzaniem. – Nie każde jest dobre. Każewicz pozwala zwozić tu resztki z targowiska. Zgnilizna i choroby dla zwierząt też nie są bezpieczne – w ostatnim zdaniu zabrzmiał groźny ton. – Raz wszystkie wieprze zaraziły się leprą, musiałem je zabić.

Prawie się rozplakał na to wspomnienie.

Pomyślałem chwilę. Byłem pewny, że pomiędzy napastnikami nie było żadnego chorego na leprę albo inną ciężką, zakaźną chorobę. Na to byli zbyt żwawi. Przynajmniej na początku.

– Zdrowe, ręczę za to – uspokoilem go.

– Dobrze, wierzę ci – powiedział i podszedł do wozu, by go rozładować.

Chciałem mu pomóc, ale okazał się silny jak byk. Żadnej pomocy nie potrzebował i nie dbał o nią.

Wsiadłem do wozu razem z Kletwą i ruszyliśmy w drogę powrotną. Po pięćdziesięciu metrach kazałem mu zatrzymać wóz, odwróciłem się i spojrzałem. Prawidłowo odgadłem, że władca świniarni zechce natychmiast wypróbować nowe żarcie. Otworzył beczkę, bez żadnych środków ostrożności sięgnął do niej i wyciągnął wielki krwawy ochłap. Przyglądał mu się przez chwilę z zainteresowaniem i cisnął go wieprzom. Rzuciły się na niego z głośnym kwiczeniem.

– Wygląda na to, że im smakuje – ocenił Kletwa.

Z tej odległości nie mógł poznać, jakie mięso świnie dostały.

– To dobrze – oznajmiłem. – Jedziemy.

Ile czasu może zająć trzydziestu dorosłym świniom i bliżej nieustalonej liczbie prosiąt pożarcie resztek pięciu ludzi? Nie wiedziałem, jak dotąd nie zdarzyło mi się nigdzie o tym przeczytać.

W drodze powrotnej kilka razy zapadałem w drzemkę. Śniłem o kąpieli, kawie, łóżku. Dalej moja wyobraźnia nie sięgała. Miałem nadzieję, że pomimo minionych wydarzeń dostanę u Liamy dwie pierwsze rzeczy, a potem dobrze się wyśpię w jakimś ustronnym miejscu.

Sprzeczność interesów

Janick usiadł za stołem i z żalem stwierdził, że Mayers i Fedor nie zostawili mu wiele do jedzenia. Czuł, że patrzą na niego wyczekująco, spodziewając się jakichś wymówek. Milczał jednak. Nie wiedział wprawdzie, czy są dobrzy w używaniu magii, ale niezliczoną ilość razy był świadkiem, jak na polecenie Wickera pięścią, a zdarzało się, że i kijem, potwierdzali znaczenie słów wielkiego mistrza. Na tym znali się naprawdę dobrze. Majal siedział przy osobnym stole, nie dzielił z nikim posiłku, ale zamiast cienkiego piwa zamówił dla wszystkich wino. Janicka nikt o niczym nie informował, lecz tak długo był sługą u Wickera, że bez trudu dowiedział się, że właśnie tu, w wiosce Satorina, spotkają się z dwoma ludźmi. Nie rozumiał, dlaczego w takiej zapadłej dziurze. Podobnych wiosek było wokoło Krachtiburga mnóstwo, a żeby się do tej dostać, musieli zboczyć z trasy i nadłożyć cały dzień drogi. Jutro powinni dotrzeć do celu, do miasta. Do przejściowego celu, poprawił się w myśli, bo ten rzeczywisty leżał gdzieś w ponurych, opisywanych tylko w opowieściach Brunatnych Bagnach. Tego domyślił się z map, które Wicker studiował całymi miesiącami.

Janick bez wahania wylizał z miski resztki omasty, wytarł palce i nic nie mówiąc, wstał. Przypuszczał, że na nocleg dostaną jedno wspólne pomieszczenie i wóz będzie lepszy od podłogi. Może mu będzie zimno, ale uzyska trochę prywatności i będzie mógł czytać swoją książkę. Myślał już o niej jak o swojej, choć była tylko wypożyczona. Tym się jednak nie martwił, dokładnie pamiętał wszystkie teksty, które zdołał zrozumieć.

Zanim się położył, ściemniło się tak, że nie można już było czytać. Ze swych skromnych zapasów wyciągnął do połowy wypaloną świeczkę, po chwili pracy z hubką i krzesiwem udało mu się ją zapalić. Starannie osłonił płomień, żeby goście zmierzający do gospody lub przypadkowi przechodnie nie poznali, że ktoś jest w wozie. Dopiero potem, zawinięty w kabat i koce, zajął się czytaniem. Skończył po północy, z piekącymi oczami, odgniecionym bokiem i beznadzieją w duszy. Składnikiem, który był potrzebny do przyrządzenia potrawy działającej jako odtrutka na zażytą poprzednio truciznę, okazało się rozarte serce ludzkie. Potrzebne było jeszcze mnóstwo innych ingrediencji, ale większości złożonych zdań, pełnych niezrozumiałych terminów, zupełnie nie pojmował. Ale już pierwszy warunek zmuszał do rezygnacji. Serce musiało być świeże. To znaczyło, że już do końca życia będzie mieć halucynacje, zaburzenia równowagi i bóle głowy.

Rano obudziło go kolebanie wozem.

– Wstawaj i przynieś z gospody zapasy, które kupiłem. Wyruszamy jak najszybciej. Jeszcze dziś chcę dotrzeć do Krachtiburga – burczał Majal.

Mayers i Fedor zaprzęgali już konie.

Janick przeciągnął się i wypęzł z prowizorycznego pośłania. W nocy było wprawdzie chłodno i cały przemarzł, w zamian mógł jednak spać dłużej, a jego szef nie skupił na nim złości z powodu niedotrzymanego planu, braku dwóch najętych ludzi. Stałoby się to jednak z pewnością, gdyby w mgnieniu oka nie spełnił rozkazu. Po chwili nosił chleb, piwo i mięso, prowiant mający stanowić ich

śniadanie, obiad oraz kolację, i krzątał się koło koni. Z Satoriny wyjechali bardzo wcześnie, zanim przed gospodą pojawili się pierwsi kupcy, którzy w niej nocowali.

Podróż była nieprzyjemna, gorsza, niż sobie wyobrażał. W wiosce co prawda nocą deszcz nie padał, ale po godzinie jazdy koleiny zamieniły się w maźliwe błoto, w którym grzęzły konie i koła. Co chwilę biedzili się z drągami, aby wyprostować przechylony wóz, grzęznący w wyrwie. Często jedynym sposobem było zdjęcie połowy ładunku, aby konie zdołały wyciągnąć landarę na równiejszy odcinek drogi.

– Nie rozumiem – westchnął Janick, gdy Majal zarządził odpoczynek na wierzchołku wzniesienia. – Jest jesień, ładna, słoneczna jesień, a tu takie bagno, jakby cały tydzień lało jak z cebra.

– Przechodzimy przez granicę strefy opadów Gór Imperialnych – pouczył go Mayers. – Powietrze zdążyło znów nabrać wilgoci, której mu dostarczyły szczyty górskie, i dlatego często pada tu deszcz.

Janick spojrział na starszego czarodzieja z zakłopotaniem. Geografia nie była jego mocną stroną.

– Albo dotarliśmy do zalewowych obszarów Jeziora Brunatnego – Fedor ironicznie podsunął inne wyjaśnienie. – Przez całą drogę od wioski teren opadał, zaś teraz zaczyna się wznosić. Wierzchołek tego pagórka jest suchy. Ale może tu nie padało – dodał wzgardliwie.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie z nienawiścią. Janick znów uświadomił sobie, że zazdrość i strach to dwa główne problemy osłabiające klan.

O magii czarodzieje dyskutowali zazwyczaj tylko teoretycznie i bardzo uprzejmie. To wydawało się interesujące dlatego, że manipulacja mocą była sensem życia każdego z nich. Janick sądził, że nie wdawali się w ostrzejsze sprzeczki, bo byli w tej dziedzinie bardzo niepewni swego i raczej ukrywali swoje zdolności lub ich brak. Z drugiej strony, tym bardziej gwałtownie i w sumie nieustannie kłócili się o wszystko inne. Wicker cieszył się powszechnym respektem, bo jako jeden z niewielu pokazał, że umie czarować... ale pozostali? Bez silnego przywódcy klan prędzej czy później zaniknie, to było jasne.

– Zalewy czy deszcz, najgorsze mamy za sobą. Przejdziemy ten las, który widzicie przed nami, i Krachtiburg będziemy mieli w zasięgu wzroku – zakończył rozmowę Majal.

Janick był tak zmęczony, że pozwolił sobie na pewien brak szacunku.

– No, powiedziałbym, że ten las to nie zagajnik. Ledwie to powiedział, a już tego żałował.

– Dokładnie, chłopcze – zaśmiał się Majal. Pstryknął palcami, tytoń w jego fajce zapachniał i prysnął wyczarowanymi iskrami. – Dwadzieścia kilometrów, dobre cztery godziny drogi. No to jazda, panowie, miejmy to za sobą, nie będziemy nocować w lesie.

Janickowi ulżyło, że nie został skarcony za swą śmiałość. Uczucie ulgi towarzyszyło mu aż do skraju lasu, a potem zaczął rozmyślać, dlaczego nie został ukarany. – Dlaczego właśnie jego wysłano

w drogę, ostatniego w klanie, a nie kogoś innego? Po godzinnym przemyśliwaniu znalazł powód i równocześnie wyjaśnienie kilku innych spraw. Już wiedział, czemu stary Wicker wysłał go na wyprawę. Uważał go za lojalnego głupka, który jest mu bez reszty oddany, posłuży mu jako oczy i uszy, a później opowie o wszystkim, co się wydarzyło i co na tym udało się zyskać. Mógłby później skuteczniej stawić czoła Majalowi, który czynił zakusy na fotel wielkiego mistrza. Uświadomił też sobie, że Wicker i Majal rywalizowali ze sobą również o to, kto będzie brał udział w niebezpiecznym przedsięwzięciu i wielki mistrz dzięki posiadanemu autorytetowi postawił na swoim. Teraz Majal pomału, ostrożnie, niezbyt jawnie, żeby się to nie rzucało w oczy, przeciągał Fedora i Mayersa na swoją stronę.

Chyba miał przeświadczenie, że mu się to udaje, więc zwrócił uwagę również i na niego. Janicka klanowe przepychanki nie interesowały, stał za nisko w hierarchii, żeby go to dotyczyło lub mogło mu przynieść coś pozytywnego.

Jakby na potwierdzenie jego domysłów, na następnym postoju, który Majal zarządził bardziej ze względu na konie niż na ludzi, przykazał, aby się po równo podzielili resztą cydru.

A to dlatego, że po trwających pół dnia wysiłkach wszyscy gonimy resztką sił i potrzebujemy jakiegoś pobudzenia, obojętnie zauważył Janick, gdy koło wozu po raz chyba tysięczny uwięzło w zagłębieniu wymyłym przez wodę między dwoma korzeniami, a on na podstawie doświadczenia nabytego w ciągu minionych godzin natychmiast ocenił, że wyciągnięcie go będzie kosztowało sporo wysiłku.

Spoza bocznej ściany wozu wyjął dwuipółmetrowy dębowy drąg i szukał miejsca, gdzie go najskuteczniej umieścić, żeby podeprzeć. Wyglądało na to, że trzeba będzie przynieść kilka kamieni, by się udało. Zauważył właśnie jeden, nieprzyjemnie wielki i zapewne cholernie ciężki.

– Ależ długo wam z tym zeszło, panowie – zaskoczył go nieznany głos.

Rozejrzał się zdziwiony, lecz nikogo nie zobaczył.

– Zielony wąż jest w trawie niewidoczny.

Dopiero teraz spostrzegł mężczyznę siedzącego między pękiem paproci a kupą omszałych kamieni i gliny, pozostałością po wywróconym drzewie, dawno już spróchniałym. Mężczyzna miał płaszcz narzucony na ramiona, na nim przyczepione pęki trawy i małe gałązki. Gdyby się nie odezwał, nigdy by go nie zauważyli.

– Dlaczego nie czekałeś w wiosce? – zareagował na jego bezsensowną uwagę Majal i Janick pojął, że zdanie o gadzie było umówionym hasłem.

– Bo nie lubię ludzi. Mam na myśli świadków – zaśmiał się nieznajomy i wstał.

Janick znowu się zdumiał, że nie spostrzegł go od razu. Przybysz mierzył dobre dwa metry, szyję miał tak grubą, że wydawało się, jakby wcale jej nie miał i głowa wyrasta mu wprost z szerokich pleców. W twarzy dominowała czarna, starannie przystrzyżona broda i wyraźne linie równie

czarnych brwi.

Podniósł ręce, płaszcz zsunął mu się z ramion i Janick zobaczył, że w każdej dłoni trzyma broń, małą stalową kuszę. Z założoną strzałą.

– Połowę miałem dostać zaraz, a drugą po skończonej pracy – powiedział ogromny brodacz i uśmiechnął się.

Był to szeroki, sympatyczny uśmiech, podkreślony półkolem białych zębów.

– Ale coś mi mówi, że wy, ludkowie, nie macie zwyczaju gadać z takimi chłopakami jak ja. A ja po prostu nie lubię robić więcej niż to potrzebne. Połówka mi starczy, zwłaszcza że nie będę musiał zabijać tego złego strasydła, o którym mówił wasz szef.

Podwójne brzęknięcie, dwie strzały zniknęły w krzakah.

Janick był pewny, że spusty kusz nawet nie drgnęły, zaskoczenie na twarzy brodacza potwierdzało to wrażenie.

– To była niezła sztuczka, faktycznie, coś dziwnego w sobie macie, ludkowie. – Zachmurzył się.
– Ale jak sobie poradzicie z tym?

Odrzucił niepotrzebne kusze i sięgnął po coś, co Janick na pierwszy rzut oka wziął za długi kij oparty o drzewo.

Był to miecz, tak długi, że można było przeciąć nim trzech ludzi naraz. Teoretycznie ma się rozumieć. Widoczna pewność siebie brodatego wielkoluda przestraszyła Janicka, zdawało mu się, że Majal z Fedorem i Mayersem mają wprawdzie przewagę trzy do jednego, ale szans mimo to nie zachowają żadnych. Siebie w ogóle nie liczył.

Brodacz chyba czytał w myślach Janicka i tak samo oceniał szanse czarodziejów w starciu z bezlitosnym profesjonalistą, bo ruszył beztrąsko przeciw nim, trzymając monstrualną broń ułożoną wzdłuż ramienia. Miecz był istotnie wielki, ale Janick, obserwując poczynania mężczyzny, bardzo dokładnie i barwnie wyobrażał sobie, jak świetnie umie się z nim obchodzić. Przełknął ślinę i cofnął się o krok. Zauważył przy tym, że Mayers położył dłoń na rękojeści swego tasaka. O szermierce nie miał pojęcia, jasne było, że chodzi tylko o gest. Mógłby rzucać w nieznajomego szyszkami, wynik byłby taki sam.

– A co powiesz na to? – zapytał spokojnie Majal i postąpił ku nieznajomemu.

W dłoni trzymał nóż, z wyglądu zwyczajny, zużyty przez upływ czasu nóż, jaki można znaleźć w każdej kuchni.

– Na co? – nie zrozumiał brodacz, równocześnie ujmując miecz dwoma rękami, nadal jednak trzymał go wzdłuż ramienia.

Gotowy do ataku, pojął Janick. Cofałby się jeszcze dalej, gdyby go nie zatrzymał bok wozu.

Majal odetchnął głęboko, spojrzął na narzędzie trzymane w ręce i przygarbił się.

Nóż wzniósł się w powietrze i zawisł piętnaście, dwadzieścia centymetrów nad dłonią czarodzieja. Janickowi wydawało się, że czuje prądy mocy przemagającej wagę noża, że widzi wibracje, wyczuwa krótkie momenty braku równowagi, co chwilę decydujące o tym, czy broń utrzyma się w powietrzu, czy nie. Przestał myśleć o niebezpieczeństwie, przestał się bać, stał się świadkiem rzeczywistego użycia magii, manipulacji mocą, wznowienia umiejętności czarodziejów z minionych czasów.

Ośłupiały brodacz stał jak skamieniały, szczeka mu opadła, w czerni brody znów zalsniły wielkie, prawie nieludzkie zęby.

Majal stęknął, nóż poruszył się. Pomału, jakby go ciągnęła niewidzialna nić pajęcza. Janick widział ogromny wysiłek Majala, ale opłacał się on wspaniale. Brodacz, znieruchomiały ze strachu, śledził leniwie szybującą ku niemu śmierć. Patrzył tak aż do chwili, gdy czubek ostrza zabłysnął na wprost jego brzucha. Dopiero wtedy przemógł się i usiłował schwytać latający nóż, ale było już za późno. Janick usłyszał cichy trzask, z jakim napięta tkanina, czy może skóra pękła i sam niemal śmiertelnie wystraszony obserwował, jak na twarzy zuchwałego zabójcy pojawia się wyraz bólu, a potem świadomość definitywnego końca. Brodacz zwalił się na ziemię dopiero wtedy, gdy cały nóż pogrążył się w jego ciele. Miecz, pogodziwszy się z dziwnymi zrządzzeniami losu, skończył znów oparty o pień drzewa.

– To by było na tyle – oznajmił Majal pozornie obojętnym i pewnym siebie tonem, ale Janick jakimś niepojętym sposobem wyczuwał w nim oznaki wyczerpania.

Mayers i Fedor patrzyli teraz na Majala z nieskrywanym szacunkiem... i strachem.

– W takim razie ja reszty zapłaty zażądam dopiero po wykonaniu pracy – przerwał ciszę nieznanym głosem.

Janick byłby przysięgł, że za drugim razem przyjrzał się okolicy tak dokładnie, że żadnej nieprzyjemnej niespodzianki nie mógł przegapić. Pomylił się.

Powiedział to mężczyzna średniej budowy, z długimi rozpuszczonymi włosami, które błyszczały aż nienaturalnie. Ukrywał się o metr od miejsca, w którym objawił się zabity. Na ubraniu nie miał żadnych dodatków maskujących. Jak to zrobił?

– Ty jesteś Sakbisten – stwierdził Majal. – Nie wiedziałem, że go znałeś. – Wskazał na trupa.

Mężczyzna nie zaprzeczył, słysząc swoje nazwisko.

– Nie znałem – rzekł spokojnie – ale się z nim zaznajomiłem. Nie powinno się umawiać spotkania z dwoma ludźmi w jednym miejscu. On poczuł się silniejszy i chciał wykorzystać sytuację.

– Ty też chcesz wykorzystać sytuację? – zapytał na pozór obojętnie Majal.

Janick czuł wyczerpanie, które towarzyszyło każdej wypowiedzianej przez niego sylabie. Nikt

inny jednak tego nie dostrzegał.

– Nie. To był jego pomysł, żeby was zabić. Sądził, że to proste. – Sakbisten wzruszył ramionami. – Co do mnie jestem zainteresowany również drugą połową wynagrodzenia. Tą, którą dostanę dopiero po robocie.

Majal spokojnie kiwnął głową.

– W porządku. Pojedziemy dalej, skoro już straciliśmy z tym głupcem – wskazał na ciało na wpół ukryte w paprociach – aż za wiele czasu.

Dwaj czarodzieje otrząsnęli się w końcu z odrętwienia. Mayers przytargał kamień, a Fedor z drągiem w ręce podszedł do koła.

– Ktoś powinien zakopać ciało. Chyba nie chcemy, żeby nas zaczepiali żołnierze albo miejska straż porządkowa – usłyszał swój głos Janick.

Po raz pierwszy w życiu odważył się wtrącić swoje zdanie i tym sposobem zmienić plany swoich panów.

– Słuszna uwaga – zgodził się Majal i nabił sobie fajkę.

Janick zauważył, że wszyscy patrzą na mistrza klanu z podziwem, a nikt nie dostrzega jego trzęsących się rąk. To szczególne, jak stan umysłu może wpływać na postrzeganie rzeczywistości. To się czarodziejom nie powinno zdarzać.

– Pogrzeb go, a później dogoń nas jak najszybciej. W Krachtiburgu będziemy mieli mieszkanie. U mamki. Dasz radę?

– Tak, mistrzu – wysnęło mu się machinalnie i w końcu udało mu się przybrać cierpiętniczy i urażony wyraz twarzy.

Fedorowi wyraźnie spodobało się, jak Majal NAGRODZIŁ niewczesną przecież uwagę sługi, ale Janickowi bardzo to dogadzało.

Bez dalszej zwłoki zdjął z wozu plecak, położył go na trawie, potem wyciągnął siekiere i wyciął mocny palik bukowy. Usunął liście, zaostrzył jeden koniec i zaczął kopać na dnie wykrotu. Miał nadzieję, że będzie tam najmniej twardych korzeni.

Majal poczekał, aż czarodzieje wyprostują wóz, i zapalił nabitą fajkę. Tym razem krzesiwem, którego musiał poszukać w jednej ze swoich toreb.

– Jedziemy. Ja z panem Sakbistenem na wozie omówię pewne szczegóły. Postarajcie się, żeby nie turkotało za bardzo.

Fedor i Mayers bez szemrania przytaknęli. Narodziła się nowa legenda klanowa.

Janick jednak nie zwracał już uwagi na to, czego Majal dokonał, ale na zupełnie coś innego. Markując kopanie dołu, z niecierpliwością czekał, aż wóz zniknie z pola widzenia. Recepta podawała, że serce musi być świeże. Co to oznaczało? Minuty, godziny, dobę? W końcu został sam i wymienił łopatę na nóż. Z grabarza miał się stać kucharzem, a przedtem jeszcze rzeźnikiem, pomyślał ze wstrętem. Ale od swojego zamiaru odstąpić nie zamierzał.

Kawa i inne rozkosze

Zeskoczyłem z wozu, zostawiając Kletwę, aby odstawił pojazd na miejsce. Zakręcił zaraz na pierwszym rogu i sądząc po odgłosach, ujechał zaledwie kilkadziesiąt metrów. Wygodne, wóz mieli w ciągłej dyspozycji, prawie jakby go trzymali na dziedzińcu domu. Zmęczony wszedłem po kilku schodkach wiodących do drzwi czworoboku. Otworzyły się, zanim zdążyłem sięgnąć po kołatkę, jakby stara odźwierna na mnie czekała. Zmierzyła mnie od stóp do głów i milcząc, odstąpiła na bok, zwalniając drogę. Na jej zniszczonej wiekiem twarzy malowało się tyle emocji, co na wyschniętym orzechu kokosowym, i w jakiś szczególny sposób była do niego podobna. Hałas głośno zatrzaśniętych drzwi i odgłos zamykanych zasuw przypomniły mi, że głównym zadaniem czworoboku było zapewnienie jego pierwotnym mieszkańcom jak najbezpieczniejszego schronienia, czas na wygodę przyszedł znacznie później. Światło słoneczne przenikające do wnętrza przez otwory oświetlające zamieniało ciemność w szarość i uwidoczniało wirujący kurz. Ta budowla nie zdołałaby wprowadzić ostać się naporowi kilku setek zorganizowanych napastników, ale grupie liczącej dziesiątki bandytów z pewnością tak. Zwłaszcza gdyby broniło jej kilku gotowych na wszystko mężczyzn, wspieranych przez swoje kobiety; ludzi zdających sobie sprawę, że od nich zależy życie bliskich.

Wciągnąłem powietrze, zastanawiając się, czy nie pozostał w nim ślad dawnych bojów, jakie musiały być toczony wśród tych murów. Ale poczułem tylko zapach przyrządzanego jedzenia, kleju używanego przez kogoś do pracy i innych woni świadczących o długotrwałej obecności ludzi żyjących w spokoju. Wszedłem na piętro i zatrzymałem się na tarasie, skąd miałem widok na podwórze. Dwaj chłopcy, ledwie trochę podrośnięci, bawili się klockami drewna. Pilnowała ich nieco starsza dziewczuszka, a w przeciwległych drzwiach tarasu spostrzegłem jeszcze jedną, pomagającą w kuchni. Obecnie w całym kompleksie mieszkały tylko cztery rodziny. W ten sposób mieli więcej miejsca i wygody, ale nie daliby rady bronić się nawet przeciw garstce zdecydowanych zabijaków. Domyślałem się, że mieszkańcy zapomnieli już, dlaczego żyją w tak szczególnie zbudowanym domu. To dobrze. Może odczuwałem to wszystko tak silnie z powodu ciągłego obcowania ze śmiercią, prawie zawsze stojącą tuż za mną.

Byłem tak zmęczony, że nie czułem głodu, i najchętniej zwałiłbym się na łóżko, tak jak stałem. Po tym całym ćwiartowaniu trupów nasiąkłem krwią i odorem śmierci aż do ostatniego poru skóry. Potrzebowałem kąpieli, a żeby w niej nie zasnąć, musiałem wypić dobrą, mocną kawę. Krokiem nieco szerszym niż zazwyczaj poszedłem do kuchni i ciężko usiadłem na stołku.

Słyszałem ją, jak krząta się w pomieszczeniu służącym jako spiżarnia i składzik innych potrzebnych rzeczy. Dotknąłem ręką pieca. Był zimny. To i kąpiel też będzie zimna. Przyglądałem się swoim brudnym butom, rozmyślając, czy da się je chociaż trochę wyczyścić.

– Już rozpalam ogień, kawa zaraz będzie. Przyda się panu.

Spojrzałem w jej kierunku, stała w drzwiach spiżarni, w rękach trzymała miskę z cebulą i ziemniakami. Miała na sobie lekko sfałdowaną, lejącą się suknię oraz koszulę, prawdopodobnie należącą kiedyś do mężczyzny. Dwa guziki były rozpięte, przez co powstawało coś na kształt dekoltu rozstępującego się pod naciskiem owalnych piersi, podtrzymywanych przez niezbyt powszechnie

jeszcze używany staniczek. Liama trzymała głowę w cieniu, blask odbitego światła jeszcze bardziej uwidocznił jej duże zamyślane oczy. Badawcze, smutne, może oceniające, ale w każdym razie ładne.

– Byłoby świetnie.

– Może znajdzie się jeszcze ciepła woda w zbiorniku, pewnie będzie pan chciał się wykąpać. Zdąży pan akurat na kawę.

– Może? – powtórzyłem.

Zdziwiło mnie, że się nie bała i nie czuła do mnie odrazy. I że w całej tej potwornej aferze pomagała mi jako jedyna.

Choć powątpiewałem, że od rana została choćby letnia woda, wstałem. Podeszła do okna i otworzyła je. Widocznie śmierdziałem naprawdę porządnie.

Luksus łazienki znowu mnie zadziwił, temperatura wody wręcz zachwycała. Zanurzyłem się w wannie, gorąca woda powodowała, że zniknęło zmęczenie i bóle moich zmordowanych mięśni. Zabić człowieka jest o wiele łatwiej, niż go potem poćwiartować na małe kawałki. Zastanawiałem się, ile jeszcze wody mogę wylać ze zbiornika, ale wyrzuciłem tę myśl z głowy i odkręciłem kurek do oporu. Tutaj było jeszcze lepiej niż w cesarskich łaźniach. Namydliłem się porządnie, wyszorowałem szczotką i wytarłem do sucha. Teraz powinienem zająć się ubraniem. Niedawno kupiona zapasowa bielizna została w moim pokoju, więc spodnie niestety będę musiał nałożyć mokre. Wziąłem się do pracy, która pomogła mi przetrwać zmęczenie, pogłębione wygrzaniem się w gorącej wodzie. Woda, co najdziwniejsze, nadal płynęła ciepła, aż gorąca i dzięki temu mogłem odzienie wyprać naprawdę porządnie.

– Przyniosłam panu coś niecoś z ubrania – usłyszałem.

Stała w drzwiach, do wnętrza powiało chłodne powietrze. Jeśli ją moja nagość zaskoczyła, to nie okazała tego. Owinąłem się ręcznikiem, drugi zarzuciłem na ramiona. Chłód nie oddziaływał dobrze na moje sfatygowane mięśnie. Dopiero potem odwróciłem się.

– Stukałam – oznajmiła.

Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i położyła stosik odzieży na małym stolku z lakierowanego drewna.

– Przyniosłam suche ubranie. Pańskie rzeczy mogłam uprać razem z innymi – powiedziała, zobaczywszy, czym się zająłem. – Ale przynajmniej je wysuszę.

– Będę wdzięczny – przyznałem i zacząłem wyzyskiwać wyprane sztuki odzieży.

Przyglądała mi się bez zakłopotania.

– Szczupły pan jest – stwierdziła. – Ale silny. I ma pan na sobie sporo blizn.

– Bywałem niekiedy głupszy i wolniejszy, niż należało – wyjaśniłem. – A najbardziej widać to na twarzy, ironia losu.

W łazience było ciepło i wilgotno, aż jej lekka sukienka przywarła do ud. W wielu przypadkach ubranie więcej ukazuje, niż zakrywa. Miała piękne nogi, również tam, gdzie ich dotąd nie widziałem.

– Twarz nie jest aż tak ważna. – Wzruszyła ramionami. – Ważne jest, żeby wszystko funkcjonowało jak należy.

– Pragmatyzm godny podziwu – oceniłem i podałem jej ubranie, z którego usunąłem brud na tyle, na ile zdołałem.

Włożyła je do koszyka i odwróciła się ku drzwiom.

– A jak to jest u kobiet?

Odwróciła się ponownie, a jej smutną twarz ozdobił błysk uśmiechu.

– Zupełnie tak samo. Żeby wszystko funkcjonowało jak należy.

Powiedziawszy to, wyszła.

Stwierdziłem, że ja też się uśmiecham. W lepszych latach Liama musiała być czarującą kobietą. Teraz też była czarująca, chociaż ciągle nazbyt poważna i zachmurzona.

*

Czysty, w wypożyczonym ubraniu, za szerokim w ramionach, za to ze zbyt krótkimi rękawami i nogawkami, wróciłem do kuchni. Ze swoich rzeczy miałem na sobie tylko opaskę i uprząż z podramiennymi nożami. Bandolier zostawiłem w pokoju. Jeśli nie przyjdzie po mnie cała armia, to, co mam, powinno wystarczyć.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem wynająć innej kwatery, ale zdecydowałem się zostać. Po tym, jak zlikwidowałem bez śladu komando szturmowe, nikt mnie nie będzie szukał w tym samym miejscu. Jeżeli są naprawdę dobrzy, rozciągną poszukiwania na całe miasto, a nawet jego okolice, bo każdy rozumny człowiek na moim miejscu uciekłby daleko. Ja jednak nie kierowałem się tylko rozumem. Zakładałem, że będą lizać rany i zastanawiać się, co dalej. Jeśli to byli ludzie któregoś z moich byłych klientów, to nie mogli tu, w Krachtiburgu, dysponować zbyt wielkimi siłami. Prawdopodobnie większą część ich oddziałku zniszczyłem, a pozostali będą się starali zniknąć. Jeśli przyszedł po mnie Konwent, to ktoś niższy rangą będzie musiał wyjaśnić komuś wyższemu rangą, jak to możliwe, że utracił tylu ludzi, i gdzie oni się właściwie podzieli. To niekorzystna cecha wszystkich organizacji o rozbudowanej biurokracji.

Zastukałem w otwarte drzwi kuchni i wszedłem. Gdy tylko mnie spostrzegła, załapała kawę

wrzątkiem i kuchnia napełniła się wspaniałą wonią, zdolną ożywić nawet martwego, o ile nie jest martwym zbyt długo. Lubię kawę. Nie każdy o tym wie, ale istnieje wiele gatunków kawy, prawie tyle ile rodzajów wina. Nie, tyle to nie, z tym przesadziłem.

Usiadłem, z podziękowaniem przyjąłem kubek i ostrożnie siorbnałem pianę. Tę kawę można było pić natychmiast.

– Zawsze jest pan przygotowany na najgorsze – powiedziała, też sobie nalała i usiadła przy stole. Siedziała, założywszy nogę na nogę, i mogłem podziwiać jej kostkę i część łydki. Po domu chodziła w plecionych sandałach z mocną podeszwą, włożonych na bosc stopy.

– Ma pani na myśli moją broń? – zapytałem i upiłem łyk.

Kiwnęła głową.

– Tak jakoś. A dzięki temu nadal jeszcze żyję – odparłem.

Przez czas potrzebny do wypicia jednej trzeciej kubka siedzieliśmy w milczeniu, z zewnątrz dobiegały odległe krzyki bawiących się dzieci.

– Czy często bierze pani lokatorów? – w końcu przerwałem leniwy spokój.

– Od czasu jak zginął mój mąż. To jego ubranie ma pan na sobie – odpowiedziała spokojnie.

Może to było powodem jej permanentnego smutku. Takiego, który wrasta w życie i staje się jego nieodłączną częścią.

– Kiedy to się stało?

– Przed trzema laty. Ale już się przyzwyczaiłam. Do tego, że wraz z nim zginął mój syn, nie przyzwyczaję się nigdy.

Na to nic nie można było odpowiedzieć.

Czekałem, aż zacznie mówić o tym, że będę się musiał wyprowadzić. Miałem jednak nadzieję, że jeszcze dziś będę mógł się tu przespać.

Nadal milczeliśmy i popijali gorącą kawę. Dobrze się z nią milczało.

– Jutro znajdę sobie inne mieszkanie – zacząłem, gdy nic o tym nie wspominała.

– Dlaczego? – Zrobiła zdziwioną minę. Raczej nieprzyjemnie zdziwioną.

– Ci ludzie, którzy przyszli mnie zabić, mogą później zagrażać też pani. Dziś czy jutro prawdopodobnie nie, będą przecież chcieli sprawdzić, co się stało i muszą zaplanować dalsze działania. Później, kiedy się uspokoją, mogliby znów tu przyjść. Nic więcej nie mogę powiedzieć, nie domyślam się, co to byli za jedni i dla kogo pracowali.

– Zabił pan wszystkich. Nie będą wiedzieli, gdzie pana szukać – odrzekła naiwnie.

– Ale nie wiem, czy zabiłem wszystkich, którzy wiedzieli, gdzie mnie szukać – wyjaśniłem.

– Niech pan to przemyśli, może pan udawać, że się wyprowadził, i dalej tu mieszkać. Myślę, że ten dom jest bezpieczniejszy niż inne w tym mieście.

– Przemyślę – zgodziłem się.

Później znów milczeliśmy. Oparłem się na krzesło wygodniej, cieszyłem się poczuciem schludności otoczenia, obecnością tej kobiety i spokojem.

– Jeszcze kawałek, jeszcze! Ja byłem bliżej!

– Nie, ja byłem aż przy tamtej płycie!

Głosy przybliżały się i brzmiały tak, jakby ich właściciele starali się szeptać, ale jeszcze tego nie umieli. Głowę miałem opartą o kant stołu i patrzyłem w dół na podłogę. Zasnąłem w kuchni przy kawie, zrozumiałem. Nie poruszyłem się, pozostawałem w pozycji człowieka, który nagle zapadł w sen i, czekałem.

Skradające się kroki, ostrożne, nerwowe i już go trzymałem za przedramiona, zbyt cienkie jak na dorosłego.

Chłopak, dziesięcio-, jedenastoletni o oczach rozszerzonych ze strachu.

– Stój albo urwę rękę twemu koledze – syknąłem na drugiego, odwracającego się już do ucieczki.

Zesztywniał, spojrzał na kumpla i niechętnie się zatrzymał, czasem tylko poruszał to jedną, to drugą nogą, jakby własne ciało nie chciało go słuchać i przymuszało do wzięcia nóg za pas.

– Coście za jedni? – zapytałem, nie patrząc na żadnego z nich konkretnie.

Jeden wart drugiego, potłuczone kolana, brudne ręce, rozczochrane włosy, jakby ich matka lub matki nie przejmowały się zbytnio strzyżeniem.

– My tu mieszkamy – oznajmił ten złapany. – Ja się nazywam Danev Każewicz, a on... – Wskazał na drugiego.

– Jestem Ołran Krups – wyrzucił z siebie chłopak szybko, żeby nie zostać zawstydzonym.

– A co tu robiliście? – zapytałem.

Podobali mi się. Głównie dlatego, że jeden nie zostawił drugiego na lodzie. Każewicz, to było nazwisko starszego w tym domostwie, chłopak był widocznie jego wnukiem lub prawnukiem.

– Słyszeliśmy, jak stara Rosemary mówiła, że Liama znowu sprowadziła tu swego potwora – zaczął szczerze jeden z nich, ale zaraz przerwał, zrozumiałwszy, co właściwie powiedział.

– No i spał pan w kuchni – tak samo bezpośrednio dodał drugi. – To myśmy się namówili, że zrobimy zawody, kto podejdzie do pana bliżej. Trzeba być odważnym, żeby się do pana zbliżyć, no nie? – zapytał poważnie.

– Taa, chłopcze, trzeba. Ale myślę, że nie powinniście wchodzić ot, tak sobie, do kuchni Liamy. Czy może was tu zaprosiła? – powiedziałem surowo.

A więc potwór. Nie wpadłem Rosemary w oko. Z drugiej strony, ona mnie też nie, byliśmy więc kwita.

– Nie, nie zaprosiła – przyznali obaj razem.

– Umyjcie ten kubek – powiedziałem, dopiłem resztę zimnej kawy i podsunąłem im puste naczynie. – Przynieście naręczę szczap do pieca, to nic jej nie powiem.

Popatrzyli na siebie, starali się nie dać nic po sobie znać, ale byli za mali i wyraz ulgi na ich twarzach był jaśniejszy niż letnie słońce w zenicie.

– Sztuki skradania się musicie się jeszcze poduczyć – powiedziałem im na pożegnanie i zostawiłem w kuchni samych.

Początkowo chciałem iść do swojego pokoju, ale na korytarzu usłyszałem podniesione głosy. Liamę poznałem natychmiast, a drugi głos po małej chwili. Należał do Każewicza, przynajmniej tak mi się wydawało. Kłócili się na parterze, w gospodarczej części budynku.

– Co sobie właściwie myślisz? Jak nie masz siły, to siedź w domu, śliń się i pozwól się obsługiwać wnukom! Żądałbyś czegoś takiego od swojej żony?

Wściekać się umiała porządnie, to trzeba przyznać.

– Jest moją żoną – bronił się starzec. – Jest zamężna!

– Ja też byłem zamężna! – wybuchnęła. – Jeszcze dziś wieczorem powiem wszystkim, czego ode mnie chciałeś!

– Tylko tego, żebyś go tutaj jeszcze jakiś czas zatrzymała! – bronił się. – I nie myśl sobie, że wszyscy tak bardzo cię lubią. Jesteś przybłądą, w połowie obca. Zanim wyszłaś za swego męża, był całkiem normalny. Potem zaszczepiłaś mu te swoje wariackie pomysły, które nikomu nic dobrego nie przyniosły!

Z obronnego tonu przeszedł do napastliwego, a sądząc po nacisku, z jakim wypowiedział ostatnie zdanie, sięgnął po broń, której początkowo nie chciał chyba użyć.

– Nie nadajesz się, Każewicz, wiesz o tym dobrze, i wszystkim nam wiedzie się coraz gorzej z

twojego powodu – odpowiedziała Liama z nagłym lodowatym spokojem.

Znałem taki typ ludzi, którzy w chwili, gdy przestaną przejawiać emocje, bywają najniebezpieczniejsi.

– Mój mąż był dziesięć razy lepszy od ciebie. I gdyby nie było tej waszej tchórzliwej rady, popełniającej błąd za błędem, to może żyłby do dziś. Jeszcze raz wyrazisz się o nim w ten sposób, a nie wyjdzie ci to na dobre, przysięgam.

Na czas trzech uderzeń serca zaległa cisza, aż zląkłem się, że nie powstrzymała wściekłości i coś mu zrobiła.

– Jestem ostatnim z długiego szeregu starszyny, która nas przeprowadziła przez przeciwności losu i ochroniła przed wymarciem. Taka jak ty nie będzie sobie w stosunku do mnie pozwalać – Każewicz po chwili milczenia stawiał dalszy opór, ale była to tylko próba zachowania twarzy.

– Słyszałeś, co powiedziałam – rzekła zimno na zakończenie, suknia zaszeleściła, kiedy energicznie się odwróciła, na schodach zastukały jej szybkie kroki.

Zanim pojawiła się w korytarzu, byłem już w pokoju. Nie chciałem, żeby wiedziała, że słyszałem tę rozmowę. Każewicz mówił o mnie, to było jasne. Ale co znaczyło wszystko inne, nie miałem pojęcia. Położyłem się na łóżku i obserwowałem słońce zmierzające ku zachodowi. W kuchni pospałem tylko chwilę, a potrzebowałem odpoczynku. I zupełnie nie miałem chęci szukać nowego mieszkania. Zmusiłem się jeszcze do wstania, otworzyłem okno i pod ramą umieściłem nóż tak, żeby przy niewielkim nawet popchnięciu okna wypadł na podłogę. O drzwi oparłem przechyloną wazę glinianą, znaną na skrzyni. A potem padłem w objęcia Morfeusza.

Gospody i bary

Obudziłem się w nocy, tak jak chciałem. Spojrzałem w gwiazdy i zorientowałem się, że było przed północą. Idealnie. Z pralni wzięłem spodnie, choć były jeszcze wilgotne. We własnych czułem się lepiej niż w pożyczonych. Przebrałem się, a potem kolejno nakładałem opaski z wielkimi nożami w pochwach przy udach, uprząż podramienną, bandolier, grubą kurtkę; zamiast miecza wzięłem tasak w pochwie, trofeum po niedawno zabitym przeze mnie napastniku. Wyszedłem w noc dosłownie obwieszony żelastwem. Ani Rosemary, ani innego odźwiernego nie budziłem. Kucnąłem na brzegu ogrodu czworoboku od strony przeciwległej do ulicy, oparłem się dłońmi o krawędź muru i pomału opuściłem w dół, zawisając na wyciągniętych ramionach. Z pozostałych dwóch metrów łatwo zeskoczyłem. Tuż przy murze rosła trawa, bruk zaczynał się kawałek dalej. Mógł mnie usłyszeć najwyżej kot.

W drodze do bardziej uczęszczanych części miasta kłusowałem zwawo, przeciągałem się i toczyłem walkę z cieniem, aby rozruszać zmęczone mięśnie i dojść do pełnej sprawności. Pierwszym przystankiem była jedna z gospód, w której wynająłem mieszkanie. Czekala tam wiadomość od Brahma, że chętnie by ze mną porozmawiał. Dalsze dwie gospody, w których spotykałem się z kupcami i pośrednikami, odwiedziłem tylko przelotnie, ale w każdej zamówiłem piwo. Zrobiłem radość jakiemuś pijakowi, który miał już pusto w kieszeni i nietknięty kufel przyszedł mu w samą porę.

Zanim wszedłem do kolejnego, czwartego lokalu zauważyłem, że mam ogona. Był to mały szczupły młodzik z kręconymi włosami, nieposiadający jeszcze zarostu. Wykonywał swoją robotę zadziwiająco dobrze. Potrafił wmieszać się między ludzi, zniknąć w tłoku, na zewnątrz utrzymywał duży odstęp, a mimo to nie gubił mnie z oczu. Nie miałem pewności, ale chyba przyklepił się do mnie w pierwszej gospodzie. Był właściwie cholernie dobry, bo śledzenie kogoś takiego jak ja jest dla jednego człowieka ciężkim zadaniem. Zwłaszcza gdy wiem, że ktoś za mną idzie.

Przecisnąłem się do szynkwasu, zamówiłem piwo i poszedłem na górę do pokoju, drugiego z fałszywych miejsc zamieszkania. Czekala tam na mnie wiadomość od Schantila. Oprócz prośby o spotkanie w sprawie nowych interesów, zostawił kodowaną informację. Zleceniodawcy przybyli na miejsce. Schantil nie wiedział, o co chodzi, udostępniał mi tylko swoją sieć handlarzy i informatorów. Zleceniodawcami byli czarodzieje przysłani przez Wickera.

Wróciłem na dół dokładnie o czasie, moje piwo było nalane. Tego nikomu nie oddałem, bo po całym tym chodzeniu chciało mi się pić, a tutejszy produkt browarniczy nie był taki zły. Chwilę trwało, zanim wypatrzyłem mojego ogona. Stał blisko hałasujących, dobrze bawiących się mężczyzn. Na tyle blisko, żeby wyglądać na jednego z nich, na tyle daleko, żeby go zostawili w spokoju. Dopiliśmy piwo i zacząłem przeciskać się do wyjścia. Ze względu na to, że większość klientów lokalu nie chodziła do pracy, a jeśli nawet to nigdy z rana, zabawa dopiero się rozkręcała. Przepychałem się do drzwi ani za wolno, ani za szybko, pozornie beztrudnie wyszedłem na zewnątrz, po czym błyskawicznie odskoczyłem na bok, plecami do muru. Mógł mieć towarzysza... Nikogo nie widziałem, ciemność rozpraszało tylko światło padające z okien gospody. Do najbliższej ulicy było po obu stronach dziesięć, piętnaście kroków, nie mógł dać mi zbyt dużego odstępu, bo groziło to, że

zniknę mu z oczu. Czekałem bez ruchu.

Usłyszałem skrzypnięcie zawiasów, dotarła do mnie fala hałasu, ciepła, oparów piwa i charakterystyczny zapach wielu ludzi stłoczonych w jednym miejscu. Zatrzymał się zaraz za drzwiami i rozejrzał. Na swoje nieszczęście najpierw w stronę przeciwną, niż stałem. Przyskoczyłem do niego, zakryłem mu dłonią usta i wbiłem palec w staw żuchwowy, tam gdzie blisko pod skórą splatają się nerwy. Nagły ból sparaliżował go, wiedziałem, że nie zdoła dostrzec, czy trzymam w ręce nóż, czy nie.

– Jeśli chcesz żyć, odejdz na bok – szepnąłem i przycisnąłem mocniej.

Szybko jednak przestałem, bo zwiotczał nagle i ugięły się pod nim nogi. Prowadziłem go tuż koło ściany gospody do małej wnęki, która powstała na końcu domu po zamurowaniu zaułku. Zmusiłem chłopaka, żeby oparł się rękami o ścianę, i pobieżnie go zrewidowałem. Miał tylko nóż, zwyczajny nóż składany, jaki nosi większość mężczyzn.

– Dlaczego mnie śledzisz? – zadałem pierwsze pytanie, nie pozwalając mu się odwrócić.

Ludzie bardziej boją się tego, czego nie widzą. Przynajmniej ci sprytni, a on wyglądał mi na sprytnego.

– Zapłacili mi – odparł cicho.

Bał się, ale trzymał strach na wodzy.

– Zarabiasz na życie śledzeniem ludzi?

Odciągnąłem mu prawą nogę od muru, tak aby musiał mocniej wspierać się na rękach. Nie chciałem, żeby spróbował czegoś głupiego, bo musiałbym go zabić.

– Nie. Dawniej kradłem, ale ostatnio jest to bardzo ryzykowne. Teraz biorę, co się nawinie. Staram się trzymać z dala od straży miejskiej.

– Złapali cię? – zainteresowałem się, aby zmienić temat i uspokoić go.

– Nie mnie, przyjaciela.

– Już nie żyje?

– Nie, kaleka.

Pierwotny strach mu minął, słyszałem to w jego głosie i spokojniejszym oddechu. Już zdołał przekalkulować sobie, co jest dla niego korzystne.

– Jak wyglądał ten, co cię wynajął?

– Przeciętny chłop, ani mały, ani duży. Człowiek by go w tłumie nie zauważył. – Wzruszył

ramionami.

Wyciągnąłem nóż i przyłożyłem mu ostrze do szyi. Pod dotykiem klingi znów cały się napiął.

– Nie kłam. Jestem gorszy od miejskiego kata. Musisz mieć dobrą pamięć do twarzy, musisz znać się na ludziach, jeśli chcesz ich sprawnie śledzić. A ty robiłeś to dobrze. Opisz mi tego chłopca. Dokładnie i zgodnie z prawdą. Inaczej cię zabiję. Jak nie teraz, to później.

Nie udało mi się odpocząć tyle czasu, ile potrzebowałem, i w moim głosie nie było żadnej groźby. Tylko znużenie. Ale w zestawieniu z dotykiem ostrza być może czyniło więcej niż pogrożki.

– Średniej budowy, tak z metr siedemdziesiąt pięć, barczysty, silne ręce, mocny w pasie. Ale nie tłusty. Wyglądał na szybkiego w nogach, w ogóle cały był taki ruchliwy, chyba tak jak akrobaci. Nie wiem, czy dałbym radę mu uciec – wyrzucił natychmiast.

– Jeszcze coś?

– Ma krótki wąsik, włosy brązowe, podobne do moich, ale chyba je farbuję, bo ma bardzo jasne brwi. A oczy jak wąż. Zimne. Miałem uczucie, że patrzy na mnie jak na kawałek drewna czy mięsa.

Wzbudzał strach. I chodził cicho.

Młodziak, który mnie śledził, był na swój sposób genialny. Pamiętał dużo szczegółów i miał poczucie wagi przekazywanych informacji. Jeden na tysiąc zdołałby dać tak dokładny rysopis. Byłby świetnym kierownikiem artystycznym w teatrze albo choreografem w cesarskim balecie. Nie uświadamiając sobie tego, opisał mi zimnokrwistego, doświadczonego najemnika. Zabijanie na zamówienie zmienia człowieka, dobrze o tym wiem.

– Gdzie i kiedy się z nim spotkałeś?

– Sam mnie znalazł. Przysłał go do mnie chłop, któremu przedtem sprzedawałem kradzione rzeczy. Jako że podobno jestem szykowny. Powiedział, że „U Mapigo” – podał nazwę jednej z gospód, gdzie wynająłem mieszkanie – zjawi się pan prędzej czy później. Miałem się do pana przykleić i dowiedzieć się, gdzie pan chodzi. Powiedział, że później znajdzie mnie sam.

Zabójca, który zabrał się do pracy z doskonałą znajomością rzeczy i miał o mnie więcej informacji, niż mi się podobało. Nic mi to na razie nie dawało, ale wiedziałem, że będę o tym myślał. Długo.

– Możesz stanąć normalnie – pozwoliłem chłopakowi.

Posłuchał z wyraźną ulgą. Nie był zbyt silny i ręce zaczynały mu się trząść ze zmęczenia.

Gwar z gospody dobiegał do nas niewyraźnie, gdzieś daleko zapiął zdeorientowany kogut, zabrzmiało chluśnięcie, gdy ktoś wylał pomyje do rynsztoka na skraju ulicy. Albo wprost na ulicę.

– Odwróć się.

Jego blada twarz była niewyraźną plamą, oczu w ciemności nie widziałem.

– Ile ci miał dać za tę robotę? – zapytałem.

– Dwa złote. Jeden zaraz, a drugi po wszystkim – odpowiedział bez zajknięcia.

Schowałem nóż, a on się rozluźnił. Nie potrzebowałem broni, by go zabić, ale on tego nie wiedział. Fałszywa iluzja bezpieczeństwa. Wszyscy jej czasem doświadczamy.

– Tu jest złocisz – powiedziałem i włożyłem mu monetę w dłoń. – Dopłata do twojej roboty. Unikaj tego człowieka. Kiedy dowie się, że zostałeś zdemaskowany, zabije cię. Może i bez tego tak uczyni, dla pewności. A jeśli zobaczą cię koło mnie, sam to zrobię. Rozumiesz?

– Tak, panie.

Znow mu napędziłem strachu. Tym razem nie zwierzęcego, wzbudzonego groźbą tego, co może się zaraz stać, ale ludzkiego strachu przed konsekwencją wyboru złej drogi.

Położyłem jego nóż na ziemi i odszedłem w głąb ulicy. Podniósł go dopiero wtedy, gdy byłem daleko. Zdradziło mi to skrzypnięcie piachu pod jego podeszwami. Na najbliższym skrzyżowaniu skręciłem w lewo i przytulony do ściany czekałem, aż gwiazdy zauważalnie się przesunęły.

Nie poszedł za mną. Postąpił słusznie.

Mimo późnej pory znalazłem Brahma w jego lokalu. Był w dobrym humorze, grał w karty z nieznanymi mi ludźmi, a towarzyszyła mu długonoga piękność, którą gra albo naprawdę bawiła, albo dobrze to udawała.

Ukośnie skrojona suknia z rozcięciami prawie do pasa, wyszycie imitujące gorset, którego biorąc pod uwagę obwód talii w porównaniu z krągłością bioder, zupełnie nie potrzebowała, i piersi niemal wstydliwie zasłonięte najdroższymi i najlepszej jakości koronkami. Lub też niewstydliwie nimi podkreślone, zależnie od punktu widzenia. Ale podkreślenia jej biust i tak nie potrzebował. Nawet ubrana w proste, białe płótno, ścigałaby na siebie uwagę większości mężczyzn. prostytutka najwyższej klasy.

Przystanąłem na chwilę i przyglądałem się całemu towarzystwu. Kobieta nonszalancko opierała się Brahmowi na ramieniu, z zainteresowaniem obserwowała jego karty i twarze siedzących dookoła, w lewej ręce trzymała szlifowaną czaszę z napojem bursztynowego koloru. Zastanawiałem się, co jest droższe – artystyczny ornament na kryształach czy jego zawartość. Zauważyła mnie pierwsza i rzuciła mi długie taksujące spojrzenie.

– Podwyższam o dwieście – powiedział Brahm i mrugnął do mnie.

– Ciekawa jestem, co pan na to, panie Fluski. – Pięknotka popatrzyła na mężczyznę we fraku i spodniach podwiązanych pod kolanami, które były modne pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu.

Jej uwaga zdenerwowała go. Właściwie poruszyła wszystkich obecnych. Sprawiali wrażenie

towarzystwa, które starannie oddziela karty od kobiet. Brahm w odróżnieniu od nich wydawał się ubawiony.

– Panowie wybaczą – oznajmił stary gangster. – Muszę się na chwilę oddalić, aby z partnerem handlowym omówić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę. Nie chciałbym przerywać gry, zastąpisz mnie, bardzo proszę? – Spojrzał na towarzyszkę.

– Pozwolisz jej grać za twoje pieniądze? – nie wytrzymał mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie stołu.

Przeszłość nieokrzesanego zabijaki, który się jakimś sposobem wydźwignął w górę, nie dała się przykryć ani wykwinnym ubraniem, ani fryzurą, ani starannie ogoloną szczęką.

– Oczywiście, Niku. – Brahm zrobił zdziwioną minę. – Przeszkadza ci to? – w tonie towarzyskiej konwersacji pojawiła się niebezpieczna ostrość.

– Jasne, że nie – Nik szybko pokręcił głową.

– Nie zapominajcie zagrać o wysoką stawkę – polecił im Brahm. – Co wygrasz, to twoje, złotko. A co przegrasz, to moje. – Mrugnął cwaniacko do swojej towarzyszki.

– Madame – pożegnałem ją ukłonem, odpowiedziała mi wieloznacznym uśmiechem i lekkim skinieniem. Pozostałych nie zauważałem, nie byli tego warci.

– Piękna kobieta – powiedziałem, gdy podeszliśmy do baru.

Barman bez pytania postawił przed nami dwie szklanki. Do mojej nalał wina z karafki, a Brahmowi bursztynowego likieru, który już widziałem. Potem odszedł.

– Tak – zgodził się Brahm, gdy obaj się napiliśmy. – Anastazja Bavari, przynajmniej tak się teraz przedstawia. Pojawiła się tu przed kilku laty i kilka razy wyświadczyłem jej przysługę, gdy tego potrzebowała. Czasem namawiam ją, żeby poszła ze mną gdzieś wieczorem zabawić się.

– Drażnisz ich. – Machnąłem ręką w kierunku towarzystwa przy stoliku.

– Używam sobie – przytaknął.

Wino było gęste, na języku zostawał po nim smak jeżyn przyprawiony odcieniem gorzkiego cytrusa.

Brahm rozejrzał się po sali, przez chwilę przyglądał się gościom. Obecni już na pierwszy rzut oka nie sprawiali wrażenia ubogich, chociaż sposób, w jaki zdobyli pieniądze, był wyraźnie bardzo różnorodny.

– Jesteś już odfajkowany na liście – powiedział Brahm, nadal się przy tym rozglądając.

W żargonie półświatka „być na liście” oznaczało, że ktoś wystawił zamówienie na

zamordowanie mnie, „odfajkowanie” – że zabójca wziął zaliczkę i jest na tropie. Ta informacja wyjaśniała sprawę młodzika, który mnie śledził. Może.

– Za kogo konkretnie ustanowiono nagrodę? – chciałem wiedzieć.

Występowałem pod wieloma różnymi postaciami. To mogło mi podpowiedzieć, gdzie i komu nadepnałem na odcisk. Niestety, chyba mu to nadeknięcie nie zaszkodziło.

– Bez nazwiska. Szukają według portretu pamięciowego – odpowiedział Brahm, położył na barze złożony we czworo kawałek papieru i kiwnął na barmana. Podczas gdy zamawiał napoje dla graczy, spojrzałem na obraz.

Narysowany węglem, zręcznie i szybkimi ruchami. Rysownik uchwycił wszystkie istotne rysy twarzy, według których można mnie było zidentyfikować. Krzywy, złamany nos, duże blizny i małe koło lewego oka. Portret musiał powstać niedawno, przed pięcioma, najwyżej sześcioma miesiącami, bo przedtem nosiłem przez jakiś czas opaskę na oku, a jeszcze wcześniej maskowałem twarz brodą.

– Oferta pojawiła się w Saxpolis. Powiedziałbym, że przyjedzie ktoś tamtejszy.

To jeszcze bardziej gmatwało całą sprawę, zamówienie na moje zabójstwo nie łączyło się z niczym, co wydarzyło się w Krachtiburgu. Przebywałem tu zaledwie kilka dni, więc niemożliwością było pokonać tak szybko trasę z Saxpolis i z powrotem. Człowiek zajeździłby nawet najlepszego konia.

– Ile mnie będzie to ostrzeżenie kosztowało? – zapytałem.

Brahm zakręcił szklanką i wywołał w niej wirującą spiralę.

– Chętnie robię z tobą interesy. Dzięki tobie zarobiłem sporo pieniędzy i mam nadzieję, że jeszcze zarobię – odpowiedział. – Oprócz tego, to całkiem niezła zabawa. – Wykrzywił twarz w sposób mogący wystraszyć większość ludzi.

Zabawa, to był ten właściwy powód.

– Chętnie zabiorę trochę rzeczy zostawionych u ciebie – oznajmiłem. – Tych specjalnych rzeczy.

– Pomyślałem o tym. Są na górze w pokoju. – Podał mi klucz. – Dago cię tam zaprowadzi. – Wskazał barmana. – A jest tam jeszcze jedna interesująca rzecz. Trafiłem na nią przypadkiem i może ci się spodoba. O ile nie będziesz się bał jej nosić, skoro czekasz na przyjazd śledczego Konwentu z całą jego świtą – rzekł z pogardą. – Później mi powiesz, na ile tę zabawkę wyceniasz. Idę do Anastazji, pewnie już oskubała wszystkich dookoła, a ja chciałbym, żeby im chociaż trochę zostało, o ile mam z nimi robić interesy.

Uniósł szklankę w geście pozdrowienia i odszedł.

– Mogę dostać jeszcze jedną, a później skoczmy na górę? – zapytałem Daga.

– Może pan. Załatwimy to szybko, nie lubię zostawiać baru bez opieki, nawet na rozkaz szefa.

Nalał, spojrzał na mnie pytająco, a ja kiwnąłem głową. Ruszył w stronę korytarza długimi energicznymi krokami. Zabrałem szklankę i musiałem dobrze wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć i nie rozlać przy tym wina. Dago okazał się wyższy, niż przypuszczałem, podłoga za barem musiała być niżej niż w sali. Poruszał się sprężysto i energicznie, jakby go cieszył wysiłek fizyczny. Widać było, że to barman o wielu profesjach, jak to bywa, w świecie niebezpiecznych interesów, nielegalnych umów i piątych asów w rękawie. Wspinając się po dwa schody naraz, zastanowiłem się, czy zdołałbym obsługiwać gości tak samo zwinnie i zręcznie jak on. Chyba nie, człowiek po prostu musi się wciąż czegoś uczyć.

W wygodnie wyposażonym, dwupokojowym apartamencie, w którym Brahm od czasu do czasu nocował, na stoliku z ceramicznym blatem stała drewniana szkatuła.

Sama była artefaktem, a skrywała kilka innych artefaktów. Niektóre z nich były na tyle zajmujące, że nie chciałem się ich pozbyć. Co do innych, nie miałem po prostu pojęcia, do czego mogły służyć, więc też nie chciałem się ich pozbyć. Pozostawały u Brahma już jakiś czas i stopniowo ich przybywało. Teraz interesował mnie jeden konkretny przedmiot. Nieładna, bezbarwna bluza ze specjalnego materiału z kilkoma tasiemkami i rzemykami, służącymi do wygodnego wkładania i noszenia. Przód bluzy był wielokrotnie wzmocniony wytrzymałym przesywanym płótnem, obramowanym po bokach pasami z grubej skóry. Do pasów starannie przszyto tylną część bluzy, sporządzoną z gęsto tkanej plecionki grubości małego palca. Przy dotknięciu miało się wrażenie, że to gęsta pajęczyna. W starych księgach materiał ten nazywano gloswitz, a w czasie Wielkiej Wojny wyrabiano się z niego najlepsze na świecie broje dla wybranych. Dziś nikt nie pamiętał, że coś takiego istniało, ja doczytałem się o gloswitu w przypisie, studiując księgę traktującą o zupełnie innych sprawach. I tylko dlatego, że wiedziałem, na co patrzeć, udało mi się ten wyrób odkryć. Rozebrałem się i naciągnąłem gloswitzową półbroję, usiłując tak pozapinać rzemyki, żeby jak najlepiej pasowała. Zajęło mi to trochę czasu. Potem ubrałem się na nowo. Plecy miałem teraz wysmienicie chronione. Wciąż jednak mógł mi je ktoś zdruzgotać młotem bojowym, maczugą albo porządnie stłuc kijem. Ostrze natomiast będzie miało trudności z wejściem, bo plecionki z gloswitu nie można przebić, choć wydaje się to niewiarygodne. Mnie się nie udało, a naprawdę się starałem.

Nic innego z zapasów nie było mi w tej chwili potrzebne. Zamknąłem szkatułę, ze szklanką w ręce rozejrzałem się za niespodzianką przygotowaną przez Brahma. Leżała w drugim pokoju na kanapie. Smukły, płaski futerał z masy, która zdawała się sprężysta w dotyku, ale w rzeczywistości była twarda jak stal. Przypominał pochwę na nóż do rzucania, przypinaną do wewnętrznej strony przedramienia. Kolor naśladujący barwę ludzką skórę też za tym przemawiał, podobnie jak oczka dla rzemyków mocujących. Do środka nie zaglądałem, bo musiałbym szczelinę w futerale obrócić ku sobie, a tego robić nie chciałem. Tym bardziej że przy powtórnych oględzinach odkryłem miniaturowy znak klanu Mojmskiego, słynącego przed wiekami z wyrobu niebezpiecznych broni opartych na użyciu magii.

Wziąłem futerał do ręki, skierowałem ku drewnianej ścianie i ścisnąłem. Nic się nie stało. Szukałem jakiejś wystającej części, przemyślnie ukrytego spustu uruchamiającego mechanizm wewnętrzny, ale na próżno. W końcu zadałem sobie trud i przypiąłem futerał pod lewym przedramieniem, ze szczeliną umocowaną o dwa centymetry od nadgarstka. Futerał był źle ułożony.

Gdyby ze szczeliny coś wyleciało, zraniłoby mi dłoń. Wyglądało na to, że producent nie miał żadnego doświadczenia co do sposobów noszenia ukrytej broni. Już chciałem go zdjąć, gdy poczułem poruszenie, jakby materiał ożył, jego nieskomplikowany kształt zmienił się. Futerał dopasował się do mego przedramienia i ściśle przylgnął do skóry. Szczelina wyrzutni zyskała teraz doskonałe położenie. Znowu skierowałem rękę na ścianę i znowu nic się nie stało. Odwróciłem dłoń, jakbym chciał komuś pokazać, że nic w niej nie mam, poczułem drgnięcie i w kawałku drewna, który miałem przed sobą, pojawiła się nagle drgająca lekko, błyszcząca metalicznie płaska strzała. Ładne, ale tylko trochę lepsze niż dobrze rzucony nóż. Ostrożnie zbliżyłem się do strzały. Każdy kontakt z magią jest niebezpieczny, siła uderzenia odpowiadała raczej sile strzały wystrzelonej ze słabszego łuku niż rzuconego noża. Ostrożnie wyciągnąłem pocisk. Szło trudno, bo miał grot również w tylnej części. Spróbowałem wsadzić go z powrotem do futerału, ale nie chciał wejść.

Zmierzyłem szerokość szczeliny i szerokość dwustronnego ostrza. Nie pasowały do siebie. Magii było tu więcej, niż przypuszczałem. Chyba te pociski tworzyły się po prostu w futerałach. Wymierzyłem przed siebie i powtórzyłem gest, który przed chwilą spowodował strzał.

Nic. I drugi raz też nic. Spróbowałem jeszcze raz, kierując nieświadomie rękę w stronę stolika, na który odłożyłem strzałę. Świst, a w ślad za nim brzęk i drgnięcie, strzała zniknęła. Zrozumiałem, że powróciła do futerału. Dalsze próby potwierdziły moje przypuszczenie.

Jakiś czas temu słyszałem o zuchu, który miał powracającą siekierę. Podobno gdy rzucił nią w kogoś, raziła go ostrzem, a potem wpadała na powrót w dłoń właściciela. Były to relacje z trzeciej ręki, dlatego że ci, którzy spotkali się z nim twarzą w twarz, nie przeżyli. Nie wierzyłem w to za bardzo. Teraz trzymałem w ręce podobną, może jeszcze bardziej wyrafinowaną broń. Dla kogoś takiego jak ja przedstawiała ona niezwykle cenny dar. Właściwie dla każdego, kto nie bał się Konwentu i prawa karzącego za posiadanie i używanie magicznych artefaktów. Jeszcze kilka razy sprawdziłem, kiedy strzała wraca, a kiedy nie. Zależało to od kąta ustawienia futerału. Musiałem go kierować choćby w przybliżeniu ku strzale, zakrętów pokonywać nie umiała. Czy Brahm wiedział, jak ta rzecz działa? Z nim nie można było być niczego pewnym. Odpiąłem futerał. Zdecydowałem się pokazać mu, jak działa, i zaproponować godziwą cenę, o ile nadal będzie miał chęć sprzedać niebezpieczną zabawkę. Nie chciałem grać z nim nieczysto. Znowu poczułem na skórze znane mi już zafalowanie, futerał powtórnie się zmienił, ale, co dziwne, nie wrócił do pierwotnego kształtu. Zniknęły uchwyty, a on przystosował się jeszcze ściślej do mego przedramienia. Prawie zlewał się z nim i bez dokładnego przyjrzenia się nie można było stwierdzić, że do ręki przyczepione jest coś, czego tam nie powinno być.

Nie chciałem, żeby został u Brahma, chciałem wziąć go sobie, a ten przedmiot to wiedział. Zaczynałem rozumieć, że reaguje na moje myśli. To naprawdę może przstraszyć. Umiejętności dawnych czarodziejów budziły grozę nawet po całych stuleciach.

– Odepnij się – pomyślałem i równocześnie wypowiedziałem rozkaz na głos.

Klap – futerał odzepił się od skóry, pozostało tylko uczucie braku.

Przyłożyłem go z powrotem, na chwilę wyskoczyła mi gęsia skórka i znowu tkwił na miejscu, niewidzialny i śmiertcionośny.

Włożyłem resztę ubrania, zszedłem na dół. Brahm i Anastazja byli nieobecni, gości ubyło, a przy stoliku karcianym trzech mężczyzn kłóciło się, kto bardziej psuje grę. Większa część nocy już minęła i miało się ku świtaniu.

Zakładanie sidła

Bamegi siedział na stole w swej ulubionej pozycji, niby przysłuchując się rozmowie reszty obecnych, ale w rzeczywistości był myślami zupełnie gdzieś indziej, przy nieznanym ukrywającym się pod nazwiskiem Koniasz. Zadanie, które dostał, było trudne. Trudniejsze, niż się wydawało. Musiał znaleźć kogoś, kto już instynktownie zacierał za sobą wszelkie ślady. Co więcej, kogoś, kto przez długie lata przewijał się przez świat, niewidzialny i niewyśledzony, tylko na chwilę zmieniając się w tornado. Szerzył chaos, zmieniał losy ludzi, a nawet całych państw, jakimś cudem był w stanie przetworzyć ruinę w nowy porządek... i znowu zniknąć.

– Potrzeba nam więcej ludzi – powiedział głośno. Żaden z jego podwładnych nie zaprotestował. To on dowodził, to jego rozkazów słuchali, to on ponosił odpowiedzialność.

– Wszyscy wiecie, jakie jest nasze zadanie. Macie jakieś pomysły, jak go najłatwiej znaleźć? – zapytał.

– Znaleźć i zabić – uściślił Gaspru i podkreślił swoją uwagę uderzeniem kantem dłoni w worek treningowy.

Bamegi podejrzewał, że zamiast suchego jęczmienia czy grochu, jak to zalecały podręczniki treningu, trzymał w nim kamienie lub ołowiane kulki. Gaspru był pod tym względem wariatem.

– Tak – potwierdził.

– Zaszyjemy się gdzieś w mieście, tam gdzie ma dotrzeć, poczekamy na niego i gotowe – doradził Kuzbos.

Kuzbos był specjalistą od zastraszania. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ważył ponad sto kilogramów i nie miał na sobie ani grama zbytecznego tłuszczu. Poruszał się z pozoru jak niezgrabny niedźwiedź, ale było to złudzenie. Lubił proste, nieskomplikowane metody w rodzaju tych, jakie zawarł w swojej radzie. Miał ogromną siłę w palcach, nie puszczał niczego, co złapał. Swoje ofiary dusił aż do granicy śmierci, a potem dawał im szansę. Jako środek skłaniający do mówienia funkcjonowało to znakomicie.

Bamegi zastanawiał się nad jego pomysłem.

– Nie wiemy, kiedy się pokaże. Może to trwać tygodniami. Dłuższego pobytu większej grupy ludzi w jednym miejscu nie da się skutecznie ukryć. Kogoś innego moglibyśmy zaskoczyć, ale on by nas zauważył – po namyśle odrzucił taki wariant.

Darnet i Varnet nie włączali się do dyskusji. Sądząc z ich obojętnych min, nadal nie zamierzali tego robić.

Ulicą przejechał z turkotem wysoko załadowany wóz, skrzypienie niedostatecznie nasmarowanych osi na chwilę zdominowało dźwięki dobiegające z zewnątrz. Bamegi poczekał, aż w

jego obecnej kwaterze głównej i miejscu spotkania zapanuje znów spokój. Względny spokój, bo za otwartymi oknami przechodzili ludzie i do środka przenikał gwar ich rozmów. Bamegi już dawno nauczył się, że najłatwiej zniknąć w tłumie, a zamiast zamykać się przed niepożądanymi ciekawskimi w ukryciu, lepiej jest nasłuchiwać.

Pięciu dodatkowych ludzi z jego oddziału stale obserwowało drogi dojazdowe do miasta. Takie rozproszenie sił bez wystarczającej infrastruktury logistycznej stało się utrapieniem już teraz. Jego rozkazy docierały do patrolujących zbyt późno.

– Nie możemy wyczekiwać, musimy działać, poszukiwać, tylko tak damy radę – oświadczył energicznie, aby dodać swoim ludziom wigoru. – Ten człowiek, Koniasz – wypowiedział jego nazwisko z zamierzonym naciskiem – poszukuje przedmiotów pochodzących z czasów czarodziejów. To, że przyjedzie w jedno konkretne miejsce, nie znaczy, że zaprzestanie poszukiwań gdzie indziej. Dlatego musimy wiedzieć, czy w mieście pojawił się jakiś nowy kupiec zainteresowany artefaktami, czy są jakieś nowe oferty, słowem, musimy dowiedzieć się o wszystkich niezwykłych interesach. Kuzbosie, to jest zadanie dla ciebie. I weź ze sobą Hridu. – Wybrał jednego z patrolujących drogi. – Jemu zostaw gadanie, a sam działaj. Musimy wzbudzać strach, żeby pośrednicy zaczęli mówić. Nie zabijaj nikogo, dopóki to nie będzie naprawdę konieczne.

Wielki ninja przytaknął.

Bamegi wiedział, że Kuzbos ma dwoje dzieci i trzecie w drodze. Jego najstarszy trenował z dorastającymi młodzikami, chociaż brakowało mu parę lat do ich wieku, taki był utalentowany. A jego żona! Jej mu naprawdę zazdrościł. Kilka razy widział ich razem i wydawali się szczęśliwi. On nie przeżył jeszcze nic podobnego.

– Chcę, żebyście wiedzieli o każdym chłopisku, które wyruszy na północ. – Odwrócił się do bliźniaków, Darneta i Varneta. – Nie wiemy, jak wygląda, ale wiemy, że to wilk samotnik. Porusza się samotnie, polega tylko na sobie. Nie jest farmerem, rzemieślnikiem ani kupcem. Ale może każdego z nich udawać.

Przez chwilę patrzył na bliźniaków, czy dobrze zrozumieli polecenie. Wcale nie byli głupi, jak sądzili niektórzy, tylko sami sobie wystarczali za towarzystwo.

Obaj równocześnie kiwnęli głowami.

Jedna osoba w dwóch ciałach, pomyślał Bamegi.

– Gaspru, ty zrób obchód lokali i sprawdź, co tam gadają – zwrócił się do ostatniego członka grupy. – Wszyscy jutro w południe spotykamy się tutaj, będę oczekiwał sprawozdań.

W chwilę później siedzący na stole Bamegi był już przy drzwiach i w następnej sekundzie zniknął. Sam miał najwięcej do zrobienia. Spotkać się ze wszystkimi patrolami, skontrolować wykaz ludzi, którzy poprzedniego dnia przybyli do miasta, sprawdzić podejrzanych, a na samym końcu spotkać się z ninją klanu Haeren. To spotkanie musiało pozostać w tajemnicy, Varatchi ani nikt inny nie powinien się dowiedzieć, że mimo ostrej rywalizacji, współzawodnictwa i nieprzyjaźni, w

sposób widoczny różniących klany, przywódcy ninja utrzymują kontakty. Rzeczowe i nieobciążone jakimikolwiek uprzedzeniami. Bamegi już od dawna nie był młodzieniaszkiem i rozumiał taką konieczność. Byli wilkami, zabójcami, ale i tak mogli bardzo łatwo wpaść w tryby mechanizmów władzy. Wystarczył rozkaz Varatchiego, by życie wszystkich członków klanu skończyło się pod ciosami mieczy ciężkiej piechoty cesarza.

Z człowiekiem klanu Haeren miał się spotkać w tkackiej jadłodajni. Stołowali się tu przeważnie pracownicy warsztatów tkackich i szlifierskich znajdujących się w okolicy, ale i inni ludzie, którym wystarczał obiad za miedziaka. Lub też tylko na taki było ich stać. Po długim chodzeniu Bamegi zgłodniał, z przyjemnością zajadał swoją porcję. Dziś serwowano kluski z mięsem wieprzowym, jak głosił napis na drewnianej tablicy. Mimo usilnych starań żadnego kawałka mięsa nie znalazł, ale kluski były przynajmniej porządnie okraszone. Ludzie, którzy bywali tu często, żartowali ze znajomkami, samotni wlepiali wzrok w talerze. Siedziało się nie przy stołach, lecz przy długich, wąskich ławach niedających praktycznie żadnej prywatności. Miejsce naprzeciw Bamegiego zajęł szczupły mężczyzna w czystym, ale zauważalnie połatanym ubraniu. Sądząc z zapachu, jaki wokół siebie roztaczał, pracował w miejskiej pralni. Bamegi powątpiewał, że to jego rozmówca, ale mimo to niby przypadkiem położył przed swoim talerzem złożoną płócienną serwetkę. W rzeczywistości połowę serwetki. Po stronie skierowanej ku krawędzi ławy narysowany był lampart stojący na płyciźnie i syczący na coś w wodzie. Człowiek z pralni też położył przed talerzem kawałek materiału. Bamegi wyciągnął rękę, ale wziął nie swoją serwetkę, tylko tę należącą do drugiego mężczyzny. Rysunek przedstawiał rekina na płyciźnie szczerzącego zęby na coś na ziemi. Wystarczył mu rzut oka i wiedział, że mężczyzna przed nim jest z klanu Haeren. Dopiero obie połówki złożone razem nadały scenie sens i dynamikę oraz ukazywały jej skryty przekaz. Każdy drapieznik należał do swego świata i z tym drugim nie konkurował. Gdyby drapiezniki zdecydowały się walczyć, mogły zyskać bardzo niewiele, za cenę ogromnego ryzyka.

– Zastępuję Ferusiego, przywódcę klanu Godetu.

– Hadana z klanu Haeren.

Bamegi zorientował się, że u konkurencji doszło w ostatnich latach do zmiany przywódcy. Nikt nie młodnieje, nawet ci na szczycie, przypominał sobie.

Serwetki skończyły swą misję na stole, zostały znów starannie złożone. Obaj zjedli po kilka kęsów.

– Dostaliśmy robotę w mieście. Zleceniodawca zapewnił nas, że nasza działalność nie wchodzi w drogę waszej – zaczął Bamegi.

Ferusi polecił mu tak zrobić. Przy poprzednim spotkaniu przywódców klanów pierwszy krok wykonał przedstawiciel Haerenu.

– To prawda – potwierdził rozmówca.

Obydwaj, mówiąc, nie przestawali wpatrywać się w swoje talerze.

– Nasze główne zainteresowanie skupia się teraz na terenie leżącym za Pustynią Gutawską, chodzi o hrabiego Daska i hrabiego Vadviga – wyjawiał obcy ninja.

– Nie mamy tam ludzi, gdyby sytuacja się zmieniła, natychmiast prześlemy informację.

Ninja Haerenu skinął nieznacznie i zjadł kilka kolejnych kęsów.

Bamegi zastanawiał się przez chwilę, czego mogą chcieć ninja od niezawisłych szlachciców, ale szybko porzucił te myśli. Miał wystarczająco dużo własnych problemów.

– Wygląda na to, że nie będziemy sobie stać na drodze – oznajmił na koniec.

– Dobrze to wiedzieć – stwierdził jego rozmówca.

– Możliwe, że potrzebna mi będzie pomoc – napomknął Bamegi ostrożnie.

Teraz grał już według własnych reguł.

– A kto może o nią poprosić? – Ninja rzucił okiem na rozmówcę, jakby chciał samym tylko wzrokiem przeniknąć maskę obojętności swego partnera w tej grze i stwierdzić, co naprawdę myśli.

– Bamegi Sprush, dowódca operacji Godetu w Krachtiburgu.

Obaj popatrzyli na siebie równocześnie. Fakt, że mistrzowie klanów wybrali właśnie ich na to spotkanie, oznaczał, że uważają ich za najbardziej godnych zaufania i swych późniejszych następców. To, że Bamegi nie zwracał się o pomoc w imieniu klanu, oznaczało prośbę prywatną.

– Zależy, jaka to ma być pomoc – brzmiała ostrożna, ale nie odmowna odpowiedź.

– Informacja, informacja o człowieku występującym pod nazwiskiem Koniasz.

– Za dwa dni o tej samej porze w tym samym miejscu – przytaknął ninja i wrócił do jedzenia. Bamegi swoje już skończył. Wziął jego połówkę serwetki, swoją zostawił na stole i nic więcej nie mówiąc, odszedł.

Drapieżcy i zdobywczy

Popołudnie z wolna przechodziło w wieczór, gdy z trzema butelkami wina od Schantila, umieszczonymi w torbie na ramieniu, przepychałem się przez targowisko, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś interesującego, z czego można by przyrządzić nietuzinkową, smaczną kolację. Jak na razie niczego nie znalazłem, jako że na kupowanie produktów spożywczych poranek jest o wiele dogodniejszy. Obserwowałem otaczających mnie ludzi dokładniej niż zwykle. O wynajętym młodzieniaszku, który mnie śledził, nie zapomniałem nawet na chwilę. Jedno było jasne: ten, kto go najał, nie miał nic wspólnego z piątką, którą jakiś czas temu nakarmiłem świnie. Oni dobrze wiedzieli, gdzie mnie znajdują.

Skręciłem w boczną uliczkę, między sprzedawców. Wyglądało na to, że nic nie kupię, tak jak nie skontaktowałem się ze swymi zleceniodawcami będącymi już w mieście i nie zdążyłem zrobić wielu innych zaplanowanych rzeczy. A to dlatego, że na kilka godzin zatrzymał mnie Schantil. Z zacięciem wytrwale przekonywał mnie, że moje polecenia inwestycyjne nie są dobre. Przedstawił kilka innych wariantów, które w dłuższej perspektywie obiecywały naprawdę godziwe zyski. Tylko że ja nie wierzyłem w dłuższą perspektywę. Szykowała się wojna. Producenci mieczy, kopii i pancerzy mogli jeszcze o tym nie wiedzieć, tak jak większość tych, którzy je kupowali. Może nikt o tym jeszcze nie wiedział, włączając w to przyszłych dowódców armii, ale wystarczyło posłuchać, zaobserwować dzikie wręcz łowienie artefaktów, przegrupowania sił, przetasowania kto z kim, kto przeciw komu. Nie powiedziałem o tym Schantilowi, zapewne by mi nie uwierzył. W końcu, zrezygnowany, dał spokój. Musiał, bo chodziło o moje pieniądze.

– Pokaż ten swój towar! Szybko i wszystko, co masz! Głos był zbyt arogancki jak na klienta, czy nawet strażnika miejskiego. Ci chłopcy mieszkali tu, mieli rodziny i w ramach swych obowiązków zachowywali się poprawnie, aby nie zadzierać z otoczeniem.

– No, ruszaj się, kobieto!

Przecisnąłem się do stłoczonych ciekawskich i obejrzałem szybko, czy nikt za mną nie wciska się w tłum. Skurczony, żeby nie było mnie widać z daleka, przesunąłem się nieco w bok i znalazłem prawie w pierwszym rzędzie.

Brzuchaty chłopina w ubraniu, które każdego pięknie ubarwionego koguta spychałoby do rzędu szarych myszy, stał rozkraczony przed wózkiem, na którym sprzedająca wystawiła swój towar. Wisioriki, bransoletki, kamienie półszlachetne nawleczone na rzemyczki, obrączki na kostki nóg. Proste, tanie, ale czasem całkiem ładne przedmioty, niemające oczywiście żadnych przypisywanych im właściwości. Na pewno nie chroniły przed klątwą, chorobą czy ukąszeniem węża, ale cieszyły oko, a może i duszę.

– Ale to wszystko, co mam, panie! – broniła się kobieta. – W tych skrzyneczkach jest tylko surowiec, z którego wyrabiam towary!

Pochyliła się, żeby jedną z nich otworzyć, zadźwięczały liczne medaliki zawieszane na jej szyi.

Szeroka suknia sfałdowała się podczas ruchu. Barwne wzory, jakimi była ozdobiona, zatańczyły, sprawiając na chwilę wrażenie, że abstrakcyjne ornamenty ożyły i zmieniły się w mozaikę, którą człowiek czasem ujrzy z grzbietu konia pędzącego wąskim wąwozem. Czy to przypadek, czy doświadczyła czegoś takiego?

– Postaw to tu, niech się przyjrzę! – rozkazał jej gruby paw.

Wydało mu się widocznie, że nie wypełnia jego rozkazu wystarczająco szybko, bo wyrwał jej skrzynkę i wysypał zawartość na ladę wózka. Barwne kamyczki i miedziane blaszki posypały się aż na ziemię.

– Ja z tego żyję, panie – lamentowała.

– Nie może pan tego robić, niszczy jej pan towar! – odezwał się ktoś z tłumu, zawtórowały mu głośnie pomruki.

Chłop rozejrzał się tylko z wyższością. Nie widziałem nikogo, kto by mu chronił tyły. Albo był bardzo pewny siebie, albo należał do grona kompletnych głupków. Wiele razy widziałem krwawe resztki, jakie zostały z człowieka, na którego rzucił się okrutny stwór o imieniu tłum.

– Wiecie, kto ja jestem? – Patrzył wokół z dumą. – Jestem śledczym Konwentu. Samodzielnym śledczym. Wystarczy jedno moje słowo i któryś z was powędruje na ławę inkwizycji. A możecie być pewni, że z niej już nie wstanie. Każdy z was może być czarodziejem!

Ludzie ucichli, ktoś się cofnął, ciżba najpierw pomału, prawie niepostrzeżenie, a później coraz szybciej zaczęła rzednąć, wreszcie zostaliśmy we trójkę.

Gruby paw, ja i sprzedawczyni tanich ozdób.

– Wy tutaj czego? – wyjechał na mnie.

– Ja tylko chciałem kupić coś na szczęście, ale jak pan mówi, że to czarodziejskie, no to oczywiście nie kupię. – Wytrzeszczyłem na niego oczy i energicznie pokręciłem głową.

Z magicznym artefaktem pod ręką i innymi przedmiotami u siebie w pokoju ryzykowałem oczywiście, lecz chciałem pomóc.

Kobieta wykorzystwała to, że śledczy zwrócił uwagę na mnie, i zaczęła szybko chować towar. Suknia nadal mieniła się kolorami podczas ruchów. Prawdopodobnie sama ją wykonała. Może raczej powinna sprzedawać takie właśnie suknie, bluzki i chustki, wtedy zarobiłaby więcej.

– A to jest czarodziejski towar? – zapytałem cicho tonem spiskowca.

Zrobił zniesmaczoną minę.

– Nie jest, to tylko tanie śmiecie, kup sobie spokojnie, jeśli chcesz tracić pieniądze na bzdury – zbył mnie i odszedł.

– Dziękuję, panie – powiedziała kobieta. – Dopóki nie odejdą, nie pokażę się tu. Przyjechali naczelnicy Konwentu, więc miejscowi kręcą się jak rój os – poinformowała mnie.

To było dla mnie nowiną.

– Kto przyjechał? – zapytałem jeszcze.

Prawie wszystko już uporządkowała. Rozumiała intuicyjnie, że rozpoczęło się polowanie na kozły ofiarne, żeby urzędnicy mogli się wykazać przed przełożonymi.

– Podobno sam główny inkwizytor – syknęła i już pchała swój wózek w stronę przeciwną, niż odszedł śledczy.

Pochodziłem jeszcze między sprzedawcami. Na mój gust zaczynało być w Krachtiburgu zbyt ciasno, jakbym był rybą rzucającą się na płyciźnie w zbyt małym stawie, otoczonym przez rzeszę rybaków.

Byłem podwójnie zadowolony, że z moimi klientami czarodziejami miałem się kontaktować tak ostrożnie. Ponieważ nie stawiłem się na pierwsze zaplanowane spotkanie, powinienem w moim wynajętym pokoju numer jeden oczekiwać na wiadomość, jak i gdzie podjąć drugą próbę. Nie przypuszczałem, żeby w tym momencie szykowali jakiś podstęp, ale ostrożność opłacała mi się wiele razy w przeszłości. Nie miałem pojęcia o rzeczywistych zdolnościach ludzi Wickera, ale on sam musiał być intrygantem pierwszej klasy. Szeptano przed laty, że cesarz na złość Konwentowi powołał tajny klan czarodziejski. Później czarodzieje z jakiegoś powodu przestali się podobać swemu chlebobdawcy i protektorowi i mało brakowało, żeby wszyscy skończyli w szponach inkwizycji, gdyby ich ówczesny przywódca – tytułu „wielki mistrz” jeszcze nie odważył się używać – nie miał z góry przygotowanej drogi ucieczki gdzieś, gdzie klan mógł dalej działać, już nielegalnie.

W pensjonacie pokręciłem się tylko, odebrałem wiadomość i poszedłem dalej. Chcieli spotkać się ze mną w lokalu o nazwie „Beczka” na ulicy Krótkiej. Mieli mnie tam oczekiwać każdego wieczora przez trzy kolejne dni. Nie było powodu, żeby zwlekać. Czasu nie miałem za dużo, ale chciałem z ostrożności obejrzeć to miejsce przed spotkaniem. Ulicę Krótką znalazłem łatwo, „Beczkę” też. Nie miała szyldu – że chodzi o gospodę, poznałem tylko po dużej ilości wchodzących i wychodzących. Wszedłem i usiadłem pod ścianą blisko wejścia do kuchni, kurtkę powiesiłem na wieszaku obok siebie, żebym w razie potrzeby mógł się za nią schować.

W połowie karczma, w połowie jadłodajnia, jak to bywa w miastach podobnych Krachtiburgowi. Czas to pieniądz, a tego nigdy dość.

Zamówiłem jedzenie i picie, wygodnie wyciągnąłem nogi pod stołem. Do czasu spotkania pozostawało jeszcze około półtorej godziny. Wino dostałem najszybciej. Spróbowałem go, zostawiłem na stole i machnąłem na kelnera, żeby mi przyniósł czysty puchar. Nie ucieszył się z tego zbyt, przekonały go dopiero dwa miedziaki położone na stole. Opłacało mi się to jednak. Podawali tu nienadający się do picia cienkusz, a ja miałem w torbie zdumiewająco wyborne wino, które serwował mi Schantil podczas długiego wykładu o ekonomii. Trzy butelki tego właśnie wina wycygałem od niego na odchodnym. Nie miało sensu psuć sobie smaku i żołądka. Obsłużyłem się

więc własnymi zapasami. W końcu przynieśli mi późny obiad, pikantny placek z mięsem. W menu wypisanym kredą na tablicy, zawierającym cztery dania, wyglądał on na najmniejsze zło.

Teraz oczekiwanie stało się o wiele przyjemniejsze. Wino było wyśmienite. Schantil tego trunku nie pił i nie potrzebował, nie rozumiałem więc, po co zadał sobie trud ściągnięcia tak znakomitego czerwonego. Jego interesanci zadowoliliby się czymś nawet o klasę lub dwie gorszym. Jednak może ten stary piernik zmieniał się w niektórych okolicznościach? Podczas naszej dyskusji tak się zirytował, że odstąpił od swoich purytańskich zasad i kazał przynieść sobie filiżankę mocnej herbaty.

Trzech mężczyzn w strojach, w których zapewne cały dzień pracowali na budowie, świętowało koniec pracowitego dnia przy piwie i rozprawiało o tym, jak to niejaki Muchinson robi, że potrafi położyć na plecach każdą, którą sobie upatrzy. Obgadywali go, zazdrościli mu, ale w jednym byli zgodni: nigdy by nie przypuszczali, że na końcu odejdzie od rodziny. Przemyśliwali, co to za jedna, z którą uciekł.

Gospodarz przystanął przy nich z kolejnymi kuflami, ale najstarszy odmownie machnął ręką.

– Każdy po jednej kolejce i dosyć, idziemy do domu.

Pan od kurków piwnych przytaknął, chyba byli tu stałymi klientami.

Weszli następni goście, zgarbieni, barczyści i przysadziści, opasani mocnymi rzemieniami zakończonymi hakami. Tragarze. Wyglądali na bardziej nieokrzesanych niż pozostali bywalcy, ale spokojnie siedli w kącie i zamówili piwo. Siedzieli w ciszy, ich oczy zdradzały pragnienie, a cała postawa – zmęczenie. Inne życie niż to, które znałem. Lepsze czy gorsze? Bez znajomości obydwu nie mogłem tego rozsądzić.

Oprócz dwóch pomocnic roznoszących jedzenie i zmywających naczynia, nie było tutaj żadnej kobiety. Ani w charakterze gościa, ani prostytutki. „Beczka” była takim przybytkiem, w którym zatrzymują się mężczyźni wracający z pracy.

Wypiłem już połowę butelki i właśnie chciałem ją zakorkować, gdy w drzwiach pojawił się Majal, człowiek numer jeden u Wickera. O pół godziny wcześniej, niż określała to wiadomość. Pochyliłem się i schowałem za wiszącą kurtką. Majal obejrzał salę i dopiero wtedy, na jego nieznaczące skinienie, weszli pozostali. Wolał ich mieć obok siebie, ale nie chciał, żebym wiedział, że są razem. Poznałem młodzika, któremu dla zabawy, nie bez pewnej złośliwości pod adresem jego szefa, pożyczyłem książkę kucharską. Trzeciego widziałem po raz pierwszy. Dwóch chłopków w wiejskich ubraniach, niezbyt pewnych siebie, usiadło za stołem i zaczęło o czymś półgłosem rozmawiać. Po krótkiej przerwie wszedł do sali czwarty mężczyzna. Nie wiedziałem, czy należy do czarodziejów. Odróżniał się sposobem zachowania, roztaczał wokół siebie atmosferę spokojnej pewności siebie, otoczenie go nie deprymowało, jego ubranie nie wyróżniało się wprawdzie niczym szczególnym, ale było uszyte na miarę z dobrego materiału. Zauważył mnie wcześniej niż Majal. Nie wiem, na czym to polegało, ale od razu zrozumiałem, kim jest. To był zabójca. On też natychmiast zorientował się, z kim ma przyjemność. Obaj mieliśmy często do czynienia ze śmiercią i wiedzieliśmy, że każdego dzieli od niej mniej, niżby się spodziewał.

Majal spostrzegł mnie w końcu i przybrał minę człowieka, któremu nie przeszkadza, że ktoś przejrzał jego skrytą grę.

– Cieszę się, że przyszedł pan tak wcześnie – oznajmił, podszedłszy do mojego stołu.

Wyraz jego twarzy był już prawie powitalny. Był gość opanowany, to trzeba mu przyznać.

– Nie mógł pan przyjść w pierwszym terminie na spotkanie? – spytał i usiadł obok mnie.

– Pańscy ludzie nie będą uczestniczyć w rozmowie? – Zignorowałem jego pytanie. – Nie chcę wszystkiego powtarzać po kilka razy.

Nie spodobało mu się, że kwestionuję jego wyobrażenie o dowodzeniu, oparte na zasadzie trzymania podwładnych z dala od informacji. Przez chwilę wahał się, czy nie posłać mnie do wszystkich diabłów, ale uświadomił sobie, że mnie potrzebuje. Ja wiedziałem, jak wejść do wnętrza Maaterenditu, chronionego przez stare zaklęcia i wyjść stamtąd żywym. Przynajmniej wierzyłem, że tak będzie, raz już mi się udało.

Nie zauważyłem gestu, którym przywołał swych ludzi. Poczekalem, aż usiądą i coś sobie zamówią.

– Do miasta przyjechał główny śledczy Konwentu, o tym już chyba wiecie? – powiedziałem na pozór obojętnie.

Dwaj z nich drgnęli, ta informacja wyraźnie ich przestraszyła. Zastanowiłem się, czy też tak bym zareagował, ale stwierdziłem, że nie. Choć miałem kilka artefaktów, za których posiadanie zabiliby mnie, a przedtem jeszcze torturowali, żeby sprawdzić, czy nie naprowadzę ich na trop współników.

– Obecność śledczego nie ma nic wspólnego z nami – oznajmił Majal – i nie zmienia to naszych planów.

Powiedział to tonem niedopuszczającym dyskusji, a to mi się nie spodobało.

– Podejmujemy akcję, która może nas wszystkich kosztować głowy – zacząłem spokojnie. – Chcę usłyszeć o wszystkim, co się wam przydarzyło i mogłoby mieć coś wspólnego z naszą misją.

Majal chciał coś odszczeknąć, ale uprzedził go jeden z jego ludzi.

– Część drogi odbyliśmy w towarzystwie głównego śledczego Konwentu, wicehrabiego Karlonisa. Miał jechać do Malanska, ale dostał wiadomość, która spowodowała, że zmienił cel podróży.

– Nie miało to nic wspólnego z nami, wykorzystaliśmy jego orszak jako doskonały kamuflaż – Majal zareagował natychmiast, mierząc tego, który się odezwał, wściekłym spojrzeniem.

– Chcę usłyszeć o wszystkim, co dotyczy Karlonisa – oznajmiłem i usiadłem wygodniej.

Bez szczegółowych informacji nie byłem skłonny kontynuować rozmowy. Jeśli popełnili jakiś błąd, nie chciałem płacić za niego swoją skórą.

Majal zrozumiał, skapitulował i dokładnie mnie o wszystkim powiadomił.

Zgodziłem się z ich przekonaniem, że śledczy nie przyjechał tu w związku z nimi. Konwent, skostniały przez stulecia swej niezachwianej pozycji, nie używał podstępów ani intryg. Zazwyczaj załatwiał wszystko siłą, strachem, bezwzględnością śledczych i okrucieństwem inkwizytorów.

– Szanse powodzenia znacznie by wzrosły, gdybym sam przeprowadził akcję. Szybko dojdę na miejsce starej cytadeli, wleżę do środka i odszukam was z towarem, który tam znajduje.

– Zwariował pan – skrzywił się Majal. – Już byśmy pana nigdy więcej nie zobaczyli, zniknąłby pan razem ze skarbami.

Po zakończeniu swojej poprzedniej roboty przekazałem zleceniodawcy dokładnie wszystko, co figurowało w jego wykazie. Chodziło o trzy przedmioty leżące na kamiennym stole pracowni Giwu Makena. Te trzy przedmioty były naprawdę wartościowe i nie rozumiałem, skąd wiedzieli, gdzie się znajdowały. I w jaki sposób stwierdzili, że właśnie pomieszczenie, w którym leżą, nie jest wypełnione jakąś skamieliną uniemożliwiającą dostęp do większości przestrzeni, jaką zajmowała tajna skrytka klanu. Przy przeszukaniu znalazłem mnóstwo innych ciekawych rzeczy. Część z nich sprzedałem zleceniodawcy za podwyższoną prowizję. Część. To, co było najbardziej interesujące, zostawiłem sobie. Wicker powinien mieć bardzo pozytywne referencje dotyczące mojej osoby. Ale z jego zachowania wynikało, że nie miał pojęcia, co się znajdowało w cytadeli Maaterenditu, czy też w awaryjnym magazynie. Dlatego musiałem mieć asystę, której obecność wszystko komplikowała.

– Świetnie – zrezygnowałem. – A jak wyobraża pan sobie dalsze działania?

Majal nie odpowiedział. Moje pytanie wziął za niewiarę w jego kompetencje. I miał rację.

– Prosto. Weźmiemy rzeczy potrzebne, żeby przeczekać kilka dni poza miastem. Pokażemy panu, gdzie znajduje się cytadela, pan nam powie, jak dostać się do środka, a potem jak najszybciej wrócić z powrotem – powiedział mężczyzna, który bardziej niż czarodzieja przypominał boksera wagi ciężkiej. Przyglądał mi się taksującym spojrzeniem i to, co widział, podobało mu się, ufał mi. Na jego miejscu też bym ufał takiemu niemłodemu już, poznaczonemu niezliczonymi śladami uderzeń pięści, kija i cięciami różnych ostrzy, wychudłemu dryblasowi. No nie – ja właśnie nie. Ciekawiłoby mnie, jak w takiej branży udało mu się pozostać przy życiu do późnego wieku.

– Jak pan się nazywa? – zapytałem. – Do mnie można mówić Koniasz.

– Mayers – odpowiedział i zachmurzył się.

Spostrzegłem, że zrobił to samo co jego szef. Podeszła kelnerka i bez pytania zaczęła stawiać przed nami dzbanki z piwem. Pokręciłem tylko głową i uśmiechnąłem się do niej. Gdybym, kręcąc głową, wyszczerzył zęby, rezultat byłby taki sam.

– W mieście jest pełno ludzi Konwentu. Nie urzędników, ale śledczych. Wścibskie chłopaki,

którzy co prawda nie są tacy jak dawniej, lecz mają skłonność do wtykania nosa w sprawy, które nie powinny ich obchodzić – powiedziałem, gdy kelnerka odeszła. – I założę się, że nasza grupka wzbudziłaby ich zainteresowanie. Gdzie to idziecie, panowie? A co tam macie w kieszeniach?

Mówiąc to, patrzyłem na Mayersa, żeby uświadomił sobie, że wiem, skąd ten idiotyczny plan pochodzi. Długoletnie ukrywanie się w jednym miejscu, bez styczności ze światem nigdy nie polepszało umiejętności działań konspiracyjnych. Sprawdziałem go. Opierał się na swoich uzdolnieniach, może i słusznie. Chciałem wiedzieć, jak dobrze umie panować nad sobą.

– Założę się, że można by znaleźć u was parę drobiazgów, przez które wpadlibyście na granicy.

U mnie też, ale ja nie twierdziłem, że jestem czarodziejem.

Mayers i jego kompani zbledli, młodzik, przypomniałem sobie jego nazwisko, Janick, spoważniał. Majal zerknął na towarzyszącego mu zabójcę. Panował nad sobą doskonale, zauważyłem jednak, że jest zadowolony z tego, że koleś nie siedzi razem z nami. Zabójca był wynajętym pomocnikiem, całkiem jak ja. Do czego? Najprostsze wyjaśnienie bywa czasem trafne: był tu z mojego powodu.

– A więc co pan proponuje? – zapytał Majal bez śladu złośliwości w głosie.

Punkt dla niego, był sprytniejszy, a więc i niebezpieczniejszy, niż wyglądał.

– Dotarliście tu bez problemów, udając cudzoziemców sprzedających cydr własnej produkcji – stwierdziłem. – To dobry kamuflaż.

– Do bagien też pojedziemy jako sprzedawcy cydru? – nie wytrzymał kompan Mayersa.

– Czy wiecie, za ile można by sprzedać cydr w Malansku? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Śledczy Konwentu nie są żadnymi geniuszami, ale stosują metody postępowania swoich poprzedników, a oni byli bardzo przebiegli. Przed wiekami to była prawdziwa gra o życie – powiedziałem. – My nie powinniśmy udawać kupców. My musimy się nimi stać.

– Zna się pan na historii – ocenił Majal.

Umiał panować nad sobą, wiedział więcej, niż sądziłem. Nie doceniłem go.

– Tak, staram się nauczyć czegoś na błędach, które popełnili moi poprzednicy – powiedziałem z uśmiechem, równocześnie modyfikując w myślach moją ocenę jego osoby. – A czasem zdarza mi się nauczyć się czegoś z własnych błędów – dokończyłem po chwili.

Był niebezpieczny, bardziej, niż na to wyglądał. Należał do ludzi mających zawsze coś w zanadrzu. Coś nieoczekiwanego.

– Na sprzedaży cydru zarobiliśmy około trzydziestu złotych – powiedział zamyślony. – Wozy i zwierzęta są nasze.

Janick jako pierwszy zorientował się, do czego zmierza jego przełożony.

– Jestem udziałowcem, inwestuję kolejne piętnaście złotych. Jaki trzeba kupić towar, żeby go sprzedać z zyskiem w Malansku?

– Nie wiem – odpowiedział Majal.

Zdawał sobie sprawę, że w tej fazie rozmowy zyskał nade mną przewagę. Było mi to na rękę i zostawiłem go w tym przeświadczeniu.

– Śledczy Konwentu dopiero co przyjechał. Jego ludzie będą w tej chwili najbardziej żądni sukcesu.

– Proponuję ustalić, w jaką branżę powinniśmy się zaangażować i wziąć się do niej. Pojutrze?

– To brzmi rozsądnie – zgodził się ze mną Majal.

– Powinniśmy mieć jakiś kanał informacyjny do wymiany wiadomości – przypomniałem. – Gdyby sytuacja nagle się zmieniła.

– Gospoda, w której pan mieszka? – odparł.

– Dobrze – przytaknałem.

Świetnie wiedział, że w rzeczywistości tam nie mieszkam.

Wstałem, skinąłem im na pożegnanie, zwracając uwagę na Janicka. Miał niezdrowo przekrwioną cerę, błyszczące oczy i nienaturalnie rozszerzone źrenice. Oznaki odpowiadające użyciu przepisów zawartych w książce, którą mu pożyczyłem. Oceniłem go trafnie, eksperymentował z nią.

Odchodząc, szepnąłem tak, żeby tylko on mógł mnie usłyszeć:

– Uwaga na halucynacje.

Nie miałem pewności, czy któregoś z nich jeszcze zobaczę. Tropił mnie tajny oddział armii cesarskiej, ktoś inny nasłał na mnie najemnego zabójcę, a teraz kolejny chłop z tej branży wlepił we mnie szare oczy, w których było tyle przychylności, co w grotach bełtów.

Krachtiburg nie był dla mnie w żadnym przypadku miastem bezpiecznym. Przestałem zajmować się tym, na co nie miałem chwilowo wpływu, i zamiast tego skupiłem się na tym, żeby ujawnić ewentualnych tropicieli i pozbyć się ich. W torbie miałem dwie i pół butelki wina, którego nie zamierzałem wypić sam. Gdyby wino nie smakowało Liamie, to mogliśmy posiedzieć przy filiżance kawy. Ma się rozumieć po dobrej kolacji, która na mnie czekała. Miałem nadzieję, że czeka. Ale świat jest pełny nieprzyjemnych niespodzianek.

Decyzja Janicka

Janick przechadzał się ulicami, starając się nikomu nie wchodzić w drogę, przyglądał się ludziom idącym w różne strony i zwiedzał miasto. Całe swoje dorosłe życie spędził w zapadłej wiosce, wśród jej ociążałych umysłowo mieszkańców oraz czarodziejów, o których też nie można było powiedzieć, że są normalni. Po początkowym onieśmieleniu zrozumiał, że znajduje się na samym końcu klanowej hierarchii i przyzwyczał się, że jego życie jest podporządkowane niekończącemu się szeregowi drobnych powinności, pomiędzy którymi wykradał czas na własne przyjemności. Taką przyjemnością, jedyną, jaka go pasjonowała, było studiowanie starych ksiąg. Swoboda i poczucie odpowiedzialności, które odczuwał teraz za sprawą polecenia Majala, budziły w nim prawie strach. Miał się zająć ich wozem i końmi. To znaczyło, że po długiej, uciążliwej podróży trzeba będzie wymienić uszkodzone elementy wozu, zapewnić jego obsługę, zlecić przejrzenie koni i ewentualną wymianę podków. Majal dał mu na to pieniądze i Janick doznał ulgi, uświadamiając sobie, że nie on osobiście ma to wszystko zrobić, ale najęci przez niego ludzie.

Nie spieszył się, przystawał przy ulicznych sprzedawcach i przenośnych kramikach. Wiedział, że jego zaangażowania w zleconą pracę nie da się łatwo skontrolować, ponadto Majal zachowywał się wobec niego bardziej tolerancyjnie niż dawniej. Nie wiedział dlaczego, ale wierzył, że wkrótce się dowie.

Sprzedawca cienkich pasków mięsa wieprzowego pomału zaczął zwiijać interes. Janick zaobserwował, że kładzie zawsze trzy kawałki na dużym placku. Tych, którzy decydowali się zjeść kolację w pośpiechu na ulicy, już nie było. Została mu ostatnia przypalona porcja, na której widok Janickowi ślinka napłynęła do ust.

– Koniec, nie będę czekał na ostatniego klienta – oznajmił sprzedawca, widząc jego spojrzenie.
– Chcesz ten ostatni za połowę ceny?

Janick westchnął.

– A ile to wyniesie? – udało mu się wyrzec.

– Miedziaka.

Kilka miedziaków miał w kieszeni spodni, pozostałe pieniądze w sakiewce uwieszanej na sznureczku pod koszulą.

Sięgnął do kieszeni, z wahaniem wyciągnął jedną monetę i podał ją sprzedawcy.

– Ten jest dobry, całkiem nowy – zaśmiał się kramarz. – Tych starych, wytartych nigdy nie bierz, podobno są fałszywe. Ale kto by fałszował takie drobniaki – fuknął pogardliwie.

Metalowymi szczypcami nałożył na placek trzy paski mięsa i dodał pełną chochelkę omasty.

– Smacznego – dodał i zaczął chować swoje wyposażenie.

Janick kiwnął głową z pełnymi ustami i odszedł. Właśnie wydał klanowe pieniądze na własny użytek. Powinien się bać, lecz czuł tylko przyjemne rozweselenie.

– Piękne kamyczki, jaspisy, ametysty, różowy kwarc, mleczny krzemień, czyste kryształy, proszę popatrzeć, młody panie, na pewno się panu spodobają.

Janick zrozumiał, że oferta kierowana jest do niego. Przystanął i ujrzał kobietę siedzącą na stołeczku z drewnianą skrzyneczką na kolanach. Skrzyneczka miała przegródki, gdzie błyszczały kamienie półszlachetne, których nazwy wywoływała. Nie były rozdzielone według gatunków, ale według rozmiarów i kształtów.

– Może ten płatek śniegu nadałby się panu. Proszę popatrzeć, jaka biel. – Wyciągnęła ku niemu rękę z kamieniem.

Zaskoczony Janick stwierdził, że ma naprzeciw siebie puste oczodoły, i wzdrygnął się.

– To już od dawna, panie, przyzwyczaiałam się.

– Jak pani poznaje, który kamień trzyma i który ktoś kupił? Czy one wszystkie kosztują tyle samo?

– Poznam, kamienie mają dusze, czuję je. A każdy też kosztuje różnie. Według tego, jaki jest. Jeden kosztuje srebrnika, inny dwa albo pięć... Proszę spojrzeć, panie.

Tyłu pieniędzy Janick nie mógł sprzeniewierzyć, choć kusiły go błyszczące, różnobarwne kamienie.

Grzebał w nich palcami i słuchał ich łagodnego chrzęstu. Nagle z przegródki ze średniej wielkości kamieniami wychynął smoliście czarny obsydian z błyszczącą metalicznie powierzchnią. Im dłużej mu się przyglądał, tym odcień był silniejszy, aż wydawało się, że żarzy się niebieskawą, metaliczną barwą przenikającą głęboko do oczu.

Lękliwie zamknął kamień w dłoni i rozejrzał się, czy ktoś inny to zauważył. Nie wyglądało na to, przechodnie mijali ich bez zainteresowania, towar oferowany przez ślepą staruszkę nie był dla nich zajmujący.

– A ile pani chce za ten? – zapytał, siląc się na obojętny ton, ale wiedział, że jego głos brzmi całkiem inaczej.

– Za ten? Złoty, młody panie. Chociaż jego wartość jest wielokrotnie wyższa.

Janick wahał się. Mógł z nim uciec. Stara kobieta nigdy by go nie dogoniła, nawet nie wiedziała, jak wygląda. Przeniósł spojrzenie ze swej zaciśniętej pięści na jej twarz. Mimo ślepoty odwróciła ją, jakby mu patrzyła prosto w oczy. Jeśli kamień ukradnie, będzie o nim źle myślała, a on z jakiegoś powodu nie chciał, żeby tak się stało. To już raczej znieśie te kilka razy za to, że dał się okraść lub nie dogadał się co do ceny. Tak, trzeba będzie mocno się targować, może oszczędzi na ten kamień.

Sięgnął pod kurtkę i bluzę, gmerał przez chwilę, aż wyłowił złotego. Niezdecydowanie podał go kobiecie, a drugą rękę z kamieniem schował do kieszeni. Miał uczucie, że metaliczne żarzenie zaczyna przenikać mu do kości. Ale to oczywiście tylko wyobraźnia go zwodziła.

– Jest pan wrażliwy, młody człowieku – powiedziała kobieta z zadumą. – Niech pan teraz uważa i unika inkwizytorów.

Janick drgnął, coś wymamrotał i szybkim krokiem ruszył do swoich obowiązków. Dużo się działo, i to zbyt szybko. A on sam brał udział w tych wydarzeniach, nie wszystko pojmując. Trochę się obawiał swego trofeum, jednak podobało mu się to odczucie. Czuł nieuzasadnione podniecenie własnymi uczynkami. Co więcej, jeśli chciał kontynuować studiowanie książki, potrzebował więcej czasu dla siebie. W tej chwili znaczyło to solidne wypełnienie poleceń Majala. Zanim skupił się na obowiązkach, przypomniał sobie chudego łowcę artefaktów. Z jego uwagi o halucynacjach wynikało, że czytał książkę i że ją rozumiał o wiele lepiej niż Janick. Znaczyło też, że jest znacznie bardziej wykształcony i wtajemniczony niż zwyczajni ludzie, a nawet niż większość czarodziejów klanu. Czy Wicker o tym wiedział? Albo Majal? Prawdopodobnie nie. Janick postanowił zostawić te stwierdzenia dla siebie. Musiałby wyjaśnić, jak do nich doszedł, a oprócz tego już dawno się nauczył, że informacje są największym bogactwem. Chociaż jemu jak dotąd nie pomogły stać się szczęśliwym. Może dlatego, że nie dotarł nigdy do naprawdę ważnych.

Nocna rozmowa

Siedziałem w kuchni Liamy z nogami na krześle, w piecu buzował ogień, który sam rozpałem, pod ręką miałem szklankę i nadal mniej więcej w połowie pełną butelkę wina. Pozostałe dwie otworzyłem, żeby odetchnęły i postawiłem pod ścianą przy oknie, gdzie panowała właściwa temperatura. Na kolanie huśtałem jedną z ksiąg przyniesionych od Brahma. Wyblakłe pismo na stwardniałej ze starości skórze głosiło, że traktuje o zasadach magii. Skusił mnie tytuł, ale jak dotąd byłem rozczarowany. Może rzeczywiście rozważano w tej księdze jakieś zasady, jednak co do mnie to mogły być równie dobrze zasadami baletu, ponieważ nic nie rozumiałem. Co trzecie słowo było niezrozumiałym terminem, strony z ilustracjami wyglądały jak ciemne powierzchnie. Niezadowolony bębniłem palcami po stole i starałem się w stosie doświadczeń, jakie w życiu zgromadziłem, znaleźć rozwiązanie. Może te obrazki naprawdę tam były, ale ja, niepowołany, nie mogłem ich dostrzec. Czytałem już o czymś podobnym. Sumiennie śledziłem tekst, wiersz po wierszu, szukając choćby cienia wskazówki. Nic, zupełnie nic, jakby zniknęły wszystkie zasady językowe i tekst coraz bardziej przypominał bezsensowny żargon. Założyłem kruchą stronę paskiem pergaminu, odłożyłem księgę i wyszedłem korytarzem na taras.

Z przeciwnej strony czworoboku dobiegało rytmiczne, głośnie dyszenie, któremu towarzyszyło pojękiwanie. Młoda kobieta, którą kilka razy widziałem, rodziła. To prawdopodobnie dlatego w kuchni nikogo nie było, a nałożone na patelnię mięso wieprzowe stało poza rusztem. Liama asystowała przy porodzie. Stękanie na chwilę ucichło, aby zaraz odezwać się jeszcze głośniejszymi i szybciej. Na podwórzu pode mną w świetle lampy jakiś mężczyzna uporczywie rąbał drzewo. Prawdopodobnie przyszły ojciec. Pracował szybko, z zaangażowaniem, nie układał drewna, tylko łupał pieńki na połówki, ćwiartki, a potem na jeszcze mniejsze szczapy. Bez przerwy, z pasją i desperacją.

Głęboko odetchnąłem chłodnym, wilgotnym powietrzem, spojrzałem na zachmurzone niebo i znalazłem na nim jedną jedyną gwiazdę. Życzyłem sobie, aby świeciła temu małemu człowieczkowi, przedzierającemu się do świata. Życie i śmierć, rzeczy tak różne, a przecież złączone nienaruszalnymi więzami. Życie i śmierć, zawsze razem, dwie strony jednej monety, a człowiek nie zawsze ma możliwość wyboru. Los padnie, jak zechce.

Wróciłem do kuchni i zabrałem się do robienia kolacji. Ze względu na to, że wszystko było przygotowane, zadanie miałem proste, wystarczyło niczego nie przypalić.

W momencie gdy skończyłem z mięsem, a małe, czerwone ziemniaki, typowe dla tej okolicy, zaczęły mięknąć, usłyszałem, że ktoś nadchodzi. Ktoś tak zmęczony, że chwilę trwało, nim po sposobie chodzenia poznałem kto.

Zapaliłem jeszcze jedną świecę, żeby się nie przestraszyła. Mnie wystarczał półmrok.

– To pan, tak też myślałam – powiedziała, opierając się o framugę drzwi. – Jestem okropnie zmęczona, to było straszne. Właściwie nawet okropne – głos jej drżał z emocji wywołanej tym, w czym właśnie uczestniczyła.

Nic nie mówiąc, przyniosłem z korytarza pełną butelkę, nalałem wina do szklanki i podałem. Wzięła ją, stojąc nadal w drzwiach, napiła się i dopiero potem weszła do kuchni. Ciepłe światło lampy i dwóch świec ukazało poplamione krwią ubranie i ręce oraz ciemną smugę na czole, które otarła. Oczy jej błyszczały, kilka włosów, które wymknęły się z upięcia, chwiało się przy każdym ruchu i rzucało miękkie błyski.

– Boże, jak mi się chce pić – wymamrotała, przechylając szklanekę, aż na koniec się zakrztusiła.

– Chyba nie powinnam pić wina – powiedziała, łapiąc dech, twarz jej poczerwieniała.

– Czasem to nie zaszkodzi. – Uśmiechnąłem się.

– Jestem szczęśliwa, wszystko poszło dobrze. Oboje są zdrowi. Mapuszi i ten pędrak. Ale jestem okropnie zmęczona i taka jakaś rozbita. Proszę mi jeszcze nalać.

Spełniłem jej prośbę, ale tym razem upiła tylko trochę.

– Myślałem, że przy porodzie pomagają starsze, doświadczone kobiety – powiedziałem.

– Taa, Rosemary to doświadczona akuszerka. Tylko że jest już stara i nie starczyło jej sił. Mogłam wcześniej pomyśleć, że już nie jest tak sprawna jak dawniej. Ale poszło dobrze. Dobrze!

Popatrzyła na mnie. Ciągłe zmartwiona, smutna kobieta zniknęła, zamiast niej stała teraz przede mną rozjaśniona, pełna temperamentu piękność.

Wyraz podziwu na mojej twarzy musiał być widoczny, bo nagle się zaniepokoiła.

– Muszę iść się umyć – powiedziała po chwili.

– Przez ten czas przygotuję jedzenie.

Wyszła, zanim zdążyłem ją ostrzec, że słabo napaliłem w piecu i woda może nie być wystarczająco ciepła.

Ziemniaki wsypałem do większej misy, paski mięsa przełożyłem na metalową blachę, służącą, jak sądziłem, do pieczenia, i postawiłem to wszystko na stole. Na środku ustawiłem butelkę wina i przez chwilę podziwiałem swoje dzieło. Ktoś mógłby mieć jakieś zastrzeżenia, ale ja byłem zadowolony. Zwłaszcza że wyglądało smakowicie i było tego sporo.

Mój głód zaczął powoli brać górę nad chęcią zaczekania na Liamę. Na szczęście w tym momencie wróciła, owinięta w puszysty szlafrok, długi aż do ziemi.

– Dobrze, że mam w łazience szlafrok, jestem tak zmęczona, że zapomniałam zabrać czyste ubranie – wyjaśniła trochę nerwowo, jedną ręką przytrzymała dekolt, żeby się zbyt nie rozchyłał.

Zastanowiło mnie, czy ciągle będzie tak robiła.

– Mam jeszcze jakieś jarzyny – powiedziała, oceniwszy krytycznie menu.

Przeszła obok mnie, zdjęła z półki fajansową miskę z pokrywką i postawiła na stole.

Owionął mnie jej zapach, wyraźniejszy dzięki gorącej kąpeli, zmieszany z wonią miodu i cytryny. Luksusowe mydło, pomyślałem. Podczas ruchów kołnierz rozchylił się i odsłonił biały rowek między piersiami. Nasze spojrzenia spotkały się, spłoszona przeszła na drugą stronę stołu. Nie mogłem rozpoznać, z jakiego materiału był uszyty szlafrok, ale szyja i podbródek wynurzające się z dużego, puszystego kołnierza wyglądały bardzo elegancko.

– Ogórki, dynia, pomidory w pysznej zalewie. Przynajmniej mnie się zdaje pyszna. – Uśmiechnęła się.

Stojąc dalej ode mnie, sprawiała wrażenie pewniejszej siebie i rozluźnionej, choć wydawało mi się, że nad czymś ważnym przemyśliwuje.

– Ja zacznę od mięsa – oznajmiłem i zabrałem się do jedzenia.

Przez pierwsze kilka minut pożywialiśmy się tak łakomie, że nic nie mówiliśmy. Kiedy zaspokoilem pierwszy głód, otarłem usta i napiłem się.

– To wino jest bardzo dobre – powiedziała, też pociągnąwszy łyk.

– Kiedy się go nie pije jak wodę, to doprawdy ujdzie – wyszczerzyłem zęby.

– Chciałabym pana widzieć po dwunastu godzinach porodu. Wypiłby pan nawet brudną wodę z kałuży. – Błysnęła rozbawionym spojrzeniem.

– Poddaję się – podniosłem rękę do góry. – Strzał w dziesiątkę.

Na chwilę zahaczyła wzrokiem o futerał na moim przedramieniu, ale powstrzymała się od komentarza. Zapewne kolejna z wielu broni, którymi byłem obwieszony jak dobrze pielęgnowane drzewo owocami.

– Mieszka pani w Krachtiburgu od dawna? – zapytałem.

– Całe życie – odpowiedziała. – Ale nie w tym czworoboku, tylko w tym, który stoi jeszcze bliżej skraju miasta, na skrzyżowaniu ulic Bradyrzskiej i Zielonej. Tutaj przeprowadziłam się jeszcze jako mała dziewczynka wraz z mamą.

– To dlatego Każewicz pani nie lubi?

– Nie, nie dlatego. – Pokręciła głową, aż zafalowały jej jeszcze wilgotne włosy. – Przeprowadzki z czworoboku do czworoboku mają miejsce stale, trzymamy się wszyscy razem. Każewicz jest po prostu konserwatywnym starcem, któremu nie podoba się, że jego wpływy maleją. Nie podobało mu się, że zaczęłam zajmować się gospodarstwem, nie podobało mu się, że mój mąż zaczął handlować poza miastem, w ogóle nic mu się nie podoba.

Na moment pojawiła się na jej twarzy gorycz, ale szybko zniknęła.

– Ma za to bardzo udanego wnuka. Z synem też można się dogadać. – Znów się uśmiechała.

Poprzednie napięcie i lęki, tak bardzo wyczerpujące, spowodowały, że czuła teraz ogromną ulgę. Znałem to uczucie. Przychodzi, gdy człowiek przeżyje pomyślnie trudne zadanie, którego wypełnienie uważał za konieczne.

– Taka kobieta jak pani nie ma chyba trudności z dogadaniem się z mężczyznami, o ile nie są to starcy – nadmieniłem.

– Być może – pokiwała głową z boku na bok w zamyśleniu.

Dolałem nam wina, choć jeszcze swojego nie dopiła.

Pomyślałem, że to niezwykle, żeby kobieta w jej wieku żyła sama, szczególnie w zamkniętej komunie. Strata męża i syna musiała ją bardzo wytrącić z równowagi.

– Ma pan rację. Oprócz Każewicza i jego grupki, zwykle tak się dzieje.

– Albo raczej problem z ich małżonkami? – zasugerowałem.

– Ach, nie, znamy się. Na przykład z Anit, żoną Każewicza, jesteśmy w naprawdę przyjaznych stosunkach. – Uśmiechnęła się, kręcąc szklanką, aby cieszyć się wspaniałym bukietem. – Ciągłe się pan wypytuje o całkiem zwyczajne sprawy, a mnie nie daje pan szansy.

Wypytywałem się, bo mnie interesowała. Była samodzielna, niezależna, zajmująca... i ładna.

– Jak to jest tak jeździć z miejsca na miejsce, nigdzie się nie zatrzymywać na dłużej, nie mieć domu...

Pytanie zamieniło się w zamyślenie, ale chciałem jej odpowiedzieć, bo o tych sprawach sam ostatnio przemyślałem od czasu do czasu.

– Żebym mógł porównywać, musiałbym znać drugą stronę monety – odpowiedziałem poważnie. – Jak to jest żyć zawsze w jednym miejscu, otoczony znajomymi, bliskimi sobie ludźmi? – odwróciłem jej pytanie. – Szlak często jest niebezpieczny, trudny, okrutny, ale są też rzeczy warte tego, wspaniałe i niezapomniane.

Podniosła głowę, zrozumiałem, że patrzy teraz daleko poza mury domu, na świat, który dla niej istniał tylko w opowieściach, może w książkach, a na pewno w jej własnych fantazjach.

Dekolt znów się rozchylił, znowu go poprawiła, tym razem bez przesadnej staranności.

– Tu jest tak samo. Często ciężko, czasem okrutnie, jednakże są wyjątkowe chwile, kiedy coś się powiedzie, na przykład tak jak dziś – powiedziała i spojrzała mi w oczy.

Podniecenie wywołane porodem opadało już, widziałem, jak w jej ruchy wkrada się osłabienie.

Założyła nogę na nogę, znowu się napiła, a ja przekonałem się, że nogi ma jeszcze ładniejsze, niż sądziłem.

– A jakich ludzi spotykał pan na szlaku? Jakie kobiety? – zapytała wprost. – Chyba zaczynam być pijana. – Zaśmiała się, ale bez zakłopotania, raczej filuternie. – Inaczej takiego pytania bym nie zadała.

Dawno już minęło mi zmęczenie, które odczuwałem po przyjściu. Chciałem ją wziąć w ramiona, przytulić się do niej, a później ostrożnie wydobyć ją z tego luksusowego szlafroka i pokochać się z nią tu, na miejscu.

– Spotykałem piękne kobiety, niebezpieczne, kobiety lepsze ode mnie, dla których warto było umrzeć – powiedziałem po chwili.

– Teraz coś pana mocno zabolalo – stwierdziła, a ja zorientowałem się, że wyczytała to z mojej twarzy.

– To nie stało się wczoraj – odpowiedziałem spokojnie.

– Nigdy nie chciał pan się osiedlić? – zapytała poważnie.

– Umarła.

Pokiwała głową, nic nie powiedziała, na jej twarz wróciła melancholia. Nie miałem pojęcia, kiedy zdecydowałem, czy może coś we mnie zdecydowało, że dziś dołożę starań, żeby po prostu poszła spać. A jutro, kiedy znów będzie w swojej skórze, być może poznam, jak smakuje i pachnie. Może... Przyszłość jest pełna niespodzianek.

Siedzieliśmy w milczeniu, świece się dopalały. Złapałem szklanekę, zanim wypadła jej z ręki. Nawet to jej nie obudziło. Podniosłem ją, zaniósłem do pokoju, położyłem na łóżku w szlafroku i przykryłem starannie. Noce były już chłodne. Przez chwilę przyglądałem się jej, a potem wyszedłem na taras.

Mieszkańcy dawno już spali, nieprzenikniona ciemność panowała na całym podwórzu, na niebie natomiast pyszniły się niezliczone drgające diamenty. Głęboko wdychałem ostre jesienne powietrze i cieszyłem się otaczającą mnie ciszą. Po głowie chodziły mi różne myśli, które nie pozwalały zasnąć, co więcej, tuż obok czekała na rozwiązanie zagadka. Miałem świadomość, że ciekawość kiedyś mnie zgubi, ale każdy ma prawo do jakiejś słabostki. Nie było się nad czym zastanawiać.

Wróciłem do swojego pokoju i wyciągnąłem z torby lampę złodziejską, kupioną w mieście w celu planowanej wizyty w bibliotece barona. Włożyłem do niej zapaloną świecę, zamknąłem i odczekałem jakiś czas, aż wróci mi zdolność widzenia w ciemności. Przypuszczałem, że do pracowni, w której Liama z tą drugą kobietą, Mapuszi, wykonywały szczególne manipulacje z dziecięcą kołyską, dojdę bez światła. Później będzie jednak niezbędne.

Pracownia, czy też składzik, nie byłem pewny, co stanowiło główne przeznaczenie tego pomieszczenia, nie była zamknięta. Wystarczyło wyjąć zawleczkę i ostrożnie opuścić zaworę w dół. Nie obyło się bez hałasu, przez sto pięćdziesiąt uderzeń serca czekałem, czy ktoś się nie obudził. Gdybym się lepiej przygotował i naoliwił zardzewiałe zamknięcie, mógłbym zaoszczędzić czasu.

Na szczęście nic nie zmąciło ciszy nocnej.

Wszedłem tylko na tyle, żebym mógł zamknąć drzwi. Owionęła mnie woń świeżego drewna, lakieru, pokostu. Bardziej pracownia niż magazynek. Odsunąłem przesłone lampy, robiąc wąską szczelinę, poświeciłem pod nogi i ostrożnie posuwałem się do kąta, gdzie kobiety ukryły płyty. Światło przenikające przez szczelinę ukazywało tylko najbliższe, większe przedmioty, stara drewniana podłoga głośno skrzypiała pod nogami. Szczęściem od śpiących najbliższej dzieliła mnie gruba kamienna ściana i kilka metrów wolnej przestrzeni. Mimo to przy każdym kroku instynktownie wstrzymywałem oddech. Prawie potknąłem się o parę niedawno oheblowanych deszczulek zapomnianych na podłodze, w dotyku wyczuwałem na nich żywicę. Włamać się do tej pracowni było tak ciężko jak do kamiennego zamku. Na koniec dobrnąłem na miejsce.

Lampę odłożyłem tak, żeby promień światła padał na ścianę, ukląknęłem i zacząłem obmacywać podłogę. Kobiety zadały sobie trud zamaskowania szpar drobnymi trocinami i piaskiem. Dopiero po chwili, używając noża, mogłem określić kształt i rozmiar klapy schowka. Podniesienie jej było już łatwe.

Płytki schowek w całości zapełniały cienkie płyty kamienne, tak ukształtowane, żeby można je było wsuwać do czołowych i bocznych ścianek kołyski. Wyjąłem je ostrożnie i rozłożyłem wokół siebie. Lampę otworzyłem nieco bardziej i wtedy zauważyłem, że płyty są pokryte skomplikowanymi diagramami. Wykonane były cienką na włos linią wrytą na ich powierzchni, w kilku tylko miejscach trochę grubszą i sięgającą głębiej. Gdy spróbowałem spojrzeć na rycinę jako na całość, nie skupiając się na detalach, natychmiast rozbolała mnie głowa. Wystarczyło odwrócić wzrok, by znów poczuć się normalnie. Wiedziałem, co to znaczy. Normalny człowiek, niemający daru manipulowania mocą, nie jest zdolny narysować ani oglądać aktywnych diagramów magicznych w ich prawidłowym kształcie. A jeśli zetknie się z takim magicznym schematem, to obraz diagramu utworzony w jego świadomości szkodzi mu i narusza równowagę funkcji życiowych. Mózg broni się przed nim instynktownie i zmienia postrzeganie. Przesuwa niektóre linie o ułamki milimetra w lewo lub prawo, o włos wyprostowuje krzywizny lub odwrotnie – zaokrągla proste linie. Zmiany są pozornie minimalne, ale mają istotny wpływ. Obserwator nie widzi prawidłowego kształtu, tylko obraz przekształcony przez mózg. Gdy spróbuje go odtworzyć, sporządzi nieaktywną podobiznę. Dlatego nie ma sensu analizowanie diagramów magicznych narysowanych przez laików.

Kilka magicznych obrazów już w życiu widziałem, od wielkich wykresów z zakłęciami po miniatury wryte na powierzchni kamieni szlachetnych, obsadzonych na przykład w kolczykach. Jednak struktura wryta na tych płytach była bardziej złożona niż cokolwiek, co widziałem. Tak jakbym oglądał dotąd dzieła uczniów, a teraz zobaczył, co potrafią mistrzowie.

Z doświadczenia wiedziałem, że podczas oględzin czas płynie szybko, jak też to, że magia ma ludzkie zmysły. Mógł się już zbliżyć świt. Zacząłem ostrożnie układać płyty z powrotem w schowku, rozmyślając przy tym, co było wryte na płytach włożonych przez Liamę i ciężarną do kołyski.

Oczywiście nie miało szkodzić noworodkowi. Czym zastąpiły ten ochronny najprawdopodobniej czar? Zdobyły jakiś lepszy?

Miałem za mało informacji. Tak samo ostrożnie jak przyszedłem, wróciłem do swojego pokoju. Zmęczenie wróciło ze zdwojoną siłą, czułem się tak, jakby pojawiły mi się na powiekach ołowiane ciężarki, całe ciało zostało zakute w zbroję, a na plecach wyrósł kosz z węglem.

Z samozaparciem przygotowałem kilka pułapek ostrzegających przed nieproszonymi gośćmi i zapadłem w sen.

Ten miecz

Lakel Lumbi siedział w ciemnym pomieszczeniu, do którego przez wysokie, potłuczone okna przenikał z zewnątrz zimny, wilgotny powiew. Jedyne źródłem światła była wysoka, biała świeca woskowa stojąca na stole obok broni, która go tak nieodparcie przyciągała. Nie pamiętał, kiedy zapalił świecę, ale sądząc z tego, ile się jej wypaliło, przed około godziną.

– Ten miecz – powiedział tym razem głośno. Gołe ściany odbiły jego słowa.

Zamek był pusty, oprócz Lakela mieszkało tu tylko kilku ostatnich służących. Było mu obojętne, ilu, pamiętał tylko prawie ślepego Herba, który zajmował się końmi. Dlaczego wszyscy odeszli? Odrzucił tę myśl jako nieistotną. Miecz, to on był istotny.

Dobrze pamiętał upojną siłę, jaką poczuł, gdy po raz pierwszy wziął go do ręki. I ekstazę, gdy go wypróbował. Ale to było tylko raz.

Ostrożnie, jakby chodziło o cenną relikwię, która może się pod dotykiem rozsypać w palcach, dotknął rękojeści, a potem ją ujął. Nic. Doskonale wyważona, doskonale się prezentująca broń przeznaczona temu najlepszemu z najlepszych. Całe życie starał się stać najlepszym z najlepszych. Najpierw mu to nakazywali, potem dążył do tego sam, aż stało się to sensem jego życia. Dokładnie, jak powiedział jego dziad. Instynktownie dotknął sztyletu, podarunku od dawno nieżyjącego mężczyzny. Ten miecz był stworzony dla odważnego człowieka, czynił go silniejszym, niemającym sobie równych. Jednakże teraz, w odróżnieniu od znakomitego początku, nie reagował, zachowywał się jak zwyczajna broń.

Lakel Lumbi poczuł głód. Wręcz kurcze głodowe, jakby dłużej niż cały dzień nic nie jadł. Wstał wściekły i z mieczem w dłoni ruszył na pamięć przez ciemne korytarze do jadalni. Tam podawano jedzenie. Kiedyś, przypomniał sobie, wszedł do opuszczonej komnaty i tylko odgłos kroków rozbrzmiał w jej ukrytym w ciemności ogromie.

Musi wszystko zapisać w księdze, wszystko, co się stało. Nie mógł ryzykować, że zachoruje, zwariuje jak brat i przestanie odróżniać urojenia od rzeczywistości. To była zła choroba, która spowodowała, że musiano nieszczęśnika trzymać w zamknięciu, izolowanego od otoczenia. Jemu się to nie przytrafi, tego był pewny. On miał księgę, w której wszystko starannie opisywał i gdyby też zachorował, dzięki niej dowie się, co jest istotne, wróci do rzeczywistości i nie pobłądzi. Dokładne zapiski, dotyczące tego, czego dokonał, pomogą mu przecież uświadomić sobie, czego jeszcze musi dokonać.

Kroki znów rozległy się w pustym zamku. Z pewnością wypracowaną przez całe lata Lakel Lumbi doszedł ciemnymi korytarzami do pomieszczenia, gdzie trzymał księgę. Księżyc, który niedawno wznosił się nad horyzont, zmienił czerń w szarość, więc otwartą księgę dostrzegął jako jaśniejszy prostokąt. Miecz położył na kolanach i nie zapalając światła, zaczął pisać na pamięć. Litery zlewały się z tłem, ale jemu to nie przeszkadzało. Gdy pisał o tym, jak na krótko stał się niezwyciężonym wojownikiem, podświadomie przeniósł wzrok na broń leżącą na kolanach.

Pozbawiona początkowo ozdób garda nagle wyglądała inaczej. Poświata księżycyca uwidoczniła jeden stale zmieniający się rysunek: przedstawiał stylizowaną postać szermierza, zadającego przeciwnikowi finalne cięcie. Pióro wypadło mu z dłoni, kałamarz zrobił na jasnej powierzchni ciemną plamę. Lumbi zerwał się na równe nogi, stanął w postawie szermierczej z mieczem w jednej ręce i sztyletem w drugiej. Skupił się i poczuł, jak stopniowo on i stal stają się jednością, ostrze zamienia się w przedłużenie myśli i ciała. Miecz przebudził się skutkiem gotowości do zabijania, stal syciła się hartem ducha i woli, przenikliwości myśli i miarą zdecydowania tego, kto nim władał. Wyjątkowa broń dla wyjątkowego człowieka. Lakel Lumbi wyszedł na ulicę, żeby udowodnić, iż na nią zasługuje.

Wspinaczka na piramidę

Kuzbos spojrział na swojego towarzysza. Był wczesny poranek i na ulicach pojawili się pierwsi przechodnie. Dzięki temu nie musieli już chować się przed patrolami straży miejskiej. Ubrani w workowate spodnie, znoszone bluzy przewiązane w pasie wyglądali dokładnie tak, jak robotnicy niewykwalifikowani najmowani do najcięższych prac. Tragarze, kopacze torfu, w najlepszym razie pomocnicy ciesielscy. W rzeczywistości tacy też spieszyli się do pracy. Hridu postanowił tak upodobnić się do robotnika, którego miał udawać, że wysmarował sobie tłuszczem starannie wypięlegnowane włosy, a pod paznokcie napchał ciemnego brudu. Wynik był doskonały. Kuzbos niczego takiego nie potrzebował, ze swymi grubymi rysami i nieogoloną twarzą wyglądał jak włóczęga. Niebezpieczny włóczęga.

– Zastukaj – Kuzbos zwrócił się do Hridu.

Niższy ninja skrzywił się.

Jego partner mówił to zawsze, jakby od wczorajszego wieczoru nie wchodzili już do szóstego domu.

Hridu zakołatał i na chwilę się zamyślił. To była o wiele łatwiejsza robota niż operacje na terenie nieprzyjaciela, gdzie człowiek był zdany tylko na siebie, a staranne zacieranie śladów stanowiło warunek konieczny do przeżycia. Niespodziewane, lecz bardzo przydatne wsparcie mocodawców wystarczyło, żeby nie zostawiali po sobie zbyt wielkiego nieporządku. A tak nie musieli zawracać sobie głowy strażą miejską ani wojskiem cesarskim. Wszystko było proste. Już usłyszał kroki. Dom nie był wprawdzie okazały, raczej solidny, lecz stał w dobrym miejscu. Hridu domyślał się, że to nie właściciel nadchodzi, ale sługa, a może i odźwierny.

– Czego, do cholery, chcecie tak wcześnie rano? – odezwało się zza drzwi.

Hytu van Dyck, jak nazywał się właściciel domu, należał do handlowców, którzy zeszli na złą drogę i znaleźli się w gronie handlarzy artefaktami o najwyższej pozycji. Nie wśród ścisłej elity, ale wystarczająco wysoko, aby znać utajnione nazwiska tych, którzy znajdowali się na szczycie piramidy. Aż tak wysoko ninja dotarli tej nocy.

– Przyszliśmy od Chamy – oznajmił spokojnie Hridu. Było to nazwisko człowieka, z którym rozmawiali jako ostatnim.

– Ten nie da sobie spokoju z interesami nawet w niedzielę i jeszcze o świcie – mruknął ktoś za drzwiami, zamek zachrobotał i zazgrzytały zawiasy antaby.

Powtórzyło się to trzykrotnie. Właściciel wyraźnie nie chciał, żeby ktokolwiek wdarł się do jego domostwa, więc postanowił to maksymalnie utrudnić.

W końcu drzwi się otworzyły.

– No chodźcie – wezwał ich mężczyzna, który w nikłym świetle brzasku był tylko sylwetką w ciemnym korytarzu.

Odstąpił do tyłu, żeby mogli wejść.

Hridu kiwnął głową i porozumiał się wzrokiem z Kuzbosem. Było to niezauważalne, ale ninja zrozumieli się. Coś tu nie grało. Biorąc pod uwagę, w jakiej branży van Dyck działał, dostali się do środka podejrzanie łatwo. Z drugiej strony, przysłał ich do tego domu, nie do żadnej firmy, lecz wprost do domu, jeden z jego najbardziej znaczących partnerów handlowych. Może to był powód?

Hridu pozornie beztrąsko wszedł do środka.

Po pierwszym powolnym kroku padł w głęboki przykłek, niewidoczne ostrze świsnęło mu nad głową. Hridu bez zwłoki przeszedł do kontrataku i w ułamku sekundy był już przy mężczyźnie, który im otworzył. Kopniakiem w krocze zwalił go na ziemię. Napastnik skryty we wnęce za otwartymi drzwiami, który usiłował go zabić, nie dostał drugiej szansy, Kuzbos ścisnął mu równocześnie grdykę i nadgarstek ręki trzymającej miecz.

Hridu już stał nad zwijającym się z bólu odźwiernym.

– Van Dyck jest na górze? – zapytał ninja spokojnie, mimo że przed chwilą ledwie uniknął śmierci.

Sparaliżowany uderzeniem mężczyzna zdobył się na kiwnięcie trzęsącą się głową, równocześnie jednak nieoczekiwanie szybko przetoczył się na brzuch i rzucił do ucieczki.

W momencie gdy wstawał z kolan, wokół szyi owinęła mu się jedwabna taśma i o uderzenie serca później rozległ się trzask zgruchotanej chrząstki.

– Powinniśmy zostawić jednego przy życiu, żeby po nas posprzątał – powiedział Hridu nad drgającym w agonalnych spazmach ciałem. Gdy całkiem znieruchomiało, złożył ściągnięty z szyi trupa pas materiału z przyczepionym krzemieniem służącym do zgniatania krtani i schował do rękawa. Kuzbos swoją robotę wykonał gołymi rękami, bez narzędzi. Ale Kuzbos nie był chyba człowiekiem, przynajmniej Hridu go za takiego nie uważał.

– Van Dyck nie może zwracać na siebie uwagi. Posprząta za nas – odpowiedział spokojnie wielki ninja, ułożył martwego strażnika w niszy i zamknął drzwi. – Na razie spróbujmy zostawić go przy życiu – dodał, rzucając swemu partnerowi zimne spojrzenie.

Hridu zastanowił się, czy ostatnia uwaga stanowiła wymówkę dotyczącą jego metod, i uznał, że chyba tak. Przyznał w duchu, że jak wielu innych dał się zwieść tępym, niedźwiedziowatym wyglądem tego ogromnego mężczyzny. Kuzbos nie był ani głupi, ani powolny, tak tylko wyglądał.

– Racja. Może nas van Dyck zaprosi nawet na filiżankę herbaty, podobno jest smakoszem i ma dobre źródła dostaw. Przynajmniej szanowny pan Chamy tak twierdził – oznajmił Hridu z krzywym uśmiechem. – Na pewno z przyjemnością zaprosi nas na filiżaneczkę.

Kuzbos nic nie odpowiedział, tylko usunął oba ciała z widoku.

Hridu wiedział, że Kuzbos jako jeden z nielicznych w klanie nie podzielał powszechnego entuzjazmu dla herbaty. O herbacie mówił tylko po to, żeby dać do zrozumienia, że jest mu zupełnie wszystko jedno, co towarzyszący myśli o jego metodach. Osiągał wyniki i to było ważne.

Weszli na drugie piętro, gdzie znajdowały się pokoje pana domu. Minęli kuchnię, z której dobiegał brzęk naczyń i dochodził zapach przygotowywanego śniadania. Z kuchazarzem nie mieli o czym mówić, więc zostawili go w spokoju. Każdy kolejny trup, który za nimi zostawał, zwiększał ryzyko wzbudzenia zainteresowania straży miejskiej. Nikt im już na szczęście nie stanął na drodze, bez przeszkód dotarli do bogato rzeźbionych drzwi z czerwonego drewna czereśniowego, ciemnego mahoni i białej brzozy. Hridu przez chwilę podziwiał piękny relief. Rzeźbiarz był naprawdę dobrym artystą. Hridu zastanowił się, ile mu za tak mistrzowskie dzieło zapłacono. Zapewne mniej, niż na to zasłużył. On sam nic by nie zapłacił, a i tak wszedłby w posiadanie takich drzwi, tego był pewny. Hridu lubił piękne rzeczy.

– Nie mamy na to całego dnia – wyrwał go z podziwiania Kuzbos.

Bez pukania weszli do środka i znaleźli się w przestronnym, luksusowo wyposażonym pomieszczeniu, które mogło się równać z salonem w rezydencji arystokraty. Wnętrze nie służyło jednak do epatowania bogactwem i znaczeniem właściciela, wszystko było podporządkowane nierzucającej się w oczy wygodzie mieszkańców. Użyteczny luksus, osądził Hridu.

Na kanapie przykrytej bogato wyszywaną narzutą siedział dobrze utrzymany pięćdziesięcioletek w satynowym szlafroku, a ładnie umięśniony młody człowiek w opasce na biodrach podawał mu właśnie herbatę.

– Van Dyck? – mruknął Kuzbos.

Hridu nadal cieszył się widokiem wnętrza, do którego zaliczył również młodzieńca, i starał się wydedukować możliwie najwięcej z wyglądu wystroju. Im lepiej zrozumie osobowość właściciela, tym sprawniej będzie mógł go wypytywać. Handlarz wyglądał na człowieka o wyrafinowanym, prawie egzotycznym guście, którego nie wahał się zaspokajać. Van Dyck spojrzał na nieproszonych gości, ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.

– Woda jest jeszcze zbyt gorąca – powiedział surowo do młodzieńca, który przestraszył się i wylał trochę z dzbanka.

To człowiek z wielką samokontrolą, uzupełnił swój osąd zdumiony Hridu. Z taką reakcją się jak dotąd nie spotkali. Wszyscy, których tej nocy odwiedzili, byli mocno wystraszeni. I nie bez powodu.

– Nie jesteście śledczymi Konwentu ani inkwizytorami – stwierdził van Dyck.

Mimo że wtargnęli do niego w wyraźnie nieprzyjaznych zamiarach i zastali go przy śniadaniu z homoseksualnym partnerem, nie wydawał się ani trochę wyprowadzony z równowagi.

– Po czym pan to poznał? – zapytał Hridu tonem konwersacji. W pięciu szybkich krokach

pokonał dystans dzielący go od van Dycka i stanął przed nim.

Mieli go w rękach, lecz nie okazywał lęku. To musiało się zmienić, jeśli miał im udzielić potrzebnych informacji.

– Daci i Mahal to byli bardzo zdolni wojownicy. Konwent nie ma już ludzi, którzy pokonaliby ich tak szybko, bez zbytniego hałasu, tylko we dwójkę.

– Dobrze powiedziane – ocenił Hridu niedbale i bez zaproszenia usiadł na krześle.

– Też wypiłbym herbatę. – Wskazał na młodzieńca. – A ponieważ wie pan wszystko, to może w rozmowie z nami będzie pan bardziej przystępny i szczerzy i nie skończy się to tak nieszczęśliwie, jak z pana podwładnymi.

Hridu wyczuwał, że rozmowa jest stratą czasu, i rzucił spojrzenie Kuzbosowi.

Stał on nadal na poprzednim miejscu i wyglądał na obojętnego.

– Nie – odparł van Dyck spokojnie. – Jesteście naprawdę dobrymi zabójcami, ale to, czym szczydzi się Konwent, to umiejętności inkwizytorów. Raczej umrę szybko, niż przyznam się do czegokolwiek i zgniję później w inkwizycyjnych mordowniach.

– Szybko? – powtórzył Hridu z przesadnym zdumieniem.

– Tak, szybko. Nie macie tyle czasu co oni.

Młodzieniec przepisowo pochylony nalewał właśnie herbatę dla Hridu. Umiał to robić naprawdę dobrze. Nawet jeśli był męską prostytutką, to najwyższej klasy. Gdy skończył rytuał ukłonem, Hridu z pozoru lekko uderzył go dłonią w potylicę, popychając do przodu na stół. Oparł mu na szyi nóż, który nadzwyczaj szybko pojawił się w jego dłoni.

– Będzie mnóstwo krwi – stwierdził sucho van Dyck, ale obojętność zniknęła z jego głosu.

– Racja – zgodził się Hridu. – Szkoda takiego pięknego dywanu.

Jego atak przyszedł we właściwym czasie i zmaćił spokój van Dycka. W każdym razie na pewno wytrącił ofiarę z równowagi.

– Uduszę go, tak będzie lepiej, nie? – oznajmił, zamienił nóż na palce i sprawnie ścisnąwszy tętnice szyjne, przerwał dopływ krwi do mózgu.

Młodzieniec szybko stracił przytomność. Van Dyck milczał, patrzył tylko na zabójcę z nienawiścią. Hridu uciskał jeszcze przez kilka sekund, aż doświadczenie podpowiedziało mu, że ofiara nie żyje.

Spojrzał na swojego partnera, ciekawy, czy docenia, jak dobrą wykonał robotę, żeby zmiękczyć van Dycka. Kuzbos nadal wyglądał obojętnie, ale Hridu czuł, że od tej chwili ma w nim

nieprzyjaciela. Za bardzo mu to nie przeszkadzało. Prawidła prowadzenia akcji były jasne. Stale stopniować nacisk na obiekt. Nie wyczekiwać, nie wahać się. A nikt nie musiał wiedzieć, że miał podczas tego nieco osobistej przyjemności.

– Umarł – rzekł cicho van Dyck. Sprawiał wrażenie, jakby mu było przykro. – Ale nie cierpiał – tym razem w jego głosie zabrzmiała zawiść i strach.

Lecz nie tak silny, żeby Hridu był zadowolony.

– Twardy jest, nie mamy dla niego aż tyle czasu. Zaczyna się robić późno, zaraz służba przygotuje śniadanie i w każdej chwili ktoś może tu wejść. Zabij go albo zostaw w spokoju – rzekł Kuzbos.

– Wszystko powie, zobaczysz – pokręcił głową Hridu i uśmiechnął się.

– Nie powinniśmy mącić wody. Idę do kuchni coś zjeść – wzruszył ramionami Kuzbos. – Jak z nim skończysz, dołącz do mnie. – Odwrócił się i odszedł.

Hridu był z tego zadowolony. Tak naprawdę tortury są sprawą prywatną, całkiem jak seks, przy którym człowiek obnaża swą prawdziwą osobowość i staje się potencjalnie wrażliwy. Ranek posunął się do przodu niewiele i zakładał, że ma do dyspozycji pół godziny, może całą godzinę, zanim będą musieli stąd zniknąć.

– Napijemy się herbaty? – zapytał, kiedy zostali sami.

– A czemu nie – zgodził się van Dyck. – Herbata nigdy nie zaszkodzi.

Znów w pełni panował nad sobą, ale Hridu wiedział, że to maska, pod którą skrywa się strach. Każdy się bał, wystarczyło tylko wyciągnąć lęki z ukrycia.

– Myślę nad tym, jak panu pokazać, że pański spokój i pewność siebie to pozory – oznajmił Hridu. – Są sposoby na utopienie człowieka w naparstku wody albo herbaty – dodał.

– Ja ją raczej pijam – odparł van Dyck obojętnie.

Ninja wyprysnął z krzesła, jego ręka wyskoczyła z prędkością atakującej kobry i w chwilę później siedział znowu na swoim krześle.

Jego ofiara jęknęła, filiżanka wypadła jej z ręki i rozbiła się w drobny mak.

– Na początek wywichnąłem panu łokieć. To niewielki ból w porównaniu z tym, co pana czeka. Ale może pan sobie tego zaoszczędzić, o ile wyjawi mi pan kilka szczegółów dotyczących jednego z pańskich klientów.

– Którego? – zaskrzeczał van Dyck.

– To już lepiej – zaśmiał się Hridu.

Nareszcie poczuł się pewnie. Wystarczyło trochę nacisku fizycznego, żeby poprzednia obojętność znikła. Kochał takie zabawy. Miał chęć pograć jeszcze z handlarzem, ale musiał skupić się na podstawowym problemie. Bo na razie prawda wyglądała tak, że o tajemniczym człowieku występującym pod nazwiskiem Koniasz nadal prawie nic nie wiedzieli.

– O kliencie, który czasem robi z tobą interesy, ale równocześnie kupuje u tych jeszcze lepszych od ciebie. I chcę, żebyś mi powiedział, jak się nazywają ci jeszcze lepsi.

Oddech van Dycka uspokajał się, w miarę jak ból przemijał. Odzyskiwał chociaż część opanowania.

– Myślę, że nic nie powiem ani o jednym, ani o drugim.

Hridu uśmiechnął się zadowolony.

Teraz mógł popuścić wodze fantazji. Van Dyck zdecydował się ostatecznie nie współpracować. Nawet gdyby w tym krótkim czasie, który pozostał, niczego się nie dowiedział, to Kuzbos potwierdzi, że handlarz był twardzielem.

– Zobaczymy – zaśmiał się, a w jego ręce błysnęło wąskie ostrze.

Wąskie i ostre. Można nim było wycinać w ciele różne interesujące kształty.

– Może kupią panowie pachnidła? Perfumy z prawdziwego olejku różanego!

Hridu zerwał się z krzesła, odwrócił się i zniesmaczony postawił oczy w śłup. W drzwiach stał stary, zgarbiony mężczyzna z rozczochranymi siwymi włosami, przed sobą trzymał otwartą drewnianą skrzynkę, w której znajdowało się mnóstwo buteleczek. Może utargowałyby za nie gdzieś parę miedziaków czy nawet srebrników, ale mało kto mógł wierzyć, że w buteleczkach znajduje się prawdziwy olejek różany.

– Było otwarte, to pomyślałem sobie, że pewno coś kupicie – ciągnął starzec z zakłopotaniem. Hridu zaśmiał się.

Podobało mu się, że van Dyck upatrywał w tej przeszkodzie szansę ratunku.

– Staruszkule, właśnie zrobiłeś ostatni błąd w swoim zmarnowanym życiu – zaśmiał się ninja i ruszył ku przybytemu.

– Nic pan nie kupi? – Mężczyzna robił wrażenie, jakby nie rozumiał sytuacji i czuł się skrzywdzony.

Nóż znów pojawił się w ręce Hridu z szybkością wręcz niepojętą. Pchnął bez zamachu, niezbyt silnie, wiedział, że smukłe ostrze przeniknie głęboko do jamy brzusznej, a potem wystarczyło tylko pociągnąć do góry.

Starzec jednak przypadkowo opuścił ręce i ostrze uwięzło w drewnie skrzynki.

Hridu w pierwszej chwili zląkł się, czy nie złamał ostrza ulubionej broni, ale tak się nie stało.

Zanim zdążył wyciągnąć nóż, starzec przekręcił skrzynkę, wyluskując mu rękojeść z dłoni. To już nie był przypadek, rozumiał Hridu. Pospieszenie schylił się, aby uniknąć uderzenia krawędzią skrzynki w nasadę nosa. Błyskawicznego uderzenia, które otrzymał w kark, już nie zdążył uniknąć. Częściowo skoordynowanym upadkiem do tyłu zyskał trochę czasu, ale jego próba kopnięcia przeciwnika w słabiznę skończyła się trafieniem w wewnętrzną stronę uda. To była ostatnia zmarnowana szansa, rozumiał, gdy celny cios w jądra pozbawił go wszystkich sił. Zwiotczał i przez kilka chwil nie był zdolny do niczego.

– Zabił Johana tylko po to, żeby mnie przestraszyć – usłyszał, gdy przyszedł do siebie.

Hytu van Dyck zwracał się do nieznanego, rozumiał.

Starca. Choć Hridu uświadomił sobie poniewczasie, że aż taki stary to on nie był. Zmyliły go siwe włosy i twarz poznaczona licznymi uderzeniami i bliznami. Teraz nieznanomy ukląkł nad nim, jego ręce sięgnęły pod kołnierz i przycisnęły tak, iż rozumiał, że za chwilę może zostać uduszony.

– Powiesz mi o tym coś niecoś? Bardzo cicho, nie trzeba, żeby się twój kompan w kuchni o mnie dowiedział – mężczyzna mówił spokojnie, prawie obojętnie. Mimo to Hridu czuł w jego głosie wielką siłę.

– Taa – udało mu się wykrztusić.

Brzmiała w tym porażka i rezygnacja, jak to sobie zamyślił.

Nacisk zelżał, tak jak oczekiwał. Wyrzucił obie ręce do góry, jedną, aby odrzucić kleszcze, które go dusiły, drugą celował w oczy. Nie dał rady, usłyszał za to głośne chrupnięcie i zrobiło mu się ciemno przed oczami.

To była ostatnia próba, koniec ze mną, rozumiał, gdy ból nieco osłabł. Ten człowiek oczekiwał jakiegoś podstęp.

– Dla kogo pracujesz? Ilu was jest? – usłyszał pytania. Nadal widział nieostro, zdawał sobie sprawę, że przez jakiś czas nie będzie zdolny do akcji.

– Widzę, że mi za wiele nie powiesz, o ile nie potrwa to kilka godzin.

Hridu zaniepokoiło, że w głosie jego pogromcy nie było ani śladu groźby czy złości. Brzmiało w nim coś jakby nuta żalu.

Kim, u diabła, był ten człowiek?

– To ciebie szukamy – zaryzykował.

– Tak, i prawie mnie znaleźliście – odpowiedział Koniasz.

Ten żal w jego głosie słycać dlatego, że teraz umrę, pojął Hridu. Nie bał się, był tylko zdziwiony, że ktoś tak niebezpieczny jak Koniasz mógł czuć żal. Zanim jego życie dobiegło końca, zdążył pomyśleć, że właściwie ma szczęście. W odróżnieniu od wielu innych, których sam posłał za rzekę śmierci, nie cierpiał.

Dzień o zapachu krwi

– Ten dzień wcale nie zaczyna się dobrze – powiedziałem, wstając z martwego ninja.

Był diabelnie szybki i spostrzegawczy. Na moje szczęście, a jego pecha, nie docenił mnie i skończyło się to dlań fatalnie. Zabiłem go jego własnym nożem, pchnięciem prosto w serce. Ostrze zostawiłem w ranie i dlatego wyciekło z niej bardzo mało krwi.

– Jak się tu dostali? – zapytałem van Dycka. Po tym, co przeszedł, trzymał się nieźle. To był twardszy chłop, niż przypuszczała większość ludzi, a przy tym uczciwszy, choć handlował i legalnym, i nielegalnym asortymentem.

Czasami miał interesujące towary, jednak dla mnie ważne było to, że był samodzielny. Bawił się w swojej własnej piaskownicy, a mnie służył jako wzorzec. Według jego cen i informacji, jakich mi udzielał, mogłem się zorientować, czy inni moi handlarze, pośrednicy i dostawcy nie robią mnie w konia.

– Nie wiem. Przyszli po ciebie, uzyskali gdzieś informację. Chyba poszli piramidą od dołu aż na wierzchołek – odpowiedział z wysiłkiem.

Artykułował niewyraźnie, jakby mu zdrętwiała część mięśni twarzy.

– Wzięłeś Kamień – zrozumiałem.

Kiwnął głową zamiast odpowiedzi.

– Chciałem zyskać na czasie, dopiero teraz zaczyna działać – wyjaśnił.

Kamień był jednym z artefaktów, chociaż bezpośrednio niezwiązany. Chodziło o substancję chemiczną, podwyższającą do maksimum próg odczuwania bólu i wpływającą na poboczne nerwy. W przypadku przedawkowania człowiek mógł zostać dotknięty paralizem, ale mógł też z jej pomocą niczego nie zdradzić nawet przy wyrafinowanych torturach. Może właśnie dzięki temu w ostatnich latach nie udawało się Konwentowi zniszczyć handlu pozostałościami z przeszłości.

Jeśli torturowany przeżył, to późniejsze efekty użycia Kamienia były nieprzyjemne, a czasem się od nich umierało.

– Nie mogę zdradzić tajemnic handlowych. Kosztowałyby to głowy wielu ludzi, na których mi zależy. A ja byłbym skończony, nawet gdyby udało mi się wykupić od kary. Prędeż czy później ktoś by mnie zabił – oznajmił.

Na niższym piętrze domu zaczął się jakiś ruch, rozejrzałem się, szukając możliwych dróg ucieczki. Dałoby się to zrobić tylko przez okno, z wysokiego drugiego piętra na ruchliwą ulicę.

Spojrzałem pytająco na van Dycka, wzruszył tylko ramionami. Przybysze zbliżali się, nie było

szansy na ukrycie zwłok. Stałem więc spokojnie twarzą do drzwi. Było ich czterech. Ujrawszy trupa, dobyli mieczy.

Czarne spodnie, krótkie, wyszywane kurtki do pasa, kapelusze ozdobione piórami, błyszczące cholewy. Zbrojni Konwentu. Była jeszcze szansa, że uda mi się ze wszystkiego wyłgać. Tak wcześnie rano nie rwałem się specjalnie do dalszej bijatyki, nie jestem już taki młody. Ten dzionek naprawdę nie wyglądał na najlepszy w moim życiu.

– Co tu się dzieje? – zapytał drugi z lewej. Dystynkcji żadnych nie mieli, chyba że można było uważać za nie ilość piór na kapeluszu.

– Przyszedłem z wizytą do mojego przyjaciela i zobaczyłem, że ten człowiek – wskazałem martwego – torturuje go, żeby się dowiedzieć, gdzie trzyma pieniądze i klejnoty. Pobiliśmy się i on przez nieszczęśliwy przypadek upadł na własny nóż.

– Dokładnie tak było – wymamrotał van Dyck. Mówił teraz tak niewyraźnie, że ledwo go rozumiałem. Kamień miał na niego coraz większy wpływ.

– Ładna historyjka – zaśmiał się dowódca tej czwórki.

W odróżnieniu od swych gładko ogolonych podkomendnych nosił doskonale przystrzyżoną bródkę. Czyżby to oznaczało jego rangę?

– Hytu van Dyck jest oskarżony o czarodziejstwo. A z nim razem wszyscy krewni i – dowódca na chwilę stracił wątek – i wszyscy przez niego zatrudnieni. Pójdziecie z nami.

Już przy nim byłem ze sztyletem w dłoni. Sztylet nie był jednak przeznaczony dla niego. Ciosem łokcia w skroń zwałem go na podłogę, z rozpędu przycisnąłem krótką klingę do miecza drugiego z nich i siłą odsunąłem jego broń na bok. Odwrócony do niego tyłem wymierzyłem mu tęgiego kopniaka lewą nogą i wsadziłem sztylet w brzuch, wyprowadzając pchnięcie do tyłu, wzdłuż własnego ciała. Trzeci rzucił się z mieczem wzniesionym wysoko. Zbyt wysoko. Kopnięcie w biodro cisnęło go na ścianę, chwilę później runął na ziemię z nożem w piersi. Ostatni rozejrzał się, pobladł, coś zabełkotał i rzucił się do ucieczki. Poślizgnął się, a zanim zdążył wstać, przydepnąłem mu kolano i poderżnąłem gardło. Wszędzie było pełno krwi, tryskała na ściany, dosięgała sufitu. Van Dyck pomimo narastającej dysfunkcji ciała podniósł jeden z mieczy i do połowy zatopił go w karku dowódcy. W końcu serca zabitych przestały pracować, krwawe fontanny zniknęły, pozostała tylko rozmazana, szybko krzepnąca, lepka powłoka. Na włosach, na oczach, na ścianach, na podłodze. Wszystko przebiegło niesłychanie szybko, teraz dopiero zacząłem odtwarzać wydarzenia.

– Czy wiesz, dlaczego przyszli? – zapytałem i rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym choć trochę się obetrzeć.

Niczego takiego nie było, całe pomieszczenie wyglądało jak jedna krwawa jatka, a śmierdziało jeszcze gorzej. Zamordowano tu sześciu ludzi, z czego czterech zabiłem ja. Po prostu wykorzystałem doświadczenia z ubiegłych lat i użyłem jedyne go możliwego sposobu, aby przeżyć. Instynktownie wyczułem, że ludzie Konwentu mogą być wszystkim, ale niedoświadczonymi wojownikami i

wykorzystałem to. Ten z mieczem sprawiał wrażenie, że trzyma go w ręce pierwszy raz w życiu... Gdybym się wahał, szukał innych możliwości, byłbym już związany i praktycznie martwy. Pomyślałem, że może kiedyś w przyszłości dopuszczę inne rozwiązanie, bez względu na to, ile by to mnie kosztowało. Porzuciłem te myśli, bo w końcu: kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

– Wiesz? – powtórzyłem pytanie, gdy van Dyck nic nie odpowiadał.

– Nie – wycharczał.

Wpływ Kamienia postępował, van Dyck wziął go widocznie za dużo. Czytałem o tym i wiedziałem, jak się czuł, nie mógł się poruszać, ale widział mnie i słyszał.

– Skoro już tu trafili, to musisz zniknąć. Zginęli w twoim domu i Konwent ci to przypisze.

Van Dyck kiwnął głową.

– Potrzebuję pomocy – udało mu się wychrypieć.

– Zaraz wrócę. – Kiwnąłem głową.

Zszedłem na parter, w kuchni znalazłem kolejnych dwóch nieboszczyków z Konwentu. Drugi nieproszony gość van Dycka też wyraźnie nie chciał się poddać. Ciekawe, że obaj nieżywi leżeli obok siebie z dobytymi mieczami, ale nie zostali zabici żadnym ostrzem. To musiał być ktoś naprawdę dobry.

Chowający się pod stołem kucharz był zszokowany, nie na tyle jednak, żeby z niewielką pomocą nie przyjść do siebie.

– Pij – powiedziałem i podałem mu z półki butelkę czystej przepalanki.

Nie dostrzegając mnie, wetknąłem mu więc szyjkę butelki do ust i przez kilka dobrych sekund musiał łykać jej zawartość.

– Ach – chrząknął na koniec – to za mocne do picia, używam jej do przyprawiania.

– Błąd. – Pokiwałem głową. – Czy szef płaci ci dobrze? – mówiłem dalej, żeby skupić jego uwagę na zwykłych sprawach.

– Taa – potwierdził.

– No to go wsadź na wóz i wynoś się stąd. Wszystko jedno gdzie. Później ci za to porządnie zapłaci. To miejsce – pokazałem ręką wokół – to nie jedyny jego dom. Jeśli tu zostaniesz, zabiją cię. Rozumiesz?

Upłynęło za mało czasu, żeby zaczął być pijany, ale szok już minął.

– Kiedy?

– Zaraz, człowieku – popędziłem go. – Za pięć minut podpale budynek. Ale jeśli zostawisz tu van Dycka, odnajdę cię – ostrzegłem.

– Dlaczego pan wszystko podpali?

– Możesz sobie myśleć, że jestem piromanem i chętnie podkładam ogień – zbyłem go.

Nic tak nie zaciera śladów jak porządny pożar. Często nie można nawet stwierdzić, jak ofiary zginęły.

– Bierz się do roboty i pospiesz, jeśli chcesz żyć – ponagliłem go.

Przytaknął i wyszedł trochę niepewnym krokiem. Marudził cały kwadrans, ale zbytnio mi to nie przeszkadzało. Musiałem się choć trochę umyć, bo byłem wymazany krwią od stóp do głów i na ulicy pokazać się nie mogłem. Oprócz tego miałem sporo do przemyślenia. Od rana byłem na nogach, ale to nic nie znaczyło. Wstałem bardzo wcześnie, lecz Liamy już nie było. Prawdopodobnie unikała mnie, co mi się nie podobało. Po drodze do van Dycka natknąłem się na tłum ludzi. Znam takie tłumy i wiem, że przyciąga je śmierć. Przemogłem niechęć i spojrzałem, czyj zgon ich zaintrygował. Był to młodzik, który mnie przedtem śledził. Ktoś złamał mu kark. Sposób wykonania wskazywał na zapaśniczego nelsona. Na szyi były tylko niewielkie siniaki, musiało się to stać niedawno. To znaczyło, że nie zaniechał śledzenia mnie, chcąc zarobić również u swojego pierwotnego zleceniodawcy. A ten go przejrzał. Do tego dokładały się jeszcze nieoczekiwane wydarzenia związane z van Dykiem.

Pomogłem zaprzęgać konie. Zupełnie niezdolnemu do czegokolwiek van Dyckowi przyczepiłem do paska sporo gotówki, którą miał w domu, a później przyglądałem się, jak wóz prowadzony przez zdenerwowanego kucharza podskakiwał na nierównym bruku. Zamknąłem starannie bramę i wróciłem do domu. Wziąłem lampę olejną i systematycznie, poczynając od wyższego piętra, zacząłem podpalać firanki, pokrycia mebli, draperie. Niedługo trwało, a ogień stał się szybszy ode mnie. Żar wysuszał skórę i ściągał twarz. Nabrawszy pewności, że ognia już nikt nie zdoła ugasić, zbiegłem na dół, usiadłem w ogródku między krzewami i czekałem, aż dym i płomień wywołają wystarczający zamęt. Ogródek był mały, co groziło rozprzestrzenianiem się pożaru. Ludzie zdawali sobie z tego sprawę i dokładali starań, aby zapobiec nieszczęściu. Przez pewien czas im pomagałem.

Cały pokryty sadzą, z osmalonymi włosami i ubraniem, nie wyglądałem już na zabójcę mającego na sumieniu czterech ludzi, ale na człowieka, który usilnie starał się walczyć z ogniem. Pozory często mylą.

Pospieszyłem dalej, mój dzień pracy dopiero się zaczynał. W pokoju numer jeden przebrałem się częściowo, umyłem i odebrałem wiadomości. Pierwsza była od czarodziejów. Podobno mieli już wszystko, co potrzebne do zamaskowania naszej wyprawy jako karawany kupieckiej. Druga od Schantila. Pilnie chciał się ze mną spotkać, podobno w sprawie mogącej przynieść maksymalny zysk. Brahm przysłał zwięzłe sprawozdanie, że w sprawie najemnika z Saxpolis niczego nowego się nie dowiedział.

Rozwahałem, czy po prostu z Krachtiburga nie zniknąć. Zostawić ludzi Wickera, niech sobie

robią, co chcą z magazynem Maaterenditu. Uciec zabójcom pracującym dla Varatchiego czy czort wie którego arystokraty, zniknąć nadętym idiotom z Konwentu, głupim wprawdzie i ograniczonym, ale z powodu ilości źródeł informacji, jakie mieli do dyspozycji, i uprawnieniom, jakie im przydzielano przez dwa stulecia, mocno niebezpiecznym. Nie mówiąc już o wrogim oddziale, który z jakiegoś nieznanego powodu usiłował mnie zabić. Potrzebowałem wszystko porządnie przemyśleć, a nie zajmować się coraz to nowymi wydarzeniami. Zszedłem na dół do sali i zamówiłem sobie jedno chłodne, wodniste piwo. Wzniesienie pożaru jest wyczerpującą pracą, czułem się jak próchno leżące od dwudziestu lat na Pustyni Gutawskiej. Schyłony, marnowałem czas, niespiesznie popijając piwo.

Z której by nie spojrzeć strony, nasuwał się jasny wniosek. Każdy chłop z odrobiną rozumu we łbie zapakowałby kilka swoich rzeczy i zwiewał stąd, dopóki miał nogi, które go niosły, i głowę, która by nimi kierowała. Mój problem polegał jednak na tym, że naprawdę chciałem się dowiedzieć, co się ukrywa w starym składzie Maaterenditu i dlaczego ludzie klanu Rumelkowego chcą się tam za wszelką cenę dostać. Ponadto wyglądało na to, że rozgrywa się kolejna runda wojny między odradzającymi się klanami czarodziejów a Konwentem i wpływowymi szlachcicami, zaś ja chciałem sprawdzić, co z tego wyniknie. Wiedziałem, że to będzie niebezpieczne, ale przy zachowaniu pewnej dozy ostrożności jeszcze przez jakiś czas miałem możliwość pozostać w grze. Oddalić się mogłem w każdej chwili.

Ale nie powinienem pozwolić tak się zaskoczyć. Wielkie chłopisko, sto dwadzieścia kilo wagi, prawie dwa metry wzrostu, z rękami jak łopaty, tak ogromnymi, że mógł się zatrudnić jako kopacz, nie potrzebując żadnych narzędzi, patrzył na mnie, starając się nie rzucać w oczy. Ludzie takich rozmiarów na ogół nie czują potrzeby podobnych zachowań, toteż robił to źle. Broni nie miał. Jeśli jakąś nosił, to ukrytą głęboko, lecz okazałby się wówczas zupełnie kimś innym, niż starał się wyglądać.

W dzbanku zostało kilka ostatnich łyków, a ja nie czułem potrzeby sprawdzania, ile brudu znajduje się na dnie. Wstałem i pomału ruszyłem do wyjścia. Lewą rękę trzymałem o cal od noża tkwiącego w opasce, tego zatkniętego rękojeścią do dołu celem błyskawicznego wyciągnięcia.

Na szczęście nie wyjął bronii, tylko wstał z krzesła, rozkraczył się i zamachnął, żeby jednym uderzeniem zwalić mnie na ziemię. Był szybki, fakt, i na chłopków z jego ulicy, czy może wioski to pewnie wystarczało. Odsunąłem się z linii ataku, prześlizgnąłem pod wyprowadzonym hakiem, jako że pięść ciągnął od dołu. Drugą ręką dźwignąłem go od spodu łokcia i wykorzystując jego własną bezwładność, posłałem saltem na ziemię. Podłoga zadudniła, sala zamarła, wszyscy gapili się na nas. Nadal trzymałem jego prawą rękę, łokieć blokowałem udem, na nadgarstek założyłem dźwignię. Szyję przyciskałem mu nogą.

Patrzyłem na niego z góry i widziałem, jak w oczach pojawia mu się strach i zdumienie.

Nic nie mówiłem, ale z wyrazu mojej twarzy dowiedział się wszystkiego.

Pokręcił głową, wypełniony strachem i zgrozą, czując, co nadchodzi. Był doświadczonym awanturnikiem i rozumiał, że jego zdrowie i życie znalazło się w moich rękach. Dosłownie. Mogłem go poranić, okaleczyć, zabić. Zamiast tego puściłem go i wyszedłem, otoczony grobową ciszą.

Byłem wściekły, nie rozumiałem, co się dzieje. Czy miałem wypisane na czole, że wyznaczono za mnie nagrodę? Naraziłem się czymś, co wszystkich zabijaków w okolicy skłaniało do próbowania ze mną swych sił?

Naładowany złością maszerowałem pomiędzy ludźmi, niektórych wymijałem, niektórzy sami schodzili mi z drogi, kilku potrąciłem. Wprowadzałem chaos do ruchu ulicznego, tak jak łódź mąci ustalony nurt rzeki. Wystarczyło się obejrzeć, żeby stwierdzić, czy ktoś nie próbuje za mną iść. W gęstym tłumie nie było szansy, aby zrobić to niepostrzeżenie, nawet gdyby ogonów było więcej. Po półgodzinnym krążeniu, podczas którego przeszedłem przez jeden lokal przechodni i jeden blok mieszkalny, spokojniej już udałem się w kierunku, który był moim celem. Do Schantila.

Wszedłem drzwiami dla interesantów i wspiałem się na wyższe piętro. Nikt mnie nie zatrzymywał, pan domu widocznie z góry wszystkich poinstruował. Wszedłem na tylne schody wiodące wprost do jego prywatnych pokojów, w których nigdy nie przyjmował klientów i nie pracował.

Zapukałem i wszedłem. Siedział na zwykłym drewnianym krześle przy stole ciesielskiej roboty, dywan na podłodze był wyraźnie zdeптany, kanapa przy ścianie naprzeciw okna, szafy i regały na książki wyglądały tak, jakby były kupione na wyprzedaży. Wszystko od Sasa do Lasa, może naprawdę nabył je na licytacjach majątku bankrutów.

– Jestem – powiedziałem i usiadłem na krześle naprzeciw niego. Kiepsko wykonane oparcie gniotło w plecy, drewno niebezpiecznie zatrzeszczało pod moim ciężarem. Dlaczego jeden z najbogatszych ludzi w mieście nie chce wydać chociaż paru złotych dla własnej wygody? Dogadzał mu taki stan posiadania? Dlaczego?

Nie było czasu nad tym rozmyślać, miałem do omówienia mnóstwo o wiele ważniejszych spraw.

– To dobrze. – Kiwnął głową. – Czekam tu na ciebie. Od chwili gdy wysłałem ci wiadomość.

Był zdenerwowany, bledszy niż zwykle, ręce trzymał na kolanach, siedział jak na rozżarzonych węglach. Był nie tyle zdenerwowany co przestraszony. Bał się, śmiertelnie się bał.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Otworzył usta, ale wydał tylko nieartykułowany dźwięk. Wszedłem z jego prywatnych pokojów do części służbowej, urządzonej w stylu stosownym dla bogatego przedsiębiorcy, i wyjąłem z sekretarzyka butelkę zawierającą, sądząc z koloru, brandy lub koniak. Dodałem do niej ozdobny puchar i wróciłem z luksusu do prostoty.

Nalałem do połowy czaszy, podałem Schantilowi.

– Pij! Tylko do dna!

Wytrzeszczył oczy na końską dawkę alkoholu, potem na mnie, ale wypił.

- Śledczy Konwentu wzięli się do roboty – oznajmił, gdy przyszedł do siebie.
- Tak – powiedziałem tylko.
- Musieli mieć jakiś specjalny powód, bo są – Schantil zawahał się – bardzo aktywni.
- O tak – znów się zgodziłem.

Sam nie mogłem dociec, co ich popędziło do tak żwawej działalności. Rozumiałbym, gdyby nagle pojawił się zmartwychwstały czarodziej, którego by usiłowali złapać za wszelką cenę, zanim historia zatoczy koło i wrócą czasy ciemnoty... jak trochę bez sensu nazywali okres poprzedzający Wielką Wojnę. Niektórzy z nich byli tak głupi, że może w to nawet wierzyli.

- Wśród handlarzy wybuchła panika – kontynuował Schantil, sięgając po butelkę.

Sądziłem, że nawet po kolejnej dawce zostanie mu dość rozumu, żeby mi wszystko opowiedzieć, więc dolałem.

– Zabili dwóch moich partnerów, z którymi robiłem nielegalne interesy – wyrzucił z siebie po kolejnym łyku.

- Torturowali ich? – zapytałem.

Wytrzeszczył oczy.

– Nie pytałem, ale pewnie by mi powiedziano. Nie, na pewno ich nie męczyli – przypomniał sobie.

- No to ci, którzy ich zabili, nic chyba o tobie nie wiedzą – powiedziałem.

Schantilowi wyraźnie ulżyło.

- Nie, chyba nie – zdobył się na odpowiedź i znów zamoczył usta w kielichu.

Pomyślałem, czy oświecić go, że śmierć pośredników powinna mu być właściwie na rękę. Śledczy Konwentu i inni mogą wpaść na jego ślad tylko przypadkiem, co jest dużo trudniejsze. A jeśli byli to jego jedyni pośrednicy, to z wielkim prawdopodobieństwem definitywnie uniknął szponów nieostrożnie działającej maszyny władzy. Zmilczałem jednak i skupiłem uwagę na tym, co spowodowało te wydarzenia.

– Nie będę w stanie przez jakiś czas pracować dla ciebie. Chodzi mi o handel artefaktami i podobnymi rzeczami – powiedział Schantil.

- To jasne. – Machnąłem ręką. – Tylko wariat pakowałby głowę w paszczę lwa.

- Twoje dyspozycje zostają takie same? – zapytał z nadzieją. – Myślę o legalnych interesach.

Nawet w momencie zagrożenia miał nadzieję, że zdoła mnie przekonać do intratniejszych transakcji, przynajmniej z jego punktu widzenia.

– Zostają – potwierdziłem. – Dzięki za informację. Przez jakiś czas nie będziemy się widywać, tak będzie dla ciebie lepiej. Przyjdę, gdy sytuacja się uspokoi. Albo podeślę wiadomość jednym ze zwykłych kanałów.

Kiwał głową zmartwiony, nalał sobie i znów się napił.

– Po takiej dawce raczej nie podpisuj żadnych papierów – wskazałem na kielich.

Wyszedłem bez pożegnania, tym razem głównym wyjściem. Przez chwilę stałem w bramie oddzielającej budynek od ulicy i obserwowałem okoliczny ruch. Popołudniowy szczyt, wozy, karety, wózki, tragarze, kręciło się to wszystko w tę i z powrotem. Ludzie śmiali się, rozmawiali, kochankowie spotykali po pracy, obejmowali, chłopcy kierowały się do szynków ugasić pragnienie, kobiety w szerokich sukniach dzwonach przystawały, paplały przy stolikach, gdzie podawano kawę, herbatę albo kieliszek czegoś mocniejszego. Piękny jesienny dzień. Słońce nie miało już tyle siły, żeby wywołać upał, ale zdołało przegnać chłód i wilgoć. Przyglądałem się twarzom ludzi i dostrzegałem puls ich życia. Niespieszny, bijący regularnie, a poprzez swą przewidywalność uspokajający. W pewnym okresie swego życia chciałem do nich należeć, nawet spróbowałem, ale to było dawno temu. Teraz zauważyłem dziesiątki spojrzeń skupiających się na mojej twarzy. Przelotnych, szybko kierowanych w bok, jak ręka człowieka, który dotknął gorącej patelni. Widok nie był na tyle przyjemny, żeby ktokolwiek chciał popatrzeć jeszcze raz. Później odniosłem wrażenie, że skupia się na mnie uwaga kogoś z prawej strony. Nieznacznie poruszyłem głową i w ułamku sekundy dostrzegłem trzydziestokilkulatka z nadziewanym pierogiem w ręce, opartego o ścianę. Miał na sobie luźny długi kaftan, jak mieszkańcy środkowych stepów kontynentalnych, i nawet w tym odzieniu wyglądał na niezłego zucha. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, potem odgryzł kęs swojej porcji, żeby na pozór naturalnie odwrócić wzrok. Ja przyglądałem mu się nadal. Jego zachowanie nie przypominało reakcji przygodnego ciekawskiego. Ludzie bali się mnie na ogół lub brzydzili. Ten człowiek zachowywał się inaczej, obserwował mnie tak, jak ja jego i to, że go zauważyłem, nie wyprowadziło go z równowagi. O mało co nie ruszyłem w jego kierunku, żeby wątpliwości wyjaśnić na miejscu, ale przeszkodził mi w tym zbliżający się patrol straży miejskiej. Cywilizacja ma swoje złe strony. Gdyby nie to, zapytałbym go po prostu, o co chodzi, i alboby jego odpowiedź mnie zadowoliła, albo nie.

Zostawiłem go i wolno ruszyłem załatwić sprawy, które już od jakiegoś czasu odkładałem. Nowe ubranie, buty, wypróbowanie kilku noży wykonanych na zamówienie. Do wieczora miałem co robić. Zwracałem uwagę, czy trzyma się blisko mnie. Tak było. Domyślałem się, że jeśli zaatakuje, to przed samym zmrokiem, żeby mógł zniknąć potem w ciemności. Grę w kotka i myszkę znałem dobrze i nie miałem zamiaru wystąpić w roli myszki. Jak na razie, oczywiście, bo we właściwej chwili pokażę zęby i wyjdzie na to, że nie jestem ani kotek, ani myszka, tylko rekin.

Wybrał porę największego ruchu przedwieczornego, po którego przejściu targowisko zacznie się wyludniać. Wiedziałem, że nadchodzi, sam przeprowadziłbym atak właśnie o tej porze. Podjadałem swój ulubiony pieróg z kapustą i mięsem i szedłem przez pustą część targowiska ku sprzedawcom wina, szykującym się już do odjazdu. Nie spieszyłem się, kroczyłem powoli, żeby

kontrolować teren za sobą.

Ujrzałem, że zbliża się z lewej strony, szedł tak szybko, na ile pozwalali otaczający ludzie. Odgryzłem kęs, lecz smaku już nie czułem. Dalekie odgłosy jakby przycichły, bliskie zaostrzyły się, nie skupiałem się na czymś szczególnym, ale na tym, co ważne. Wyrównał tempo tak, abyśmy się zderzyli. Ostatnie kroki... Upuściłem pieróg, on przyspieszył odrobinę wcześniej, niż oczekiwałem. Przygotowałem się, on z obrotem tułowia wyciągnął zaskakująco długą klingę, obroniłem się przed błyskawicznym pchnięciem blokiem przedramienia i sam zaatakowałem prawą ręką, w której trzymałem nóż. Coś było nie w porządku, nie wiedziałem jednak co. Przeszedłem przez jego obronę zbyt łatwo.

Co mogło być nie tak? Zabiję go i wszystko wróci do ładu. Przegapiłem coś, co mogło mnie kosztować życie. Ale co?

Ostrze dosięgło go, ale nie wniknęło w ciało. Zatrzymała je kolczuga pod kaftanem. Mimo to zostawało jeszcze wiele miejsc do zadania ciosu. Z blokowania jego uzbrojonej ręki przeszedłem do zwarcia, aby zyskać na czasie, on jednak niespodziewanie upuścił broń i przywarł do mnie. Mój cios w słabiznę stracił kierunek i ześlizgnął się. Stara się mnie unieruchomić, rozumiałem. Obrotowym ruchem do góry oswobodziłem lewą rękę z jego chwytu i zwarcia naszych ciał, dłoń skierowałem przeciw niechronionej niczym szyi. Nie reagował na to zagrożenie, mimo że za chwilę mógł być już martwy. Chce mnie unieruchomić, bo jest ich dwóch, pojąłem w końcu. Świadomość absolutnego zagrożenia wyostrzyła moje zmysły do granicy cechującej broniące się dzikie zwierzęta czy telepatów. Już zauważyłem tamtego drugiego i wiedziałem, że jest za późno. Nie zdążę. Robiąc unik z klinczu, odsunąłem się nieco i spróbowałem kolejnego napastnika powstrzymać bocznym kopnięciem, ale pierwszy trzymał mnie mocno i nie trafiłem. Poczułem przedramię na łopatkach i zaraz potem twarde uderzenie w nerkę. Nie uderzenie, tylko pchnięcie sztyletem. Koniec.

Nie, jeszcze nie byłem martwy, jakimś cudem trzymałem się nadal na nogach. Umierający dostają czasem od losu kilka chwil i ja to szczęście miałem, otrzymałem szansę chociaż dokonać zemsty, zanim padnę.

Wyprowadziłem cios od dołu w brodę. Zdołał się uchylić na tyle, że nie posłało go na ziemię, tylko stracił równowagę. Odwróciłem się na jednej nodze i zanim ten drugi zdążył pchnąć mnie powtórnie, złapałem go w nożyce zapaśnicze.

Nadal żyłem.

Wszyscy trzej upadliśmy na ziemię, zwarcie częściowo osłabło. Ból w udzie, kolejny cios sztyletu. Kopniakiem odsunąłem go od siebie, równocześnie namacałem palcami krtań pierwszego i ścisnąłem. Chrzątki zatrzeszczały i pękły, uchwyt ustąpił zupełnie.

Skoczyłem na nogi, atakujący od tyłu też, jego towarzysz nadal leżał. Martwi na ogół nie wstają. Byli niezwykle podobni – bracia, może nawet bliźniacy. Mój przeciwnik trzymał zakrwawiony sztylet i wyglądał na zdumionego. Wiedziałem, czemu się dziwił. Długie, wąskie ostrze sztyletu może wniknąć przez kolczugę na jakieś trzy centymetry głęboko, deformując oczka siatki. Atak z ogromną siłą rozrywa jednak oczka i ostrze wchodzi w ciało aż po rękojęść. Według wszelkich prawideł

powiniennem leżeć na ziemi z przebitą nerką i jeśli bym od razu nie umarł, to moim jedynym życzeniem mogło być tylko to, żeby tak się w końcu stało.

– Powinieneś być martwy – powiedział.

Był bardzo podobny do brata, ale nie miał na sobie kompletnej kolczugi, podwójnej czy potrójnej, dlatego nie wyglądał tak mocarnie.

Zgodziłem się z nim, ale byłem niezwykle rad, że nie ma racji.

– Musiałbyś się bardziej postarać – odpowiedziałem cicho, w jednej ręce trzymałem nóż bojowy, w drugiej nóż do rzucania.

Byłem zdecydowany zabić go za wszelką cenę, rozpruć mu brzuch, pozbyć się w ten sposób obawy o własne życie, która stale mroziła mnie do szpiku kości. Musiał to widzieć, bo twarz ściągnęła mu się w skórzaną maskę.

Ludzie rozstąpili się, tworząc wokół nas wolną przestrzeń, zabrzmiały pierwsze paniczne krzyki. Nie zawahał się ani chwili, odwrócił się i puścił biegiem. Nie chciałem ryzykować rzutu nożem, żeby nie trafić któregoś z gapiów, więc pogałem za nim. Miał z pięć metrów przewagi, przyspieszyłem. Siedem metrów. Jeszcze przyspieszyłem. Przeskoczył wózek naładowany dyniami, roztrącił dwóch gawędzących ludzi. Dziesięć metrów i zniknął za rogiem ulicy. Odpuściłem sobie, ze zranioną nogą kiepsko się biega. Podejrzywałem, że nie dogoniłbym go, nawet będąc w najlepszej formie. Już nie biegłem, szedłem dalej, starając się zniknąć w bocznych uliczkach. Zabójstwo wzbudzi zainteresowanie straży miejskiej, chciałem być jak najdalej, kiedy zaczną wypytywać ludzi.

Teraz, gdy minęło podniecenie walką, zacząłem utykać i poczułem wstrząs. Bardzo mało brakowało, żeby mnie dostali, a właściwie dostali mnie tym razem. Nie pomogła moja szybkość, czujność, doświadczenie ani zdolność przewidywania. Przeżyłem tylko dzięki temu, że miałem na sobie coś, czego nie mogli się spodziewać, nawet nie przypuszczali, że istnieje. Plecy bolały mnie jak diabli, ale to niewielka cena za ocalenie życia. Ochronił mnie stary pancerz z materiału podobnego do pajęczyny, ściślej – półpancerz, zabezpieczający właśnie plecy. Nigdy bym nie przypuszczał, że może wytrzymać uderzenie sztyletu. Przy najbliższej okazji w jakimś pustym zaułku ściągnąłem spodnie i obejrzałem nogę. Była w porządku, znaczyła ją tylko powierzchowna, choć długa ryna.

Wszedłem potem do najbliższego szynku, wcisnąłem się w najciemniejszy kąt, zwałem na ławę i rozmyślałem. Gospodarzowi odruchowo dałem miedziaka, a on przyniósł mi piwo. Gapiłem się na szybko opadającą pianę w kuflu i myślałem. O mało co mnie zabili. Dobra, nie pierwszy raz. Nie powinno mi to sprawiać takiego problemu. W końcu kilka razy przeżyłem tylko dzięki zbiegowi okoliczności, czasem dzięki odrobinie szczęścia, jak dziś. Ale było coś innego. Ci dwaj przygotowali się doskonale, cel mieli rozpracowany, wiedzieli o nim wszystko. Nie ryzykowali, jeden odwrócił moją uwagę, sprowokował mnie do kontrataku, drugi miał to wykorzystać i bez kłopotu zabić. Ktoś siedział mi na karku, a ja nie miałem pojęcia kto i dlaczego tak uporczywie stara się mnie zlikwidować. Nie podobało mi się to, w większości przypadków ja byłem tym siedzącym na karku, śledzącym poczynania graczy i marionetek. Ciągłe w ruchu, niewidoczny i niebezpieczny. To ja

wiedziałem wszystko o nieprzyjacielu. Teraz sam stałem się marionetką kierowaną przez lalkarza.

Nie podobało mi się to wszystko, czułem się kiepsko, a niepewność spowodowana tym, że nie wiedziałem, jak zareagować na nieoczekiwaną sytuację, po prostu mnie dezorientowała. Musiałem zacząć działać, przejąć inicjatywę. Co było dla mnie korzystne? Fakt, że wiedziałem, skąd wróg przyszedł. Wątpiłem, że najemnik spróbuje naprawić swój błąd i powtórzy akcję. Zabiłem jego partnera, prawdopodobnie brata, a on się przestraszył i uciekł. Nie dziwiłem się wcale, w jego ocenie powinienem bezapelacyjnie być martwy, ponadto nawkładali mu zapewne do głowy różnych nieprzyjemnych rzeczy o mojej osobie. Może trochę przesadzili, na przykład, że jestem prawie nieśmiertelny. Skrzywiłem się. Stopniowo przypominałem sobie przebieg wydarzeń i gdzieś wewnątrz czułem niepokój. Co ten bękart robi? Wróci, skąd przyszedł, co by znaczyło, że zatrze ślad po sobie. A później otrząśnie się z tego, co mu się przydarzyło. Westchnąłem głęboko. Ja nie miałem tyle czasu, brakowało mi nory, w której mógłbym lizać rany. Zacisnąłem szczęki. Nie zaszkodzi, jeśli jakiś czas spędzę poza miastem.

Wstałem, wyszedłem, kupiłem u kramarza kilka pierogów, kawał mięsa, mały gąsiorek wina, z którego połowę wylałem i dopełniłem wodą ze studni używanej przez wielu ludzi, a więc bezpiecznej. Zatrzymałem się jeszcze u felczera i kupiłem bandaż. Pod gołym niebem na pewno zmarznę, toteż lepiej będzie ranę przewiązać. Później, nie zatrzymując się, ruszyłem na południowy kraniec miasta. Saxpolis znajdowało się na zachodzie, ale gdyby mnie ktoś śledził, a nie byłem pewny, że tak nie jest, nie chciałem, żeby domyślił się, co zamierzam.

Wykorzystując swoje długie nogi, narzuciłem ostre tempo marszu. Na drogę wiodącą do Saxpolis chciałem wyjść dopiero pięć, siedem kilometrów poza miastem. Jeśli ten człowiek działałby tak samo szybko i zdecydowanie jak na targowisku, to uciekłby mi. Ale może potrzebował przygotować się do ucieczki, zabrać pieniądze, rzeczy, jakie zostały po towarzyszu, lub chociaż zapłacić za mieszkanie. W to ostatnie wątpiłem. Jeszcze przed zachodem słońca znalazłem dogodne miejsce. Gęsty las rósł prawie na skraju drogi, o to mi chodziło. Chciałem być jak najbliżej tego bękarta, żeby znów nie uciekł.

Siedziałem potem w wykrocie po zwałonym świerku, za ścianą z korzeni, i myślałem, jak bardzo mi zależy na tym, aby go dostać. I o kilka rzeczy zapytać. Za wszelką cenę chciałem pozbyć się uczucia, że lina, na której wiszę, prześlizguje mi się między palcami, a ja spadam w przepaść.

Czekałem, ciepło wywołane szybkim marszem pomału mnie opuszczało, słuchałem szumu drzew, cykania świerszczy i chrobotania owadów. Gdy słońce zeszło nad krawędź lasu, przyleciał ciekawski puszczyk. Przyglądał mi się przez chwilę, a gdy doszedł do wniosku, że z mojej strony nic mu nie zagraża, zajął się swoimi sprawami. Serce biło mi już spokojnie, zwykłym powolnym rytmem. Co pewien czas przeciągałem się, żeby utrzymać ból zranienia na dopuszczalnym poziomie i nie dać mięśniom zdrętwieć. Splotłem też z giętkich gałązek, trawy i cienkich korzeni coś, co przypominało gęstą dużą miotłę na krótkim kijku. Po skończeniu pracy ulżyłem sobie na stronie. Jak dotąd nie było jeszcze krwi w moczu, ale wiedziałem, że pojawi się za parę godzin.

Gdy zmrok zaczął zacierać kolory dnia, usłyszałem go, ściślej mówiąc, usłyszałem, że ktoś nadchodzi. Sądząc z szybkich kroków, naprawdę się spieszył. Wielki nóż do rzucania wskoczył mi do ręki prawie sam. Przez otwory w ścianie korzeni zobaczyłem, że to był on. Nie mógł mnie widzieć na

ciemnym tle, chyba żebym wyszedł z kryjówki. Dopiero gdy znalazł się za mną, wyskoczyłem mu za plecy.

Zareagował w mgnieniu oka, nóż utkwiał w udzie. Nie była to dobra rana, mierzyłem wyżej, blisko tyłka, żeby trafić w tętnicę.

– Kurwa – wyrwało mu się, już odwróconemu twarzą do mnie z szablą w ręce.

Ostrze rozszerzało się, od jednej trzeciej długości poczynając, a zakrzywienie klingi było mniejsze niż u typowej broni jazdy. Kształt łączył w sobie zalety i miecza, i szabli, a umiejętne użycie anulowało wady obu broni.

Szybko spojrział na swoją ranę i jednym zdecydowanym ruchem wyrwał nóż. Tętnica była cała, nóż przebił tylko mięśnie. Mógł się swobodnie poruszać.

– Po to, żebyś nie uciekał tak szybko. Nie mam chęci gonić cię przez całą noc – oznajmiłem.

Przez czas potrzebny na zaczerpnięcie dwóch długich oddechów spoglądał na mnie, milcząc.

– Nie masz porządnej broni, a to wielki błąd – powiedział, ale nie zabrzmiało to zbyt pewnie.

– Sztyletem się nie udało, a tym – wskazałem na szablę – miałoby się udać? Sam w to nie wierzysz.

Niepewność owładnęła nim na chwilę. Nadal nie wiedział, jak to możliwe, że przeżyłem. Wykrzywił twarz i ruszył na mnie. Przebita noga spowolniła go bardziej, niż się spodziewał. Ból zawsze spowalnia.

Cofnąłem się, wolniej, niż tego oczekiwałem.

Ból spowalnia, spuchnięte plecy też.

Nagle zaskakująco szybko zaatakował, zastawiłem się miotłą, trochę odciętych gałązek upadło na ziemię.

– Marna zabawka – zaśmiał się.

Zaatakował znowu, z większą pewnością. Złapałem swój prowizoryczny środek obronny obiema rękami, w prawej trzymałem nóż. Zmianę chwytu uznał za wyraz słabości i nacierał krótkimi, oszczędnymi cięciami. Markowanych ciosów i pchnięć używał tylko jako przygotowań i aby mnie zmylić.

Bolące plecy dokuczały mi, rana na nodze powodowała, że kulałem.

Widząc, że tracę siły, zdecydował się zakończyć walkę. Energiczne pchnięcie, cięcie wyprowadzone nie tylko z łokcia, ale z wychyleniem ramienia. Nadstawiłem swoją tarczę, teraz już raczej nieforemną wiązaną, nie prostopadle, ale zbieżnie z kierunkiem cięcia. Klinga wniknęła

między starannie splecione gałęzie, a gdy weszła wystarczająco głęboko, szybkim ruchem obróciłem miotłę wzdłuż osi i pociągnąłem obiema rękami. Wyrwałem mu szablę z ręki. Stracił równowagę, zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Sierpowym uderzyłem go w skroń, zatoczył się, pochylił i wystawił potylicę do ciosu. Uderzenie posłało go na ziemię, padającego zdążyłem kopnąć w twarz. Wiedziałem, że tak prędko nie wstanie. Mimo to spróbował i kosztowało go to pęknięte zębra.

– To by było na tyle – powiedziałem cicho.

Był blady z bólu, ścisnął szczęki tak silnie, że zmieniły mu się rysy twarzy. Oczami myszkował po okolicy z nadzieją, że szczęśliwym trafem nadejdzie jakiś spóźniony wędrowiec. Szczęśliwe trafy nie zdarzają się jednak zbyt często.

Ukląknę przy nim i przyłożyłem mu nóż do gardła.

– Zabijesz mnie.

To nie było pytanie, głos mu się zatrzęsł.

– Jak na najemnego zabójcę to istna mimoza z ciebie – powiedziałem. – Oczekuję odpowiedzi na kilka pytań.

Powieki mu się poruszyły, gdy próbował zobaczyć, w jaki sposób trzymam nóż. Ale była to tylko próba. Musiał wiedzieć, że w tej pozycji i w stanie, w jakim się znajduje, nie ma szans.

Trochę przycisnąłem, aż skóra napięła się pod naciskiem noża. Ja bym spróbował, zwłaszcza gdybym wiedział, że przeciwnik ma porządnie stłuczone plecy.

– Przyszła oferta. Od pośrednika, ze zleceniodawcą nigdy nie rozmawialiśmy – powiedział cicho.

– Kiedy?

– Cztery dni temu. Zadatek był ogromny, reszta nagrody miała być wypłacona tu, w Krachtiburgu. Musieliśmy jednak dostać się do miasta w trzy dni.

To krótki termin. Ale można było zdążyć.

– Czego jeszcze dowiedzieliście się od pośrednika?

Zacząło się ściemniać, niemal błyskawicznie, jak zawsze w tym regionie. Niebo, na którym przybywało gwiazd, pokrywało się szarymi chmurami, a w powietrzu czuć było zapach deszczu. Zdaje się, że człowiek leżący na ziemi nie zauważał tego.

– Dostaliśmy obrazek – twój dokładny portret. I opis twoich cech. Że jesteś ostrożny, pilnujesz, żeby cię nikt nie śledził, że zazwyczaj nocujesz w różnych miejscach. I ostrzeżenie, że jesteś bardzo dobry z nożem, mieczem, a nawet bez broni. Specjalista.

To był bardzo dokładny opis, uświadomiłem sobie, że nigdzie nie dostanę się nierozpoznany.

– I wzięliście to na poważnie – oznajmiłem.

– Musieliśmy traktować to poważnie ze względu na kwotę.

Szczegóły twarzy znikały w ciemności, widziałem tylko jasną plamę i ciemne wysepki oczu.

– Chcieliśmy dowiedzieć się o tobie więcej, znaleźć miejsce, w którym mieszkasz, i napaść na ciebie z zasadzki.

Mówił szybciej i chętniej. Chciał zyskać na czasie, uspić moją uwagę i odnieść z tego korzyść. Starał się przeżyć.

– A ten chłopak, którego wykryłem? – zagadnąłem go.

– Taa. Bardzo był pewny swoich umiejętności i w końcu dał się złapać. To głupek, o wiele gorszy gracz, niż myślałem. Chciał wyciągnąć od nas jeszcze więcej pieniędzy, więc bratula go zabił.

Mówił całkiem spokojnie, bez wykrętów, bez upiększeń. Tak jakby opowiadał o rąbaniu drzewa, pieczeniu chleba czy czymś podobnym. Opisywał po prostu swój sposób zarobkowania.

– Później napuściliśmy na ciebie równocześnie kilku ludzi. Już przedtem dla nas pracowali, mogliśmy na nich polegać.

Trzymając nadal ostrze na jego skórze, zamyśliłem się na chwilę. Całą grupę ludzi? Czy mogłem ich nie zauważyć? Widocznie tak. Ale przypuszczałem, że ich zgubiłem. Moje przejście przez miasto było bardzo szybkie i miało na celu właśnie pozbycie się ogonów. Na pewno nie zdążyli. Może później uśmiechnie się do nich szczęście i odnajdą mnie przypadkiem albo wytypują miejsca, w których często bywałem.

– A ten chłop, który dziś do mnie wystartował w gospodzie?

– Temu sami zapłaciliśmy. Chcieliśmy wiedzieć, jaki jesteś dobry, czego można się po tobie spodziewać. Najpierw nie chcieliśmy na to iść, ale był tak napalony, że zgodziliśmy się.

– I zdecydowaliście się nie ryzykować – stwierdziłem.

– Taa, braciszek nadział na siebie całą zbroję kolczą, wzmocnioną w ważnych miejscach. Już raz mieliśmy podobne zlecenie. Dostarczyć żywcem klienta, który świetnie bronił się nożem... Mamy, znaczy, mieliśmy doświadczenie.

Śmierć jako interes.

Pierwsze krople zaszeleściły na liściach. Wiedzieli o mnie naprawdę wszystko, rozpracowali mnie i plan ataku obmyślili na moją miarę. Nie wiedziałem wprawdzie, kto stoi za zleceniem, i nie miałem szans natrafić na jego ślad, ale wyrwałem mu chociaż zęby jadowe i jakiś czas minie, zanim

postara się o nowe.

– Czy jesteś zadowolony z moich odpowiedzi? – zapytał z oczekiwaniem.

Rozpadało się, ale on już tego nie czuł. Krew wyciekająca z żyły udowej zapachniała w deszczu mocniej, a jego oczy zmętniały. Tak jest ze wszystkim. Człowiek zmoknie, rozzłości się albo pokocha z kimś i nie przypuszcza, że to był ostatni raz. Wszedłem w najgęstsze zarośla, słuchałem szumu deszczu i rozmyślałem.

Szukanie śladów

Bamegi zdziwił się, że Varatchi zaprosił go do swego pałacu w Krachtiburgu zaraz po tym, jak otrzymał od niego sprawozdanie. Zaprosił nie było właściwym słowem, on po prostu nakazał mu stawić się natychmiast. Ninja jak dotąd nie wiedział, że chlebowodawca przybył wprost na miejsce zdarzeń.

Rezydencja Varatchiego była w rzeczywistości luksusową willą o trzydziestu pokojach położoną w centrum miasta. Jego stanowisko wymagało jednak, żeby każdy, nawet tymczasowy przybytek określano mianem pałacu. Bamegi oczekiwał, że personel, nienawykły do takich wizyt, będzie go między sobą przerzucał jak gorący kartofel, ale prawie natychmiast zaprowadzili go do wyłożonego drewnem pokoju, który nie był wcale specjalnie okazały, a w wyposażeniu niczym się nie wyróżniał. Sprawiał jednak wrażenie przytulności i wygody pozbawionej uciążliwego luksusu. Umiejętność tworzenia takich miejsc do własnego użytku w każdym miejscu, gdzie się znalazł, była jedną z cech właściwych Varatchiemu, pomyślał Bamegi. Jego twarz jednak nic nie wyrażała. Ukłonił się nisko i pozostał w przepisowej odległości, w wyczekującej pozie doskonałego podwładnego.

Varatchi siedział na sofie, siwe włosy starannie zaczesane za uszy połyskiwały srebrzyście w świetle lamp. Wyglądał zwyczajnie, ale Bamegi podczas poprzednich spotkań nauczył się z postawy odgadywać nastrój dostojnika. Teraz siedział sztywno, prawie jak wyciosany z drewna, oczy miał jeszcze chłodniejsze niż zazwyczaj. Bamegi pomyślał, że może to on jest obiektem niechęci magnata. Nie uważał tego za prawdopodobne, ale gdyby się mylił, nic nie mógł na to w tej chwili poradzić.

– A więc twierdzi pan, że go nie znajdziecie – zaczął Varatchi bez wstępów, wskazując na krzesło.

Bamegi ukłonił się jeszcze raz i usiadł.

– Tego nie twierdzą. Ale akcje śledczych Konwentu utrudniają nam zadanie w maksymalnym stopniu. Zamrozili nielegalny handel, część handlarzy wyjechała, część się ukryła, doszło do kilku zabójstw, prawdopodobnie ewentualnych informatorów, którzy mogli naprowadzić śledczych na trop wiodący do osób wysoko postawionych. Nikt nikomu nie ufa, cudzoziemiec nie ma szansy dowiedzieć się czegokolwiek. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby Koniasz w tych okolicznościach wycofał się z całej akcji. Może poczekać kilka miesięcy, aż w mieście nastanie spokój, i wtedy wrócić do sprawy. Ja bym na jego miejscu nie ryzykował.

Varatchi przytaknął nieuważnie.

– Jestem tego świadomy, dlatego tak szybko przyjechałem. Czy pan wie, dlaczego główny śledczy Konwentu tak nagle się tu zjawiał?

Bamegi pomyślał, że gdyby Faynisch był rzeczywiście tak dobrym obserwatorem, to jego pan powinien wiedzieć o tym już od dawna. Ale to nie on miał prawo krytykować innych.

– Asystowałem wraz z moimi ludźmi przy oględzinach miejsca niezwykłego, wyróżniającego się zabójstwa kilku osób. Sądzę, że to właściwa przyczyna, nawet jeśli zaskoczyła mnie szybkość i intensywność działań Konwentu. Nie sądziłem, że są do tego zdolni.

– Ja też nie – zgodził się Varatchi.

Bamegi bez wezwania zwięźle, ale dokładnie opisał przypadek trzech żołnierzy ze straży miejskiej, znalezionych na ulicy bez życia. Jeden nie zdążył wyciągnąć broni, drugi i trzeci mieli klingi przecięte, jakby były z drewna, nie ze stali.

Varatchi myślał przez chwilę.

– Artefakt, który potrafi coś takiego, uważa się oczywiście za bardzo ciekawy. Też tak uważam. – Zdecydował się. – Proszę ze mną. Wydarzyły się jeszcze inne rzeczy, które już utajnili. Więc – wzruszył ramionami – starali się. Zachowują się inaczej niż zwykle.

Wstał i wyszedł. Bamegi postępował za nim korytarzem przez dwa kolejne salony do pomieszczenia służącego jako pracownia. Na wielkim drewnianym stole leżała zgromadzona broń. Ostrza poplamione krwią i nieczystościami, kawałki potłuczonego metalu, połamane włócznie; wszystko wyglądało nierealnie na tle rysunku pokrywającego lśniąca powierzchnię stołu. Przyjrząwszy się dokładniej, Bamegi stwierdził, że patrzy na ułamki broni. Przełamane miecze, lub raczej przerąbane, rozcięte piki, kliny toporów bojowych, które coś rozszczerpiło, jakby były z masła czy piernika, a nie z dobrej stali.

Nic z tego nie zostało podane do wiadomości publicznej, nawet opowieści o kolejnych zabitych.

– To wygląda na tego samego zabójcę, który zlikwidował patrol straży miejskiej – stwierdził Bamegi, gdy uważnie przyjrzał się resztkom broni.

– Tak, tylko że tym razem nasz nieznajomy ugryzł większy kęs. Napadł na posterunek strzegący południowego szlaku handlowego. Zbiegiem okoliczności nocował tam przemieszczający się oddział piechoty. Dwudziestu zbrojnych. Pobił ich co do jednego. Tu jest tylko mniejsza część z tego, co po nich zostało, zabrałem to po prostu spod rąk śledczych Konwentu.

– To na pewno jeszcze bardziej zintensyfikowało ich starania – skonstatował Bamegi i znów zaczął przeglądać wszystko od początku, jak gdyby mógł wywnioskować coś więcej.

Palcami zbadał miejsca, gdzie stał pękła. W punkcie zetknięcia się ostrzy zawsze znajdował karb, podobny do tych, z jakimi spotykał się niezliczoną ilość razy. Za nimi jednak powierzchnia rozdzielania stali była gładka jak lustro.

– Może gdyby ten topór był zrobiony z lodu, dałoby się go w ten sposób przeciąć stalowym ostrzem, inaczej nie umiem sobie tego wyobrazić. – Pokręcił głową.

– Magia chadza różnymi drogami – odparł Varatchi.

Ninja nie odpowiedział i dalej przyglądał się szczątkom.

Varatchi nie popędział go. Ninja był ekspertem, a nuż coś zdoła odkryć.

Jak walczyć z kimś, kto ma tak świetną broń? Czy ma jakiś słaby punkt? – myślał Bamegi. Wiedział, że nic nie przychodzi darmo, za wszystko trzeba płacić. Ta wiedza była kamieniem węgielnym jego filozofii życiowej.

– Jeśli ten nieznajomy będzie tak postępował dalej, Konwent ogłosi stan wyjątkowy. Wciąż ma takie prawo. – Oderwał spojrzenie od stołu i popatrzył na zwierzchnika.

– We wszystkich ziemiach cesarstwa, niepodległych, zaprzyjaźnionych królestwach i miastach kupieckich – przypomniał Varatchi brzmienie starego przepisu.

– No to powinniśmy naszego nieznanego człowieka skłonić do zaniechania działań, bo jeśli ogłoszą stan wyjątkowy, jedynie wariat pokusiłby się o nielegalne poszukiwanie artefaktów – powiedział Bamegi.

– Albo zrobimy to inaczej – pokręcił głową Varatchi z krzywym uśmiechem. – Zabijemy dwie muchy jednym uderzeniem. Piją moją krew już zbyt długo.

*

Bamegi siedział na stole w ulubionej pozycji ze skrzyżowanymi nogami i robił przegląd swoich ludzi. Tym razem ze względu na sytuację zostawił na północnym patrolu tylko jednego człowieka. Niedaleko za miastem, w miejscu, gdzie równina zamieniała się w niestabilne mokradło i dalej podróżować można było tylko po wyjeżdżonej drodze. Mógł podjąć takie ryzyko, nie przypuszczał bowiem, żeby ktoś udał się nocą na tak niepewny teren.

Pomieszczenie nie było zbyt duże, a obecność dziewięciu ludzi powodowała przepełnienie, to jednak nie przeszkadzało nikomu. Każdy znalazł kąt, w którym się usadowił i bez trudu wtopił w otoczenie. Zniknąć z oczu, odpoczywać, oszczędzać siły, ale błyskawicznie reagować na zmianę sytuacji, dokładnie i śmiertelnie jak atakująca kobra, właśnie to wszyscy z nich trenowali przez całe życie, aż stało się naturalnym sensem ich egzystencji.

Jedynie dźwięki, jakie zakłócały ciszę, dochodziły z zewnątrz. Szum deszczu, turkot kół przejeżdżającego powozu, kłótnia małżeńska na piętrze nad nimi.

Jeszcze raz przypomniał sobie rozmowę z Varatchim. Była interesująca, ale Bamegi nie mógł powiedzieć, że zrozumiał wszystkie jego decyzje. Nie miał jednak tylu informacji i zajmował się odmiennymi rzeczami niż drugi człowiek cesarstwa.

– Gdzie jest Hridu? – przerwał ciszę.

– Martwy – odpowiedział Kuzbos.

Tylko Bamegi nie spojrział na niego. Przypuszczał, że otrzyma taką odpowiedź, bo dwójki rozdzielały się tylko z ważnego powodu. Inni nie wiedzieli, że dał tej parze zadanie specjalne, toteż wiadomość ich zaskoczyła.

– Jak to się stało?

– Bez większych problemów przeszliśmy od małych handlarzy do tych wielkich i łańcuch nigdzie się nie przerwał. Dotarliśmy aż do Hytu van Dycka – zaczął Kuzbos.

Dzięki swym ludziom Bamegi był dobrze obeznany z szarą strefą Krachtiburga. Na van Dycka naprowadzały tylko pośrednie wskazówki, dowodów nie było żadnych. Fakt, że Hridu i Kuzbos dotarli do niego, wynikał z tego, że nie tylko pytali, ale używali bardziej przekonujących metod.

– Chciał go przesłuchać – kontynuował Kuzbos po chwili milczenia. – Hridu chętnie pracował sam, więc zostawiłem go i poszedłem do kuchni. Byłem głodny. Kucharzowi nagadałem, że jestem nowym pomocnikiem jego pana, nie było z tym żadnego problemu. Nagle zjawili się ludzie Konwentu i postanowili mnie przytknąć. Musiałem przebić się na zewnątrz, przypuszczałem, że Hridu robi to samo. Nie wiedziałem, ilu ich czeka w okolicy. Zrobiłem spacer okrężny, zatarłem za sobą ślady, upewniłem się, że nikt za mną nie idzie i zmieniłem wygląd. Dopiero potem wróciłem.

Bamegi kiwnął głową na znak, że taki sposób działania rozumie i uważa za prawidłowy.

– Wtedy dom już się palił.

Bamegi nadal milczał. Cenił swoich ludzi i nie kwestionował ich kwalifikacji poprzez zbędne wypytywanie. Pytał dopiero wtedy, gdy wysłuchał pełnej relacji.

– Poczekalem aż ugaszą pożar, trochę w tym pomogłem, żeby się nie odróżniać. Hridu znalazłem tam, gdzie go zostawiłem, w pokoju van Dycka. Porządnie się przypalił, ale obejrzałem go dokładnie. Miał złamany nos i ranę kłutą w sercu. Żebra wydawały się nienaruszone, to musiało być dokładne pchnięcie.

– A jakieś inne zranienia? – zapytał ktoś.

– Widziałem tylko tyle. Pętało się tam mnóstwo ludzi – odparł Kuzbos trochę nieprzyjaźnie. – I leżały cztery inne trupy.

– Z kim Hridu trenował? – zapytał wreszcie Bamegi.

Zgłosił się Heren, duży, rozgarnięty chłop, który pomału zbliżał się do końca swej aktywności w terenie. Bamegi wybrał go jako świetnego organizatora, człowieka, który potrafił mieszać się z tłumem i łatwo nawiązywał kontakty. Czekano na niego stanowisko rezydenta, który będzie żył gdzieś w spokoju, zbierał informacje, a później, o ile przyjdzie taka potrzeba, włączy się do działań klanu. I spokojnie poświęci dla tego celu nawet życie. Bamegi wiedział, że bez takich jak on klan nie mógłby przetrwać ciężkich czasów.

– Ja go ćwiczyłem – oświadczył ninja.

– Jak dobry był? – zapytał Bamegi.

– Lepszy niż ja – padła odpowiedź.

– To nic nie znaczy – skrzywił się jeden z najmłodszych obecnych.

Bamegi dopiero po chwili przypomniał sobie jego nazwisko. Kicbuc.

Miał dwadzieścia lat, był szybki, bezwzględny, skłonny do ryzyka. Ufał głównie swoim umiejętnościom władania bronią o długiej klindze.

Inni rozdzielili swoją uwagę między Bamegiego i Herena. Wygłoszone stwierdzenie zagrażało reputacji i autorytetowi ich obu.

– Złamał ci rękę, jak pamiętam – odpowiedział spokojnie stary ninja – gdy się pobiliście z powodu Dajne.

Nikt już nie poświęcał uwagi młodzikowi. Będzie się musiał długo starać, zanim zatrze pamięć o swej niefortunnej uwadze, o ile w ogóle mu się to uda.

Bamegi kiwnął głową nad niewypowiedzianymi myślami. Był przeświadczony, że Hridu miał szczęście, a właściwie pecha i przez zbieg okoliczności wpadł na ich zdobycz. Na człowieka, który zwyciężył profesjonalnego zabójcę i przebił się przez uzbrojonych ludzi Konwentu.

Nie polowali na psa, dzika czy niedźwiedzia, lecz na coś o wiele niebezpieczniejszego. Rekina ludojada? Szybko porzucił to porównanie. Rekin, choć bez wątplenia najstraszliwszy drapieżnik tego świata, kierował się tylko instynktem, sposobem zachowania, który w znanych mu warunkach gwarantował możliwość przeżycia. Gdyby warunki zmieniły się, zginąłby.

Wilk. Koniasz był wilkiem. Bamegi w służbie klanu przeszedł puszcze, stepy, dotarł aż na północ, gdzie przy niesprzyjającej pogodzie śnieg padał nawet w lecie. I wszędzie je spotykał. Wilki. Żyły w stadach, ale te najniebezpieczniejsze były samotnikami, zdolnymi przystosować się do wszystkiego. Gdy było to konieczne, bez zastanowienia pierzchały przed lwem, ale później, kiedy lew zdychał z pragnienia, bo nie był dość sprytny, żeby znaleźć wodę, pożerały go. A Koniasz był właśnie takim wilkiem samotnikiem. Sprytny, przystosowany do każdych okoliczności, nieobliczalny, niebezpieczniejszy, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Bamegiemu nie spodobały się wnioski, ale chcąc nie chcąc, musiał podziwiać umiejętności tego człowieka. Czy on sam zdołałby dokonać tego, co Koniasz? Przejawić odwagę, przezorność, cierpliwość, bezlitosność, uczciwość, a nawet uprzejmość? Koniasz musiał być uprzejmy, dlatego że człowieka tworzy cały zbiór cech, a bez uprzejmości nikt nie mógł sięgnąć po doskonałość. Na podstawie tego, czego się dotąd dowiedział o Koniaszu, uważał, że temu tajemniczemu wojownikowi brakuje do doskonałości tylko przysłowiowej odrobiny. Bamegi skupił się na samym sobie, uspokoił tok myśli, starając się zrozumieć, co to wszystko dla niego znaczy. Jak dotąd pewność siebie i samoocenę czerpał z tego, że uważał się za lepszego od innych. Mógł nie być najlepszym szermierzem, pięściarzem, kucharzem, felczerem, filozofem czy kochankiem. Ale biorąc pod uwagę wszystkie cechy jako całość, uważał się za lepszego niż Ferusi lub Varatchi. W stosunku do Koniasza nie był tego taki pewny.

Podobne myśli nie pomagały w wypełnieniu zadania, toteż stłumił je.

– Jutro czeka nas specjalna robota – oznajmił surowo. – Ci z was, którzy mają miejscowe papiery identyfikacyjne – spojrział w bok, a trzech mężczyzn zgłosiło się posłusznie – pojawią się tu w południe. Teraz zadania dla pozostałych.

Niebezpieczne zabawki

Wszystko jest przygotowane – uznał Majal. – Dokładnie według wymagań... – przywódca grupki czarodziejów nie zdołał stłumić niechęci – według wymagań... – jeszcze raz zawahał się – naszego eksperta od przeniknięcia do twierdzy Maaterenditu.

Nie mógł ująć zwięzłej mordęgi ubiegłych dni, pomyślał Janick. On też nabiegał się jak diabli i miał już po dziurki w nosie gromadzenia najróżniejszych rzeczy.

– Faktycznie go potrzebujemy? – zapytał pogardliwie Mayers.

Janick zachował kamienną twarz, ale w duchu uznał Mayersa za tępaka. Gdyby nie potrzebowali Koniasza, toby go Wicker nie najął. Z fragmentów rozmów, przy których był obecny jako służący, zorientował się, że usługi takich ludzi jak ten dryblas są bardzo kosztowne. Ich nowe mieszkanie oczywiście też. Po spotkaniu z Koniaszem Majal kazał natychmiast opuścić tanią gospodę i na nowe miejsce zamieszkania wybrał luksusowy pensjonat. Zapewne celem konspiracji, domyślał się Janick. Mayers z Fedorem zamieszkali razem w dużym pokoju, Majal wziął dla siebie apartament. On dostał małe pomieszczenie, ale i ono kosztowało dziennie więcej niż poprzednie mieszkanie dla nich wszystkich. Z jego punktu widzenia przypadły mu prawdziwe luksusy. Nie musiał się martwić, czy nie przyjdzie mu kraść ze wspólnych zasobów, żeby nie być głodnym. Nie musiał nikomu usługiwać, spał w wygodnym łóżku, w pokoju były dwie lampy, przy których mógł czytać długo w nocy, nikt go o nic nie pytał. Czuł się jak w niebie, o którym dawniej tylko mętnie domniemywał, że istnieje.

Sięgnął po precelek i obficie posmarował go masłem, chociaż właściwie nie był głodny. Przyszli na wczesne śniadanie do jadalni pensjonatu jako jedyni goście.

Mayers nadal oczekuje odpowiedzi na swoje głupie pytanie, uświadomił sobie Janick, ocknąwszy się z zamyślenia.

– Ten głupiec ma klucz – zaczął tłumaczyć Majal zdumiewająco spokojnie, spoglądając na Janicka. – Każda twierdza klanowa, w której przechowywano przedmioty magiczne, była chroniona – kontynuował Majal. – Magią, zaklęciami. Ochrona była w większości przypadków dwustopniowa. Wtargnięcie na teren pojedynczego intruza kończyło się jego śmiercią, wielkie zagrożenie natomiast wywoływało autodestrukcję.

– Dlaczego, na Boga? – nie wytrzymał Mayers. – Taka szkoda, tyle wartościowych przedmiotów obróconych wniwecz.

Głupek i idiota, Janick potwierdził swój poprzedni osąd.

Dawniej nie pozwoliliby sobie nawet w duchu nazwać tak członka klanu, ale czasy się zmieniły.

– Dlatego, że to lepszy wariant, niż gdyby te wartościowe przedmioty wpadły w ręce nieprzyjaciół – odpowiedział Majal bez śladu ironii.

Nigdy przedtem nie zachowywał się tak przychylnie, uświadomił sobie Janick. Dziś wydawał pieniądze klanu dla ich wygody. Mogli się przecież przenieść do tańszego mieszkania. Zrozumiałby, gdyby przywódca wziął drogi pensjonat tylko dla siebie. Ten nowy sposób bycia nie pasował do niego. Nigdy nie był filantropem.

– Ten człowiek, Koniasz, ma pieczęcie, czy raczej klucze, które umożliwiają wstęp do twierdzy bez aktywowania zakłęb ochronnych – wyjaśniał dalej Majal.

To miało sens, zgodził się w duchu Janick. Nagle zrozumiał przychylność Majala – po powrocie chciał zająć miejsce Wickera, zostać nowym wielkim mistrzem klanu. A oni, Mayers, Fedor i w końcu sam Janick, mieli się stać jego poplecznikami, zarzewiem opozycji, która pomoże mu dopiąć swego. Po krótkim zdziwieniu doszedł do wniosku, że Majal ma do tego prawo. Gdyby mu się powiodło, to on, Janick, nie byłby już ostatnim sługą...

Wsadził rękę do kieszeni i pogłaskał kamień, który niedawno kupił. Nie odważył się go wyjąć w obecności towarzyszy i czasem miał wrażenie, że powinien schować go na dnie plecaka, ale nie zdobył się na to. Musiał go dotykać. Kontakt z gładką powierzchnią i tylko przez niego widziana poświata uspokajały go. Powinien pomyśleć, czemu sprawia mu to taką przyjemność, ale nie chciało mu się.

Fedor bez słowa zawładnął kuflem Janicka, pełnym ciepłego, gęstego piwa, podawanego tu do śniadania, i wnet go opróżnił.

– Tylko że ten Koniasz jest diabło niebezpieczny i powstaje pytanie, czy nie realizuje własnych celów. Czy możemy mu ufać? – włączył się do rozmowy, otarłszy pianę z ust.

– Tak jakby – odpowiedział Majal, a Janick zastanowił się, czy to poważna odpowiedź, czy ironiczna.

Pomyślał też, że nieźle byłoby dać Fedorowi nauczkę. W ogóle wszystkim uważającym go za marnego sługę, który musi czekać na resztki z kolacji.

– Po skończeniu zadania musi umrzeć – rzekł spokojnie Majal i popatrzył po nich.

Janicka taki bezwzględny, pragmatyczny postępek zszokował, chociaż... chociaż wydawał się najbardziej logiczny. Starał się zachować kamienną twarz, ale nie był pewny, czy mu się to udaje. Mayers z Fedorem skrzywili się tylko pogardliwie. Powód przyjęcia na służbę jeszcze jednego człowieka, zarabiającego na życie ostrzem, stał się teraz jasny. Ale Koniasz już o nim wiedział, podstępem udało mu się dowiedzieć, że jest z nimi. Szczupły dryblas mógł więc nieprzyjemnie zaskoczyć i Majala, i najętego zabójcę.

– Fedorze, czy jesteś gotowy?

Zagadnięty przytaknął.

– Musisz być w stanie użyć tego w każdej chwili – powiedział Majal z niezadowoleniem. – Czas może odgrywać kluczową rolę. Pokaż mi to.

Fedor spojrzał nieprzyjaźnie na Janicka, jakby nie chciał pokazywać swej tajnej broni w jego obecności, niechętnie rozpiął koszulę i wyciągnął spod niej płaską torbę, którą nosił wprost na ciele. Schowek był zaskakująco duży, praktycznie zajmował całą pierś i brzuch.

– Trudno go potem wsadzić do środka – mruzczał niezadowolony czarodziej – szczególnie, że jest ciągle głodny.

Więc_{TO} czy_{TEN}? Janick przyglądał się z zainteresowaniem.

Fedor otworzył schowek i ostrożnie wytrząsnął z niego spory kłęb sznurków. Tylko że to nie były zwykłe sznurki, poruszały się.

Janick uważnie obserwował, jak_{TO} rozciąga się, przyjmując formę sieci z sześciokątnymi oczkami, i jak cała sieć rusza przed siebie. Nie zdołał stwierdzić, w jaki sposób twór się porusza. Chyba tak jak gąsienica, ale nie widział żadnego falowania.

– Czy to czarodziejski stwór? – zapytał Mayers.

Janick miał wrażenie, że Fedor chciał odpowiedzieć twierdząco, ale pod spojrzeniem Majala pokręcił tylko głową.

– Pochodzi z dżungli równikowej. Dostałem go jako miniaturową pajęczynkę i tak wyrósł przez piętnaście lat. W pralaszach podobno wyrastają jeszcze większe.

Janick ostrożnie wyciągnął rękę ku stworowi. Z wyrazu twarzy Fedora wywnioskował, że będzie bolało, ale nie dbał o to. Chciał wiedzieć. Dotknął jednego z włókien i natychmiast syknął i drgnął. Na opuszcze palca pojawiło się coś jakby przypalenie lub oparzenie ługiem.

– Tutaj środowisko jest dla niego nieprzyjazne, dlatego jest gotowy do obrony. Kiedy atakuje i skrada się do ofiary, prawie nie można go zauważyć – wyjaśnił Fedor z niemal nabożnym podziwem.

– Czy to na pewno jest zdolne zabić człowieka? – upewniał się Majal, nie spuszczając oczu ze stwora, który zajmował już cały stół i jeszcze daleko mu było do pełnego rozmiaru.

– Wypróbowałem go, kiedy jeszcze był mały – odpowiedział Fedor. – Włókna przyklepiają się do skóry i praktycznie nie da się ich pozbyć. Chyba razem ze skórą. Sieciowiec owija się wokół ofiary i po jakimś czasie przenika głęboko do mięsa. Zdobycz ginie w ciągu kilku dni. Potrzebuje świeżego pożywienia, padlina nie pachnie mu należycie. Trawi długo.

Janick wzdrygnął się. Ten stwór potrafił przynieść bardzo bolesną śmierć.

– No dobrze, schowajmy go – rozkazał Majal.

Podczas demonstracji cofnął się o krok i Janick zrozumiał, że zwyczajnie boi się sieciowca, jak Fedor nazywał swego pieszczoła.

Gdy z pomocą kijków, a głównie dzięki wprawie Fedora, udało im się uwięzić stwora w torbie, wszyscy odetchnęli z ulgą. Janicka bolał palec, ale bardziej zaniepokoiła go reakcja innych. Jeśli było to tylko niezwykle zwierzę, dlaczego tak się go bali?

Do jadalni nie wszedł nikt inny, tylko dziewczyna kuchenna dołała im kawy i herbaty i zapytała, czy czegoś nie potrzebują. Potem wyszła. Janick znów sobie uświadomił, jak bardzo nowa sytuacja różni się od jego dotychczasowego życia.

– A ty, Mayers? – Majal popatrzył na drugiego czarodzieja, gdy zostali sami.

– Mam to stale ze sobą, tak samo jak Fedor – zamruczał czarodziej i sięgnął za pasek.

Chwilę trwało, zanim wyciągnął poszukiwany przedmiot. Janick zorientował się, że w pasku z bardzo grubej skóry ma skrytkę. Ukrywał w niej ampułkę wyrzeźbioną z krzemienia z wlewem zalanym ołowiem. Co znajduje się w środku, Janick nie mógł rozpoznać. Zawartość musiała być szczególna, bo poprzez niezbyt przezroczyste ścianki ampułki prześwitywały intensywne błyski w różnych kolorach, od zielonego po niebieski. Prawdopodobnie trucizna, ale nie wiedział jaka. W jaki jednak sposób niepostrzeżenie domieszać do jedzenia czegoś, co tak intensywnie świeci? Dziwne, oenił. Pewnie nie wiedział wszystkiego, nie domyślał się, jak znaczną rolę odgrywa tu magia.

– Nie znoszę tych rzeczy – warknął Fedor.

Biorąc pod uwagę zdolności Majala do ataku telekinetycznego, obecność skrytobójców z egzotycznym potworem, trucizną i jeszcze dwóch najętych zabójców, myślał Janick, łowca artefaktów powinien już być martwy. Mógłby go ostrzec, gość pożyczył mu książkę, czuł się więc zobowiązany. Na myśl o magicznej książce zaczął natychmiast wyobrażać sobie użycie nowych przepisów.

– Janicku? Wóz, konie... – wyrwał go z zadumy Majal.

– Wszystko gotowe – odpowiedział natychmiast Janick.

Naprawy wozu i przekucie koni załatwił nadspodziewanie gładko. Ludzie szli mu na rękę, udało się nawet pokryć prywatny zakup.

– Skoro tak, to możemy ruszać – oświadczył Majal z zadowoleniem. – Żeby tylko on też jutro przyszedł.

– Wszędzie wokół kręcą się ludzie Konwentu – Janick odważył się zrobić uwagę.

Dziwiło go, że czarodzieje nie denerwują się tym zupełnie.

– Jesteśmy kupcami. – Majal wzruszył ramionami.

– Ale nadal nie mamy żadnego towaru, nie wybraliśmy niczego, czym moglibyśmy handlować – przypomniał Janick.

Nie potraktowali poważnie zaleceń łowcy artefaktów, żeby zabrać towar na sprzedaż w Malansku. Co więcej, uważali, że z pustymi wozami będą jechać szybciej, nie biorąc pod uwagę, że później załaduje się na nie zdobycz z twierdzy. Janick nie sądził, żeby magiczne artefakty były zbyt duże. Chociaż z drugiej strony niewiele o nich wiedział.

Majal zrobił zniechęconą minę.

– Coś tam nałóż. Załatw to tak, żebyś nie musiał sam się o to martwić.

Janick żałował, że nie zmilczał. Będzie miał mniej czasu na czytanie o dalszych recepturach i próby oraz zajmowanie się swoim kamieniem. Spojrzał z ukosa na Mayersa i Fedora. Wyglądali na zadowolonych, ulżyło im. Zrozumiał. Byli radzi, że nie muszą wychodzić na ulice i ryzykować przypadkowego spotkania z ludźmi Konwentu. Krążyły pogłoski, że doświadczeni śledczy potrafili rozpoznać napotkanego czarodzieja. Janick nie wierzył w to, a ponadto żadnych związków z magią nie miał. Nic mu więc nie zagrażało. Chyba że weźmie ze sobą ten kamień.

Gorzki koniec

Ranek wstał ładny i nieoczekiwanie ciepły. Może przyczyniło się do tego nocne zachmurzenie, które nie pozwoliło ciepłu unieść się w górę i ustąpiło po wschodzie słońca. Odciągnąłem ciało daleko od drogi. W świetle dnia przeszukałem je i okazało się, że mogłem się wzbogacić o pięćset złotych w dziesięciozłotówkach i pięć tysięcy w czekach na okaziciela wystawionych przez Bank Imperialny w Saxpolis. Mówiono, że tylko szmaragdy są bardziej pewne niż чеки tego banku, ale powątpiewałem w to, bo dawno temu brałem udział w machinacjach, które na krótko zatrzęsły wartością tych klejnotów. Nic więcej przy zabitym nie znalazłem. Zostawiłem go w gęstwinie młodych świerczków, gdzie mało prawdopodobieństwo, że znajdzie go jakiś włóczęga. A nawet gdyby tak się stało, nie był to żołnierz ani funkcjonariusz miejskich sił porządkowych i żadne staranne śledztwo nie zostałoby przeprowadzone. Dobrze wiedziałem, co dzieje się ze zwłokami porzuconymi w lesie. W ciągu dwóch miesięcy mali padlinożercy pozbawią je kończyn, a potem dobiorą się do tułowia, wczesnym latem jakiś zdesperowany głodomór będzie się biedził nad czaszką, którą wywlecze nie wiadomo dokąd, a po roku zostaną na miejscu tylko szczątki kręgosłupa i rozsypane kręgi.

Położyłem się potem na trawie i skryty w wykrocie odpoczywałem parę godzin. Bardzo tego potrzebowałem po kilku wyczerpujących dniach. Niczego mi nie brakowało oprócz jedzenia. Obawiając się, że burczenie w brzuchu może wystraszyć przechodzących drogą, wstałem i kulejąc, poszedłem z powrotem do miasta. Zraniona noga i potłuczone plecy dawały mi się mocno we znaki, byłem w stanie utrzymywać tylko powolne, spacerowe tempo. Oprócz solidnej porcji jedzenia potrzebowałem gorącej łaźni, masażu, spokoju i długotrwałych ćwiczeń. Na to ostatnie cieszyłem się najmniej.

Przy zaporze stojącej kilkadziesiąt metrów przed pierwszymi domami, których mieszkańcy twierdzili, że żyją w Krachtiburgu, zatrzymał mnie arogancki fircyk z trójką żołnierzy straży miejskiej. Sekundowali mu ze znużeniem, widać było, że nie bawi ich zwracanie sobie głowy każdym włóczęgą.

– Jak się nazywacie, skąd idziecie i dokąd? – krzyknął na mnie fircyk.

Miałem czasem wrażenie, że Konwent wybiera sobie ludzi według tego, ile sztuk odzieży w krzykliwych kolorach są zdolni zgromadzić i nałożyć na siebie. Jednak za tymi błaznami stała nadal funkcjonująca maszyna inkwizycji. Dlatego nikt się z nich nie wyśmiewał. Przynajmniej jawnie.

– Uh, huh, huh – odpowiedziałem, przycisnąłem kabat do ciała, żeby nie było widać mojego żelaza, zgarbiłem się i zacząłem z udawanym przestraczem szukać dokumentów.

– Odpowiadaj, chłopie, do cholery – zrugął mnie fircyk.

Musiał stać na samym dole hierarchii Konwentu, jako że był chudy, a nos miał czysty, bez pijackich żyłek i nie miał worków pod oczami. Może źle go oceniłem, a jego słabostki miały inny charakter?

Zająkliwie wydusiłem z siebie fałszywe nazwisko i historyjkę o tym, jak zmarł mój stryj i zostawił mi w spadku trzydzieści srebrnych, po które właśnie idę.

– A gdzie ten twój stryj mieszkał? – zadał mi pytanie prawie podchwytliwe.

– Na rogu dwóch ulic – charknąłem.

– Na każdym rogu krzyżują się dwie ulice, ty głupku – prawie zawył fircyk.

– Handlowa i Południowa? – poprawiłem się lękliwie.

Popatrzył na żołnierzy.

– Taa, takie ulice są w mieście, w dzielnicy północnej – potwierdził jeden z nich.

– Skąd idziesz po tę forszę? – nie chciał się poddać. Musiał się przeraźliwie nudzić.

– Strasznie daleko, z Jetelina – odpowiedziałem.

Zgodnie z mapą, osada ta znajdowała się około osiemdziesięciu kilometrów od Krachtiburga. Dla wieśniaka to prawie na końcu świata. Miałem nadzieję, że uniknę pecha i żaden z żołnierzy nie zna tej okolicy. Byłby to już drugi taki przypadek w krótkim czasie.

– Dawaj – machnął mi fircyk. – Nie znoszę tracić czasu na takie byle co – mruknął w kierunku żołnierzy.

Co oni na to, nie dowiedziałem się, bo posłusznie pomaszerowałem dalej. Fircyk nie przedstawiał wielkiego niebezpieczeństwa, ale mimo to zaniepokoił mnie. Jego obecność oznaczała, że Konwent zaczyna działać coraz bardziej zdecydowanie i na szerokim froncie. Machina terroru niepowstrzymanie się rozkręcała. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, do jakiego doszedłem podczas nocnych rozważań. Nie wiodło mi się, szło pod wiatr, ale coś niecoś miałem już za sobą, a doświadczenie nauczyło mnie, że czasem trzeba ustąpić, zwłaszcza w okolicznościach, na które nie ma się wpływu. Zdecydowałem się ostatecznie nie kusić losu i szczęścia. Zostawić czarodziejów, niech swoich magicznych skarbów szukają beze mnie. Otrzymałem wprawdzie zadatek, ale zwrócenie go nie było problemem. Nawet nie musiałem się z nimi w tym celu spotykać. Najmądrzej i najbardziej bezpiecznie było opuścić Krachtiburg, albowiem zbyt wielu ludzi szło moim tropem, ale całkiem wycofywać się nie chciałem. Nie ze względu na magiczne artefakty ani na interesy, tylko ze względu na Liamę. Interesowała mnie i na pewno warta była trochę ryzyka. Może nawet więcej niż trochę. Mimo to miałem nadzieję, że o ile w coś się nie wplączę i będę trzymał się ziemi, ryzyko nie będzie aż takie wielkie.

*

Gdy zbliżałem się do północnego skraju miasta, uświadomiłem sobie, że minąłem wszystkie

łaźnie i salony masażu, jakie były po drodze. Po prostu chciałem ją zobaczyć jak najszybciej. Świadomość ta tak mnie zaskoczyła, że aż przystanąłem. Czy naprawdę tego chcę? Znowu poświęcić kogoś, na kim mi naprawdę zależy? Pomyślałem o przeszłości i stwierdziłem, że stare wspomnienia nie są już tak bolesne. Lata spędzone na szlaku pokryły je kojącą warstwą nowych przeżyć i doświadczeń. Przypomnienie sobie tej, która umarła, żebym ja mógł żyć, nadal wywoływało ból, ale już nie udrękę. Życie jest czasem okrutne nie do wytrzymania, lecz jest tylko jedno... a czasem, z rzadka, może okazać się przyjemne.

Liamy nie było w domu, ale stara Rosemary poinformowała mnie, że łowi ryby w Wilczym Kanale. Poszedłem tam.

Przeszedłem obok ostatniego czworoboku, będącego najdalej na północ wysuniętym elementem zabudowy miejskiej, i znalazłem się na pustym skraju miasta. Otwierał się przede mną widok na brązowo-zieloną przestrzeń, przetykaną tu i ówdzie niebieskimi plamami. To niebo odbijało się w wodzie między roślinami. Daleko na północy i północnym zachodzie wznosiły się dwa niskie wzgórza, ciągnące się aż po horyzont. Spływające z nich rzeczki i potoki nawadniały tysiące kilometrów kwadratowych bagien. Zwróciłem uwagę, że droga ku domom cały czas lekko się wznosi.

Miała rację. Jej dom znajdował się około dwóch metrów nad poziomem terenu wokół miasta. Przy powierzchni dziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych musiałby spaść z nieba cały ocean, żeby woda go dosięgła.

*

– Będzie jakaś kolacja? – zapytałem, gdy otworzył nam odzwierny, tym razem stary człowiek, którego dotąd nie widziałem.

– Niespodzianka, ryby – uśmiechnęła się.

– Brzmi świetnie, zaczekam na dole, zanim będą gotowe.

Znów chciałem skorzystać z luksusu domowej łazienki. W piecu nie paliło się, będę więc musiał zrezygnować z dobrodziejstwa gorącej wody. Ale plecy potrzebowały ulgi, miejsce pchnięcia sztyletem odczuwałem jak kamień przywiązany do kręgosłupa. Bez masażu musiałem zadowolić się serią rozciągających ćwiczeń.

Rozebrałem się, odwinąłem bandaż i odkręciłem kran z ciepłą wodą. W najgorszym przypadku sam nanoszę wody ze studni.

Miałem jednak szczęście, w zbiorniku było dosyć trochę już przestygłej wody, ale z chłodu podziemnej studni nie było w niej nic. Zabrałem się za mycie i pranie, myśląc przy tym, że w Krachtiburgu zużywam ubrania prędeej, niż jestem w stanie kupować nowe. Chyba dlatego, że musiałem zabić zbyt wielu ludzi. Za chwilę woda zrobiła się gorąca i musiałem domieszać zimnej.

Nie rozumiałem, jak to możliwe. Liama pewnie napaliła w piecu, ale jak się taka ilość wody ogrzała tak prędko? Już kilka razy dziwiłem się temu. Wylałem z wanny i zacząłem oglądać zbiornik. Był murowany z białych cegieł ogniotrwałych o powierzchni gładkiej jak glazura. Pełen wody musiał sporo ważyć. Albo od początku budowano dom tak, żeby konstrukcja wytrzymała ten ciężar, albo później wykonano konieczne wzmocnienia.

Przysunąłem sobie stół, wgramoliłem się na niego i zacząłem dokładnie oglądać strop zbiornika. Część też była murowana, ale część nie. Tworzyła ją gruba na dwadzieścia centymetrów płyta z twardego, poczerniałego ze starości drewna. Musiałem mocno się wysilić, żeby przesunąć ją o mały kawałek. Poczułem wilgotne, gorące powietrze, światło odbiło się od powierzchni wody. Gdy para rozwiła się nieco, ujrzałem na dnie dziewięć ułożonych w krąg, rozpalonych do czerwoności kamieni. Sądząc z koloru, były rozżarzone i po chwili stwierdziłem, że na styku z nimi woda naprawdę wrze. Wstrzymałem oddech i rozejrzałem się, ale nikt mnie nie obserwował. To niewiarygodne. Tyle lat uganiałem się za artefaktami, starymi księgami i w ogóle wszelkimi informacjami, które mogły mi powiedzieć więcej o przeszłości świata, penetrowałem dawno opuszczone ruiny, podróżowałem przez niezamieszkałe pustkowia, a teraz zbiegiem okoliczności natrafiłem na magię używaną do tak prostego celu jak ogrzewanie wody. Kamienie pomału przestawały się żarzyć. Woda była już wystarczająco ciepła, a ja jej teraz nie wylewałem. Wróciłem do wanny, ogrzałem się, porozciągałem mięśnie i dopiero potem zszedłem do kuchni. Moje odkrycie było tak zdumiewające, że nie wiedziałem, co o tym myśleć. Jak dużo wiedzieli mieszkańcy domu o dziedzictwie swoich przodków? Czworobok i ludzi w nim zamieszkałych postrzegałem teraz w innym świetle.

*

– Nie chcemy, żeby tutaj mieszkał! Może ściągnąć na nas podejrzania! – Sięgnąłem właśnie po klucze od kuchni, gdy usłyszałem podniesiony głos Każewicza, dochodzący z zewnątrz. Z dziwną pewnością wiedziałem, o kim i z kim rozmawia.

Dalej mówił stłumionym głosem, tak że nie rozróżniałem słów.

Odwróciłem się i nisko schylony, żeby mnie z dołu nie dostrzegli, wyszedłem na taras, a potem przepełzłem na brzuchu do ściany pod oknem. Ktoś zostawił na tarasie kosze z praniem, dobrze mnie chroniły przed spojrzzeniami z mieszkań. Teraz słyszałem doskonale.

– Jakie podejrzania? Jesteśmy przecież zwyczajnymi ludźmi! Ty i podobni do ciebie postaraliście się o to! – Liama mówiła z wyraźną pogardą.

Słyszałem, ale nie widziałem. Cał za całem posuwałem się razem z koszem, aż dotarłem do krawędzi tarasu i zyskałem wgląd na podwórze.

Każewicz i czterech innych mężczyzn, najmłodszy z nich był mniej więcej w moim wieku, zatrzymali Liamę wracającą ze spiżarni na parterze z koszykiem jarzyn. Błyszcząca w nim również

butelka wina.

– Są metody pozwalające zdemaskować któregoś z nas. To byłby nasz koniec! Czy wiesz, ile skarbów po naszych przodkach przechowujemy? Wystarczy najmniejsze podejrzenie, a dni nasze będą policzone! To dotyczy wszystkich!

– Więc okaleczaliście nas przez całe pokolenia tylko dlatego, że mamy pochowane mnóstwo starych rupieci, których nie chcecie się pozbyć? – Liama ściszyła głos.

– Używaj właściwych słów, kobieto!

Każewicz zrobił krok naprzód, a jego świta naśladowała go. W pięciu przeciw jej jednej czuli się pewnie. To, o czym mówili, było fascynujące.

– Okaleczaliście nas. Tak jakbyście normalnego człowieka oślepił. Nie byłam pewna, czy dobrze robię, powstrzymując to okaleczanie, ale teraz widzę, że tak. Przed niczym nas nie uchroniło, było niepotrzebne. Sam to przyznałeś.

– Jak powstrzymałaś? – wydyszał przestraszony Każewicz.

– Oni już nas szukają – powiedziała, teraz zupełnie spokojnie. – Wiem to od chwili, gdy odszedł Hambrus. Ciężką miał śmierć, ale starał się nas ostrzec.

– Zmyślasz! Zamilcz! – Każewicz starał się ją powstrzymać. – O takich sprawach się nie mówi!

Ale Liama tylko pokręciła głową.

– Kiedy się urodziłam, jedna z płyt, które wkładamy do kołysek, była pęknięta. Nikt tego nie zauważył i dzięki temu posiadam część zdolności naszych przodków. Wiem o tym.

– Musimy cię zabić!

– I razem ze mną wszystkie dzieci, które się narodziły przez kilka ostatnich lat? – rzuciła mu w twarz.

Każewicz skamieniał. To, co usłyszał, było dla niego szokiem.

– Już o nas wiedzą, tylko nie domyślają się, gdzie szukać. Gdybym nie przyprowadziła Koniasza i on by tych ludzi nie zabił, już by nas odkryli. Stalibyśmy się ściغانą zwierzyną.

Wstrzymałem oddech. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że najemnicy przyszli nie po mnie, lecz po coś całkiem innego. Nie przyszło mi też do głowy...

– Ten chłop musi odejść – opamiętał się Każewicz, wracając do poprzedniego wątku. – Ciebie i dzieci zabijemy. Ty będziesz za to odpowiedzialna!

Wystarczyło spojrzeć na dwóch młodszych mężczyzn towarzyszących Każewiczowi, żeby

zrozumieć, że pogrożka, przynajmniej w części dotyczącej dzieci, była płonna. Nie mieli ochoty poświęcać swoich synów, ewentualnie wnuków.

Liama rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, podniosła koszyk, odwróciła się i odeszła bez słowa.

Przywitałem ją w kuchni, siedząc na krześle przy stole, na którym pod ściereczką stygły pieczone ryby, jedne przyprawione tradycyjnie, drugie zapieczone w cieście, a pod plecionką pachniał świeży, nakrojony chleb. W łazience strawiłem więcej czasu, niż mi się wydawało, zdążyła wszystko przygotować.

Popatrzyła na mnie, usiadła i położyła ręce na kolanach.

Nieruchome, zmartwiałe, jakby nie jej własne. I oczy miała takie same.

– Słyszał pan nas – stwierdziła.

– Tak.

W swojej odpowiedzi usłyszałem tyle goryczy, że aż mnie to zdumiało. Podśluchana rozmowa i to, co z niej wynikało, poruszyło mnie bardziej, niż mogłem przypuszczać.

– Tam, na targu, nie spotkała mnie pani przypadkowo. – Zdecydowałem się zjeść tę żabę od razu.

Myślałem, że potwierdzi, ale milczała.

– Szukała pani kogoś takiego jak ja. Nieokrzesanego, niebezpiecznego chłopca, któremu można by w jakiś sposób zaufać. Była pani zdecydowana sprowadzić go tutaj i zatrzymać na jakiś czas, żeby się przeciwstawił ewentualnemu porwaniu waszych ludzi.

Nie potwierdziła moich słów. Podziwiałem ją za to i było mi jej żal.

– Myślałam, że to jeden człowiek, najwyżej dwóch. Szaleniec, który przeczytał coś w starych księgach i próbuje sprawdzić, czy to prawda – powiedziała po chwili cicho. – Nie przypuszczałam, że przyślą ich cały oddział i będą aż tak... zorganizowani.

Jej uwaga brzmiała logicznie. Jeszcze niedawno magią i związanymi z nią przedmiotami interesowali się głównie półwariaci. I tylko prawdziwi fanatycy mieli ochotę na próby praktyczne.

– I od początku wiedziała pani, że tych pięciu nie przyszło po mnie, ale po was.

Przytaknęła.

Przypomniałem sobie rozmowę, jaka miała miejsce po ataku porywaczy.

– Każewicz przestraszył się do tego stopnia, że wtedy chciał, żebym został. Żądał, żeby zrobiła pani wszystko, co możliwe, żeby mnie zatrzymać.

– Tak.

W oczach miała smutek, ramiona opuszczone, patrzyła w bok.

– Teraz z powodu akcji Konwentu zmienił zdanie, stara się mnie pozbyć.

– Tak, teraz uważa, że tamci nie przyszli po nas, ale po pana. Co więcej, wierzy, że wystarczy trzymać głowę nisko przy ziemi, nie wychylać się i przeczekać to wszystko, a w powstałym zamęciu zapomną o nas. Ale nie musi pan odchodzić. – Na chwilę na mnie spojrzała.

Udałem, że tego nie usłyszałem. A spojrzenia nie dostrzegłem.

– Kim pani właściwie jest? Co pani ma wspólnego z magią? Co dokładnie znaczą słowa o okaleczaniu dzieci, kamiennych płytach w kołyskach? – zacząłem wypytywać zamiast odpowiedzieć.

– Tego nie mogę panu powiedzieć, tajemnica dotyczy nie tylko mnie.

– Rozumiem. – Kiwnąłem głową.

Wiedziałem już wystarczająco dużo, żebym zdołał dodać dwa do dwóch.

Odetchnąłem głęboko. Przed paroma godzinami powiedziałem sobie, że człowiek musi podporządkować się biegowi wydarzeń, na które nie ma wpływu. Okoliczności znów wpłynęły na moją poprzednią decyzję, było to przykre i tym razem nawet bolesne.

– Właśnie po to przyszedłem, żeby powiedzieć pani, że odchodzę. W Krachtiburgu ziemia pali mi się pod nogami. I chociaż to komando nie przyszło po mnie, jest aż za wielu chętnych na moją głowę.

Wiedziała, że to nieprawda, że nie z tego powodu przyszedłem do niej aż na skraj bagien.

Obserwowaliśmy się nawzajem w zapadającym zmroku, czasem zatrzeszczały tylko dopalające się w piecu węgielki.

– Teraz już chyba nie ma sensu prosić pana o pomoc – powiedziała w końcu.

– Ma pani zbyt dużo niebezpiecznych tajemnic i nie ufa mi pani. A ja także już pani nie ufam.

– Pojmuję. – Kiwnęła głową. – Te ryby wyrzucimy? Jutro już nie będą tak dobre.

Zjedliśmy je w milczeniu, zatopieni w myślach. Jak smakowały, nie zauważyłem.

– Z Bogiem. – Wstałem, gdy talerze były już puste.

– Jedno pytanie – powiedziała. – Czy coś by się zmieniło, gdybym zapytała pana wprost, od razu na początku?

Nie zapaliliśmy świecy i kuchnia pogrążona już była w ciemności. Przez chwilę starałem się znaleźć uczciwą odpowiedź.

– Nie wiem. Zmienia nas to, co przeżyliśmy. Położyłem rękę na klamce i zatrzymałem się.

– Ale mam dla pani jedną radę. Jeśli was, ludzi z czworoboku, naprawdę szukają, a wy tu zostanieie, prędzej czy później was złapią. Oni byli świetnie zorganizowani, mieli jakąś bazę. Stracili cały oddział w jedną noc i to ich przestraszyło. Wycofali się, ale wrócą. W większej sile i lepiej przygotowani. Ktoś, kto w poszukiwaniu zaangażował tyle środków, tak łatwo się nie podda. Musicie zniknąć.

Jeszcze chwilę myślałem.

– Żeby zmusić innych do ucieczki, musi pani ich przekonać, pokazać im dowody. Albo odejść sama.

Po tej ostatniej radzie zamknąłem za sobą drzwi, spakowałem rzeczy i po chwili maszerowałem uliczkami do jakiejś gospody, gdzie mógłbym znaleźć tymczasowe mieszkanie. Później przypomniałem sobie, że miecz, z którym przybyłem do Krachtiburga, zostawiłem ukryty w czworoboku. Wracać po niego nie chciałem, poruszanie się po terytorium Cesarstwa Wewnętrznego z bronią długą było dla człowieka innego stanu niż szlachta bardzo ryzykowne. Była to tylko wymówka, w rzeczywistości nie chciałem już spotkać się z Liamą. Im prędzej zostawię Krachtiburg i związane z nim wspomnienia za sobą, tym lepiej.

Dwa razy do tej samej rzeki

Fresz siedziała na częściowo rozebranych, a częściowo rozpadającym się murze obronnym. Ze swego miejsca mogła widzieć wszystkich innych bezdomnych. Stojące niedaleko domy chroniły jej noclegowisko przed przeważającymi jak dotąd południowymi wiatrami i dopiero jak nastanie druga połowa jesieni i rządy obejmą wiatry północne, to wygodne miejsce przestanie się nadawać do spania aż do nastania cieplejszej pory roku. Nikt nie przypuszczał, że Fresz sypia tak wygodnie. Na szczęście, bo inaczej przegoniliby ją natychmiast. Rozejrzała się, żeby ocenić sytuację. Dawno się nauczyła, że będąc małą dziewczynką, musi opierać się na umiejętności przewidywania, zdolności szybkiego podejmowania ryzykownych decyzji i postępować według tych zasad. Nie umiała walczyć pięściami ani nożem; musiała być szybka i nie rzucać się w oczy, to ją utrzymywało na powierzchni.

Stary Gragi dostarczał pijakom świeżego piwa. Nie podawali go w gospodach, ale on zawsze dobrze wiedział, gdzie mają dopiero co uwarzone, i jakimś cudownym sposobem umiał ze swego procederu pozyskać jakieś pieniądze. Ktoś powiedział kiedyś Fresz, że Gragi nie ma jeszcze nawet trzydziestu lat. Wyglądał jednak na prawdziwego starca. Było jej wszystko jedno, jeśli chodziło o wiek, to między trzydziestką a sześćdziesiątką nie widziała żadnej różnicy. Nie myślała o tym, ale czasem uświadamiała sobie, że ona sama tak długo żyć na pewno nie będzie.

Słońce wznosiło się już nad horyzont, odwróciła się do niego plecami, żeby szybko ogrzać się po nocnym chłodzie. Lubiła słońce, choćby za to, że świeciło dla wszystkich bez żadnej różnicy. Na skraju niezabudowanej przestrzeni, wypełnionej kupami śmieci, karłowatymi krzewami i pokręconymi drzewkami, pośród gęstwiny akacji rosnących na szczątkach baszty obronnej, obudził się właśnie gruby Lafy. Z jego strony żadne niebezpieczeństwo nie zagrażało. Był skromny, a zatrudniał się jako goniec u rzemieślników. Jego tusza dodawała mu wiarygodności i potrafił zarabiać niezłe pieniądze. Kiedy Fresz działo się bardzo źle, kilka razy poratował ją jedzeniem. Więcej niż kilka razy, przyznała i zachmurzyła się. Nie lubiła być komukolwiek dłużna.

Nieco dalej, w drugim z najwyższych położonych miejsc opuszczonej enklawy miejskiej, zapewniającym najwięcej dróg ucieczki, wypoczywał Dangi. Miał siedemnaście lat i Fresz podziwiała go. Zawsze potrafił skombinować lub załatwić mnóstwo rzeczy. Albo jeszcze spał, albo tylko patrzył w niebo, jak to miał we zwyczaju. Ostatnio raczej go unikała, bo stwierdziła, że zwraca na nią uwagę w sposób, jakiego nie lubiła. Wiedziała, że nie jest to dla niej bezpieczne, ponieważ coraz częściej doświadczała tego i od innych mężczyzn. Pomimo że była chuda, a piersi bardziej nie miała, niż miała.

Dobrze wiedziała, jak można zarobić na ulicy, ale uważała, że lepiej kraść, niż puszczać się za kilka miedziaków. Albo srebrników, gdyby doszła do wprawy, rozważyła lepszy wariant. Kilka razy w zimie, w czasie największej biedy, kiedy była naprawdę bardzo głodna, pomyślała o takiej możliwości, ale na tym się skończyło. Teraz, kiedy zdobyła – podobało jej się to słowo, przywodziło na myśl przygody, o których opowiadali pijacy przy ognisku podczas uroczystości miejskich – otóż gdy zdobyła sakiewkę zawierającą prawdziwy skarb, o spaniu z chłopami za pieniądze przestała myśleć. Problemem było co innego, wszystkie drobne z sakiewki już wydała i zostały jej tylko całe złote i jeszcze gorsze od nich dziesięciozłotówki. Z powodu złocisza większość ludzi z jej otoczenia

zapewne dotkliwie by ją pobiła, a z powodu większej kwoty... tej myśli nie dokończyła.

– Dangi? – zagadnęła na tyle cicho, żeby tylko on usłyszał.

Z kupy łachów wyłoniła się rozczochrana głowa. Nie spał, przypuszczała trafnie.

– Ile srebrnych dałbyś za złocisza? Gdyby mi się udało go ukraść? – powiedziała, zanim zdążył wygłosić jedną ze swych chybionych ofert.

– Dwanaście srebrniaczków, ślicznotko. Jak przyjdiesz tu do mnie szybko.

Dangi interesował się nią i wcale się z tym nie krył. Przez chwilę myślała o tym, co powiedział, obserwując go z drwiącą miną. Zarobiłaby dwa srebrne i miała gotówkę, której mogłaby używać, a nie tylko przypatrywać się jej w ukryciu. Co więcej, Dangi był lepszym wyborem niż większość innych. Właściwie wszystkich, których знаła, poprawiła się. Może później, zdecydowała się ostatecznie.

– Tyle to ty wcale nie masz, łgarzu – fuknęła.

Wyrównała swoje dwie kołdry i ułożyła na nich pluszową maskotkę, która pomału, ale wyraźnie traciła resztki kształtu. Nałożyła na to wszystko gałęzi, żeby w razie deszczu zmokło jak najmniej, i ze zręcznością akrobatki ześlizgnęła się z muru. Niektóre z wystających cegieł, których się chwyciła, trzymały się tylko na słowo honoru i ktoś cięższy od niej prawdopodobnie spadłby. To była zaleta jej noclegowiska.

Poszła ku targowisku. Postanowiła, że chociaż jest bogata, musi sobie ukraść śniadanie, tak jakby nie miała ani grosza. A jeszcze do tego jesienią. Handlujących owocami, zbożem i innymi artykułami spożywczymi było w mieście mnóstwo, a w czasie urodzaju sprzedawcy zwracali na towar mniejszą uwagę. Zwłaszcza na przypieczone pierogi, precle, niezbyt ładną marchew, obite jabłka i temu podobne. W zimie było o wiele gorzej.

Z nawyku przeszła wokół kilku ulicznych budek z ciepłymi potrawami. Często rankiem jedli tam coś mężczyźni, którzy zmęczeni całonocnym popijaniem zmierniali na pierwszą zmianę. Byli nieuważni i czasem gubili parę miedziaków, wystarczyło je pozbierać. W pierwszej i drugiej budce nie miała szczęścia. Na ławce przeznaczonej dla jeżdżących śniadanie w taniej budce, gdzie za miedziaka dawano rzadką, ale gorącą zupę w dowolnej ilości, a za dopłatą dodawano chleb, siedział wysoki, szczupły mężczyzna w długim kabacie. Garbił się, głowę trzymał nisko, prawie tuż przy talerzu, w ręce miał łyżkę, ale nie jadł. Wyglądał, jakby był nieobecny duchem. Poznała go natychmiast. To właśnie on był źródłem jej bogactwa, to jego okradła z tak dużej ilości pieniędzy. Stała po przeciwnej stronie ulicy oparta o pień lipy walczącej o przestrzeń życiową z miejskim brukiem. Dziwiła się, że ktoś tak bogaty je przy stole dla biedaków. A jeszcze dziwniejsze było to, że nie ubierał się odpowiednio i nie wyglądał na bogatego. Zanim zajrzała do jego sakiewki, nie sądziła, że miał tyle pieniędzy. Wahala się tylko przez chwilę, dawno się nauczyła, że jeśli chce przeżyć, musi wykorzystywać każdą szansę. Dostosowała tempo do grupy przechodzących robotników budowlanych. Żyjąc na ulicy, zauważyła, że ludzie idący w grupie nie maszerują tak jak żołnierze, lecz mimo to ich marsz cechuje pewien ład. Poruszają się jako całość. Gdy się dołączy do

grupy czy partii ludzi zmierzających do jakiegoś celu, zrówna z nimi swe ruchy i oddech, to jakiś czas minie, zanim zauważą, że idzie z nimi ktoś obcy. Kilka razy taką sztuczkę już z powodzeniem przeprowadziła. Opowiedziała o tym kiedyś Dangiemu, bo chciała wiedzieć, na jakiej zasadzie to działa, ale nie zrozumiał, o co chodzi.

Tak jak przypuszczała, idący do pracy robotnicy w ogóle nie zauważyli jej obecności. Przesunęła się w takie miejsce, żeby mogła, nieznacznie tylko zwalniając kroku, sięgnąć mężczyźnie do głębokiej kieszeni kabata. Miał tam drobne, spostrzegła to, gdy płacił za chleb.

Już mogła go dosięgnąć. Czowała się niewidoczna, zlewała się z otoczeniem. Takie sztuczki udawały się najlepiej rankiem, szczególnie wtedy, kiedy była głodna. Już włożyła rękę do kieszeni, nawet nie dotykając materiału. Pieniądze były. Doskonale.

Łaps! Znieruchomiła, jej rękę trzymała zimna stal. Ale nie były to kajdany, tylko palce nieznajomego.

– Ahoj – powiedział, trzymając ją mocno.

Robotnicy poszli dalej, wciąż jej nie dostrzegając. Właściwie nikt jej w tej chwili nie zauważał. Jakiś przechodzień spojrzął na nią przelotnie, odwracając zaraz wzrok, jakby ten wielki mężczyzna nie trzymał jej jak w kleszczach. Jakby to nic nie znaczyło, jakby już była martwa. Owładnął ją strach.

– Siadaj.

Nie rozumiała, jak to zrobił, ale naraz usiadła.

– Jeszcze jedną zupę dla damy. I chleb.

Dla damy? Chciała parsknąć śmiechem, żeby dołączyć do innych, którzy zaraz zarechoczą na całe gardło, ale nikt się nie zaśmiał. Nawet pomocnik kucharza, nalewający porcje zupy, nawet kobieta roznosząca chleb i pobierająca za niego drobniaki.

Może z powodu tego mężczyzny. Wyglądał na niebezpiecznego, wyczuła nawet, że nie jest w dobrym humorze. Zdawał się zimny jak kamień, aż cierpła skóra.

– Nie próbuj dwa razy wchodzić do tej samej rzeki – powiedział. Podający postawił tymczasem przed nią miskę i napełnił ją.

Nie rozumiała tego, co powiedział. Teraz gdy siedziała, a on ją puścił, mogła spróbować uciec. Ale dostała jeść. Uciec mogła później. Głód był silniejszy niż strach. Łapczywie połykała zupę, zdając sobie sprawę, że mężczyzna ją obserwuje.

– Nie próbuj mnie okraść drugi raz – powiedział. W jego głosie nie było emocji ani żadnej intonacji, ale miała ochotę skurczyć się mimo woli. Zły na nią jednak nie był. Chyba na coś innego.

Interesowało ją, jacy są ludzie, jak się zachowują i dlaczego. To pomagało przeżyć.

– Dlaczego? Żyję z tego, nic innego nie umiem, nic nie mam – powiedziała wcześniej, niż zdążyła pomyśleć.

Dziwne, ale jej odpowiedź nie rozzłościła go, zamyślił się tylko.

– Bo cię złapałem.

Ta odpowiedź miała sens.

– Ale ja naprawdę nic innego nie umiem – powiedziała bardziej bezbrinnie, niż zamierzała.

Okazywanie bezbronności to błąd. Już się o tym przekonała.

Nie odpowiedział, zachmurzył się tylko jeszcze bardziej.

– Jaki masz problem? – zapytał nieoczekiwanie.

– Nie mam drobnych, tylko złotówki i dziesięciozłotówki! – wyrzuciła z siebie wcześniej, niż pomyślała, że mówi o jego własnych pieniądzach.

Ale pomyślała, że dobrze zrobiła. Ten człowiek był szczególny, inny niż reszta ludzi. Przystawała się go bać, sama nie wiedząc dlaczego.

Nadstawił rękę dłonią do góry, a ona po krótkim namyśle położyła na niej złotego. Wsadził go do kieszeni, którą parę minut temu chciała ogołocić, wyjął garść srebrnych monet i położył je przed nią na stole. Nie przeliczył ich.

– Dużo szczęścia – powiedział, wstał i wyszedł.

Schowała rozmienione pieniądze. Było ich dziesięć. Rozejrzała się, ale nikt nie zauważył jej bogactwa. Chyba nadal ochraniał ją cień tego wielkiego mężczyzny. Dojadła swoją porcję, potem jego porcję i wstała. Już nie była głodna, ale coś dobrego chętnie by jeszcze zjadła. Srebrniak byłby pewnym problemem, ale wiedziała, gdzie go rozmienić na miedziaki. Jak sobie poradzi z dziesięciozłotówkami, to już sprawa na później.

Plan awaryjny

Zostawiłem tę wychudłą dziewczynkę i poszedłem przed siebie bez celu. Odwróciłem się po kilku krokach, ciągle jeszcze łykała zupę, a jeśli mnie obserwowała, to tak umiejętnie, że nie było tego widać. Znajdowałem się w o wiele lepszym położeniu od niej, nie musiałem bać się ciemnych ulic, nie musiałem oglądać świata z pozycji ściganego zwierzęcia.

Zbliżyłem się do granicy miasta i na jednym z placyków służących jako nieoficjalne miejsca targowe dla przyjezdnych z okolicy, po porcji gorącej, rzadkiej zupy postanowiłem kupić sobie jeszcze pieczoną kiełbasę. Pomału ją pojadałem i obserwowałem nasilający się ruch.

– Widzę, że sprzedajecie kapustę. Pytam się, gdzie mieszkacie!

Tak przenikliwy głos tak wcześnie rano powinien być zabroniony. A karany najlepiej ścięciem głowy lub obcięciem języka. Po chwili zorientowałem się, skąd pochodził ten wrzask. Śledczy Konwentu, wściekły z powodu tego, że nie złapał dziś jeszcze żadnego czarodzieja, wyładowywał złość na staruszkę usiłującym spieniężyć swoje plony.

Ja też bywałem czasem zaganiany w kąt, poprawiłem swój poprzedni osąd, patrząc na arogancję śledczego, ale miałem wystarczająco ostre zęby, żeby przegryźć się na swobodę. Tamta dziewczynka takiej możliwości nie miała.

Nie miałem powodów do narzekań. Liama zachowywała się tak, żeby w tym okrutnym świecie przeżyć i ochronić tych, na których jej zależało. Każdy musi używać takich narzędzi i takiej broni, jakie mu los podarował.

Na drogach wychodzących z miasta tworzyły się długie kolejki i nikt nie próbował ich omijać. Wybrałem najbardziej uczęszczany trakt, prowadzący na południe, do przeprawy przez Brunatne Jezioro, i poszedłem w odległości około sześciu metrów obok drogi. Mijałem pojedyncze wozy drobnych kupców i rzemieślników, całe karawany i fury okolicznych farmerów. Stwierdziłem, że zator jest dziełem celników i przydzielonych im do pomocy żołnierzy. Na pierwszy rzut oka trudno było zorientować się, czy to straż miejska, czy inne formacje. Zbrojni zatrzymywali każdy wyjeżdżający wóz, każdego pieszego; dokładnie wypytywali podróżnych o wszystko, co możliwe, coś zapisywali do protokołów, rewidowali ładunki i ludzi. Jakiegoś pechowca bez wyraźnego powodu gdzieś odprowadzili.

– Bękarty, swojaków męczą, a prawdziwych łotrów nigdy nie łapią – zamruczał jakiś mężczyzna z batem w ręce, który też podszedł do przodu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Tak to jest – zgodziłem się z nim i zawróciłem.

Patrole na drodze nie były specjalnym problemem, po prostu wyjdę z miasta nocą. Ponieważ musiałem zostać na miejscu jeszcze jeden dzień, postanowiłem załatwić kilka spraw. Jedną z nich stanowili czarodzieje. Nie chciałem, żeby któremuś z nich puściły nerwy i próbował uciekać albo

żeby popełnili jakiś inny błąd, który popchnąłby ich w łapy Konwentu. Na pewno nie kryliby mnie w takim przypadku. Byłbym następny w kolejności. Inną rzeczą jest wymknąć się niepostrzeżenie, a całkiem inną uciekać ze sforą łowców za plecami. Musiałem spotkać się z nimi, uspokoić ich i przekonać, że muszą siedzieć cicho i czekać.

Idąc przez miasto, nasłuchiwałem się mnóstwa szeptanych wiadomości, z których wynikało, że za wszystkie te przykrości, jakie spadły na mieszkańców miasta, odpowiedzialny jest Konwent. Jeśli to była prawda, to musiały inkwizytorom przybyć posiłki z innych miast. Albo główny śledczy użył swych uprawnień i podporządkował sobie część miejskich sił zbrojnych. Do tego potrzebował jednak wyraźnych dowodów, żeby później obronić swoją decyzję przed miejscowymi władzami. Jak również przed badawczym wzrokiem szlachciców, którzy takiego rządu się na ich terenie nie lubili.

Czarodziejów znalazłem siedzących razem w jadalni pensjonatu, w którym mieszkali. Czterech dorosłych chłopów wysiadujących od rana przy stole? Tylko idiocie nie wydawaliby się podejrzani. Na szczęście w pobliżu gawędziło jeszcze dwóch innych gości, a w kącie siedział zamroczony samotnik, sądząc z przyzwoitego odzienia i łańcucha zamiast paska od spodni, handlarz drogimi kamieniami i metalami szlachetnymi. Nie tylko czarodziejów zdenerwowała aktywność Konwentu.

– Co pan tu robi? – wyskoczył na mnie Majal, gdy mnie spostrzegł.

Miał cienie pod oczami, niewiele spał tej nocy. Janick też nie, ale był młodszy i mniej było to po nim widać. Człowieka najętego do brudnej roboty nigdzie nie dostrzegłem. Niezbyt mi się to spodobało, nie chciałem go mieć gdzieś za plecami.

– Musimy omówić dużo spraw. Czy może zmieniliście zamiary? – zapytałem stłumionym głosem, usiadłem bez zaproszenia i skinąłem na gospodarza.

– Kawy, cały dzbanek – zamówiłem.

– Dwa miedziaki – mruknął. Dałem mu trzy.

– Mocną.

Kiwnął głową i potelepał się do kuchni, na rozgrzanej płycie kuchennej parsknęły krople wody, gdy postawił na niej mokry garnek.

– Już mamy towar na handel? Przygotowane wozy, konie, wyposażenie na drogę? – rzuciłem serię pytań.

– Wozy i konie są przygotowane – zareagował Janick. – Towaru trochę mamy, ale nie jestem pewny, czy odpowiedni.

– Chce pan wyjechać zaraz? – wycedził pogardliwie Majal.

Trzymał w ręce nóż i nerwowo czyścił nim sobie paznokcie.

– Niech pan to schowa – powiedziałem.

– Dlaczego? – nastroszył się.

– Dlatego, że siedzę koło pana, a nie lubię, gdy ludzie w pobliżu mnie trzymają broń – wyjaśniłem z przyjacielskim uśmiechem.

Dwaj czarodzieje popatrzyli po sobie, Majal przez chwilę walczył z pokusą odszczeknięcia mi, ale potem posłuchał.

– Nie możemy wyruszyć, Konwent wszystkich kontroluje i patroluje drogi – powiedział już rozumnie.

Jego ludzie przytaknęli, Mayersowi przy tym zadrgał kącik oka.

– Czy nie powinniśmy plunąć na to i uciec? – szepnął. – Rozdzielić się, wyjść z miasta każdy z osobna, a później gdzieś się spotkać.

Tego właśnie się obawiałem. Dobrze, że przyszedłem.

– Złapaliby was – odpowiedziałem. – Być może nie wszystkich, ale któregoś na pewno. Widziałem, że ludzi opuszczających miasto wypytyją, kim są, gdzie mieszkają, kogo znają i kto ich zna.

Fedor pobladł. Nikt z nich nie był obeznany z niebezpieczeństwem. Może tylko Majal, ale on też wyczekiwanie w oblężonym mieście znosił z trudem. Nie dziwiło mnie to, czekanie jest zawsze najgorsze.

– Ten dom wariatów wkrótce się skończy – zacząłem ich uspokajać. – Dwa, trzy dni, więcej nie wytrzymają. My tymczasem dokończymy wszystkich przygotowań, żebyśmy mogli wyruszyć w najbliższym dogodnym momencie.

Jakiegokolwiek działanie jest lepsze niż bezczynność. Zaprzątnięta czymś głowa i ręce powodują, że ma się mniej czasu na przemyślenie o tym, co złego może się przytrafić. Wystarczyło na nich popatrzeć. Po tym, co im powiedziałem, wyglądali na dużo spokojniejszych, trzymali nerwy na wodzy.

– Nie zrezygnuje pan, prawda? – Majal popatrzył na mnie badawczo.

Wyrazu jego twarzy nie zdołałem przeniknąć.

– Pieniądze to pieniądze. – Wzruszyłem ramionami. Taką odpowiedź rozumiał każdy.

Gospodarz przyniósł dzbanek i ku mojemu zdumieniu dodał do niego czysty, nieobtluczony kubek. Skinąłem głową na znak podziękowania i nalałem sobie kawy. Nie była taka, jaką pijałem u Liamy, ale mocy nie mogłem jej odmówić. O wiele przyjemniej byłoby siedzieć z nią niż gromadą chłopów, od których niczego dobrego nie mogłem oczekiwać, popijać kawę i gawędzić. Ale ona

siedziała ze mną tylko dlatego, że byłem jej potrzebny. Porzuciłem te myśli, zmierzające do nieprzyjemnych wniosków, wynikających z bardzo konkretnych problemów.

– A więc czym będziemy handlowali? – Popatrzyłem po nich.

Majal odchylił się do tyłu, siadając wygodniej, i odsunął się od stołu, jakby to pytanie było poniżej jego godności. Pozostali przejawiali podobne zainteresowanie, czy raczej brak zainteresowania.

– Spróbowałem coś wybrać – włączył się do rozmowy Janick – ale towar, który wydał mi się odpowiedni, jest dla nas zbyt drogi. Nie mamy na niego pieniędzy.

– Czy to nie wszystko jedno? – odezwał się lekceważąco Majal. – Potrzebujemy kamuflażu, nie chcemy wyrzucać pieniędzy. Załadujemy cokolwiek i tyle.

– Śledczy Konwentu nie są takimi głupcami, jak się powiada. Nie ci, którzy pracują na naprawę ważnych drogach – powiedziałem. – Jeśli powieziemy do Malanska towar, na którym nie da się zarobić, to tak, jakbyśmy sami na siebie pokazali palcem. Wszystko musi się zgadzać. Chcemy zarobić, i to tyle, żeby się to pięciokrotnie opłaciło. Nie wolno wzbudzać najmniejszych podejrzeń.

– Majal miał ochotę się kłócić, widać było, że nie chce zgodzić się na to, żeby to mój głos był decydujący, ale wiedział, że ostrożności nigdy za wiele. Może nawet uznał, że mam rację. Zgodził się ze mną w końcu, chociaż niechętnie.

Mimo twierdzeń, że są przygotowani, uściślenie wszystkich szczegółów zajęło dalsze dwie godziny. Kierowałem się własnymi pobudkami. Nie zamierzałem wzbudzać podejrzeń, że planuję wycofanie się z wyprawy, chciałem natomiast dać im zajęcie. Na popołudnie umówiłem się z Janickiem, żeby mu pokazać, co ma załadować na wóz i skąd to wziąć, a także ile to będzie kosztowało. Na razie sam tego nie wiedziałem, jednak wystarczyło zapytać w odpowiednim miejscu. Schantil nie zajmował się wprawdzie drobnymi handlarzami, których mieliśmy udawać, ale był najlepszym źródłem informacji. Czasem miałem uczucie, że potrafiłby zarobić nawet na zdechłych zwierzętach wywożonych za miasto.

Intrygant

Jego Ekscelencja lord Varatchi był wściekły. Niczym tego nie objawiał, ale ludzie, którzy go znali, a to oznaczało wszystkich obecnych w pomieszczeniu, doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Bamegi stał w kącie i w milczeniu obserwował sytuację. Ci, którzy go zauważyli, zdążyli już o nim zapomnieć. Szeregowy sługa gotów do wykonywania rozkazów pana.

– Jeszcze raz, Faynisch, słowo w słowo. Co dokładnie powiedział ten idiota?

– Ma pan na myśli głównego śledczego Konwentu, Karlonisa? – zapytał wezwany, bez wyrazu przyglądając się swemu panu.

Pozostali obecni, komornik, pisarz i sługa podający przekąski oraz napoje, skulili się po tym niestosownym pytaniu, oczekując najgorszego.

O dziwo, Varatchi uspokoił się i Bamegi zrozumiał dlaczego. Faynisch nie pytał ironicznie, na to by sobie nie pozwolił, starał się tylko dokładnie zrozumieć rozkaz swego pana. A prawidłowość i dokładność to było to, czego Varatchi żądał od podwładnych. Więc jeśli przejawiali te cechy, nie było potrzeby ich zastraszać, a w ostateczności niszczyć.

– Tak, myślę właśnie o Karlonisie. I chcę znać wszystkie okoliczności tej rozmowy.

Faynisch przytaknął i skupił się. Nie zdawał sobie wcale sprawy, jak trudne chwile przeżyła z jego powodu reszta obecnych w pomieszczeniu. Geniusz, jeśli chodzi o zapamiętywanie spraw, idiota w stosunkach z ludźmi. Bamegi któryś raz z rzędu potwierdził swoją opinię o nim.

– O godzinie dziesiątej zostałem wpuszczony do głównego śledczego razem z radnymi miasta, którzy żądali, aby przedstawiciel Konwentu cofnął swoje rygorystyczne rozporządzenia zagrażające interesom handlowym – zaczął Faynisch, patrząc przy tym na przeciwległą ścianę. – Główny śledczy napił się czegoś ze szklanki. Była to ciemnobrazowa ciecz, ale chyba nie piwo. Potem zaśmiał się. Zachichotał, powiedziałbym, to dokładniejsze określenie, Wasza Ekscelencjo. – Na moment przeniósł spojrzenie na Varatchiego. – Później główny śledczy oznajmił, że jutro ogłosi prawo trybu doraźnego i zarządzi wezwanie głównych sił Konwentu wprost z Saxpolis. Potem przestał się nami interesować i wyprowadziła nas jego straż osobista.

Varatchi zachmurzył się i zacisnął lewą rękę w pięść, aż stawy zatrzeszczały.

– Jeszcze zanim opuściliśmy salę, nachylił się ku niemu jeden z jego podwładnych i starał się go skłonić, żeby prawo trybu doraźnego ogłosił już dziś. Karlonis odprawił go jednak i kazał sobie przygotować łaźnię. Tego nie jestem zupełnie pewny, bo źle słyszałem – młodzik zakończył swój występ.

Varatchi machnął ręką na znak, że to wystarczy.

– Inkaust, pióro i pergamin. Nie, papier. Z godłem herbowym – rozkazał i w mgnieniu oka

żądane przedmioty znalazły się przed nim. Bezwłocznie zaczął pisać.

Bamegi śledził energiczne pociągnięcia pióra i starał się poznać sens tekstu, ale nie udało mu się.

– Chcę, żeby główny śledczy Konwentu otrzymał to pismo w ciągu godziny – Varatchi odwrócił się do komornika – i to ze wszystkimi formalnościami dyplomatycznymi. Chcę też, żeby Karlonis osobiście natychmiast na nie odpowiedział.

Doręczenie pisma, a co więcej, przymuszenie głównego śledczego Konwentu do zareagowania na nie, było nie lada zadaniem, pomyślał ninja. Nikt z obecnych nie wyglądał jednak na zaskoczonego, łatwych zadań chyba od swego pana nie dostawali. Może dawniej je wykonywali nawet bez polecenia, automatycznie, na takiej zasadzie na jakiej zwyczajni ludzie oddychają. Chociaż Varatchi nic już nie powiedział, Faynisch, sługa i komornik wyszli, jakby na jakiś niewidoczny znak.

– Jakie postępy? – Varatchi zwrócił uwagę na Bamegiego po raz pierwszy od chwili, gdy ninja wszedł do salonu.

– Niedostateczne – odpowiedział ninja wprost i dokładnie opisał niepowodzenia ubiegłych dni. – Z Konwentem na karku nie mamy szans. Wzburza wodę i zmusza interesujących nas ludzi do siedzenia cicho na samym dnie. Wszystko jednak świadczy o tym, że Koniasz naprawdę tu jest.

Varatchi kiwnął głową.

– Czy udało się ustalić, dlaczego Karlonis wykazuje taką niespodziewaną eskalację aktywności?

– Tak. Niedaleko za miastem, w opuszczonej zagrodzie, jakiś rolnik znalazł zbiorowy grób i nic innego nie przyszło mu do głowy, jak tylko opowiedzieć o tym wprost Konwentowi. Ludzie Karlonisa stwierdzili, że zabici byli przed śmiercią torturowani. Zdaniem głównego śledczego jest to dowód na to, że złożono ofiarę w jakim przedsięwzięciu o charakterze magicznym. Mówi o rytuale odradzania się.

Varatchi zniechęcony pokręcił głową.

– To są raczej zwykłe zabójstwa rozbójnicze, takie same jak wszędzie. Karlonis jest głupcem i wariatem. Sprawdźcie, o co naprawdę chodzi, i uspokoiemy sytuację.

– Rozumiem, panie – odparł Bamegi. – Ale jeśli zostanie ogłoszone prawo trybu doraźnego, jakiegokolwiek działania staną się ryzykowne.

– Nie zostanie ogłoszone, dam Karlonisowi zabaweczkę, po którą tu przyjechał.

Varatchi pozwolił sobie na namiastkę uśmiechu.

Poruszył przy tym głową, gra światła i cienia odsłoniła starą bliznę, widoczne było, że ktoś mu dawno temu okaleczył nos. U człowieka na tak wysokim stanowisku było to zdumiewające.

– Czy znalazł pan tego tajemniczego zabójcę? – zapytał.

– Nie znalazłem, ale wydaje mi się, że wiem, kto to jest – odpowiedział Varatchi. – Powinienem domyślić się tego wcześniej. W Krachtiburgu pojawia się człowiek, który już dawniej przejawiał zamiłowanie do zabijania ludzi z mieczem w ręce. I wiem, że poszukiwał broni, która by jego potrzebom odpowiadała w maksymalnym stopniu. Sądząc po tych zabitych na ulicy, którzy przywabili tu Karlonisa, już ją znalazł i wypróbował. A my go głównemu śledczemu Konwentu podrzucimy, żeby się trochę uspokoił.

Bamegi wątpił, że pozyskanie broni zdolnej przeciąć solidną stal powstrzyma Karlonisa przed ogłoszeniem trybu doraźnego, ale zostawił tę wątpliwość dla siebie. Miał dosyć swoich trosk. Dziś rano jego ludzie przez pomyłkę zabili człowieka, który swym zachowaniem wzbudził podejrzenia, że jest Koniaszem. Potem okazało się, że to tylko przemytnik tytoniu przygotowujący się do tajnego wyjazdu z towarem. Musieli bardzo starannie schować ciało, bo potrzebowali zostać tam jeszcze przez jakiś czas. Musieli też zająć się świadkami. Do tego zabrał się sam, bo niektórzy z jego ludzi słowa ZAJĄĆ SIĘ ŚWIADKAMI rozumieli zbyt jednoznacznie. Bamegi wyznawał zasadę, że tam, gdzie wystarczą słowa, nie trzeba używać noża. Co więcej, grzebanie zabitych było męczące. W tym przypadku zażądał, aby świadkowie trzymali język za zębami. Oczywiście zażądał w odpowiedni sposób.

Fałszywi kupcy

Przed wejściem do rezydencji Schantila stało dwóch strażników, których przedtem tam nie widziałem. Ubrani po cywilnemu, bez broni długiej. Ich zawód zdradzała tylko postawa i sposób, w jaki obserwowali okolicę. Prócz długich sztyletów, które zgodnie z miejscowym prawem zastępowały nieszlachetnie urodzonym miecze, spostrzegłem solidny obuszek oparty o ścianę, tak aby był pod ręką, ale nie rzucał się w oczy. Jeden z nich dłuższą chwilę bawił się czymś w kieszeni kabata. Kształtem przypominało to bardzo nieprzyjemny kastet. Śmierć partnerów handlowych wyraźnie przestraszyła Schantila i na ochronie nie oszczędzał. Albo najął ich dla uspokajania rozemocjonowanych klientów, pomyślałem, gdy na zewnątrz pojawił się kolejny mięśniak. Wyprowadzał z domu chłopinę o twarzy czerwonej ze złości. Dwójka przed wejściem spojrzała z nadzieją, że ich pomoc okaże się przydatna, ale nie było potrzeby. Wykręcona za plecy ręka doskonale spacyfikowała awanturnika, zdobył się tylko na słowny protest.

– Nie zostawię tego tak, za wszystko mi zapłaci! Za wszystko! – parsknął wściekły.

Przeszedłem obok głównego wejścia, obszedłem budynek, przez furtkę wślizgnąłem się do ogródka i ruszyłem do wejścia dla służby, trzymając się żywopłotu oddzielającego część reprezentacyjną od prywatnej. Tam też stał strażnik. Wyglądał na znudzonego, opierał się o mur i ssał źdźbło trawy. Nie chciało mi się z nim dogadywać, żeby mnie wpuścił, ale zanim wymyśliłem, co mu powiedzieć, odszedł i z ręką przy rozporoku wszedł w szpaler zielonych cyprysów. Czyżbym miał szczęście i na pomoc przysłała mi potrzeba naturalna? Za chwilę usłyszałem charakterystyczne pluskanie, jakie towarzyszy tej niezbędnej czynności. Wystarczyło pięć długich, cichych kroków i byłem w środku. Do ciągłego pilnowania jednego wejścia potrzeba co najmniej dwóch ludzi. Przeceniłem Schantila, był niepoprawnym sknerą i zatrudnił zbyt mało ludzi do pilnowania.

W kuchni natrafiłem na kobietę, która mnie kiedyś nie chciała wpuścić dalej. Tym razem popatrzyła tylko i przestała się mną interesować. Sądziła, że należę do personelu. Wszedłem na piętro i stanąłem przed drzwiami gabinetu Schantila. Przy stole siedział starszy mężczyzna i pracowicie przepisywał coś z jednej książki do drugiej.

– Jest pan umówiony? – zapytał wcześniej, niż podniósł na mnie wzrok.

– Jak bym inaczej wszedł do środka, pomimo tych wszystkich ludzi? – spróbowałem.

– Pana nazwisko? – zapytał, patrząc do książki przed sobą.

– Tak dokładnie, to umówiony nie jestem – przyznałem.

Spojrzał na mnie z wyrzutem, jakbym zepsuł mu komfortową sytuację, w której się znajdował.

– Ale na pewno ucieszy się na mój widok – dodałem.

Skrzywił się, jakby mi zbyt nie wierzył.

Nawet przez masywne, rzeźbione drzwi dobiegały do nas podniesione głosy. Szybko przerodziło się to w kłótnię. O ile kłótnią można nazwać sytuację, kiedy jeden człowiek krzyczy, a drugiego jakoś nie słysząc.

– Myślę, że nie zaszkodzi, jak pan wejdzie – zgodził się starszy pan. – Dziś przychodzą sami nieumówieni.

Na krótko usłyszałem Schantila. Starał się wyjaśnić, że za wprowadzone przez Konwent ograniczenia w handlu nie ponosi odpowiedzialności, jak też za dostawy towarów, i jest mu bardzo przykro, że kawior się zepsuje. Strat jednak w żadnym przypadku nie wyrówna.

Wyzwiska, jakie po tym nastąpiły, były wykrzyczane z taką wściekłością, że ich nie rozumiałem. Oczekiwałem dalszego ciągu utarczki, ale zamiast tego ozwał się tylko bolesny jęk i drzwi się otworzyły.

– Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że nadal będziemy razem robić interesy – teraz słyszałem Schantila wyraźnie, choć mówił cicho.

W drzwiach pojawił się kolejny ochroniarz i wyćwiczonym sposobem popychał przed sobą spacyfikowanego złoźnika.

– Ja nie przyszedłem się żalić na interesy – powiedziałem, gdy spojrzał na mnie podejrzliwie.

Miał byczy kark i potężne ramiona. Awanturującym się wcale nie musiał łamać rąk, wystarczyła mu sama siła, żeby ich unieruchomić.

– Mnie nie trzeba będzie wyrzucać – upewniłem go.

Tylko się skrzywił.

– Nawet bym nie próbował – odrzekł spokojnie. – Aż tyle mi nie płacą, wolałbym złożyć wymówienie.

Na tym skończył i odprowadził swego podopiecznego w głąb korytarza.

Czy to była obraza, czy komplement? Zależało od punktu widzenia.

Obejrzałem swój płaszcz i zobaczyłem, że się rozchylił i na światło dzienne wychynał bandolier oraz pozostałe pochwy z nożami.

– Chyba nie lubi noży – powiedziałem odźwiernemu, który stał już w drzwiach gabinetu Schantila.

Obojętnie kiwnął głową, bo co można powiedzieć na podobną uwagę.

– Pański partner handlowy – oznajmił i usunął się z drogi.

Wszedłem. Schantil wyglądał na wyczerpanego. Patrzył na mnie szklanym spojrzeniem, jakby mętnie tylko kojarzył, kim jestem i po co przyszedłem. Błady, krople potu na czole, trzęsła mu się ręka, w której trzymał pióro.

– Ilu ludzi musiał pan już dziś tak odprawić? – zapytałem, siadając w fotelu.

Po chwili moje słowa dotarły do niego i opamiętał się w końcu.

– Już straciłem rachubę, całe mnóstwo. – Pokręcił głową. – Gaszę ogień, żeby nie zmienił się w pożar, ale to bardzo uciążliwe.

I jakby przypomniał sobie, jak wiele nas łączy, jeszcze bardziej spochmurniał.

– Nie może pan tak tu przychodzić! Konwent ma swoje oczy wszędzie! – usiłował mówić szeptem, ale tak głośnym, że mógł sobie ten trud darować.

– Ale mnie Konwent o nic nie podejrzewa, w ogóle nie przypuszcza, że istnieję – uspokoiłem go.

Nie na wiele się to zdało, ręce dalej mu się trzęsły. Wstał z fotela, otworzył barek, nalał sobie pełną szklaneczkę czegoś w kolorze brandy dobrej marki i wypił jednym haustem. Potem zaaplikował sobie jeszcze jedną. Dopiero wtedy przypomniał sobie o gościnności i postawił przede mną na stole kielich i karafkę wina.

– Jestem załatwiony – skomentował prawdę oczywistą i bardziej padł na fotel, niż na nim usiadł. Przypuszczałem, że kolejna szklaneczka alkoholu zwaliłaby go z nóg, co zresztą mogłoby być dla niego najlepsze.

– Wszystko idzie pod włos. Dopóki nic poważnego się nie dzieje, straty są do zaakceptowania, ale jeśli ta blokada – zaskakująco nazwał zarządzenia Konwentu – będzie trwała nadal, zanotuję prawdziwe straty. I to większe niż u pozostałych. A pan oczywiście razem ze mną.

Przytaknąłem i nalałem sobie.

– Ustaliliśmy, że pewne delikatne operacje na jakiś czas zawiesimy – przypomniał mi niespokojnie.

Uspokoiłem go gestem wyrażającym zgodę. Tylko wariat lub hazardzista handlowałby w tej chwili artefaktami czy innymi nielegalnymi towarami. Mimo wszystkich swoich wad nie byłem ani jednym, ani drugim. Przynajmniej przez większość życia.

– To już omówiliśmy. – Wstrzymałem go, gdy szykował się utyskiwać dalej. – Potrzebuję porady handlowej.

Schantil trochę się zdziwił, jednak wobec zejścia rozmowy na sprawy czysto handlowe, odzyskał spokój.

– Co można kupić tutaj i później sprzedać z zyskiem w Malansku? Chodzi o inwestycję z niższej półki, nic specjalnie luksusowego.

– Już teraz? – dopytywał się.

– Nie, dopiero jak Konwent skończy z tym bezsenssem – wyjaśniłem.

Schantil westchnął i zaczął omawiać temat szczegółowo. Nie spieszyłem się, wino było dobre i na czas wykładu go wystarczało. Oprócz tego byłem pewny, że na podstawie jego informacji coś stosownego wybiorę.

– Świetnie – powiedziałem, gdy skończył. – Już wiem, czego potrzebuję. Niech mi pan to wpisze do rachunku jako ekspertyzę. – Wstałem i machnąłem ręką na pożegnanie.

– Niech pan to potraktuje jako bonus na poczet naszych wspólnych interesów. – Pokręcił głową w wyraźnie lepszym nastroju. Kiedy szło o zarabianie pieniędzy, a nie o ich wydawanie, był to zupełnie inny człowiek. Może ulżyło mu, że wychodzę. Powinienem być zostać na obiedzie.

*

Po południu na ulicach pojawiło się jeszcze więcej żołnierzy, śledczy Konwentu z czerwonymi paskami na rękawach rozsiewali wokół siebie całe pokłady arogancji, a zwykli ludzie chodzili ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wystarczyło zatrzymać się gdzieś na chwilę, żeby usłyszeć o ujawnionych skarbach magicznych, zdemaskowanych czarodziejach i ludziach zawleczonych na tortury. Odkryłem, skąd Konwent czerpał posiłki. Główny śledczy uciekł się do dawnego zwyczaju – w czasie zagrożenia można było tylko na podstawie złożenia przysięgi przyjmować nowych członków. Pojmowałem, co się dzieje. Ludzie, bojąc się, żeby ktoś nie wskazał na nich palcem, wstępowali w szeregi Konwentu. I niedługo sami zaczną pokazywać palcem na innych. Sytuacja pogarszała się, wiedziałem, że wkrótce ziemia zacznie palić mi się pod nogami. Cudzoziemcy zawsze są pierwszym celem.

Stopniowo przemieszczałem się ku targowisku rzemieślników, na którym miałem spotkać się z czarodziejami. Lub raczej z Janickiem, jako że pozostali zdali się na niego.

Spotkaliśmy się i zgodnie z umową był sam, tylko z dwoma woźnicami najętymi do prowadzenia wozów. Zakładałem jednak, że Fedor lub Mayers kręcą się gdzieś w okolicy, żeby mnie obserwować i sprawdzić, czy nie szykuję żadnego podstępu. Mogliśmy się z Janickiem dogadać, kupić towary taniej, niż im później powiemy, i kilka srebrnych sobie przywłaszczyć. Na przykład.

– No to czym będziemy handlować? – spytał młodzieniec ciekawie.

Od czasu gdy go spotkałem w wiosce, uczynił duży krok naprzód. I chociaż w oczach swych towarzyszy nie zmienił się, to zyskał na pewności siebie, nie był już tym samym zastraszonego młodzikiem.

– Maty trzcinowe. Cena zakupu wynosi od siedmiu miedziaków do srebrnego, cena sprzedaży w Malansku srebrny i trzy czwarte. O takie – wskazałem na kramik z towarem.

– To niewiele zarobimy – zauważył Janick.

Widziałem już Mayersa, kręcił się pomiędzy sprzedawcami kijanek, mydeł i innych środków do prania. W nowej śnieżnobiałej koszuli był nie do przegapienia.

– I jeszcze kosańce – kontynuowałem spokojnie.

– Słyszałem, że dodają tego do piwa – napomknął Janick.

– Tak, odmianę miejscowego kosańca, kosaciec bagienny – przypomniała mi się nazwa z encyklopedii Baumuta – zawiera czynnik narkotyzujący i czasem dodaje się go do napojów alkoholowych. Teraz wyrób takiego alkoholu jest zakazany, ale handel ingrediencjami nie.

W Malansku odwrotnie, kosańcowe piwo jest poszukiwane. Na matach rozłożymy kosańce, a później przykryjemy. Przez cały czas transportu musi być dostęp powietrza, aby rośliny stopniowo wysychały. Jakikolwiek zaparzenie powoduje, że czynnik narkotyzujący degradowuje się.

– Degraduje – Janick powtórzył za mną nowe dla niego słowo. – A cena? Za jaką kwotę powinniśmy ich nakupić?

– Cena nie jest stała, jedna roślina sprzedawana jest przeważnie za miedziaka czy dwa, kupuje się na tuziny w wiązkach. Ale biorąc pod uwagę, że w opinii ludzi, a może i niektórych śledczych, wywar z kosańca ma związek z magią, handlarze zapewne będą chcieli pozbyć się tego towaru.

– Świetnie – uznał Janick i oczy mu zabłyśły.

Pokazałem mu jeszcze, jak maty z kosańcami przekładać, i zostawiłem z resztą roboty. Jeśli chciał zdążyć ze wszystkim, miał co robić do wieczora nawet z pomocą Mayersa czy ewentualnie i Fedora. Chodziło mi właśnie o to, żeby nie mieli czasu na rozmyślanie o tym, co się dzieje i zbędne straszenie samych siebie.

– Przyjdę do was pojutrze rano – pożegnałem go. – Dogadamy dalsze plany, stosownie do działań Konwentu.

Kłamałem. Dziś w nocy zamierzałem zniknąć. Czarodzieje pewnie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo im pomogłem. Stworzyłem im kamuflaż, umożliwiający przy odrobinie szczęścia bezpieczne przeczekanie zbliżającej się nagonki na prawdziwych i domniemych magów. Jeśli nie popełnią błędu, wszyscy będą ich uważać za kupców. Najpierw sprzedali cydr, teraz kupili kolejne towary. Była to zwykła praktyka ludzi zarabiających na życie podróżowaniem z miejsca na miejsce.

Na odchodnym popatrzyłem jeszcze na Janicka. Już z zapałem dogadywał się z jakimś sprzedawcą. Ruszyłem ku najbliższemu stanowisku z mięsem. Zapomniałem o jedzeniu i żołądek przypominał o sobie. Za pięć miedziaków wybrałem sobie pieczoną pręgę wieprzową nadzianą na zaostrzony drut i zanim zdążyłem przełknąć pierwszy kęs, spostrzegłem Liamę. Stała w uliczce obok

sprzedawczyni oferującej wyszywane kocyki, obrusy i inne drobiazgi, które nic mi nie mówiły. Przewracała w nich, ale więcej uwagi poświęcała rozmowie. Wahałem się tylko przez chwilę i okrężną drogą doszedłem do rogu ulicy z drugiej strony tak, abym mógł przysłuchiwać się, będąc niewidoczny. Co ona tu robiła?

– Ładny kocyk. To wyszycie z jeleniem jest szczególnie udane. Moja przyjaciółka ma niemowlę, może by się jej przydał.

Zjadłem połowę wieprzowego węża, podczas gdy rozprawały o dzieciach, mimo że celowo jadłem pomału.

– W ostatnim czasie dzieje się tyle przerażających rzeczy – Liama zmieniała temat rozmowy. – Najpierw ci znikający ludzie, a teraz Konwent z jego polowaniem na czarodziejów...

– U nas też, na naszej ulicy ktoś zniknął! Nawet ja go szukałam. Myśli pani, że to ma ze sobą coś wspólnego? – Sprzedawczyni zareagowała zgodnie z oczekiwaniami.

Obie kobiety nachyliły się ku sobie i zaczęły szeptać, rozróżniałem tylko pojedyncze słowa. Ostatni kęs, z żalem oblizałem palce i wytarłem je o brzeg płaszcza.

– Znałam go z widzenia – powiedziała trochę głośniejszą sprzedawczyni. – Nazywał się Derton. To straszne! Na szczęście Hruzovice są dużą rodziną, miał żonę i dzieci.

Rozumiałem, o co Liamie chodzi. Dokładnie według mojego polecenia szukała dowodów, próbowała sprawdzić, ilu ludzi zniknęło, i znaleźć jakiś klucz do zrozumienia powodów tych zniknięć. Wyglądało na to, że nie nakłamała i naprawdę obawiała się, że ktoś śledzi jej ludzi. Nie kłamała w ogóle. Rzuciłem drut na ziemię i patrzyłem, jak pokrywa się kurzem. Nie kłamała. Czy porwania były dziełem Konwentu? Skupiłem się tylko na faktach, dla mnie też ważne było prawidłowe zrozumienie sytuacji. Tę hipotezę odrzuciłem wcześniej, niż zdążyła się skryształizować. Ludzie znikali po cichu, bez rozgłosu, ktoś zadał sobie naprawdę dużo trudu, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Konwent działał z całą swoją brutalną siłą i wielką pompą, to było dla niego typowe.

Zanim kobiety pożegnały się, zdążyłem kupić sobie drugą porcję takiego samego mięsa i spory kawał z niego zjeść. Gdy Liama odchodziła, stałem do niej plecami, twarzą do muru. Słyszałem jak mruczy pod nosem: Bertone, Lagwicz, Drumer.

Były to rzecz jasna nazwiska zaginionych. Przeszła obok mnie tak blisko, że poczułem jej zapach. Odwróciłem się i zobaczyłem, że od tyłu, z odległości kilku kroków, sprawiała wrażenie człowieka niosącego wielki ciężar. Może większy, niż jest w stanie unieść, tak wielki, że prędzej czy później złamie mu grzbiet. Wzywając do aktywnego dochodzenia prawdy, naraziłem ją na niebezpieczeństwo. Jednak to było jej życie i jej ludzie.

Zanim odszedłem z targowiska, zrobiłem jeszcze jedno kółko wokół placu. Po części dlatego, żeby się upewnić, czy nie jestem śledzony, a po części, żeby wyczuć atmosferę, rytm życia, jaki w Krachtiburgu panował po ostatnich wydarzeniach. Przypadkiem natrafiłem na stanowisko kowala, pakującego już swoje towary. Był to młody człowiek sprawiający wrażenie zmartwionego.

Większość jego wyrobów stanowiły przedmioty, jakich można było w tym miejscu oczekiwać. Motyki, grabie, łopaty i mnóstwo innych drobiazgów, bez których żadne gospodarstwo się nie obejdzie. Na ladzie miał również kilka całkiem ładnych noży, a z tyłu wisiała na haku para krótkich mieczy. Każdy czeladnik kowalski raz czy dwa razy popróbujecie zrobić coś podobnego. Ten zaś wyglądał na młodego człowieka, który stanął dopiero co na własnych nogach i nie jest pewny, czy zdoła się na nich utrzymać. Jednak jego noże były dobre. Nie na pierwszy rzut oka, raczej na drugi. Praktyczne klingi, pieczołowicie przystosowane do czynności, do jakich były przeznaczone. Od krojenia skóry aż do szczepienia drzewek. Nigdy nie szczepiłem drzew, ale czytałem o tym w książce pod tytułem „Narzędzia jako wyraz ludzkiego rozumu”, napisanej przez Leonarda Lorenza. Ale było to tak dawno, że większość jej treści zapomniałem.

– Może mi pan je pokazać? – wskazałem na miecze za jego plecami.

– Nie są na sprzedaż – wymamrotał. – Ja już kończę, zapłaciłem tylko za pół dnia i musiałbym zapłacić za cały, gdybym dłużej został.

– Ile?

– Pięć miedzianych. Położyłem na ladzie srebrniaka.

– Jeśli coś sobie wybiorę, odliczy mi pan z ceny. Kiwnął głową, ale patrzył na mnie podejrzliwie. Podał mi oba miecze razem z prostymi skórzanymi pochwami.

– Nie chcę marnować pańskiego czasu, robiłem je sam dla siebie. Na próbę, żeby wiedział, czy potrafię to, co mój mistrz – mruknął.

Nie oferował mi ich, był zdenerwowany.

Rękojeści zostały wykonane ze z grubsza obrobionego drewna, zbyt miękkiego, ale dobrze ukształtowanego. Klingi jednak były zupełnie innej klasy. Fałszywe ostrze sięgające około jednej trzeciej długości, doskonale wykonana oś i starannie wyrobione zboczę. Postukałem monetą w ostrze i w okolice nasady miecza. Dźwięk upewnił mnie, że hartowanie również było przeprowadzone właściwie.

– Pozwoli mi pan zrobić próbę? – zapytałem.

Nawet mistrzowie płatnerscy niechętnie zgadzali się na coś takiego, przynajmniej w przypadku zwyczajnego klienta.

– Oczywiście – odrzekł natychmiast.

Wyglądało na to, że uraziłem jego honor zawodowy.

Położył na stole półmetrowy kawałek belki i w połowie długości wbił dwudziestocentymetrowy gwóźdź. Nie było to dokładnie według cesarskiego protokołu dla prób broni. Bardziej przypominało konkurs zręczności szermierczej. Obaj o tym wiedzieliśmy, nie było o czym mówić.

Ująłem miecze w obie ręce i przez chwilę przyglądałem się reszcie gwoździa, wystającego z belki na mniej niż szerokość dłoni. Młody kowal skrzywił się, ja się skrzywiłem. Brzęk, brzęk.

Rozważyłem wszystko i stwierdziłem: z belki sterczał ułomek wbitego w nią gwoździa, przycięty na wysokość około dwóch centymetrów. Na ostrzu ani wgniecenia, tylko matowa plama na powierzchni klingi.

– Dobre miecze – oceniłem.

– Czegoś podobnego nigdy nie widziałem – westchnął – i nie słyszałem o czymś takim.

– Dam panu za nie dziesięć złotych. Jeśli może pan polecić jakiegoś zmyślnego chłopinę, który na poczekaniu te okropne rękojeści doprowadzi do porządku. – Poklepałem je lekko.

– Dziesięć złotych? – powtórzył z wahaniem.

– Są warte dziesięć razy tyle, ale nie jest pan wyzwolonym rzemieślnikiem – odpowiedziałem mu poważnie.

Rozważał przez chwilę moje słowa i kiwnął głową.

– Spakuję kram, pan mi go popilnuje, a ja za chwilę wrócę z pańskimi mieczami.

– W porządku.

Nie kłamał.

Wrócił za niecałe pół godziny. Pieniądze schował do mocno zużytego mieszka, z miną, która zdradzała, że w rzeczywistości nie wierzył, że je dostanie.

– Czy mógłby pan wspomnieć o mnie swoim przyjaciołom, którzy płaciliby za podobne sztuki choć w części tak dobrze jak pan? – zapytał, gdy zbierałem się do odejścia.

Myślał o pieniądzach i o tym, na co je przeznaczy. Na lewym nadgarstku miał plecioną bransoletę, jaką dziewczyny dają swoim chłopcom na znak zaręczyn, na palcu lewej ręki pierścień z kiepsko oprawionym kryształem. Prawdopodobnie sam go sobie zrobił.

– Pewnie, wystarczy im powiedzieć. – Wykrzywiłem twarz. – Niech pan pójdzie do którejś z gospód na ulicy graczy i powie barmanowi, że przysłała pana Koniasz i ma pan wiadomość dla Brahma.

– Jaką wiadomość?

– Niech zamówi u pana nóż, ja pana polecam. Noże są jego pasją i chętnie za nie zapłaci.

Nie zapytał, co to za bzdury, tylko patrzył za mną uważnie i czułem to spojrzenie na plecach aż do momentu, gdy zniknąłem mu z oczu między kramami.

Zanim opuściłem targowisko, spostrzegłem Janicka. Nadał negocjował, tym razem z innym sprzedawcą. Fedor z Mayersem już nie usiłowali się chować i z zainteresowaniem przyglądali się Janickowi. Wkrótce zrozumiałem dlaczego. I on, i sprzedawca odgrywali niemal teatralny spektakl, bezustannie się obrażali, w chwilę później godzili, a w trakcie cały czas układali się co do ceny. Sam nigdy nie widziałem, żeby ktoś lepiej się targował, co więcej, wydawało mi się, że Janick negocjuje poniżej powszechnie obowiązujących cen.

– A więc załatwione – doszli w końcu do porozumienia. – Sześćdziesiąt mat po cztery miedziaki. – Przybili dłońmi, obaj zadowoleni.

Zdziwiłem się. Schantil mówił o siedmiu. Czyżby miał złe informacje? Przesunąłem się w bok, usiadłem pod murem, narzuciłem płaszcz na głowę i czekałem w pozie ubogiego człowieka. Sprawiałem wrażenie żebraka, a takich ludzie instynktownie nie zauważają.

Trzech czarodziejów załadowało zakupiony towar na ostatni pusty wóz i odjechało.

Sprzedawca stał i patrzył przed siebie, jakby mu coś umknęło, a on nie mógł tego odszukać. Wstałem i podszedłem do niego. W końcu mnie zauważył i pomału, niezwykle pomału skupił na mnie wzrok.

– Dobry interes? – zapytałem. – Chciałem matę, ale widzę, że te większe już odjechały. No to do następnego razu.

Mężczyzna patrzył na monety w ręce i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Nic nie rozumiem – rzekł zmieszany. – Na każdej straciłem miedziaka. Dlaczego?

Zostawiłem go z jego rozterkami. Ja wiedziałem dlaczego. Któryś z czarodziejów go zahipnotyzował. Mayers i Fedor zwracali uwagę bardziej na Janicka niż na sprzedawcę, a więc musiał to być Janick. Pytanie, czy zdawał sobie z tego sprawę? Hipnoza jest bardzo szczególną rzeczą, łatwo ją przecenić, ale nigdy nie należy lekceważyć. Przynajmniej tak było napisane w starych pismach. Jak to wygląda w przypadku Janicka, już się niestety nie dowiem. O jednym się przekonałem. Recepty z książki, którą mu zostawiłem, działały. Cenna informacja.

Zaskakujące spotkanie

Ostatnią noc w Krachtiburgu zdecydowałem się spędzić w przypadkowo wybranym hotelu. Należał do droższych, ale wolny był tylko najmniejszy pokój, co mi odpowiadało. Kazałem przynieść sobie na górę kolację, butelkę dobrego wina, siedziałem i rozmyślałem o minionych tygodniach. W Krachtiburgu zaszło mnóstwo rzeczy, o których wiedziałem mniej, niżbym sobie życzył. Mężczyzna, z którym dokonałem wymiany miecza na księgi i który jakimś zagadkowym sposobem zdołał uaktywnić jego niszczący potencjał. Komando porywaczy. Mieszkańcy czworoboku należeli do pierwszych osadników po zakończeniu Wielkiej Wojny, a magia towarzyszyła im w życiu codziennym. Kim byli, mając takie zdolności? Ninja poszukujący magicznych artefaktów. Pracowali dla kogoś z arystokratów czy też była to prywatna sprawa ich klanu? I oczywiście stara baza Maaterenditu. Kusiała mnie naprawdę mocno, zwłaszcza że dysponowałem kluczem. Wszystkie te wydarzenia, na pozór niemające ze sobą związku, stwarzały razem niezwykle niebezpieczną sytuację. Niejasną i groźną. Rozmyślenia zmieniły się w partię szachów, którą rozgrywałem sam ze sobą. Co gorsza, ciekawość nie zniknęła. Nie, nie miałem powodu, żeby zatrzymać się tutaj, wiedziałem o tym doskonale. Nie miałem też tak ważnego powodu, żeby przystąpić do gry podobnej do zmagania w labiryncie, gdzie człowiek nie zna prawideł i może się spodziewać, że oprócz znanych przeciwników może mu w każdej chwili skoczyć na plecy ktoś niespodziewany, a za każdym rogiem zastawione są pułapki i zasadzki. Odetchnąłem głęboko. Odejście było dobrym, rozsądnym posunięciem, jednym z niewielu w moim życiu. Czyżbym po dziesięcioleciach spędzonych na szlaku w końcu zmądrzał? Może to za sprawą Liamy, która skłoniła mnie do zmiany klimatu? O wiele lepiej jest uważać się za mądrego niż za naiwnego głupka. Na tym rozmyślenia zakończyłem.

Rozłożyłem na łóżku swoje mienie, wysypałem wszystko z torby i plecaka, żeby wyrzucić te zbyteczne rzeczy, które zgromadziłem podczas pobytu w Krachtiburgu. W miastach dzieje się tak zawsze – kiedy nie trzeba nieść ładunku na plecach, uzbiera się mnóstwo rzeczy. Dwie zapasowe koszule. Jedna wystarczy. Spodnie, w których chodziłem w miejsca, gdzie wymagane było stosowniejsze ubranie niż mój komplet z jeleniej skóry przeznaczony do lasu czy na step. Zbyteczne. Drobne monety, dokładna mapa Brunatnych Bagien od Schantila. Niechętnie się z nią rozstawałem, miałem coraz większą słabość do map, a ta była wyjątkowo doskonała. Plan siedziby starego barona zajmującego się historią i zbierającego stare manuskrypty. Dokładny opis wieży mieszczącej księgi, na osobnym arkuszu papieru.

Tu się zatrzymałem. Zmrok zapadł dopiero niedawno, a ja zamierzałem wyruszyć nad ranem, kiedy patrole mają już zmęczone oczy, zaś ich myśli bliższe są dobremu śniadaniu i wygodnemu łóżku niż ewentualnym uciekinierom.

Na samym dnie torby znalazłem nóż zawinięty w przetłuszczony papier. Nóż kuchenny, z mocnym ostrzem i rękojeścią odpowiednią dla ręki kobiecej. Kupiłem go dla Liamy, zamiast wysłużonych, z wąskimi ostrzami zeszlifowanymi przez oselki, na które narzekała. Ten został w torbie. Tak usilnie starałem się wyrzucić ją z pamięci, lecz nieoczekiwanie wciąż do niej powracała. Nóż zdecydował. Lepiej coś robić, niż siedzieć, czekać i myśleć o głupstwach.

Przebrałem się, położyłem na łóżku ubranie. Całą resztę też zostawiłem. Nie było tego dużo, ale

nie mogłem przecież wspinać się na wieżę barona z większym bagażem. Wziąłem paczkę z książkami, które początkowo chciałem zostawić u Brahma lub u Schantila, jeszcze nie zdecydowałem u kogo. To, co będzie mi zawadzać przy wspinaczce, położę po prostu gdzieś na trawie i w drodze powrotnej zabiorę.

Zgasilem lampę, chwilę posiedzialem, przyzwyczajając oczy do ciemności. Dopiero potem otworzyłem okno. Pokój był ciepły i zimny podmuch aż mną zatrzęsł, ale zaraz to uczucie przeszło.

Nie miałem żadnego konkretnego powodu, żeby nie wyjść zwyczajnie, chyba tylko ten, że nie chciałem, by ktokolwiek wiedział, że wychodzę. Pamiętałem, że pod oknem jest pas udeptanej gliny. To mi odpowiadało. Plecak na ramiona, torba przy boku, przywiązana mocno rzemieniem. Wylazłem przez okno i trzymając się rękami parapetu, opuściłem się na całą długość ciała. Odbiłem się od ściany czubkami butów i zeskoczyłem, lądując na ugiętych nogach. Odgłos mojego zeskoku utonął w gwarze dochodzącym z sali. Skoro kupcy nie mogli handlować, to przynajmniej pili. Szkoda marnować czas, zgodziłem się z nimi.

Miasto znałem już dokładnie i do miejsca zamieszkania starego barona zbliżałem się bez błądzenia, korzystając z wąskich uliczek, w które niedawno zwerbowani członkowie patroli Konwentu raczej się nie zapuszczali. Podobnie rozumowało więcej ludzi, niż oczekiwałem, i w wąskich zaułkach robiło się miejscami ciasno. Stosunkowo ciasno, biorąc pod uwagę nocną porę i niesprzyjające okoliczności.

O tym, że ktoś stoi za rogiem, wiedziałem, zanim się odezwał.

– Na pewno masz trochę drobniaków, które chcesz mi podarować.

Razem z ochrypłym głosem dotarł do mnie zapach taniej gorzałki. Mężczyzna trzymał w uniesionej ręce tasak i mierzył w moją pierś.

Ja natomiast miałem nóż, ale on o tym nie wiedział.

– A pewnie – powiedziałem, uczyniłem krok w lewo, złapałem go za nadgarstek, pociągnąłem do siebie, obróciłem jego ramię i jednym ruchem zwichnąłem mu rękę.

– Milcz albo cię zabiję – szepnąłem i nogą odsunąłem upuszczony tasak.

Jęczał przez zaciśnięte zęby i chwiał się, ale bał się ruszyć. Sięgnąłem do kieszeni, w której miałem garść miedziaków zawiniętych w szmatkę, wcisnąłem mu je w dłoń i następnym ruchem wbiłem główkę stawu na swoje miejsce. Tego już nie wytrzymał i zemdlny upadł na ziemię. Tych kilka monet przyda mu się, zanim będzie mógł choćby częściowo używać prawej ręki. Może się dzięki temu nauczy zebrać skuteczniej. Przy jego awanturniczych zdolnościach byłby to lepszy sposób zarabiania na życie. Naturalnie, o ile nie zabierze się za jakąś robotę. W to jednak powątpiewałem.

Reszta drogi upłynęła mi już bez przygód i krótko po północy stanąłem pod wątlym murem opasującym skromną siedzibę barona. Plan, którego nauczyłem się na pamięć, mówił prawdę. Opierając się na nim, znalazłem chodniczek wiodący dookoła zabudowań gospodarczych aż do

wyższych partii budowli, wyraźnie rysującej się na tle gwiazdzonego nieba. Gdzieś pomiędzy tymi budynkami powinna stać wieża, trochę z boku, wśród drzew.

W ogrodzie panowała cisza, chodnik wyglądał jak świetlista smuga między gęstą roślinnością. Raz czy dwa zszedłem z niej i natychmiast zaszeleściły mi pod nogami zeschnięte liście. Ogrodnik wyraźnie był opieszawy. O ile stary baron w ogóle zatrudniał kogoś takiego. Zatrzymałem się w połowie drogi między obiema budowlami. Wysokie drzewa zasłaniały niebo, co sprawiało, że miałem problem z orientacją. Wieżę odnalazłem dopiero po dłuższym czasie, zlewała się ze smukłymi drzewami, wśród których stała. Sądząc po zapachu i kolczastych gałęziach, były to nadzwyczaj wielkie jałowce.

Przez cały czas wędrówki po terenie posiadłości Sortona nie słyszałem żadnego dźwięku. Oczekiwałem jakichś psów czy strażników, jednak nikogo nie napotkałem. Wysoka trawa była mokra albo od nocnej rosy, albo została podlana. Gdyby nie skórzane spodnie, miałbym zupełnie przemoczone nogi. Wreszcie stanąłem u podnóża wieży. Namacałem kamienie, z których była zbudowana, a między nimi szerokie szpary, część spoiwa już dawno się wykruszyła. Dostanie się na górę nie było wielkim problemem.

Podniosłem głowę ku niebu. Na ogół trudno jest dokładnie ocenić wysokość, a szczególnie po ciemku. Drewniana konstrukcja kolistego tarasu opasującego przestrzeń mieszkalną znajdowała się o dziesięć, dwanaście metrów nade mną. Obchodząc wieżę i wypatrując dogodnego miejsca, zauważyłem na tle nieba poprzeczną belkę wystającą z muru. Plan wskazywał na nią jako na wygodne miejsce do zarzucenia liny z kotwicą. Było to łatwiejsze niż wdrapywanie się po murze. Zanim się zdecydowałem, dostrzegłem w pobliżu metaliczny błysk okucia. Dotykłem stwierdziłem, że znalazłem drzwi. Z doświadczenia wiedziałem, że nawet ci ludzie, którzy nie przywiązywali większej wagi do zachowywania środków bezpieczeństwa, montowali na ogół solidne zamki. Nigdy nie byłem zręcznym kasiarzem i nie miałem przy sobie żadnych narzędzi. Kucnąłem przy zamku, żeby sprawdzić, z jakim mechanizmem mam do czynienia. Niestety, namacałem dwie odrębne dziurki od kluczy. A więc nie był to prosty mechanizm, który zdołałbym otworzyć. Raczej przypadkiem niż rozmyślnie nacisnąłem klamkę i drzwi się otworzyły. W ogóle nie były zamknięte! O wiele łatwiej będzie mi złożyć niezapowiedzianą wizytę w bibliotece barona.

Z ciemnego wnętrza wionął suchy, zimny powiew. To było bez znaczenia, w wieżach ciepło gromadziło się z reguły w górnej części. Po murze, po linie, po schodach? To mogła być pułapka, choć nie przypuszczałem. Miejsce wyglądało na puste i spokojne, a co ważniejsze – ja tak je odbierałem. Wszedłem do wnętrza, zamknąłem za sobą drzwi i przez kilka minut nasłuchiwałem i wahałem, bez ruchu. Zanim węch przywyknie do otoczenia, jest w stanie wyczuć sporo zapachów, które mogą być ostrzeżeniem. Ciemne wnętrze sprawiało wrażenie suchego i schludnego. Żadnych odchodów gryzoni czy ptaków, żadnej wilgoci, minimalna ilość kurzu. Mur wewnętrzny przy obmacywaniu sprawiał lepsze wrażenie niż zewnętrzny. Ostatni głęboki oddech. Wszystko świadczyło o tym, że jestem sam. Sięgnąłem do kieszeni po lampkę i pod osłoną płaszcz potarłem zapałkę. Rozbłysk fosforowej główki pomógł mi rozejrzeć się pobieżnie, po czym płomień zakryłem. Zobaczyłem mocno zbudowane schody na solidnej drewnianej konstrukcji. Nic innego na dole wieży nie było. Teraz, mając do dyspozycji wąski snop światła złodziejskiej lampki, ruszyłem po schodach na górę.

Trzymałem się blisko muru, ale mimo to stopnie skrzypiały pod nogami. Drewno tworzące konstrukcję pachniało żywicą i bejcą. Pierwsze mieszkalne piętro. Otwarte drzwi już mnie nie zdziwiły. Rozejrzałem się na tyle, żeby dojść do wniosku, iż w pomieszczeniu zajmującym całą powierzchnię wieży nikogo nie ma. Krzesła, łóżko, stół, dwie szafy, na podłodze zwyczajny, zdeptany dywan, przenośny piecyk na drewno przyłączony do rury odprowadzającej dym, wyprowadzonej na zewnątrz przez otwór w murze. Wszystko proste, ale wygodne, z dostatkiem przestrzeni życiowej, doskonałe mieszkanie dla miłośnika wschodów i zachodów słońca.

Schody prowadzące wyżej miały bardzo niskie stopnie. Zdziwiło mnie to nieco. Wiodły nie do drzwi, lecz do kłapy w stropie. Popchnąłem ją na próbę i bez wielkiego oporu zaczęła się unosić, nawet nie zaskrzypiała. Uchyliłem ją na tyle, żeby przeleźć do środka, bez ryzyka upadku kłapy na drugą stronę podłogi.

Pierwsze, co zauważyłem w mdłym świetle lampki, to sterta książek leżąca na podłodze tuż obok. Uniosłem lampkę i zobaczyłem księgozbiór ciągnący się wzdłuż muru, którego końce tonęły w ciemności. Byłem we właściwym miejscu. Głęboko wciągnąłem powietrze i poczułem woń starego papieru, pergaminów i skóry. Dla niektórych specyficzny zapach starego księgozbioru mógł być przykry, ale dla mnie oznaczał wielką ilość informacji i wiedzy, ukrytych na tysiącach zapisanych stron. Możliwość poznania myśli dawno już nieżyjących ludzi, nauczania się czegoś od nich, dowiedzenia się więcej. Miałem kilka godzin na zorientowanie się i znalezienie czegoś ciekawego. Niczego więcej sobie nie obiecywałem, chociaż zdarzało mi się przedsięwziąć o wiele trudniejsze eskapady, gdy nadarzała się okazja, żeby zajrzeć do starych zapisów, świadectw ludzkiej wiedzy.

Coś klapnęło. Brzmiało to jak odsunięcie przestłony lampy. Pomieszczenie nappełniło żółtawe światło. Odwróciłem się ostrożnie. Ręce trzymałem z dala od ciała, żeby pokazać, że nie mam broni. Dostrzegłem siwego mężczyznę siedzącego za stołem zapełnionym księgami. Lampa po jego lewej ręce oświetlała niemłodą twarz, cienie zmieniały zmarszczki w głębokie bruzdy. Kartka białego papieru, leżąca przed nim, odbijała światło, przypominała świecący prostokąt. Nie wyglądało na to, żeby starał się sięgnąć po jakiś oręż, zresztą pewnie go nawet nie miał. W ciemnych oczodołach błyszczały oczy, dobrze widoczne w rozproszonym świetle. Obserwował mnie bez strachu, jedyne, co malowało się na jego twarzy, to ciekawość i pewne rozbawienie. Gdy powoli oddychał, cień kałamarza z tkwiącym w nim piórem poruszał mu się na piersi tam i z powrotem.

– Dobry wieczór, panie – przywitałem go. – Przypuszczam, że mam przyjemność z baronem Sortonem.

– Przypuszcza pan słusznie – potwierdził.

Był to głos stary, chropawy skutkiem dłuższego nieużywania. Ale na pewno nie starczy, kryło się w nim zbyt wiele zainteresowania.

– Kim pan jest i co pan tutaj robi?

Na pogróżki lub oburzenie się nie wysiłał.

– Nazywam się Koniasz i przyszedłem przejrzeć pański zbiór książek. Przyznaję, że bez

pozwolenia.

– Ciekawe. Przejrzeć... – powiedział. – A od kogo pan się dowiedział, że w ogóle posiadam jakieś książki? I dlaczego tak pana interesują?

– Powiedzmy, że mamy wspólne zainteresowania, a mianowicie historię. A ludzie, którzy ściągają dla mnie stare druki, powiedzieli, że ma pan kilka bardzo interesujących okazów.

Ta odpowiedź rozbawiła go.

– I dlatego przyszedł pan je ukraść.

Żadnego oskarżenia ani oburzenia, tylko stwierdzenie faktu.

– Przyznaję, że wcześniej o tym myślałem. Ale ze względu na to, że wkrótce opuszczę miasto i uniosę ograniczoną ilość rzeczy, chciałem je tylko przekartkować.

– Na cóż więc pan czeka? – zapytał zdziwiony. – Proszę dalej i niech pan zamknie klapę, żeby nie wlatywało zimne powietrze. Moim kościom to już dobrze nie robi.

Jego nieoczekiwana reakcja zdziwiła mnie, ale posłuchałem.

– Życzyłby pan sobie coś przekąsić? Trochę zimnego mięsa, chleb, kawa, wino? Zawsze nakazuję Afritzowi przynieść coś na noc. Sypia w domu i nie dowołałbym się go stąd. Nad ranem zawsze jestem głodny.

– Chętnie. Tułając się po obcych ziemiach i usiłując uniknąć strażników, szybko się głodnieje. Dziękuję panu za uprzejmość – odpowiedziałem z galanterią.

Uśmiechnął się, wskazał stołek pod oknem.

– Proszę się częstować, później zajmiemy się tym, co pana interesuje. A także tym, co interesuje mnie.

Krótkie pożegnanie

Bamegi wstał z łóżka i podszedł do stołka, na którym leżały ułożone w kostkę wyprane i wyprasowane ubrania. Jedwabie, miękko wyprawiona skóra, szyta na miarę kurtka, niekrępująca ruchów i tak wspaniale impregnowana według starego, drogiego przepisu, że woda ściekała po niej jak po szkle. Broń leżała na miękkim siedzeniu krzesła dokładnie tak, jak ją ułożył. Wszystko pierwszej jakości i najwygodniejsze. Tak jak kobieta, która przyglądała mu się z łóżka. Siedziała z poduszką podłożoną pod plecy, a po wszystkich grach miłosnych udało się jej doprowadzić do porządku i pomimo nagości nie wyglądać wulgarnie, raczej atrakcyjnie i kusząco. Ona też była towarem najwyższej jakości.

Bamegi poczuł przyływ pożądania, ale uczucie to szybko wygasło.

– Ma pan znakomitą kondycję i prezentuje się pan bardzo dobrze – oceniła jego postać.

Bamegi nie odpowiedział, nie miał ochoty marnować słów. Ubrał się szybko, ale bez zbędnego pośpiechu, oszczędnymi, doskonale skoordynowanymi ruchami, na końcu zawiązał wokół pasa jedwabną opaskę i zaczął w zakamarkach odzieży ukrywać pojedyncze sztuki broni.

Kurtyzana obserwowała go bez komentarzy. Rozumiała, że nie ma nastroju do rozmowy.

Zostały trzy ostatnie noże. Zajął się najmniejszym z nich, bronią do sytuacji awaryjnej: małe, niemal miniaturowe ostrze, niezwracające uwagi straży przy rewizji osobistej. Po co ja właściwie tu przyszedłem? – pomyślał Bamegi. Odpowiedź nie była tak prosta, jak mogło się wydawać.

– Wie pan, myślę sobie, że pana to specjalnie nie zabawiło. – Kurtyzana odczytała jego myśli z zaskakującą trafnością.

W pierwszej chwili chciał ją ofuknąć, żeby takie spostrzeżenia zostawiła dla siebie, ale nie zrobił tego. Jednym z wymagań, jakie przedstawił przy wyborze kobiety na dzisiejszą noc, była możliwość sensownej konwersacji. Jednak stracił ochotę na rozmowę. Mógłby ją wprawdzie uciszyć jednym słowem, ale miała rację. Po co właściwie przyszedł?

Klan nagradzał za sukcesy, a on służył mu więcej niż dobrze. Wykorzystywał wszystkie swoje kwalifikacje, wykonywał niebezpieczne zadania i pomału wspinał się w hierarchii klanu. Oznaczało to przywileje, lepszą broń, lepsze ubranie, lepsze prostytutki. Ta kobieta już nie zasługiwała na określenie prostytutka, właściwsze byłoby nazwanie jej zawodową partnerką. Właścicielka przedsiębiorstwa kilka razy zwracała uwagę, że kwota, jaką płaci, jest należnością za cały tydzień. A w ogóle o wiele wygodniej jest zamówić sobie kobietę na jeszcze dłuższy okres czasu. Ostrzegła też, że wybrana przez niego dama może mimo wniesionej opłaty odmówić. Wtedy nie uwierzył w taką możliwość, uważał to za rodzaj gry. Teraz jednak, patrząc w pełne sprytu i pewności siebie oczy ślicznotki, którą kupił sobie na chwilę, nie był już taki pewny.

Ukucnął, żeby zawiązać buty, i równocześnie wyćwiczonym ruchem wsunął małe noże do

pochew umocowanych na łydkach.

Miała rację, pofolgował żądom, ale wszystko, co się z tym wiązało, było mało zabawne. Przypomniał sobie pierwszą kobietę, jaką miał w życiu, tanią, przekwitającą już profesjonalistkę, która poradziła sobie z jego brakiem doświadczenia. Przypomniał sobie, jak nie mógł się doczekać następnego razu i jak długo później wracał do niej myślami. Wtedy i przez jakiś czas później seks go bawił, lubił go uprawiać, tak jak inni mężczyźni. Co się z nim stało? Teraz nawet w luksusowym domu z kobietą, której każdy by mu pozazdrościł, nie czuł ani rozkoszy, ani przyjemności. Jak to będzie dalej?

– Myślę, że już pana nie zobaczę. Żadna z nas pana nie zobaczy – wyraziła przeświadczenie, wstała z łóżka, podeszła do stolika i nalała sobie wody z karafki.

Była piękna, stwierdził jeszcze raz nieco zdziwiony. Piękna nawet teraz, po tych wspólnie spędzonych godzinach w szarawym świetle kończącego się dnia. I miała rację. Ze zdumiewającą pewnością uświadomił sobie, że będzie unikał kobiet, dopóki nie domyśli się przyczyn swojej obojętności wobec tego, co dawniej było dla niego tak cenne.

Ostatnia tasiemka zawiązana, miecz za pasem, na swoim miejscu, jak zawsze. Nie pytała, czy nie boi się chodzić z bronią długą, gdy na zewnątrz panoszy się Konwent ze swoimi dziwacznymi regułami.

– Z Bogiem – pożegnała go, już ubrana w długą, rozpinaną suknię z mocno prześwitującego muślinu.

Nałożyła ją wprost na gołe ciało. Wyglądała... Bamegi szukał właściwego wyrazu, ale przemykało mu przez głowę całe mnóstwo określeń, choć żadne nie wydawało się odpowiednie... Wyglądała po prostu świetnie.

Zwłaszcza że pierwszy guzik, który zdążyła zapiąć, tkwił w najwęższym miejscu rowka między piersiami, a następne z trudem zakrywały resztę.

– Wygląda pani zachwycająco. – Komplement był szczery i niezamierzony. Skłonił się na pożegnanie.

– Dziękuję, ale to też pana nie zatrzyma – odpowiedziała.

Nie wiedział, co naprawdę chciała przez to powiedzieć.

Gdy tylko opuścił luksusowo wyposażoną willę, mieszczącą się w pozornie dzikim, ale starannie utrzymanym parku, całą uwagę skupił na przygotowywanej akcji i wszystkim, co z nią było związane. Myślał o tym, co chciał zyskać Varatchi, zdradzając Konwentowi informację o zabójcy z mieczem. Logiczniej byłoby miecz zatrzymać dla siebie. Ale Varatchi zawsze myślał w szerszych kategoriach.

Bamegi przybył na miejsce spotkania o czasie, a pomimo tego Jego Ekscelencja Varatchi wraz z trzema wysokiej rangi oficerami armii cesarskiej i pięcioma ludźmi Bamegiego już czekał przed

bramą swej rezydencji. Miejsce oświetlała tylko jedna pochodnia, trzymana przez któregoś z wojskowych.

– Ma pan do ochrony jedynie dziewięciu ludzi – stwierdził Bamegi, kiedy dosiadł konia, którego trzymał dla niego Kuzbos.

– Zakładam, że pańskich ludzi mogę liczyć podwójnie, czyż nie? – odpowiedział Varatchi bez śladu ironii, patrząc poważnie na dowódcę ninja.

– Oczywiście, panie, ale to i tak za mało – powiedział Bamegi takim samym tonem. – Człowiek na wysokim stanowisku ma wielu nieprzyjaciół dysponujących znacznymi siłami.

W porównaniu z wojskowymi wyposażonymi w zdobione pancerze, jego ludzie w prostych, ciemnych ubraniach sprawiali wrażenie pozbawionych jakiejkolwiek ochrony. Było to jednak złudzenie, pod kurtami mieli kolczugi znakomitej jakości, najlepsze, jakie można było dostać.

– Mogę przecież polegać na siłach głównego śledczego Konwentu, wicehrabiego Karlonisa, który dowodzi tą akcją. Chcę tylko osobiście przypilnować, żeby otrzymał dokładne informacje i żeby nikt nie mógł mi w przyszłości zarzucić, że nie pomagałem Konwentowi w zażegnaniu krytycznej sytuacji – odpowiedział Varatchi z na wpół skrywanym rozbawieniem.

– Rozumiem, panie – odpowiedział Bamegi i zastanowił się, do kogo to retoryczne wystąpienie było adresowane.

Konie tupały niespokojnie, siodłanie po nocy nie bywało rzeczą zwykłą, a ponadto zwierzęta wyczuwały u ludzi napięcie.

Najpierw usłyszeli tętent kopyt, a w ślad za nim spoza oddalonego narożnika wynurzył się długi szereg świateł. Bamegi nie musiał wydawać rozkazu, ninja natychmiast stanęli wokół Varatchiego, pozornie bezbroni. Tylko Varnet, stojący na pozycji strzeleckiej, trzymał w lewej ręce łuk kompozytowy, ukryty za koniem. Był wykonany z rogu wołu, ścięgien zwierzęcych i starannie wyselekcjonowanego drewna jesionowego, co zapewniało maksymalną siłę rażenia i umożliwiało użycie łuku z siodła. Specjalnie zaprojektowane groty strzał zdolne były przebić nawet najlepszą zbroję. Zadaniem Varneta było zastrzelić dowódcę nieprzyjacielskiego oddziału, w razie gdyby doszło do konfliktu.

Wojskowi nie próbowali ochraniać Varatchiego, z czego Bamegi wywnioskował, że to nie są jego podwładni, ale obserwatorzy z szeregów armii cesarza albo i najemnicy innych szlachciców. Ale dlaczego Varatchi nie miał tu własnych ludzi? Jego prywatna armia liczyła dziesięć tysięcy zbrojnych. W razie potrzeby mógł powołać tyłuż dodatkowych. Nie ma ich tu, żeby nie mogli zostać przesłuchani przez śledczych Konwentu lub kogoś innego, odpowiedział sobie sam. Ninja to zupełnie inna sprawa. Gdyby zaszła taka konieczność, Varatchi kazałby im zniknąć z powierzchni ziemi, a oni wykonaliby rozkaz bez protestu.

Czoło kawalkady już do nich dotarło, większość jeźdźców trzymała prawie na metr długie pochodnie. Za awangardą jechali dowódcy.

Główny śledczy Konwentu, wicehrabia Karlonis, ubrał się na nocną wyprawę w uroczyste, formalne odzienie, ciężki brokatowy płaszcz spływał na zad konia aż do ogona. Wyraźnie widoczne, zdobione złotem naramienniki błyskały w świetle pochodni.

– Bardzo się cieszę, że Konwent ma w swych szeregach ludzi czynu, takich jak pan, wicehrabio – przejął inicjatywę Varatchi, gdy główny śledczy złożył formalny, uproszczony ukłon, zwyczajowe pozdrowienie z siodła. – I że reaguje pan tak szybko. Nie jest to powszechne nawet w armii. Ale do rzeczy – Varatchi nie pozwolił Karlonisowi odpowiedzieć na komplement. – Moi ludzie stwierdzili, że człowiekiem odpowiedzialnym za masakry przeprowadzone w Krachtiburgu przy pomocy magicznego artefaktu jest hrabia Lakel Lumbi. Zaznaczyłem to już w swoim oficjalnym piśmie, które panu posłałem.

– Ale bez konkretnego nazwiska, napisał pan tylko, że chodzi o szlachetnie urodzonego. Czy sprawcą na pewno jest Lakel Lumbi? – zareagował z zapałem Karlonis.

– Dowody są niepodważalne – Varatchi przesądził los Lumbiego. – Ma pan na to moje słowo, a później, jeśli zajdzie potrzeba, przedstawimy i świadków. Co więcej, chętnie pana tam zaprowadzę wraz z pańskimi ludźmi. Nie możemy ryzykować, że ten niebezpieczny człowiek ucieknie.

Bamegi zauważył, że jeden ze świty Karlonisa pochylił się ku swemu panu i coś do niego szeptał.

Nikt nie zwrócił na to uwagi i ninja doszedł do wniosku, że do takiej sytuacji dochodzi bardzo często.

– To jest Afronzi. Człowiek bez należytego pochodzenia, który bardzo chciałby uzyskać szlachectwo. Tylko dzięki niemu główny śledczy utrzymuje się tak długo na stanowisku. Pilnujcie go, chcę, żeby został żywy – rzekł Varatchi.

Bamegi zapamiętał to.

– Panowie! – Karlonis popatrzył na swoich dowódców. – Dzisiejszej nocy przypomnimy wszystkim o sile Konwentu i jego znaczeniu dla zwalczania widm przeszłości!

Nie wszyscy podzielali jego entuzjazm. Co innego przejawiać gorliwość w dzień, w wygodnym biurze lub sali audiencyjnej, co innego zaś konno w ciemnościach, stwierdził lekko ubawiony Bamegi.

Varatchi popędził konia i wraz ze swoją świtą złożoną z wojowników ninja ruszył w ciemność.

– Czy to nie nazbyt ryzykowne, panie? – zawołał Bamegi, kiedy zostawili światła miasta za sobą.

Nie był zadowolony, że ponosi odpowiedzialność za bezpieczeństwo tak wysoko postawionego człowieka. Nawet prosty upadek z konia mógł oznaczać ciężką kontuzję, czasem i śmierć, ponadto mówiąc poprzednio o wielu nieprzyjaciolach, traktował to poważnie. Wyobraził sobie, że w przypadku kryzysu politycznego jakiś arystokrata mógłby zaatakować oddziałem w sile kilkuset ludzi

i zabić Varatchiego. Oczywiście nie było to zbyt prawdopodobne, ale...

– Droga jest dobra, znam ją. – Varatchi nie zwolnił ani na chwilę. – To tylko siedem, osiem kilometrów stąd, a ja potrzebuję utrzymać w nich gorącą krew. Jazda po ciemku to zapewni.

Varatchi miał w planie więcej niż tylko wydanie Lumbiego Konwentowi. Bamegi skupił się na rytmie ruchu swego konia i starał się nie odwracać zbyt często, żeby go światło pochodni nie oświetlało. Doskonale wiedział, gdzie leży stara, kamienna siedziba rodu Lumbich i nie potrzebował wypatrywać bocznej drogi. Wkrótce stanęli przed ciemnym masywem twierdzy pochodzącej z czasów, gdy Lumbi byli biedni, zuchwali i nieliczący się z nikim, a małe wojny między szlachcicami były na porządku dziennym.

Twierdza podobała się Bamegiemu. Budowniczy wykorzystał jedyną skałę w okolicy i użył jej jako wschodniego i północnego obwarowania. A obwarowanie zbudowane z kamienia wyrąbanego ze skały zapewniało odważnym obrońcom niemałe szanse.

Ognisty wąż zatrzymał się przed mocną, co najmniej na cztery metry wysoką bramą.

– Zamknięte – rzekł zaskoczony Karlonis. Bamegi spojrział na niego z ukosa. Zaczynał sądzić, że wicehrabia jest naprawdę niewyobrażalnie ograniczony. Czy właściciel posiadłości powinien witać widocznych z daleka najeźdźców z otwartymi ramionami?

Gdyby główny śledczy kazał zgasić pochodnie, istniała jaka taka szansa na zaskoczenie. A Varatchi nie zaproponował tego, prawdopodobnie celowo.

– Nie mamy wyposażenia oblężniczego. – Karlonis coraz bardziej tracił spokój.

Jeden ze zbrojnych, popędliwszy od pozostałych, zdołał tymczasem starannie obejrzeć przeszkodę stojącą im na drodze. Bamegi natomiast przypatrywał się murom obronnym, ale wydawało się, że napastników nie czeka nic zaskakującego. Nikt nie szykował się rzucić mu na głowę kamienia albo wiadra roztopionej smoły.

Twierdza wyglądała na opuszczoną.

– Brama jest zamknięta, ale nie zablokowana.

– Weźcie się do roboty, wejdźmy już do środka. – Poprzednia energia wróciła do Karlonisa.

Bamegi popatrzył na swego przełożonego, lecz Varatchi zachował twarz pokerzysty. Brama była otwarta za jego sprawą i nie chciał, żeby ktoś się o tym dowiedział.

Dwóch ludzi po każdej stronie bramy nie szczędziło wysiłków i wreszcie wzmocnione żelazem skrzydła zaczęły się pomału, ze skrzypieniem otwierać. Światło pochodni wpadło na podwórzec zamku jako pierwsze.

Dziedziniec nie był pusty. Pośrodku czekał tylko jeden człowiek. Gdzieś pod arkadami okalającymi podwórze musiało palić się co najmniej kilka pochodni, ponieważ obrońca stał w pasie

pólcienia rzucanego przez sklepienie. Bamegi nie rozróżniał szczegółów, widział tylko, że nieznajomy trzyma w ręce miecz. Sądząc po błyskach, jakie światło wydobywało z jego postaci, miał na sobie kirys i pełną osłonę ramion wraz z rękawicami, był jednak bez hełmu.

– To jest hrabia Lumbi – powiedział cicho Varatchi.

– Poddajcie się, czarodzieje! Za posiadanie i używanie magicznego artefaktu będziecie ukarani zgodnie z prawem! – krzyknął wielkim głosem Karlonis.

Hrabia nie poruszył się i nie zareagował na dalsze groźby. Bamegi tymczasem lustrował wzrokiem okolicę. W żadnym oknie nie zapaliło się światło, nie widział ani jednego strzelca. Trzydziestu łuczników szybko zapewniłoby sukces samotnemu mężczyźnie z mieczem i udowodniło, kto jest górą. Z murów zamkowych i ciemnych otworów okien wyzierało jednak opuszczenie i śmierć. Bamegi zaniepokoił się, wrażenie było silne, a on nie wiedział, co je wywołuje.

– Zmiećcie go z powierzchni ziemi – padł rozkaz rozzłoszczonego Karlonisa.

Ruszyło dwóch pierwszych konnych, a za nimi dwóch dalszych.

Nie mają kopii, stwierdził Bamegi, muszą walczyć na bliską odległość i jeśli hrabia zachowa zimną krew, zdoła im to utrudnić.

Lumbi miał dość zimnej krwi. Czekał do ostatniej chwili, bliższego konia ciął w szyję, chytrze przeskoczył przed nim na drugą stronę i trafił jeźdźców z drugiej pary. Na ziemię upadł człowiek i koń, dzikie rżenie zmieszało się z jękami. Bez rozkazu ruszyła do ataku druga grupa i na podwórcu zrobiło się ciasno. Konni przeszkadzali sobie nawzajem, a postać z mieczem przedzierała się między nimi, uskakując czasem za słupy arkad.

Rżenie i krzyk ludzi nasiliły się, odbijały od murów, zakłócając spokój nocy.

– Bije głównie w konie – oznajmił Kuzbos, a Bamegi zgodził się z nim.

Dotarło to już i do Karlonisa.

– Z koni! Otoczcie go i zabijcie!

Podnieceni jeźdźcy, mając przewagę, na którą liczyli, posłuchali natychmiast. Zamieszanie pomału uspokajało się i wkrótce wokół samotnego wojownika zamknął się pierścień nieprzyjaciół.

Dziwne, ale nie próbował uciekać, tylko wyczekiwał.

Zanim ludzie Konwentu zdecydowali się na akcję, sam hrabia Lumbi ruszył do ataku. Bamegi z niedowierzaniem obserwował, jak jego miecz przecina broń przeciwników i wrywa w okrążającym go kręgu krwawe luki. Stał przeciw niemu jakiś sprawniejszy szermierz, jatka zmieniła się na moment w pojedynek wyszkolonych wojowników. Lumbi bronił się przez chwilę, potem zwodem zapewnił sobie dogodną pozycję do cięcia, lecz jego przeciwnik uratował się błyskawicznym odskokiem i odbił cięcie odwrócone. Lumbi jednak znów, tym razem na pozór beładnie, zaatakował,

stał jęklonie zadzwiećczała, klinga przecięła oręż przeciwnika, a on sam skończył na ziemi z rozciętą szyją. Jakby na dany sygnał cała fala zbrojnych rzuciła się na hrabiego równocześnie, sama ich ilość i masa wystarczyły, żeby przyprzeć go do muru i zatłuc pięściami. Nikt jednak nie dotarł do niego bliżej niż na krok. Bój zamienił się w jatkę, ludzie padali martwi lub okaleczeni, niektórzy z ułomkami broni w ręce, inni z wyrazem niezrozumienia na twarzach, gdy zupełnie nie dostrzegli momentu nadejścia śmierci.

Ostatni dźwięk kling, ostatni krzyk. Nikt z napastników nie był zdolny do walki, stwierdził Bamegi, ale jakaś część jego rozumu nie chciała się z tym pogodzić. To niemożliwe, żeby jeden człowiek był w stanie pobić trzydziestu zbrojnych i samemu przeżyć.

Przerażającą scenerię oświetlały pochodnie leżące tam, gdzie zostały porzucone.

Na granicy pola widzenia Bamegi dostrzegł ruch – to Karlonis wyskoczył gwałtownie do przodu. Zrozumiał, że Varatchi uderzył jego konia po zadzie. Ujrzał też coś błyszczącego, co wojewoda trzymał w dłoni. Nie było to więc zwykłe uderzenie.

Karlonis był tak wystraszony, że zanim jeszcze zbliżył się do zbrozonego krwią hrabiego, wyczekującego pośród zwału trupów, spadł z konia.

– Niech pan walczy, walczy, panie główny śledczy – krzyknął do niego Varatchi.

Karlonis wstał, z przestachem rozejrzał się wokoło i patrząc na wysoką postać hrabiego, powoli sięgnął po krótki mieczyk noszony raczej dla ozdoby niż do prawdziwej walki. Podniósł go przed siebie, jak jakąś magiczną relikwię, która mogła go ochronić samą swą obecnością. Lumbi stał w miejscu, tylko skłonił głowę na bok. Czy tak go zdziwiła malownicza figura, która przed nim stała? Może, ale nie powstrzymało go to, żeby zrobić wykrok i zaatakować poziomym, niezbyt szybkim cięciem, dającym Karlonisowi aż nadto czasu na unik. Ten nawet się nie poruszył i jego broń upadła na ziemię razem z głową. Z całego orszaku głównego śledczego pozostał tylko jeden człowiek, radca Afronzi, który przezornie do boju się nie włączył.

Lakel Lumbi przez chwilę przyglądał się porozrzucanym po podwórku ciałom, a później ruszył w ich kierunku.

– Będziemy z nim walczyć pieszo. Metodą wilków przeciw niedźwiedziowi – rzucił Bamegi swym ludziom zarys strategii.

Varatchi ich jednak uprzedził. Popędził konia i stanął w bramie.

– Szanowny hrabio, czcigodny Lakelu Lumbi – przemówił głośno. – Ja, Wielki Wojewoda Rick Varatchi, powiernik cesarza, jestem świadkiem, że bronił pan rodzinnej siedziby! Zaświadczę o tym przed każdym sądem. Prawo stoi po pańskiej stronie, a ja wraz z nim.

Szermierz po krótkim wahaniu skłonił się jakby z żalem. Bamegiemu wydawało się, że w jego oczach z nienaturalną jasnością odbijają się płomienie pochodni.

Varatchi wycofał się z bramy i zawrócił konia.

– Panowie – zwrócił się do trzech oficerów – sami widzieliście, że główny śledczy bez powodzenia próbował aresztować hrabiego Lumbi na terenie jego siedziby rodowej. Stare prawo zwyczajowe mówi, że każdy szlachetnie urodzony ma tytuł prawny bronić siedziby przed każdym wrogiem i nie może być za to karany. A jeśli najazd odeprze i pozostanie przy życiu, to powód, który ten najazd spowodował, zostaje anulowany, wymazany. Jeśli strona atakująca mimo to zdecyduje się kontynuować działania, inni szlachetnie urodzeni zobowiązani są do skutecznej mediacji. To prawo ochraniało naszych przodków przed tym, ażeby nie wygubili się nawzajem, i chroni również nas. Jestem zdecydowany je respektować. Odpowiedzi panów oczekuję jutro, a tych, których panowie reprezentujecie, możliwie najszybciej.

Bamegi widział, jak trójka wojskowych popatrzyła po sobie. Chodziło o oficerów wysokich rangą, prawdopodobnie także szlachetnie urodzonych. Sądząc z wyrazu ich twarzy, znali stare prawo, tylko jego wykładnia w zaistniałej sytuacji ich zaniepokoiła.

– Rozumiem, Wasza Ekscelencjo – przytaknął najmłodszy z nich. – Osobiście zgadzam się z pańską opinią. Jeśli nie potrzebuje pan naszej asysty, to chcielibyśmy o tym politowania godnym wydarzeniu powiadomić naszych przyjaciół.

– Oczywiście – przytaknął Varatchi z odcieniem przychylności w głosie i pochylił się ku młodemu oficerowi. – I niech pan pozdrowi swojego ojca, kiedy go pan zobaczy. Proszę mu przypomnieć o moim zaproszeniu na łowy. O ile panu służba wojskowa pozwoli, jest pan oczywiście również zaproszony.

Trzej oficerowie zasalutowali i odjechali z niedokładnie ukrywaną ulgą.

Teraz Varatchi jechał powoli obok ostatniego człowieka z orszaku Karlonisa, Afronziego.

Afronzi zdołał tak się skurczyć w siodle, że wyglądał na jeszcze mniejszego i drobniejszego, niż był naprawdę. Bamegi nie rozumiał, jakim cudem, jadąc w tak niewygodnej pozycji, nie spada z konia.

Varatchi nie spieszył się, czasem rzucał spojrzenie na przestraszonego człowieczka, oceniał go.

– Według obowiązujących przepisów został pan właśnie głównym śledczym Konwentu tutaj, w Krachtiburgu – przerwał w końcu milczenie. – Z uwagi na pańskie kwalifikacje jest to funkcja, na którą pan zdecydowanie zasłużył – włożył w to zdanie zdumiewająco dużo uznania.

Bamegi zrozumiał, że rozgrywa jakąś nową polityczną grę lub kontynuuje którąś z poprzednich.

Afronzi, trzęsący się dotąd ze strachu, przyszedł nieco do siebie.

– Oczywiście tylko tymczasowym głównym śledczym, na czas sytuacji kryzysowej – mówił dalej Varatchi. – Takie stanowisko może zajmować na stałe tylko człowiek z tytułem szlacheckim.

– Tak, tak, Wasza Ekscelencjo – udało się wykrztusić Afronziemu.

Bamegi widział, jak ten drobny mężczyzna przychodzi do siebie i myśli nad tym, jak w zaistniałej sytuacji wygrać dla siebie jak najwięcej. Jeszcze przed chwilą nie wątpił, że zostanie zabity.

– Gdyby się panu jakimś nieszczęśliwym trafem coś przydarzyło – rozważał głośno Varatchi – to ja zostałbym głównym śledczym jako szlachetnie urodzony i piastujący najwyższe stanowisko. Także oczywiście tymczasowym, ponieważ nie złożyłem przysięgi.

Afronzi wstrzymał oddech. Dobrze wiedział, co oznaczają słowa „nieszczęśliwy wypadek”. Groza i nadzieja walczyły w nim o lepsze.

Bamegi pokręcił głową, gdy zauważył, jak w ręce Darneta, jadącego o pół długości konia za Afronzim, błysnął nóż. Jeszcze raz musiał pokręcić głową, żeby powstrzymać Gaspru, który zawinął rękaw i zacisnął palce. Słowa swego chlebodawcy zrozumieli zbyt dosłownie.

– T-tak, dokładnie tak by było według obowiązujących przepisów – zdołał potwierdzić Afronzi.

Bamegi zobaczył, że zamyka oczy, żeby nie widzieć, skąd nadejdzie śmiertelny atak.

– Z drugiej strony, mam mnóstwo własnych obowiązków – oznajmił niemal z żalem Varatchi. – O ile współpraca dobrze by się nam układała, może zdołałbym załatwić dla pana tytuł, powiedzmy, wicehrabiego. Tym sposobem mógłby pan godność głównego śledczego utrzymać na stałe. Wicehrabia Karlonis, o ile wiem, umarł bezdziejnie. Moi genealodzy już wcześniej zapewniali mnie, że jego ród wymrze. Podniesienie zdolnego człowieka, takiego jak pan, do stanu szlacheckiego rozwiązywałoby mnóstwo drobnych problemów z podziałem jego lenna i podobnych. Niech pan nad tym pomyśli...

Po tych słowach Varatchi popędził konia i zostawił Afronziego samego. Bamegi natychmiast ruszył za nim, aby pilnować pleców przełożonego. Czuł podziw dla Varatchiego, któremu udało się spacyfikować Konwent w Krachtiburgu, a ponadto na najwyższym miejscu inkwizycyjnej hierarchii usadowić swojego człowieka. Bo że Afronzi właśnie stał się jego człowiekiem, w to nie można było wątpić.

– Jutro wszystkie zakazy Konwentu zostaną zniesione i życie w mieście wróci na dawne tory. Mam nadzieję, że Koniasz jest tu jeszcze i nie zrezygnował z zamiaru przetrząśnięcia twierdzy Maaterenditu – odezwał się Varatchi, gdy Bamegi wykorzystał to, że droga stała się szersza i jechał obok niego.

– Obawiam się, że już go nie ma – nie zgodził się ninja. – Sytuacja z punktu widzenia kogoś interesującego się magicznymi artefaktami stała się, łagodnie mówiąc, nieco niepokojąca. A on jest ostrożny. Jeśli jednak z jakiegoś powodu został w mieście, znajdziemy go – zakończył wypowiedź, myśląc o tym, jak będzie w rzeczywistości.

Miłośnicy książek

– Jestem trochę zmęczony, panie I Koniasz.

Baron Sorton spojrział na mnie niemal przepraszająco.

Uświadomiłem sobie, że nasza fascynująca dyskusja trwała wiele godzin. Praktycznie cały dzień.

Wstałem z krzesła i złożyłem formalny ukłon, dokładnie taki, jakiego wymaga cesarska etykieta.

– Dziękuję panu za poświęcony mi czas, baronie.

Teraz dopiero zauważyłem, że mam odgnieciony tyłek, bolą mnie plecy od długiego garbienia się nad książkami, a żołądek doszedł do wniosku, że ktoś mi raz na zawsze przeciął gardło, więc żadne jedzenie więcej do niego nie spłynie. Słońce pomału traciło moc, połowa nocy i większość dnia upłynęły nam pośród starych tekstów, map i częściowo tylko zrozumiałych WTAJEMNICZONYCH uwag kronikarza.

Baron Sorton wyglądał tak, jak ja się czułem, a pomimo to nie sprawiał wrażenia, jakby chciał ostatecznie zakończyć naszą dysputę, dla mnie niezwykle interesującą, a dla nas obu korzystną.

– Jest pan fascynującym człowiekiem, przypuszczam, że miano Koniasz nie jest pana prawdziwym nazwiskiem – oznajmił.

Odznaczał się wrodzoną ciekawością, podobnie jak ja.

– Tak, to fałszywe nazwisko – potwierdziłem – ale używam go już od wielu lat. Jest, powiedzmy, najbardziej ulubione. Prawdziwego, niestety, nie mogę panu wyjawić.

– Jest pan człowiekiem szlaku – odgadł. – A jeżeli najbardziej ulubione, to wystarczy. – Stary baron uśmiechnął się i od razu odmłodził o pół wieku.

Popatrzyłem na tego starszego już człowieka i zapragnąłem odbyć z nim jeszcze wiele podobnych rozmów. Był prawdziwym znawcą historii i ludzi, jego biblioteka zawierała więcej dzieł, niż przypuszczałem, co więcej, zapamiętywał wszystko, co przeczytał. A przeczytał o wiele więcej niż ja, przy czym miał talent do łączenia spraw pozornie ze sobą niezwiązanych. Nie miałem jednak nadziei na następne spotkania z baronem. Burzliwe czasy nie sprzyjają ani bibliotekom, ani starym ludziom.

– Proponuję, żebyśmy trochę odpoczęli, a później, jeśli będzie pan miał ochotę, rozpoczęli drugą turę – powiedział.

– Będę zaszczycony, panie – przytaknąłem. – Tymczasem zaznajomię się z tymi drukami, żebym był lepszym partnerem w dyskusji. – Wskazałem na stosik kilku tomów.

– Obawiam się, że będzie pan miał mało czasu, nie sypiam zbyt długo, w moim wieku zwykle tak się dzieje. W każdym razie ja przestudiuję sobie „Historię osadnictwa Krachtiburga i okolic”, którą pan tak uprzejmie przyniósł – oznajmił Sorton.

Przesunąłem wymienioną książkę ku niemu. Dotknął palcami skórzanej okładki i przez chwilę przypatrywał się tytułowi, którego litery wyblakły przez dziesięciolecia, a może całe wieki.

– Myślę, że pora coś zjeść. – Wrócił do rzeczywistości. – Afritz nigdy nie zostawia mnie tu samego dłużej niż na jeden dzień – oświadczył. – Schody są dla niego jeszcze większym problemem niż dla mnie, ale każdego wieczora daje radę wdrapać się tutaj.

Już wcześniej doszedłem do wniosku, że stary baron spędza w bibliotece większość czasu, dzięki czemu przyłapał mnie na włamaniu.

Zatrzeszczały schody, Afritz nie starał się wchodzić po cichu jak ja, zresztą sądząc po tym, jak ciężko stąpał, i tak nie zdołałby tego dokonać.

Z klapą natomiast poradził sobie lepiej, otworzył ją bez problemów. Był nieco młodszy od swego pana, wysoki i kościsty. Kształt jego nóg zdradzał, że większą część życia spędził w siodle.

– Panie? Czy życzy pan sobie coś specjalnego? – zapytał, patrząc na Sortona.

Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś, kto ignorowałby mnie tak doskonale.

– Wino z winnic mojego syna, to dwudziestojednoletnie, myślę o tych butelkach, które znajdują się w piwnicy po prawej stronie, o ile ich nie przestawiono.

– Ja ich nie przestawiałem, panie. – Afritz poczuł się dotknięty, co odbiło się na jego twarzy.

– Mięso, najlepiej dziczyznę, do tego jakieś bażanty i parę cietrzewi. Dasz sobie z tym wszystkim radę? – powiedział baron trochę niepewnie.

– Panie!? – Afritz wyglądał jak księżę krwi posądzony o brak szacunku dla majestatu swego ojca. – Za chwilę wszystko tu będzie.

Chwila trwała dwie godziny, tyle, ile mniej więcej wymagało przygotowanie potraw, ale czas uciekał nam szybko, gdy znów zabraliśmy się do starych książek, tym razem skupiając się na miejscowej historii. Kontynuowaliśmy rozmowę bardziej rozluźnieni, przy jedzeniu, z pucharem wina w ręce. Słońce pomału zachodziło i biblioteka, prześwietlana prawie poziomymi promieniami, sprawiała przytulne wrażenie.

– A co z twierdzą Maaterenditu? – nadmieniłem.

– Nie ma nadziei na znalezienie wiarygodnych materiałów. – Pokręcił głową. – Sam ich poszukiwałem, nęcił mnie ten temat. Historycznie udokumentowana twierdza znajdowała się dość blisko i nie ma informacji, że została podczas wojny zrównana z ziemią. – Wzruszył ramionami. – Rok, czy może dwa lata temu zaczęto się znów nią interesować i nawet pewien historyk wypytywał

mnie, co o niej wiem, ale nie mogłem mu pomóc.

Dzik był podany w sposób tradycyjny, z borówkami, ziemniaki upieczone w mundurkach wprost na ruszcie. Baron preferował produkty wysokiej jakości i tradycyjną kuchnię. Nie była to zła kombinacja.

– A co z historią założenia miasta?

– Krachtiburg to nowe miasto, założone dopiero po Wielkiej Wojnie – odpowiedział i uniósł puchar.

– Za wiedzę, historię i żądzę przygód – powtórzyłem jego toast.

Naszą długą dyskusją cieszył się tak samo jak ja.

– Według najstarszych zapisów ludzie osiedlali się najpierw nad rzeką, ale zmiany klimatu spowodowały podmokanie gleby i powstające bagno w ciągu kilku lat wypchnęło osadników w miejsce, w którym miasto znajduje się dzisiaj. Wówczas zamieszkiwało tu już kilka przewidujących rodzin, dla których jasne było, że osiedlanie się na samym brzegu rzeki to nie najlepszy pomysł.

Przewidujące rodziny, całe rody... W zestawieniu z tym, co wiedziałem o Liamie i jej ziomkach, brzmiało to interesująco.

– Jeżeli zajmowałyby pana jakieś dalsze szczegóły, musiałbym zajrzeć do swego archiwum przypisów. Są w nim pewne odpisy z najstarszych kronik. Oryginały, niestety, nie zachowały się. Nie mogę więc ręczyć za ich dokładność nawet wtedy, gdy niektórych autorów potrafię zidentyfikować i ocenić, na ile byli godni zaufania.

Przemyślałem nad tym, jak sformułować pytanie o to, co mnie najbardziej zajmuje, a równocześnie nie zwrócić uwagi na mieszkańców czworoboku. Napilem się wina i usłyszałem, jak trzeszczą schody.

– Afritz chodzi po schodach tak samo chętnie jak ja – powiedział zaniepokojony baron. – Coś się musiało wydarzyć.

Sługa otworzył klapę i wszedł na dalsze trzy stopnie, wynurzając się z otworu połową ciała.

– Panie, zastępca głównego śledczego Konwentu zniósł właśnie wszystkie zakazy dotyczące ruchu ludzi i towarów w Krachtiburgu i okolicy. Myślę, że pan i pana gość powinniście o tym wiedzieć.

Tak do końca mnie jednak nie ignorował.

– Dobrze, dziękuję. Poczekaj na mnie, proszę, na parterze, też zejść na dół. – Baron zwolnił służącego i obrócił się do mnie. – Nie ma do zakomunikowania nic, co powitałbym z radością. Niestety, nie można się przed nim zamknąć, wejdzie i bez wezwania. Ale to dobrze, jestem już naprawdę zmęczony. Nie daję rady czuwać tak długo jak dawniej, potrzebuję odpoczynku. Jeśli pan

zechce, możemy naszą debatę kontynuować jutro. Niech pan będzie tymczasem moim gościem – zaproponował i zostawił mi bibliotekę do dyspozycji.

Pożegnałem go ukłonem, podszedłem do okna. Drzewa cicho szumiały, wieczór stopniowo zmieniał się w noc, a gdzieś pode mną zapamiętałe wykrzykiwał ptak, który widocznie nie wykonał swojej normy dziennej.

Może nadszedł właściwy czas, żeby zniknąć? Zostawić na stole wiadomość, zabrać kilka drobiazgów i ruszyć ku horyzontowi, do którego nigdy się nie dochodzi? Ale te księgi, starannie zebrane, traktujące o przeszłości naszego świata, zawierające ludzką wiedzę, księgi o magii wszędzie wokół mnie... Zaletą biblioteki barona było to, że stary pan w ciągu swego życia oddzielił ziarno od plew. Decyzję o ucieczce mogłem odłożyć na kilka godzin.

Otworzyłem okno, żeby wpuścić do środka coraz chłodniejsze powietrze, interesujące księgi przysunąłem do siebie. Miasto jeszcze nie spało, ale odgłosy ruchu ulicznego dochodziły do wieży stłumione przez roślinność w ogrodzie barona. Czasem dosłyszałem pisk polującego nietoperza. Rozsiadłem się w miękkim fotelu na biegunach, położyłem nogi na stole i zabrałem się do czytania.

Otwierała się przede mną powojenna historia zasiedlania miejscowej krainy zawarta w krótkich notatkach kronikarzy, kupców, w listach różnych ludzi, które Sorton zgromadził i trzymał w osobnych okładkach zatytułowanych „Krachtiburg”. Znow się przekonałem, że historia zniszczenia magii rozpowszechniana przez Konwent i niektórych fanatyków różni się od rzeczywistości.

Po Wielkiej Wojnie nie powstała sprawiedliwa fala nienawiści, która powinna zmieść z powierzchni ziemi czarodziejów odpowiedzialnych za zrujnowanie świata. Raczej na odwrót, czarodzieje niemający nic wspólnego z użyciem niebezpiecznych broni, z magicznie zatrutą glebą, z ludźmi dotkniętymi klątwami czy zaklęciami, byli pożądani i otaczani troską. Ale zostało ich zbyt niewiele i nadal ubywało, bo ten, który rozpoczął wojnę, również po jej zakończeniu robił wszystko, aby ich wygubić, używając metod niedających się opisać dzisiejszym językiem. Magia jednak stale pozostawała częścią życia codziennego. Widać to było na przykład w zapisach o leczeniu chorych, o zabiegu przeprowadzonym przez wędrownego czarodzieja Mavericka na ciężarnej żonie radnego Wilarda Buckneja. Dziecko znajdowało się w niewłaściwym położeniu i urodziłoby się martwe. Czarodziej przeprowadził operację, rozciął rodzącą brzuch, wyjął zdrowe dziecko, a później za pomocą czarów zamknął ranę. Następował potem opis tego, co mu wdzięczny Bucknej zaoferował, jednak Maverick wziął tylko trochę magicznych kamieni ze skarbca miasta i poszedł dalej. Podobnych, nie tak już spektakularnych historii znalazłem więcej.

Po stu pięćdziesięciu stronach niezwiązanych ze sobą, lecz mniej więcej ciągłych zapisów następowała, sądząc po dacie, prawie trzydziestoletnia przerwa. Na karcie pokrytej ukośnym, trudnym do odczytania pismem zanotowano, że nie znaleziono żadnych zapisów z następnego okresu, zwanego ЕРОКА НИЕПОКОЈУ. Uwaga była podpisana przez Sortona, na dole strony dodał on jeszcze przypuszczenie, że miasto było prawdopodobnie przez minione dziesięciolecia kilkakrotnie palone, zaś obywatele szukali ratunku przed atakami w Brunatnych Bagnach, które im dalej się w nie posuwano, tym stawały się bardziej nieprzystępne i niegościnnie.

Dalsze zapisy zawierały informację o tym, że czar chroniący miasto przed komarami stracił moc

i nikt nie zdołał go odnowić, bo wszyscy umiejący manipulować mocą zostali wygnani lub zabici. Następny rok pełen był wiadomości o rozszerzającej się epidemii malarii i od listopada kronikę prowadził ktoś inny. Ten z wielką radością i uroczyście oznajmiał, że pewien młodzieniec nazwiskiem Każewicz stwierdził, iż wyciąg z kwiatu anielskiego skutecznie odstrasza komary.

Nie potrzebujemy czarodziejów! Obejdziemy się bez ich niebezpiecznych, przynoszących zgubę nauk! – na końcu rozdziału dopisano czerwonym, wyblakłym atramentem powyższy tekst.

Działo się to jakieś dwieście trzydzieści lat temu, nie sądziłem, że chodzi o tego Każewicza, z którym spotkałem się w czworoboku. Raczej o któregoś z jego przodków, doskonałego znawcę botaniki, mającego nieco szczęścia w eksperymentowaniu. Albo, co też możliwe, chłopak był czarodziejem i spowodował, że zwykła roślina, występująca w okolicy uzyskała pożądane właściwości.

Znalazłem jeszcze cztery inne zapisy, dwa o starcu Każewiczu i dwa o łowcach pochodzących z czworoboku na północy miasta, którzy przynosili z bagien rośliny, zwierzęta lub skarby z korzyścią dla wszystkich mieszkańców metropolii. Osiem zapisów w ciągu siedemdziesięciu lat. Wydawało się, że ród Każewiczów, a właściwie wszyscy ludzie z czworoboku mieli dobrą opinię wśród obywateli i szczególnie uprzywilejowaną pozycję. Później do miasta zawitała inkwizycja i Krachtiburg stał się centrum przesłuchań ludzi oskarżanych o czary. O czworobokach i ich mieszkańcach nie było już żadnej wzmianki. Kolejny kronikarz chlubił się tym, że w czasie gdy Krachtiburg służył wszystkim ludziom, gdyż gościł w swoich domach inkwizytorów, spalono tylko trzydziestu miejscowych i trzystu siedemdziesięciu trzech cudzoziemców zatrzymanych na terenie miasta. Dowodził zatem, że mieszkańcy Krachtiburga są co najmniej dziesięciokrotnie uczciwsi niż inni ludzie.

Po niecałych trzydziestu latach sąd inkwizycyjny przeniósł się na dwór pewnego arystokraty, który zapewnił mu większy prestiż, a w Krachtiburgu został tylko mały posterunek Konwentu. Jak wynikało z zapisków Sortona, mógł on poszczycić się schwytaniem przeciętnie jednego czarodzieja na dwa lata, demaskowanego tym razem głównie wśród mieszkańców miasta, ale nikt już nie wymyślał niczego ułatwiającego życie.

Odłożyłem kroniki krachtiburskie, napiłem się wina i na chwilę zamknąłem oczy. To było mocne, czerwone wino, które leżąc latami w beczce, pozbyło się swej cierpkości i nabrało łagodności aksamitu.

Wydawało mi się, że tylko przez chwilę miałem zamknięte powieki, ale sądząc z tego, ile oleju ubyło w lampach i o ile skróciły się świece, musiałem zdrzemnąć się na moment, a może nawet dłuższą chwilę.

Wstałem, przeciągnąłem się i podszedłem do półek. Przypatrywałem się im na chybił trafił, aż moją uwagę przyciągnęły księgi o podniszczonych grzbietach. Wyglądały na bardzo stare, co świadczyło, że wykonano je z użyciem lepszej technologii niż stosowana obecnie. Ostrożnie wyciągnąłem jedną. Nie myliłem się, pochodziła sprzed Wielkiej Wojny. Był to roboczy dziennik człowieka handlującego kamieniami. Oprócz jaspisów, ametystów, przejrzystych krzemieni, kryształów, opali, różowych kwarców, chalcedonów i innych kamieni szlachetnych i półszlachetnych,

dzielił je przy tym na aktywne, tępe, puste, nieczytelne, niestałe. Nie rozumiałem żadnego z tych określeń i nie umiałem przypisać im żadnego znaczenia. Pojąłem tylko, że nazwy te wiązały się z późniejszym magicznym użyciem tych kamieni.

Przeglądałem kolejne archiwalia i szukałem czegoś dotyczącego Maaterenditu. W czasie naszej dyskusji poruszyliśmy ten temat tylko powierzchownie. Znalazłem korespondencję zawierającą dane o sprzedaży wyrabianych przez klan przedmiotów magicznych i innej jego aktywności gospodarczej. Nigdzie nie było napisane wprost, ale wnioskując z tego, jak zmieniały się zamówienia, znikające zapotrzebowanie na towary luksusowe, a pojawiające się na przedmioty ważne z punktu widzenia strategii, stawało się jasne, że zbliżała się wojna. W tekście kilka razy pojawiała się klanowa cytadela znajdująca się na Płaskowyżu Randskim, niedaleko rzeki Hadakeri. Płaskowyż po wielu wiekach zamienił się w Brunatne Bagna, rzeka Hadakeri dziś nazywała się Tura i uchodziła do Jeziora Brunatnego. To oznaczało, że najprawdopodobniej chodziło o magazyn, ewentualnie twierdzę, do której planowałem się wędrczyć wraz z czarodziejami klanu Rumelkowego. Słowo „cytadela” świadczyło ponadto o tym, że klan Maaterenditu przypisywał jej znaczenie strategiczne i zdecydowanie nie chodziło tylko o przedsiębiorstwo gospodarcze czy handlowe.

Późniejsze zapisy dotyczyły zakupów broni, aktywnych kamieni magicznych, kupowanych na zapas, i artykułów spożywczych. Kilka ostatnich kartek nie dotyczyło handlu, ale zawierało rozkazy utrzymane w tonie wojskowym i określające zasady transportu materiałów i ludzi do tajnych magazynów i cytadel.

Z dalszych studiów wyrwały mnie hałasy na dole. Baron wstał i ostrożnie wchodził po schodach. Niedawno dopiero minęła północ, arystokrata był zdecydowanie nocnym markiem. Chociaż może to ja zakłóciłem jego ustalony porządek dnia.

– Jest pan tu jeszcze? – powiedział, gdy wspiął się do biblioteki. – Nie byłem pewny, czy pana zobaczę.

– Właściwie zostałem, aby pana pożegnać, ale w tym miejscu – powiodłem wzrokiem po księgach – łatwo zapomina się o upływie czasu.

– Afritz przyniesie nam jakieś świeże jedzenie i coś do picia, już go poinstruowałem – rzekł i pochylił się ku mnie, żeby zobaczyć, co czytam.

– Widzę, że nie marnował pan czasu. Cytadela Maaterenditu, położona tak blisko naszego miasta, stale budzi ciekawość. Ale tego jeszcze pan nie widział. – Uśmiechnął się, podszedł do półki i bez szukania, na pamięć, wyciągnął cienki tom.

– Wykazy magazynowe i handlowe sporządzone tuż przed wybuchem wojny. Proszę spojrzeć – podał mi księgę.

Dziesiątki miar zboża, kwintale ziemniaków, wielkie ilości ubrań, zapasy węgla, oleju i innych towarów, wszystko pieczołowicie skatalogowane wraz z miejscem składowania.

– Jeśli pan pozwoli, przejdziemy do rarytasów. – Przewrócił kilka kruchych ze starości kartek i

wskazał na jedną z nich.

Tu zapisy przybrały postać tabeli, jakby autor nie dowierzał zwykłemu tekstowi i chciał, by wszystko zostało zapisane precyzyjnie: nazwa przedmiotu, nazwa producenta, cena, data, uwagi, dalsze przeznaczenie przedmiotu. Uwagę moją przykuł wiersz, w którym zamiast nazwy widniało słowo TAJNE. Zapłatą w tym przypadku nie były pieniądze, ale wojskowy czar szturmowy czwartego stopnia, zakodowany w rubinie. Specyfikacja według zamówienia. W rubryce opisu towaru napisano zwięźle: „Dziennik studiów Tekuarda Maatena”.

– „Nucleus”, najlepsza księga o magii, jaką kiedykolwiek napisano – szepnąłem. – Wyjaśnia zasady podstawowe i dotyczące używania magii. Dokąd ją mogli później przewieźć?

– A tu jest rozkaz transportu towarów z głównego archiwum Maaterenditu do cytadeli znajdującej się obecnie na terenie Brunatnych Bagien. – Baron podał mi kolejną kartę. – Datowany na cztery dni przed wybuchem wojny.

Wielka Wojna zaczęła się od strasznego ataku na wszystkie cytadele klanowe w Vegasi i dlatego data jej rozpoczęcia była dokładnie znana, pomimo upływu czterech wieków.

Uważnie przejrzałem też inny dokument wskazany przez barona. Zawierał rozkaz przewiezienia trzech ton książek i starych zwojów. Z nazwy wymieniony był tylko „Dziennik studiów Tekuarda Maatena” oraz dziesięć innych książek, których tytułów nie rozumiałem, bo napisane zostały w nieznanym mi języku. Rozkaz podpisał wielki mistrz klanu. To znaczyło, że cztery dni później nie było już nikogo władnego ten rozkaz odwołać.

Z obu dokumentów wynikało, że tuż przed wybuchem wojny „Nucleus” znajdował się na pewno w cytadeli klanu Maaterenditu. I prawdopodobnie w niej pozostał.

Czy Wicker i jego ludzie wiedzieli o tym? Może tak, może nie. Jeśli tak, mogli po prostu powiedzieć, że chodzi im o tę księgę, że chcą, żebym im ją przyniósł. Ale nie ufali mi. Czy nasilenie działań Konwentu, rozpętane w Krachtiburgu, mogło mieć za przyczynę chęć odzyskania „Nucleusa”? Tego nie wiedziałem. Zbyt mało informacji, zbyt dużo nieznanymi i stron biorących udział w tej grze.

– Wygląda pan na zamyślonego, drogi przyjacielu – zauważył baron z lekkim rozbawieniem. – Widzę, że zainteresowały pana te informacje, ale muszę pana rozczarować. Brunatne Bagna zajmują obszar ponad czterdziestu tysięcy kilometrów kwadratowych, to niezbadane ziemie. Są tam różne dziwne miejsca, wyspy, na których żyją duże zwierzęta, ale również obszary zalane czarną wodą, podobno trującą z powodu znajdujących się w niej produktów rozkładu.

– Ale „Nucleus” może tam nadal jest – powiedziałem cicho.

– Zgodnie z tym, co wiem, to tak – zgodził się Sorton.

Zamilkliśmy, bo zjawił się Afritz. Puste i brudne talerze przeniósł na bok i ze specjalnie przystosowanego tornistra wzmocnionego szkieletem z prętów wydobyl jedzenie i picie. Zapakował

zużyte naczynia i odszedł. Moja wizyta przydała kilogramów, które musiał wnosić na górę, ale wyglądało na to, że nie miał mi tego za złe.

– Miejsca, w którym znajduje się cytadela, poszukiwałem całe życie. Oczywiście w księgach, ale bezskutecznie – mówił dalej baron, gdy zostaliśmy sami. – Teraz nie mam już ambicji osobiście na nią popatrzeć, ale nadal chętnie bym zaspokoił ciekawość, na przykład oczami kogoś innego. Gdybym wiedział coś więcej, doradziłbym panu. Ale powiedziałem już wszystko.

Zjedliśmy, a potem zapalili kilka dalszych lamp, żeby móc czytać. Baron przerzucał stare zapisy i pokazywał mi wszystkie swoje próby pozyskania większego zasobu informacji o cytadeli, za każdym razem kończące się fiaskiem.

– Musi leżeć gdzieś w pobliżu drogi wiodącej przez bagna. Ludzie na ogół wybierają trasy biegnące obok starych, znajomych punktów orientacyjnych, i dlatego są one czasem kręte – powiedziałem. – A twierdze stawiano po to, żeby panowały nad szlakami handlowymi.

– Tak, tylko że droga przez bagno wije się jak luźna nić odwinięta ze szpulki. – Sorton wzruszył ramionami. – W niektórych miejscach po godzinie drogi przechodzi się bardzo blisko poprzedniej trasy, ale pójść skrótem nikt się nie odważy – wyjaśnił.

– A gdybym panu powiedział, że wiem, gdzie znajduje się cytadela? Że mam szkic trasy?

Baron odwrócił wzrok od mapy bagien o wiele starszej i mniej dokładnej niż moja.

– Wówczas poradziłbym panu, żeby pan zwrócił wielką uwagę na to, kto i w jakim celu ją panu dał. Powątpiewam, że jest uczciwy. Sam szukałem długo...

Ostrzegł mnie poruszający się cień i szelest ubrania. W oknie rysował się ciemny kształt. Niestety, poprzednio skupiałem wzrok na karcie papieru, która odbijała światło, i nie widziałem dokładnie. Rzuciłem się w bok, przeturlałem z krzesła, ciśnięty nóż wbił się w drewno półki. Zastygłem w klęku, z bojowym nożem w lewej ręce, dużego noża nie wyciągnąłem zza opaski.

Intruz natychmiast po rzucie wskoczył do wieży. Zamiast kontynuować walkę, przyciągnął do siebie barona i przyłożył mu ostrze do gardła.

Kurta i spodnie z surowego, ciemnoczerwonego jedwabiu, zamiast twarzy tylko otwory na oczy.

– Pogadamy – rzucił w moim kierunku.

– Dobra – zgodziłem się, oparłem rękę na podłodze, tak jakbym chciał wstawać, ale zamiast tego zerwałem się nagle, wyciągnąłem ciało maksymalnie do tyłu i poziomym kopnięciem uderzyłem w biodro drugiego ninja. Nie spostrzegłem, jak i kiedy dostał się do wieży. Dopiero kiedy odezwał się pierwszy, zrozumiałem, że chce zyskać nieco czasu dla swojego towarzysza. Ci chłopcy z nikim nie gadali. Kopniak rzucił go na ścianę, cisnąłem nożem, ale ostrze zatrzymało się na zbroi pod wierzchnim ubraniem. Ostatnio stało się to czymś w rodzaju reguły.

Sięgnął za plecy, w jego ręce pojawił się miecz z klingą o długości męskiego przedramienia.

Widziałem jego chłodno kalkulujące oczy. Drugi zadowolony się trzymaniem w szachu barona. Widocznie uważał, że na mnie jeden z nich wystarczy.

Wykonałem coś na podobieństwo zastawy nożem i skrzywiłem usta. W zimnych oczach ninja dostrzegłem błysk rozbawienia. Zacharczałem, jakbym z trudem wstrzymywał wściekłość, i ruszyłem na niego. Stał w defensywnej pozycji, nieznaczny ruch przedramienia i już w lewej ręce trzymał ukryty sztylet. Gdybym się tego nie spodziewał, nie zauważyłbym go. Wystarczyło zasłonić się mieczem i pchnąć mieczem nożem. Przyspieszyłem i będąc już w ruchu, złapałem solidną, srebrną pokrywę nakrywającą pieczęć. Użyłem jej jako tarczy i metalowej pięści zarazem, odbiłem jego miecz, nożem zablokowałem pchnięcie, natychmiast targnąłem pokrywę w prawo, uderzając go w łokieć i powstrzymując ofensywę. Zyskałem chwilę na usunięcie się obrotem z osi ataku. Równocześnie naparłem na przeciwnika bokiem, mieczem nie mógł mnie teraz dosięgnąć. Pchnąłem go w bok wzdłuż własnego ciała, i jeszcze raz, trzecie pchnięcie ześlizgnęło się po kości biodrowej. Zwiotczał, miecz wypadł mu z palców, ale jeszcze spróbował dosięgnąć mnie nożem. Była to tylko próba.

Zapachy książek, dobrego jedzenia i napitków zniknęły, zastąpiło je coś innego, wstrętne. Ruszyłem na zabójcę trzymającego barona.

– Teraz możemy pogadać – powiedziałem.

To, co stało się przed chwilą, nie spodobało mu się, ale zachowywał spokój.

– Przyszliście do barona czy do mnie? – zapytałem, sądząc, że znam odpowiedź. Przyszli do barona, bo chcieli spotkać się ze mną.

Nie odpowiedział. Czuję, że ocenia mnie w duchu i porównuje rzeczywistość z tym, co o mnie już wiedział. Składał wszystkie informacje razem. Nie będzie walczył, ale zrobi wszystko, żeby te wieści zanieść swoim ludziom. Stanowiło to mniejsze ryzyko niż próba zabicia mnie. Nie pracował dla samego siebie, ale dla grupy.

– Jeśli nie pozwolisz mi odejść, zabiję go – powiedział.

Szeptał, żebym nie poznał go później po głosie. Przez moment milczeliśmy, w ciszy słychać było tylko oddech starego barona.

– Przesunę się ku drzwiom, twojego towarzysza zostawię w środku i zamknę was tu, to brzmi nieźle, prawda? – oznajmił.

– Świetnie – zgodziłem się.

Doskonale wiedziałem, co by zrobił, gdybym mu uwierzył. Poderżnąłby baronowi gardło, rzucił mi go pod nogi i próbował uciec. Biorąc pod uwagę mój niedawny brak sukcesu w gonitwie po ulicach miasta, nie miałem szans go dopaść. Zaś baron nie miałby szans na uratowanie skóry.

– Umowa stoi – powiedziałem, chcąc zyskać na czasie, i ostrożnie włożyłem zakrwawiony nóż do pochwy. Powoli podniosłem ręce, pokazując, że nie mam w nich broni. – Przede wszystkim

zostaw barona żywego.

Zareagował tak, jak przypuszczałem. Zdecydował wykorzystać to, że on miał broń, a ja nie. Odsunął barona nieco w bok, ale zanim zdążył przeciąć mu szyję, przesunąłem lewą rękę, kierunek przedramienia był właściwy. Myśl wywołała znane mi już targnięcie, ninja zeszywniał, zdążył jeszcze spojrzeć w dół i zobaczyć stalową strzałę, która pomimo kolczugi wbiła mu się w pierś na ponad połowę długości.

– Jak to zrobiłeś? – udało mu się powiedzieć. Powtórzyłem gest mierzenia do celu, pomyślałem o powrocie i strzała ze znacznie mocniejszym targnięciem wróciła do futerału, z rany wytrysnęła różowa piana i ninja zwałił się na podłogę.

– Czary – powiedziałem, ale on już tego nie słyszał.

Stary baron, potykając się, podszedł do stołu, nalał sobie puchar wina i wypił duszkiem.

– Pytał go pan, dlaczego pana ściga. Naprawdę pan nie wie? – zapytał, gdy trochę przyszedł do siebie.

– Tak. I to jest jeden z powodów, dla których muszę opuścić miasto – potwierdziłem.

– W jaki sposób dowiedzieli się, że znajdą pana właśnie tutaj? Wątpię, żeby pan rozpowiadał szeroko o swoich planach odwiedzenia mojej biblioteki.

– Dobrze pytanie, panie – przytaknąłem. – Jedna możliwość to przypadek, a druga to wynik znakomitej zdolności przewidywania ich mocodawcy. – Wskazałem zabitych.

– Nie zna mnie osobiście, ale wie, czym się interesuję, i zaczynam podejrzewać, że domyśla się, w jaki sposób działałem. – Sprawdzali ludzi, z którymi mógł się pan kontaktować, żeby dowiedzieć się, co pana ciekawi – zrozumiał baron.

– Właśnie tak – potwierdziłem. – Gdyby mnie tu nie zastali, zadaliby panu kilka pytań. I na pewno chcieliby, żeby odpowiedzi ich zadowalały. Oczywiście, nie mieli zamiaru zostawiać śladów. Zabójstwo arystokraty pociąga za sobą o wiele staranniejsze dochodzenie niż zwykle.

– No to miałem szczęście, że mnie pan właśnie teraz odwiedził – uśmiechnął się baron.

Pomału wracał mu naturalny kolor twarzy.

– Można tak powiedzieć. – Nie zaprzeczyłem, może to była prawda.

– Właśnie ledwo pan uniknął śmierci, podobnie jak ja, a wygląda pan na zrównoważonego – głośno pomyślał.

– Nie wyglądam, jestem. Być zrównoważonym, pogodzić się z możliwością śmierci w każdej chwili to warunek konieczny do przeżycia. Konieczny, ale czasem niewystarczający, ci dwaj też na pewno byli świadomi niebezpieczeństwa towarzyszącego ich akcji.

– Ale ten drugi bał się pana, wyczułem to – zamyślił się baron.

– I dlatego zginął. Lecz pan, o ile też nie chce zginąć, musi się stąd na jakiś czas usunąć. I to jeszcze dziś w nocy. Na kilka tygodni, to powinno wystarczyć. Przypuszczam, że całe zamieszanie skończy się do tego czasu.

Baron obserwował mnie zamyślony.

– Złożył pan wizytę w mojej bibliotece już na odchodnym – zaczął.

Tylko przytaknąłem.

– Ale powiedziałbym, że po tym, co razem znaleźliśmy w starych księgach – spojrział na półki i stosy leżących luzem dokumentów – może zmienił pan swoją decyzję. Pomimo tego, że ma pan na karku całą gromadę ludzi usiłujących pana zabić. Ludzi, którzy zbierali o panu informacje przez całe lata, rozpracowywali pana, pański charakter, zwyczaje, słabe punkty.

Potrząsnął głową, jakby chciał dotrzeć do istoty rzeczy, rozumieć wszystko od podstaw.

– Pan spróbuje odnaleźć cytadelę Maaterenditu i dostać się do niej. Mimo wszystko – rzekł na koniec.

Miał rację, choć aż do tej chwili nie byłem na to zdecydowany. Chodziło mi to jednak po głowie.

– Każdy ma swoje słabe strony. – Wzruszyłem ramionami. – Moją jest po prostu nadmierna ciekawość.

Baron uśmiechnął się i wstał z fotela.

– Idę obudzić Afritza i kucharza. To cały mój personel. Jeśli wyruszymy bez obciążenia, już o świcie będziemy w drodze. Mojego brata zaskoczy ta wizyta, ale będzie się musiał z nią pogodzić.

Ostatnie przygotowania

Bamegi siedział nad swą porcją klusek i czekał na przedstawiciela klanu Haeren. Polowanie na Koniasza przyniosło jak dotychczas bardzo mizerne wyniki. A nieliczne przypadki, w których udawało się na niego natrafić, smakowały bardzo gorzko. Stracił już trzech ludzi. Koniasz sprawiał wrażenie nieuchwytnego ducha, a ten, który spotkał się z nim twarzą w twarz, bardzo łatwo z myśliwego stawał się zwierzyną. Bamegi podziwiał go i czuł równocześnie coraz większy niepokój. Wszystkie atuty były po stronie klanu. Moment zaskoczenia, który już zresztą minął, przewaga w sile zbrojnej i w sieci informatorów. Coraz częściej zadawał sobie pytanie, czy on też umiałby tak skutecznie unikać pułapek. Nie był tego pewien.

Przełknął kilka dalszych kęsów, gdy po drugiej stronie stołu ktoś odsunął krzesło i usiadł. Bamegi nie podniósł wzroku. Z tego, jak bezszelestnie nadszedł nieznajomy, wywnioskował, kto przyszedł.

– Cieszę się, że mogę wyświadczyć panu przysługę – zaczął ninja Haeren, gdy zjadł połowę swojej porcji.

Bamegi milczał. To on będzie dłużnikiem po tym spotkaniu i wcale mu się to nie podobało. Ale nic nie mógł poradzić.

– Nie pracuje sam, przebywa w mieście wraz z grupą zleceniodawców.

Bamegi nie zdołał ukryć zaskoczenia. Wilk samotnik w towarzystwie zleceniodawców?

– To ludzie Samuela Wickera, byłego doradcy cesarza do spraw magii, który przed laty opuścił dwór i w ten sposób uniknął kary śmierci. Więcej nie udało mi się dowiedzieć w tak krótkim czasie.

– Dziękuję – odpowiedział Bamegi Informacja była stosunkowo skąpa, lecz równocześnie cenna. Jego towarzysz musiał ją uzyskać jakąś skomplikowaną określną drogą, na pewno nie poprzez przepatrywanie ulic.

– Cieszę się już na tę chwilę, gdy będę mógł się panu za tę uprzejmość zrewanżować – potwierdził swoje osobiste zaangażowanie w sprawę.

– A ja mam nadzieję, że ta chwila nigdy nie nadejdzie i będę mógł przenieść pańskie zobowiązanie na moje dzieci – usłyszał w odpowiedzi.

Siedzieli dalej w milczeniu każdy nad swoją porcją. Tym razem Bamegi odszedł pierwszy i następną rzeczą, jaką zrobił, było zwołanie narady wojennej.

Nie miał nic do roboty przez czas potrzebny, aby informacja dotarła do wszystkich ludzi, zaczął więc obchodzić te miejsca, gdzie zazwyczaj gromadzili się kupcy poszukujący karawany, do której mogliby się przyłączyć, lub najemnych pracowników potrzebnych w drodze. Znajomość Krachtiburga i jego życia handlowego była mu bardzo pomocna, polegał tylko na sobie samym. Pierwszy raz

przeszedł niezobowiązująco, obserwując ludzi, przysłuchując się rozmowom, starając się wczuć w atmosferę i w przybliżeniu ocenić, ilu kupców zamierza opuścić miasto w najbliższym czasie.

Był świadkiem kilku licytacji zakupu koni lub wołów pociągowych, kilku umów z woźnicami i ludźmi najmowanymi jako zbrojna eskorta. Wywnioskował z tego, że wyjedzie z miasta o wiele więcej karawan niż zwykle. To był wynik uprzednich bezsensownych zakazów Konwentu. Koniasz być może zamierza odjechać z pierwszymi transportami... Ninja najchętniej pchnąłby swych ludzi do akcji natychmiast, ale nie pozostawało mu nic innego, czekać, aż dotrą do nich rozkazy.

Tymczasem przechadzał się po mieście, przemyśliwując o tym, że jego przeciwnik znany i równocześnie nieznany też przebywa w tych samych miejscach, starając się stopić z otoczeniem, upodobnić do kupców, ludzi zarabiających na życie transportem z miasta do miasta, kierujących się zasadą podaży i popytu.

Przez chwilę przyglądał się dwu starszym mężczyznom w zabłoconych spodniach i skórzanych fartuchach. Zapamiętał dyskusję o cenie wieprzowiny, stratach na wadze świń podczas transportu na dalsze odległości, o luksusowym mięsie z prosiąt karmionych specjalną karmą, dostarczany na stoły bogaczy. Jeden z nich spokojnie mógł być jego celem, jego nieprzyjacielem. Koniasz nie będzie udawał kupca, on się nim stanie, uświadomił sobie. Instynktownie odszedł nieco w bok, żeby dwaj dyskutanci nie zauważyli, że ich obserwuje, i przez chwilę myślał nad sensem słowa nieprzyjaciel. Czy Koniasz był nim? Nie, na pewno nie, był tylko przeciwnikiem, którym stał się na skutek rozkazów Ricka Varatchiego i szefa klanu, Ferusiego. Nieprzyjacielem Bamegiego nie był. Uchwycił czyjąś agresywną uwagę, ale udawał, że niczego nie spostrzegł. Czasem to pomagało.

– Czego się gapisz, przybłądo!

Mówiącym był przygarbiony chłop z ramionami, którymi mógłby podpierać sklepienie w miejsce słupa. Twarz ogorzała od słońca i wiatru, miał blizny na przedramionach wystających z szerokich rękawów bluzy z grubo tkanego płótna.

Bamegi mruknął coś i poszedł dalej. Tak nieprzyjazna reakcja była przesadna, nawet jeśli był cudzoziemcem. Rozwścieczonemu osiłkowi wyraźnie coś nie wyszło i szukał okazji do wyładowania złości.

Za rogiem Bamegi przystanął i w momencie, gdy nikt na niego nie patrzył, odwrócił płaszcz na lewą stronę. Zamiast na brązowo, był teraz ubrany na niebiesko, z kieszeni wyczarował perukę i nałożył ją na krótko ostrzyżone włosy. Skontrolował swój wygląd, posługując się małym lusterkiem ukrytym w dłoni, podniósł leżącą na ziemi gałąź, odłamał jej nadmiar i z tym zaimprovizowanym kosturem pokuśtykał z powrotem.

Koło grupy czterech wozów kręciło się więcej tak samo nieprzyjemnie wyglądających mężczyzn jak tamten. Byli podobnie ubrani, zachowywali się z podobną arogancką pewnością siebie, karni i sprawiający wrażenie, jakby całe życie spędzali pod gołym niebem. Mniej doświadczony obserwator mógł tego nie zauważyć, ale grupa tworzyła wokół wozów przestrzeń, w którą przypadkowy przechodzień nie ośmielał się wchodzić.

A wozy były zbyt solidne, płachty na nich doskonale naciągnięte, tak że nie można było zajrzeć do wnętrza, choć Bamegi starał się to zrobić. Spacer opłacił się.

Pokuśtykał dalej, napotykając wzrok starego żebraka siedzącego wśród stadka gołębi, którym rzucał okruchy chleba. Nic nie znaczył, wyglądał na obojętnego, ale Bamegi miał wrażenie, że taki właśnie człowiek widzi więcej niż inni.

Odszedł zadowolony. On i jego ludzie będą mieć mnóstwo pracy w następnych dniach.

*

Za dwa miedziaki kupiłem wiązkę drewna i paczkę szczap, rozłożyłem je pomiędzy dwoma naszymi wozami. Moi zleceniodawcy z Majalem na czele siedzieli oparci o koła i nie wyglądali na takich, których zachwycił wyjazd z miasta w towarzystwie innych kupców, szczególnie o świcie.

Zacząłem szykować ognisko na bruku ulicy, a po chwili dołączył do mnie Janick. Od ostatniego spotkania zmienił się: postarał się o lepsze ubranie, u pasa wisiał mu porządnie wykuty pałasz i wyglądał na pewniejszego siebie niż dawniej. Ciekawiło mnie, w jakim stopniu świadomy jest swego talentu i czy zaczął go już rozwijać. Ale nie chciałem o to pytać wprost.

Jednym pociągnięciem noża odciąłem ze szczapy płat brzoźowej kory, przełamałem go, tworząc mały daszek, i po chwili wesoło trzaskał ogień. Na plecach czułem zimne spojrzenie ostatniego członka naszej grupy, pana Cichego, jak go ochrzciłem. Ponieważ zdemaskowałem go przy pierwszym spotkaniu, nie trzymał się już na uboczu. Nie musiałem przetrząsać jego rzeczy – i tak wiedziałem, co to za jeden. Zabijanie z zimną krwią na zlecenie zawsze zmienia człowieka. Wypacza jego widzenie świata, psuje smak wina, powoduje, że kobiety nie pachną i nie rozgrzewają tak, jak powinny. Po prostu zabijanie opancerza, kładzie się cieniem na refleksje i odczucia. Cieniem zmieniającym się z czasem w prawdziwą twardą pokrywę, przez którą najpierw przestają się przesączać niuanse uczuć, a w końcu wszystko, co znajduje się głębiej. Zostanie tylko zabijanie. Czasami nachodzą mnie takie szczególne myśli, pozwalają im odpływać bezpowrotnie.

Czekałem, aż płomień się rozpali, i myślałem o tym, jaki jest jego ulubiony sposób działania. Poruszał się ciszej niż sowa i umiał się wtopić w otoczenie, pracował zatem na krótkim dystansie. Garota, sztylet o wąskim ostrzu, jedwabny pasek z kamykiem... nasuwało się sporo możliwości prostych lub egzotycznych. Specjalistą od trucizn chyba nie był, chociaż czarodzieje uważali je prawdopodobnie za rzecz podstawową. W starych tekstach wielokrotnie znajdowałem wzmianki o znanych toksykologach. Za to leczenie zatruc było ostatnią rzeczą, jaką się zajmowali.

Janick połupał pałaszem krótkie polano na cienkie trzaski i ostrożnie dokładał do ognia. Chciałem się dobrze najeść, mając w perspektywie pracowitą noc. Kupiłem kawał porządnej wieprzowiny i teraz zaostrzyłem pręt, na który chciałem nawlec paski mięsa. Sól miałem przy sobie zawsze, a dziś zaopatrzyłem się ponadto w paprykę i pieprz.

– Czemu pichcimy na ulicy jak banda hultajów? – warknął Majal z niezadowolaniem. – W

każdej gospodzie dostalibyśmy lepsze jedzenie.

Nie zgadzałem się z nim, wyraźnie nie miał do czynienia z późniejszymi gospodami.

– Bo taki jest zwyczaj wśród kupców – odpowiedziałem ze spokojem.

Nie uwierzyłby, gdybym wskazał na jego brak doświadczenia w kwestii żywienia w podróży.

– Wyruszymy o świcie, na śniadanie będzie czas dopiero przed południem, kiedy będziemy daleko od miasta – oznajmiłem, nie zwracając się konkretnie do żadnego z nich.

Nie chciałem wywoływać kłótni z powodu prostego posiłku. Majal wiedział, że na bagnach będzie musiał opierać się głównie na moimi doświadczeniu, ale starał się utrzymać pozycję przywódcy przed swymi ludźmi.

– Pan mówi poważnie? – zapytał Majal niechętnie i zbliżył się do ogniska.

Janick już zajął się porcją mięsa, którą wskazałem mu gestem. Nie dowierzał opiekaniu na ruszcie i zdecydował się na tradycyjny sposób, rozkładając wieprzowinę na gorących kamieniach.

– Jestem kupcem. Chcę dotrzeć na targ o czasie, zarobić i jechać dalej. Dlatego musimy wyruszyć wcześniej, tak to wygląda w naszym fachu.

– No taa – zrezygnował Majal i zamilkł. Bardzo szczęśliwie.

Pomału jadłem kolację, popijając ją rozcieńczonym wodą winem ze skórzanego bukłaka. Nie miałem złudzeń. Gdy wykonam swoje zadanie, to znaczy wejść do cytadeli, czarodzieje będą się mnie chcieli pozbyć. Częściowo dlatego, że uważałem ich za ludzi, którzy jeśli zwęszą okazję, pokuszą się o każdą oszczędność, lecz głównie dlatego, że wchodząc wraz ze mną, stwierdzą, jak wiele przedmiotów zostanie tam po naszym odejściu. Wiedziałem, że do wszystkich pomieszczeń ich nie doprowadzę, aż tak dobrych kluczy nie miałem. Zresztą, tego im nie obiecywałem.

– Chce pan kawałek? – Nadziałem na nóż ostatni pasek nieopieczzonego mięsa i pokazałem go panu Cichemu.

Pokręcił tylko głową.

Pomimo to opiekleń poć i wyciągnąłem w jego stronę. Obserwował mnie, nie wiedząc, co to znaczy. Podałem mu mięso wraz z piętka chleba.

– Smaczne – pouczyłem go. – Jeśli pan chce, to wezmę sobie kawałeczek, żeby było jasne, że nie jest zatrute.

Nie poruszył się, ale miał się na baczności bardziej niż przed chwilą.

– Ile panu zapłacili za zabicie mnie? – zapytałem z pełnymi ustami, żując ostatni, a więc najsmaczniejszy kęs i rozglądając się wokół. – Jest pan, w przeciwieństwie do mnie, w sytuacji

niekorzystnej – powiedziałem i splukałem kolację solidnym łykiem.

Bułak był jeszcze ciągle niemal pełen. Zadowolony, potrząsnąłem naczyniem, słuchając, jak bulgocze.

Obserwował mnie wyczekująco, pauza przyjemnie się wydłużała.

– Niekorzystnej, bo musi pan czekać na umówiony znak. To część waszej umowy. Ja żadnej umowy nie zawierałem. A jeśli zdecyduję się pana zabić, to nie dla pieniędzy. Smacznego. – Jeszcze raz zaoferowałem mu mięso.

Popatrzył na mnie, usta mu się zwęziły, przymknął powieki, ale po krótkim wahaniu przyjął poczęstunek. Skrzywiłem się porozumiewawczo i wróciłem na swoje miejsce.

Popijałem po trochu wino i odpoczywałem. Spodziewałem się, że w nadchodzących dniach będę potrzebował całego zasobu sił. W karawanie handlowej zapanował spokój. Ludzie wiedzieli, że wyruszą bardzo wcześnie i że czeka ich trudna droga. Podobnych obozowisk kupców znajdowało się na skraju miasta kilka, z reguły usytuowanych w pobliżu traktów wylotowych. Nasze skupisko należało do mniejszych, bo przez bagna podróżowali tylko ci, którzy nie mogli sobie pozwolić na opłacenie przeprawy przez jezioro lub nie chcieli jej uiścić. Pół dnia drogi do przystani i dwie godziny żeglugi to zaledwie przejażdżka w porównaniu z pięcioma lub siedmioma dniami przeprawy przez bagna, w zależności od pogody i poziomu wody na mokradłach. Ale pewnie niektórym się to opłacało.

Leżałem bez ruchu, dopóki światło dzienne ostatecznie nie zniknęło i przyszedł czas na ludzi włączających się po ciemku z bronią w rękę. Słyszałem ciche oddechy śpiących wokół mnie podróżnych, Janick coś pomrukiwał przez sen. Brzmiało to jak swaglish, starożytny język czarodziejów. Nie słyszałem tylko pana Cichego. Jakże mogłoby być inaczej. Sięgnąłem za burtę wozu, spod dwóch mat wyciągnąłem moje nowe, krótkie miecze i zawiesiłem obydwie u lewego boku. Z tuby, jaką nosiłem w kieszeni, wycisnąłem trochę ciemnej pasty. Sam sporządziłem ją zawczasu z tłuszczu, sadzy i gliny, a teraz rozmasałem równomiernie na twarzy. Ukucnąłem, dociągnąłem lewy trok bandoliera i zasznurowałem lewy but. Byłem gotowy do wyprawy.

Koniec tomu pierwszego

Spis treści

[Spis rzeczy 2](#)